M. BRESZKO-BRESZKOWSKI



POD GWIAZDĄ SZATANA

NAKŁADEM KSIĘGARNI PERZYŃSKI, NIKLEWICZ i SP. WARSZAWA-1923

POD GWIAZDĄ SZATANA

M. M. BRESZKO-BRESZKOWSKI.

POD GWIAZDĄ SZATANA

POWIEŚĆ W TRZECH CZĘŚCIACH

Z RĘKOPISU ROSYJSKIEGO PRZEŁOŻYŁ
W. FILOCHOWSKI.

NAKŁADEM KSIĘGARNI I SKŁADU NUT
PERZYŃSKI, NIKLEWICZ I SP.
WARSZAWA 1923

Zakłady Drukarskie F. Wyszyńskiego i S-ki, Warszawa, Zgoda 5.

CZĘŚĆ I.

1. „Noc tropikalna".

Bejzym już wdział palto i kapelusz, chcąc zejść do cukierni Lourse'a, już wyciągnął rękę, by zgasić elektryczność, gdy oto do drzwi ktoś nieśmiało zapukał.

— Proszę.

Cisza. Nikt nie wchodzi.

— Proszę, ależ proszę!—już głośniej, z afektacją powtórzył.

I wtedy dopiero niepewnie uchyliły się drzwi. Pierwsze wrażenie, pierwsze, co Bejzym zobaczył, to cudne, jak podzwrotnikowa noc czarne oczy w tak ciemnej oprawie, iż można było pomyśleć, że są—czego zresztą nie było—bardzo mocno podkreślone. Wogóle cała postać młodej brunetki miała w sobie coś z nocy tropikalnej, omdlałej, pełnej zaczajonych rozkoszy i jakichś miękkich, pieszczotliwych poblasków.

Ubrana była „Noc tropikalna" ubogo i niezgodnie z porą roku. Wprawdzie wieczory sierpniowe tchnęły już chłodem, ale nie w tym stopniu, by aż trzeba było wdziewać okrycie z granatowego kortu, notabene niekoniecznie nowe, zdobione kołnierzem z wytartych małp.

Bejzym zdjął kapelusz i, skłoniwszy się grzecznie, czekał. Nieznajoma, jeszcze bardziej tem zmieszana, z trudnością przemówiła piersiowym, miło wibrującym głosem:

— Czy mam przyjemność mówić z majorem Bejzymem?

— Tak jest, major w dymisji, Ignacy Bejzym, do usług łaskawej pani. Bardzo proszę.

I wskazał jej krzesło, obok biurka stojące.

— Pan zapewne miał wyjść i ja panu przeszkodziłam? Tylko chwilkę, panie majorze... Przybywam w bardzo ważnej sprawie. Czy pan będzie łaskaw mnie wysłuchać?

— Powtarzam, że jestem do usług pani. A co do pośpiechu, to zaznaczam, że nigdzie się nie wybieram. Sprzykrzyło mi się tkwić w pokoju, więc zamierzałem wgrzęznąć gdzieś w tłum. Wysłucham pani z prawdziwem zadowoleniem.

I ten olbrzym, w cywilu jeszcze bardziej masywny i w ramionach szeroki, spokojnie wyczekując słów, wbił w młodą kobietę swe siwe oczy silnego, a jednocześnie mądrego zwierzęcia.

Ona nie odrazu mówić zaczęła. Bo nie otrząsnąwszy się jeszcze z zakłopotania, zbierała myśli, szukając słów, gubiąc je znowu i inne znajdując. To po pierwsze. Po wtóre, wiedziona kobiecym instynktem, zauważyła, że Bejzym patrzy na nią inaczej, niż inni mężczyźni patrzą—mianowicie bez pożądania, i to jej sprawiło przyjemność. Po trzecie, wywierał on wrażenie człowieka o serdecznej prostocie, i wreszcie po czwarte: wierząc oczom swoim, nie wierzyła jeszcze świadomości, że oto przed sobą ma samego Bejzyma, legendarnego siłacza i żołnierza nieustraszonego, herosa, którego imię z takim płomiennym zapałem wymawia każdy oficer polski, każdy sztubak, każda dziewczyna.

W spojrzeniu majora i pod działaniem głosu jego, zakłopotanie kobiety tajać pomału zaczęło. Przeszło też onieśmielenie. Na wytwornem tle pokoju „Europy" dziwnie i niesamowicie wyglądało zawieszone na ścianie, splecione z rzemieni meksykańskie lasso. I odrazu pamięć odtworzyła

to wszystko, co się słyszało i czytało o tym wielkoludzie z wydatnym, w dole nieco spłaszczonym nosem i w niskiej czapie kędzierzawych włosów nad pochyłem czołem. Głowa i profil krzepkiego fauna, jednocześnie mająca w sobie coś z twarzy gladjatora. Taki zapewne musiał być Spartacus.

Lasso... Tą straszliwą pętlą na południu Rosji, a później na kresach swej ukochanej Polski Bejzym w pościgu bezlitosnym łowił komisarzy wojskowych armji sowieckiej. Sztukę chwytania na lasso posiadł on w stepach Ameryki, gdzie wypadło mu być i cow-boy'em, i szeregowcem straży granicznej, i aktorem filmowym w Los-Angelos, i... Kim zresztą nie był ten olbrzym z niespokojną duszą wojownika-zdobywcy, który na świat przyszedł z opóźnieniem lat czterystu?

— Pan chce wiedzieć, pocom tu przyszła i wogóle co mnie tu sprowadza?—spytała ona, jak gdyby wciąż jeszcze nie chcąc mówić o celu wizyty, złożonej o godzinie dziesiątej wieczorem.

Ten potwierdził skinieniem głowy, gotując się do cierpliwego słuchania. Rozpiął palto, otworzył pudełko z cygarami.

— Pozwoli pani palić?

— Ależ, oczywiście, proszę...

Po krótkiej przerwie, gdy się zatliło długie amerykańskie cygaro, takie, jakich, do Europy nie przywożą, nieznajoma zdecydowała się wreszcie mówić.

— Wizytę moją poprzedziło długie wahanie. Ale pan jest jedynym człowiekiem, jedynym, który może mię obronić od prześladowań...

— Zadam pani jedno pytanie—z miękkim uśmiechem przerwał jej zdumiony Bejzym.—Nawet dwa pytania. Czemu pani postanowiła szukać obrony u mnie, - jednostki prywatnej, a nie u właściwych czynników, to po pierwsze; następnie: skąd się pani dowiedziała o moim powrocie? Przecież przyjechałem dopiero wczoraj?

— Pozwoli pan, że odpowiem po kolei. Właściwe czynniki, jak je pan nazywa, w mojej sprawie dopomóc nic nie mogą, nawet się tego nie podejmą... Pan sam się przekona... A co się tyczy pana powrotu, to wiem stąd...

Podała egzemplarz gazety z notatką, obramowaną czerwonemi linjami.

Z wyrazem na poły drwiącym, na poły zadowolonym Bejzym przeczytał:

„Król ekranu i szabli".

„Wczoraj z Ameryki powrócił major Ignacy Bejzym, bohater, postrach bolszewików i organizator dzielnych drużyn partyzanckich. W ciągu rocznego pobytu za Oceanem, Bejzym odtworzył kilka głównych ról w dramatach filmowych, wykonanych w Los Angelos. Jeden z tych obrazów wkrótce wyświetlany będzie w Warszawie. Nasz słynny rodak podobno zgarnął bajeczne wprost honorarjum: miljon dolarów".

— Co za wywiad ma ta prasa! — zawołał Bejzym, zwracając egzemplarz „Gazety".— Nie tylko że z żadnym dziennikarzem nie rozmawiałem, ale nie zdążyłem jeszcze zobaczyć nikogo ze swych przyjaciół. Cyfrę honorarjum znacznie przeholowano, choć, rzecz prosta, nieźle byłoby dostać nawet miljon. Ileż to razy narażało się kark na złamanie! Wraz z koniem rzucało się do morza z prostopadłej skały, wysokiej na pięćdziesiąt metrów. Na dachu wagonu, w pociągu kurjerskim, biłem się na noże; tą oto zabawką—tu wskazał wiszące lasso — łowiłem dzikie bawoły stepowe. Zresztą, są to dla pani tematy nudne... Więc gotów jestem służyć czem tylko umiem, i wszystko zrobię, co w mej mocy będzie. Ale przed kim mam pani bronić?

— Przed bolszewikami, dokładniej: przed bolszewikiem.

— Ooo! To już odrazu rozpoczyna się zajmująco. Korzystam z każdego pretekstu, byle

tylko tym łajdakom dokuczyć. Przybyłem tu dlatego tylko, iż w Ameryce coś dużo się mówi i pisze o możliwej wojnie Polski z Sowdepją. Niestety! Na wstępie spotkało mię rozczarowanie: ani jednej, ani drugiej stronie bójka nawet się nie śni. Szkoda, ogromna szkoda, niech djabli wezmą! A tym razem ostatecznie moglibyśmy rozpędzić to czerwone, przez żydów poganiane stado. Cóż to, znów z tematu zboczyłem—proszę mi to wybaczyć, więcej już słówka nie pisnę. Cały zamieniam się w uwagę.

Zapaliwszy zgaszone cygaro, przygotowywał się do słuchania.

— Od czego zacząć? Mówić o wszystkiem po kolei? Lecz boję się znużyć pana.

— Tego proszę się nie obawiać. Jak już wspomniałem, wieczór mam wolny. O ile tylko pani się nie spieszy...

— Oh, ja nigdzie—uspokajała nieznajoma.

— Zatem ślicznie. Spożyjemy razem wieczerzę; każę nakryć tu, w pokoju. Będzie to bardzo à propos, jako żem się porządnie wygłodził.

Bejzymowi, który obiadował nietylko późno, ale i obficie, kłamstwo przyszło bez trudu: ta kobieta o oczach, niczem noc podzwrotnikowa, jeżeli wogóle jada, to napewno bardzo skąpo; przypuszczenie to zda się potwierdzać wytarte futro kołnierza, jak również pośpieszne wymawianie się, czynione w łunie rumieńców.

— Dziękuję, naprawdę jestem syta...

— Wierzę, ale ja jestem głodny, jeść zaś samemu—nie umiem. Cesarze austrjaccy, ci mogli, bo tak im nakazywał ceremonjał. A ponieważ nie jestem cesarzem austrjackim, więc raczy pani dotrzymać mi towarzystwa. Zadzwonię na kelnera, wybierzemy sobie wieczerzę z karty i wtedy dowiem się wreszcie, jakie to panią ścigają nieprzyjemności i z kim będę miał do czynienia.

2. Jedna z bardzo licznych.

— Moje panieńskie nazwisko brzmi Łabędzka, Magdalena Łabędzka. Ojciec mój był oficerem rosyjskim, a przydział miał w Petersburgu, w głównym inspektoracie artylerji. Po mieczu płynie w żyłach moich krew polska, po kądzieli zaś gruzińska, książąt Dadjani. Wychowywano mię na pensji Oboleńskiej. Na rok przed wojną mama przeziębiła się i umarła. To było straszne—taka jeszcze młoda, piękna, życie w pełni rozkwitu. Dla nas, szczególnie zaś dla ojca, był to prawdziwy cios, ojciec bowiem ubóstwiał nieboszczkę. Śmierć ta dała początek szeregowi nieszczęść, jakie spadły na naszą rodzinę.

— Minął rok. Ojca trudno było poznać, tak się zmienił i jakby w głąb swej duszy cofnął. Codziennie jeździł na cmentarz klasztoru św. Aleksandra Newskiego, gdzie pochowano mamę. Wybucha wojna. Mógł, a nawet powinien był pozostać ojciec na swem dotychczasowem stanowisku służbowem, ponieważ uważano go za poważną siłę fachową w jakiejś specjalności wojskowej. W ciągu kilku miesięcy ojciec zabiegał nieustannie o wyjazd do armji czynnej. Potem już żadnej wątpliwości nie było, że świadomie szukał śmierci. Jako generałowi, dano mu brygadę, a już po miesiącu jeden z jego oficerów, niemal szlochając, przygotowywał mię do... Zresztą niepotrzebnie: własne przeczucie przedtem jeszcze zdążyło mię do wysłuchania wieści przygotować. Okazało się, że pociski literalnie zasypały punkt obserwacyjny... Zginął telefonista, dowódca baterji. Wtedy ojciec poszedł sam. Siłą zatrzymywali go oficerowie, żołnierze, jednak poszedł... i... strzępy tylko zostały. Nie sposób było zebrać choćby szczątków ciała...

Szloch przerwał opowieść Magdaleny. Pod-

ródek dygotał, drżały ramiona. Z pięknych ciemnych oczu trysnęły łzy.

Bejzym, który łez kobiecych nie znosił i w takich sytuacjaach czuł się arcygłupio, nagle zaczął się krzątać. Nalał do szklanki wody z karafki, ale żelazne palce tak krzepko ścisnęły kruche szkło, że naczynko pękło.

— Panie majorze, proszę się nie trudzić, już dobrze, już minęło. Nie leżało w moich zamiarach ani pana roztkliwiać, ani też siebie męczyć wspomnieniami, ale tak jakoś się złożyło...

Spojrzała na oficera z miękkim, łagodnym uśmiechem stworzenia, świadomego swej przewiny.

— I oto zostałam sama, samiuteńka na świecie, siedemnastoletnia dziewczyna, dopiero co z pensji wypuszczona. Jedyną bliską mi istotą była moja ciotka, siostra mamy, księżna Tamara Dadjani, dama dworu carycy — wdowy Marji, ale ciotka wraz z cesarzową przebywała w Kijowie, to też widywać mogłyśmy się bardzo rzadko. Wówczas wstąpiłam jako siostra miłosierdzia do amerykańskiego szpitala, urządzonego w b. pałacu wielkiego księcia Sergjusza. Jeżeli pan zna Petersburg, to pan wie, że pałac ów znajduje się na rogu Fontanki i Newskiego prospektu. Tam, w tych wysokich, jasnych salach znalazłam wreszcie swoje szczęście, ale poto tylko, by je znów po upływie... Lecz nie będę wyprzedzać faktów... Z frontu przysłano nam rannionego oficera, Nasakina.

— Czy Mikołaja Nasakina z pawłogrodzkiego pułku huzarów? — żywo spytał Bejzym, unosząc się z krzesła całem swem ogromnem i muskularnem ciałem.

— Pan go znał?

— Jabym go nie znał, ja, były huzar pawłogrodzki, który cały czas aż do wybuchu tej podłej rewolucji bił się w szeregach swojego puł-

ku? Potem się przeniosłem do pierwszego pułku ułanów polskich, teraz zwanego Krechowieckim. Jakżeż mógłbym Nasakina nie znać? Świetny był to oficer! Co się z nim dzieje, bo jakoś mi z oczu...

Już chciał zapytanie swe skończyć, ale się zaciął, widząc, że Łabędzka znów jest bliska płaczu.

„Noc tropikalna" wysiłkiem woli zapanowała nad wzruszeniem i tylko dreszcz, jak cień, przebiegł po jej pięknych rysach.

— Mikołaj był moim mężem...

— Pani powiedziała: „był"?

— Tak jest, był, bo dziś już go niema wśród żywych.

Po twarzy jej znów przemknęły cienie smutku.

— Doglądałam go przez trzy miesiące i gdy wrócił do zdrowia, w kaplicy pałacowej wzięliśmy ślub... To była taka potężna miłość, że... Dłużej niż rok trwało nasze naprawdę warjackie szczęście; byliśmy przekonani, że to nasze szczęście ostoi się wobec wszelkich doświadczeń i burz. Ale przyszła krwawa nawałnica... Wszystko rozniosła, zmiotła i ze szczęścia pozostał upiór jakiś. Kto przeżył w Rosji bolszewizm, ten wie, że to taka zwykła, pospolita historja. Rozboje pod pretekstem rewizji i rewizje w postaci napadów. Nasze przytulne gniazdko koło ogrodu Taurydzkiego zostało zniszczone; te kosztowności, które udało się ocalić, sprzedawałam, by mieć pieniądze na kartofle i chleb. W mieście po nocach łowiono oficerów i gdzieś ich wywożono. Pijana hałastra, hulając na ulicach, bezkarnie wdzierała się do siedzib ludzkich. Warkot przejeżdżającego pod oknami samochodu rzucał mię na przemian w żar i ziąb. Nie o siebie, lecz o Mikołaja truchlałam z trwogi... Powziął on wreszcie zamiar ucieczki na południe, do armji ochotniczej. Najpierw miał sam się przemknąć, a dopiero

po nim ja. Nocą, przed samym wyjazdem, Mikołaja schwytali, zawieźli na Grochową do czrezwyczajki i tej samej nocy... rozstrzelali...

Dysząc ciężko, szepnęła:

— Proszę o łyk wody.

Bejzym poszedł w głąb alkowy i z umywalni wziął inną szklankę. Magdalena piła łapczywie, niczem dziecko, bieganiem w upał zmęczone. Było w niej teraz coś nieskończenie pociągającego, jakaś dziewczęca bezradność.

Odzyskawszy równowagę, ciągnęła dalej.

— W ślad za Mikołajem pobiegłam i ja na Grochową. Działo się to wkrótce po zamordowaniu Uryckiego, kiedy to opróżnione stanowisko zajęła Jakowlewowa, kobieta-potwór, a rządził wszystkiem jej faworyt, arogancki i spasiony żyd Heller.

— Heller? — przerwał Bejzym.—Ten tłusty insekt z wygoloną gębą żydowskiego Nerona? Spotykałem się i ja z nim na Grochowej, kiedy to aresztowanego przywieziono mię z Kurska do Petersburga. Chciał mię uderzyć, mnie, oficera polskiego, alem parszywcowi zagroził, że nim zdąży wykonać najmniejszy ruch, zaduszę go jak szczeniaka. Heller? O, to zaczyna się bardzo, bardzo... Przepraszam jednak, że przerwałem.

— Rozkoszą dla niego było pastwić się nad oficerami, duchownymi, wogóle nad ludźmi z warstw inteligentnych. Tracąc przytomność z bólu i braku wieści, błagałam Hellera, by mi powiedział, gdzie jest Mikołaj, co się z nim dzieje, zaklinałam, by go uwolnił. W odpowiedzi na to, z zadowoleniem rechotał: „Oto, jacy jesteśmy silni, my, władza proletarjacka! Wy, kobiety światowe, u nóg moich się czołgacie. Ja pani powiem, gdzie się twój mąż znajduje, ale za to pani mi wskaże miejsce, gdzie jaśnie wielmożna ciotka przechowuje brylanty własne i te, które księżnej na przechowanie powierzyła caryca-wdowa. „Nie wiem“ mówię, „ale gdybym nawet

wiedziała, to wieści o mężu nie okupiłabym ceną takiego spodlenia“. „A jeżeliby za taką cenę można było kupić sobie jego życie?“ spytał Heller. „Milczy pani? Ślicznie, to pani rzecz. Wszystko jedno, księżna Tatjana Dadiani sama wszystko wyśpiewa, gdy swym Chińczykom rozkaże wziąć ją na tortury“.

— Tracąc resztę sił, trwałam w milczeniu. W głowie miałam zamęt. Heller, działo się to w jego gabinecie, schwycił mię znienacka, rzucił na fotel i mokremi wargami zaczął całować. Takiego wstrząsu obrzydzenia, jak wtedy, nigdy jeszcze nie doświadczałam. Od tego czasu minęło już z górą trzy lata, a ja wciąż jeszcze czuję wstrętną woń jego upudrowanej szyi.

Magdalena drgnęła i twarz w dłoniach ukryła.

— Odepchnąwszy go, niejasno, jak przez sen, usłyszałam łoskot ordynarnych nóg — to do pokoju wartownicy wprowadzili nową ofiarę. Ocknęłam się dopiero w ogólnej celi, brudnej, w której roiło się od robactwa, w której obok takich jak ja, „dąm z kontrrewolucji“, więzione były posiniaczone ulicznice z ochrypłemi głosami. Wpadły one jakoś na sposób zdobywania wódki i piły, piły... Cóż to była za ohyda! Nazajutrz komendant, łobuz i cham, ubrany w świeżutki, prosto z igły uniform oficera, zawiadomił mię, że Mikołaja rozstrzelano. Okazało się, że w chwili, gdy Heller szantażował mię jego imieniem, abym tylko wskazała, gdzie są ukryte brylanty księżnej, Mikołaj już nie żył. Owładnęło mną jakieś odrętwienie; przez kilka godzin byłam jak martwa—nie mogłam ani płakać, ani mówić, ani się poruszać. Potem, sama zdziwiona własnym spokojem, zwróciłam się do komendanta z prośbą o wydanie zwłok męża. „Cóż to, z byle jaką tam padliną kontrrewolucyjną mamy sobie ceregiele robić?“ odpowiedział mi z krzywym uśmiechem. „Zakopali go, jak psa, i już“.

— Potem... Potem iście zwierzęce bytowanie, chłód i głód... Ukrywałam się pod przybranem nazwiskiem; na sprzedaż poszły ostatnie gałgany. Heller grozę swą wcielił w czyn—ciotkę Tamarę, z której nawet tortury nic nie wydobyły, wkońcu zamęczyli Chińczycy. Jakoś wreszcie udało mi się uzyskać polski paszport i oto już wkrótce minie rok, jak pierwszym polskim pociągiem repatrjanckim wyrwałam się z Bolszewji do Warszawy, gdzie, otrzymawszy skromną posadę w „Polskim Lloydzie", zamieszkałam w hoteliku na Długiej. Aż tu wczoraj zjawia się u mnie Heller, arogancki, rozkochany w sobie, taki sam, jaki był w czrezwyczajce. Aż struchlałam, język mi wprost skołowaciał, krtań zawiodła. A ten, wymachując laseczką ze złotą gałką, pyta: „Przestrach? Proszę się nie bać, przybywam do pani w interesie, zajmuję bowiem wybitne stanowisko w legacji sowieckiej w Warszawie. Pani powinna mi wyznać, gdzie są brylanty cioci. Jeżeli pani będzie się nadal upierała, to tem gorzej dla pani. Nie dam ci chwili spokoju, będę cię ścigał, prześladował i zrobię wszystko, by pani posadę swą straciła—wszędzie tu mamy szeroko rozgałęzione stosunki... Jeżeli zaś pani będzie obchodzić się ze mną łaskawiej, niż wonczas, w moim gabinecie, to kupię ci mieszkanko, będziesz miała samochodzik"....

— To dopiero łotr! To szubrawiec! — wykrzyknął Bejzym.—A pani co mu na to?

— Wypędziłam go precz. Już we drzwiach z pogróżką w głosie ostrzegł, że daje mi trzy, cztery dni do namysłu. Nie wiedziałam, dokąd mam się zwrócić, gdzie szukać obrony. Właściwie wiedziałam, lecz władze nasze, oczywiście, no tak... A pan taki silny, mężny, wspaniałomyślny, pan tak bolszewików nienawidzi... Proszę powiedzieć, czy się mylę?

— Nic a nic. Doskonale pani zrobiła. Sło-

wem polskiego żołnierza i szlachcica ręczę, że Heller przestanie panią niepokoić. Niech mi pani powie... A to prawdziwa sensacja, że on tu, jako gruba ryba misji...

Pukanie do drzwi, i w pokoju zjawił się kelner, w rękach dźwigając przykrytą serwetką tacę z potrawami w metalowych naczyniach.

3. Wdzięczne serce.

Dawno, bardzo już dawno kobieta o oczach, niczem noc tropikalna, nie odczuwała takiej jaśni w duszy i ciszy w sercu, jak obecnie. Siła, oraz wrażenie ciepła i serdeczności, bijące od potężnej postaci Bejzyma, działały na nią szczególnie kojąco, jak gdyby Magdalena znała go nie godzinę albo dwie, na pogawędce wieczornej spędzone, ale całe lata. I nareszcie po raz pierwszy od tej chwili, gdy bolszewicy jej męża rozstrzelali, poczuła, że nie jest sama, bezbronna i sobie jedynie pozostawiona. Gdy w tym człowieku znalazła obronę, pierzchły lęki i obawy. Patrząc w jego twarz gladjatora z pochyłem czołem i mięsistemi wargami, twarz o profilu fauna i siwych oczach ni to bestji, ni to bóstwa leśnego, przypominała sobie to wszystko, co zdarzyło się jej czytać o Bejzymie w petersburskich pismach sowieckich. Każdy wiersz tych informacyj ociekał jadowidą śliną wściekłego psa.

Sami komisarze nie mogli się oprzeć zdziwieniu.

— Ten polski „białogwardzista“ to chyba nie człowiek, lecz djabeł...

W szczególne zdumienie wprowadziła ich ucieczka Bejzyma z czrezwyczajki w Odesie. Zniknął im w przeddzień stracenia, krusząc rękoma grube pręty żelaznej kraty, poczem, skoczywszy

do morza, przepłynął dziesięć wiorst, aż znalazł się na pokładzie francuskiego trawlera.

Po upływie kilku miesięcy prasa sowiecka znów przypomniała sobie Bejzyma, gdy ten, stojąc na czele oddziału zagończyków, pod Warszawą w bezczelnie śmiałym wypadzie kawaleryjskim zagarnął sztab czerwonej armji i całą żywą zdobycz, łącznie z osobistym Bejzyma wrogiem, głównym komisarzem Dienstlem, wraz z eskortą, z baszkirów i czerkiesów złożoną, na rynku w Radzyminie powywieszał.

O jego bohaterstwie, o szarży pod Stanisławowem, w której Bejzym wziął do niewoli dowódcę ułanów hanowerskich, księcia Thurn-Taxis, porwawszy go z konia i sobie wpoprzek siodła rzuciwszy, o uratowaniu księżniczki Izabelli Siedmiogrodzkiej, którą olbrzym rzutem lassa wyciągnął z trzęsawiska, i jeszcze o wielu innych, nie mniej wspaniałych czynach słyszała lub czytała Magdalena już w Warszawie.

I oto obecnie on, ten człowiek z bajki, znajduje się przy niej i swą władną opiekę zapewnia. Wprost wierzyć się nie chce, że to może być prawda, jawa. Więc budzi się spokój głęboki, a jednocześnie jakiś dreszcz radosny...

Bejzym tymczasem obserwował zmiany, zachodzące w usposobieniu i na twarzy Magdaleny. Choć ma ona już niby lat dwadzieścia pięć, ale w sposobie mówienia, w wibracji głosu, w przejściach od smutku do śmiechu beztroskiego, zostało jeszcze coś z dziewczęcia, z pensjonarki. Również szybko zmieniał się wyraz, światłocienie i barwa jej twarzy. W chwilach smętku zwierały się ciężko powieki, opadały rzęsy, gasło spojrzenie i drętwiała twarzyczka, piękna nie tyle może jasnością rysunku, co łagodną tonacją rumieńców, białym blaskiem zębów i urokiem oczu, niebieskawym cieniem okolonych.

Gdy po wieczerzy, a było to już koło dwu-

nastej, ubierała się do wyjścia, Bejzym jeszcze dodawał jej otuchy.

— Tylko proszę się nie lękać i być spokojną. Na pograniczu Meksyku ujeżdżałem dzikie konie stepowe, a to przecież trudniejsza była sztuka, niż oswojenie towarzysza Hellera i nałożenie mu na łeb kagańca. Sprawą pani zajmę się z podwójnem zadowoleniem: należałoby dać wreszcie porządną naukę całemu temu tałałajstwu, przypuszczającemu, że w Polsce wszystko wolno, a powtóre—mam przyjść z pomocą kobiecie i jednocześnie żonie mego kolegi z pułku.

Łabędzka narzuciła już na siebie swe kortowe palto z wytartym kołnierzem, a na głowę włożyła okrągły z bronzowego aksamitu kapelusz.

Bejzym odprowadził ją aż na Długą, do samej bramy brudnego hoteliku, w którym Łabędzka wynajmowała pokój:

— Że się pani też chce mieszkać w takiej spelunce—zauważył.

— Cóż począć? Pokój w prywatnym lokalu dostać można albo przez szczęśliwy przypadek, albo też wskutek poważnej protekcji. Zresztą wszystkie wolne pokoje oddawna już pożarła rekwizycja. A może pan... odważy się kiedykolwiek odwiedzić mój loch? Bardzo proszę...

Pod woalką jeszcze raz zapaliły się czarne oczy i Magdalena znikła w ciemnej bramie domostwa.

— A za otwarcie bramy? — warknął stróż w długim kożuchu.

Pogrążona w strumieniu nowych wrażeń i myśli, zapomniała Magdalena wetknąć w garść stróża napiwek za fatygę.

Spowodowana informacjami prasy wizyta Łabędzkiej u Bejzyma była dopiero pierwszą jaskółką, zwiastunem istnej pielgrzymki, jaka się nazajutrz od wczesnego ranka rozpoczęła. Dawni

partyzanci ze szwadronu Bejzyma, od jego imienia „bejzymczykami“ zwani, wszyscy ci, którzy w krytycznych dla Warszawy dniach zgłosili się do oddziału, jako zwyczajni ochotnicy, a więc książęta, hrabiowie, szefowie banków, urzędnicy ministerjalni, subjekci handlowi, akademicy, rzemieślnicy, chłopi, wszyscy śpieszyli odwiedzić swego byłego naczelnika, który potrafił pozyskać ich głęboki, niewzruszony kult do swych cnót rycerskich, męstwa, sztuki wojennej, umiejętności dosiadania konia, oraz władania bronią palną i sieczną.

Pierwszy, kto się zjawił już przed dziesiątą rano, gdy Bejzym, wziąwszy u siebie w pokoju zimną kąpiel, muskularny, cały czerwony od zabiegów wodnych, gimnastykował się czterdziestofuntowemi ciężarami, był dziesięcioletni chłopczyk, czyściutki, płowowłosy, odziany w tanie sukienne ubranko.

Bejzym, nie przerywając ćwiczeń, w najwyższem napięciu mięśni rąk, piersi i pleców, z wysokości swego ogromnego wzrostu spojrzawszy na chłopca, odrazu poznał w nim tego bębna, który przed dwoma laty zgłosił się z prośbą o przyjęcie do oddziału Bejzymczyków.

Malec zaledwie zdołał bąknąć parę słów powitania i z rozchylonemi ze zdumienia ustami spozierał zdołu, jak prężyły się i wzdymały potworne bicepsy na ramionach pana majora i z jaką łatwością wykonywał on rzuty ciężarami, zakończonemi parą kul o rozmiarach głowy dziecka.

— Hoho, urosłeś, bracie. A pamiętasz, jaką byłeś figą, gdyś się do mnie wtedy zgłosił?

— Pamiętam!—z ogniem odpowiedział chłopiec.—Że ja to pamiętam, to nic dziwnego, ale, że pan major nie zapomniał... Pan major wtedy jeszcze mi powiedział: „A może jakoś tam i bez ciebie damy sobie radę z bolszewikami“. Potem tatko czytał w gazetach, jak pan major wieszał

tych draniów w Radzyminie. No, teraz to już jestem duży, więc się melduję. Jak będzie wojna, to mię pan major weźmie?

— Wojny nie będzie, braciszku. Co porabiasz, jak ci na imię? Nazwisko pamiętam: Pawełek, i to, że ojciec twój jest szewcem. A imię?

— Jaś, Jan Pawełek... Ale też pan major ma pamięć! To dopiero nazywa się pamięć! Ojciec umarł roku zeszłego, a teraz to ja sam matce pomagam: mam posadę piccola w hotelu Rzymskim—z dumą oświadczył.

— W Rzymskim?—badał major i, rzuciwszy hantle, wtulił się w obszerną narzutkę sportową.— Chłopcze, możesz mi być pożyteczny. Zapewne znasz na wylot całe to sowieckie towarzystwo z legacji?

— Jeszcze jak! Cały dzień tłukę się między nimi. Ot, kto ma pieniądze—oni! Piją, żrą, a ubrania zamawiają tuzinami. Wiele brylantów, wieleż to złota przysyłają im z Bolszewji, Matko Boska, nie sposób zliczyć! Wiadomo: wszystkie cerkwie ograbić zdążyli...

— Właśnie. Tacy mogą i mają. A czy znasz Hellera?

— Hellera! Ba, przecież ja mu codziennie fryzjera sprowadzam. Żydzina do jedenastej w betach gnije, a potem z godzinę trwa to golenie, to znów ta historja z paznokciami, które szoruje sobie, czem tylko może. A pan major zna tego żydka?

— Znam... Uważasz, Janku... Ale ani mrumru!

— Grób, mogiła! — z powagą bił się Janek pięścią w piersi.

— Widzisz, jutro, nim pobiegniesz do fryzjera, chciałem z Hellerem pomówić w cztery oczy. Czy można do niego zajść tak, by nikt tego nie zauważył?

— Można, Jak Bozię kocham można! — cieszył się picolo.—Jego pokój mieści się na samym końcu korytarza, a naprzeciw jego numeru akurat są tylne drzwi. Niech pan się z nim umówi...

I z tajemniczą miną wspólnika mrugnął Bejzymowi, który, wsunąwszy chłopcu do garści banknot dla matki, odesłał malca do domu.

Następnie był dyrektor banku, pan Feliks Weryga, również uczestnik świetnej kawaleryjskiej potrzeby pod Radzyminem. Po Werydze zjawił się młody hrabia Ledóchowski, były adjutant Bejzyma, następnie Lasota, człek o barach potwornej szerokości, krzywonogi, jak gdyby do ziemi przyrośnięty. Lasota, urodzony na Syberji chłop, wyrósł w tajdze, a znany był jako zdumiewająco celny strzelec, co do siły ustępujący jedynie Bejzymowi.

Kwadratowe monstrum w niebieskiej bluzie, z miedzianą blachą kolejowego tragarza, przypadło do ręki oficera.

— Ah, jakżem rad, jakżem rad, panie majorze. Jak tylko w „Gazetce“ przeczytałem, serce mi aż zaskikało...

— Baczcie, aby wam całkiem nie wyskoczyło—uśmiechnął się Ignacy, wzruszony wiernością tego prostodusznego „bejzymczyka“. — No cóż, jak widzę, wstąpiliście do cechu tragarzy?

— Trzebaż jeść... Trudno teraz żyć, panie majorze...

— Zaczekajcie, poszukam dla was pracy odpowiedniejszej, niż dźwiganie żydowskich i paskarskich kufrów. Na Wołyniu mam kawałek lasu, może chcielibyście tam zostać gajowym? Będziecie mieli polowanie, powietrze, a ja właśnie poszukuję kogoś takiego...

— Panie majorze, przecież to... Czyż znajdzie się kto, coby się szczęściu wymawiał?

I znów Lasota szukał rąk Bejzyma.

— Dowiedźcie się za jakie pięć dni, może pojedziemy razem. Ziemia, o której mówię, jest na samem pograniczu, część mego lasu nawet zagarnęła Bolszewja.

Kwadratowy człowiek odszedł. Niosła go taka

radość, że nie czuł swych krzepkich, jak pnie, nóg. Rzeczywiście: czy warto dźwigać kufry żydów i spekulantów?

Jednym z ostatnich gości był mężczyzna lat trzydziestu, nieogolony, z postawą żołnierską, ubrany w zmięty płaszcz angielski i w kitel, bez śladu obecności bielizny. I pomimo, że ostra szczecina porosła na szyi i policzkach, pomimo, że zniszczona odzież dawała do zrozumienia, by lepiej nie pytać, gdzie jej właściciel nocuje i czem się żywi, w przybyszu odrazu dostrzec można było dobre wychowanie, oraz wysoką rasę.

— Pan mnie nie poznaje?

— Ależ, jakże... Książę... Zresztą porzuć tę formę „pan", jesteśmy przecież starzy koledzy, huzarzy pawłogrodzcy.

— Nie wiedziałem, jak pan... jak ty mnie spotkasz. Ludzie teraz tak się zmieniają...

— Wiem o tem, znam ich wartość. A Bejzym jaki był, taki jest i teraz, zawsze z radością powita towarzysza broni. Powiedz mi, jakeś tu się znalazł? O to, jak się wiedzie, nie pytam, widzę, że nieszczególnie.

— Niema o czem mówić—westchnął książę.— A jak tu się znalazłem? Kiedyś ty wstąpił do pierwszego pułku ułanów polskich, uciekłem do Korniłowa, nad Don. Dwa lata spędziłem w armji ochotniczej, bijąc się z czerwonymi. W kilku słowach tego się nie da opowiedzieć. Do Polski zaś przybyłem razem z oddziałami Bredowa, potem służba pod Bałachowiczem, później miałem pracę w tartaku, w puszczy Białowieskiej. Spojrz, jakie ręce ma kniaź Rurykowicz!

Grad łez spłynął mu z oczu.

Ignacy z bólem patrzył na te łzy, na ręce poczerniałe, ciężką pracą zeszpecone, ręce człowieka, znanego w pułku ze swego majątku i czarującego talentu pianisty.

— Przedewszystkiem nie należy poddawać

się nerwom. Jakoś tam damy sobie radę. Oto masz tu czek, idź na miasto, spraw sobie ubranie, bieliznę, wynajmij pokój, a jutro zajdź do mnie koło drugiej. Podczas obiadu zastanowimy się nad tem, co z tobą począć.

4. Po wojnie i rewolucji.

Wielka wojna z jej nadludzkim wysiłkiem, a następnie z jej nadludzkiem znużeniem, jakie ogarnęło całą Europę, z zubożeniem jednych warstw a wzbogaceniem drugich, przyczem zubożało wszystko, co było najszlachetniejszego, najuczciwszego w społeczeństwach, a w bogactwo rosła podłość, snobizm, krętactwo, na którem swą lepką rękę od krwi położył rosyjski bolszewizm, wojna ta zmieniła wygląd zewnętrzny i masy ludności wielkich miast Zachodu.

Nie bylejaki wpływ na obniżenie się moralnych podstaw i wartości miała i ta okoliczność, że wszystko, co było młode i bohaterskie, kwiat i duma narodów, poległo na polu chwały i śmierci. Zamiast miljonów kwitnących istnień—miljony mogił rozrzuconych po świecie, od Władywostoku do Lizbony. Do Lizbony, ponieważ, jak wiadomo, i Portugalja wzięła udział w potwornej walce. Najbardziej wyborowe pierwiastki społeczeństw gniły w ziemi grobów, a na powierzchni świata przy życiu pozostały przeważnie elementy, dla których pojęcia „Honor, Obowiązek, Ojczyzna" to nie święte hasła były, lecz czczy dźwięk.

Oto dlaczego na ulicach Paryża, Belgradu, Brukseli, Rzymu widzi się mniej pięknych, rosłych mężczyzn. Oto dlaczego ludzie nie ufają sobie już tak, jak dawniej, i czemu niewielu już pozostało takich, którzy sumiennie chcieliby spełniać swe obowiązki. Na Europę wionął strugami trucizny

czad bolszewizmu. Urzędnicy radzi byliby nic nie robić, stróżom nie chciało się zamiatać ulic.

Paryż, nigdy zresztą nie odznaczający się szczególną czystością, stał się jeszcze brudniejszy, przestał już być dawnym świetnym Paryżem. Z Berlina pozostało tylko wspomnienie o cesarskiej stolicy, która niemal za świętokradztwo uważała splunięcie na bruki lub rzucenie niedopałka cygara, co karami tępił olbrzymi szucman w pikielhaubie.

Trudno było poznać i Warszawę, ten przedwojenny mały Paryż, swym tłumem wytwornym i odświętnym wyglądem czarujący nawet cudzoziemców. Odnosiło się wrażenie, że się widzi Warszawę przez ciemne, zakurzone szkło. Nawet dobrze, ze smakiem ubrani mężczyzni i kobiety, przez to zakopcone szkiełko oglądani, tracili na szyku, płowieli. Na ulicę, do teatrów, kawiarni, restauracji wdarli się nowego typu ludzie, których dawniej nie było, a jeżeli nawet byli, to nikt na nich nie zwracał uwagi.

Z goryczą i ze łzami skarżyła się na to starsza generacja społeczeństwa.

— Całe życie tak gorąco marzyliśmy o wolnej Polsce i oto, gdy powstała wreszcie, ból chwyta na myśl, kto i jak zbiera plony wolności. Inteligencja, mózg narodu, odsunięta, zgnębiona, trwa w pohańbieniu. Oczywiście, nie w tym stopniu, co w Bolszewji, ale i tu, ale i u nas profesorowie, artyści, generalicja, prokuratura, pisarze—jak żyją w porównaniu z kelnerem, odźwiernym, hotelowym, tragarzem?

W tych goryczą tchnących słowach dużo było prawdy.

Mieszkający w zaniedbanym, hałaśliwym hotelu na Długiej oficerowie, urzędnicy i maszynistki ministerjum spraw wojskowych połykali ślinkę, widząc, jak obficie i smacznie zajada sobie służba hotelowa. Maszynki naftowe tej arogan-

ckiej i leniwej czeladzi swędem okropnym napełniały wnętrze budy. Niech Bóg broni, żeby czyjkolwiek dzwonek przeszkodził panu numerowemu lub pani numerowej w świętym obowiązku gotowania dla siebie kakao, kawy, w smażeniu befsztyków lub wieprzowych kotletów. W najlepszym razie gość gwałtownie, na całe gardło był odsyłany do wszystkich djabłów, i służba, wprawdzie bez pośpiechu, ale zgłaszała się na dzwonek, w gorszym zaś—alarm mijał bez wrażenia.

— Podzwoni sobie, podzwoni trochę, a potem przestanie.

Magdalena Łabędzka zajmowała w tym hotelu maleńki pokoik. Większą część jej pensji pochłaniało komorne za norę, której całe umeblowanie stanowiło żelazne łóżko, chwiejący się stół i pluszowe krzesło z małem a bardzo zdradnem oparciem, które w każdej chwili groziło złamaniem. Niemiły ten kąt Magdalena w miarę możności starała się jako tako przyozdobić—gołą wnękę okna przysłoniła firanką, drzwi do sąsiedniego pokoju skryły się za kawałkiem tkaniny koloru amarantowego, ze ścian spojrzały fotografje, a umywalnia przekształciła się w przybraną perkalem gotowalnię. Zachowując czystość wzorową i własnoręcznie codziennie myjąc podłogę, Magdalenie udało się tchnąć w ciemne wnętrze iskrę ciepła i schludności.

Pokój ten Łabędzka zdobyła nie bez poważnych starań i wysiłków. Trzeba było dać łapówkę najpierw jednemu portjerowi, mniej do układów skłonnemu, później drugiemu, a potem cierpliwie wyczekiwać, w ciągu miesiąca ani na chwilę nie zaprzestając próśb i nalegań.

Nie znaczy to, żeby hotel nie miał już wolnych pokojów. Kilka numerów zawsze pozostawiano dla poszukujących ustronia par, gotowych do hojnego opłacenia dobroczyńcy - odźwiernego

i numerowych za użyczenie amorowi przytułku. Te ptaki przelotne—to najmilsi, najchętniej widziani goście hotelu na Długiej. Zresztą nietylko tego, ale i wszystkich.

Łabędzka wiodła żywot pustelniczy, nie było bowiem z kim zawierać znajomości. Nieżonaci oficerowie, zamieszkali w hotelu, do domu wracali dopiero w nocy. Rodziny żydowskie? Magdalena miała ich po samą krtań od czasu swych przejść w Petersburgu, więc do utrzymywania stosunków z semitami, choćby nimi byli nawet uciekinierzy z Sowdepji, nie miała najmniejszej chęci. Pozostawało jeszcze kilka rodzin petlurowców—brudnych, źle wychowanych, nasyconych fanatyczną nienawiścią do wszystkiego, co rosyjskie i polskie, demonstracyjnie rozmawiających z sobą po ukraińsku. Wogóle przypominało to jakieś bagienko powiatowe, jakiś sławetny Wasilkow albo Zołotonoszę, a od takich zjawisk im dalej się kto trzyma, ten lepiej na tem wychodzi.

Nazajutrz po bytności u Bejzyma, powróciwszy z wieczorowych zajęć, na skąpo oświetlonym, wąskim i cuchnącym ustępami korytarzu spotkała Łabędzka młodego mężczyznę w palcie i meloniku.

— Pani Magdaleno!—zawołał ów ktoś.

Teraz i ona go poznała. Książę Włodzimierz Gagarin, kolega męża z pułku. Zmarły Mikołaj, jeszcze jako narzeczony w szpitalu przedstawił jej Gagarina.

Porwał ją odmęt wspomnień.

— Jakim sposobem?—pytała.—Skąd? Jakże się cieszę, że pana widzę! Mikołaj bardzo pana lubił. Pan się nigdzie nie śpieszy? Proszę zajść do mnie na herbatkę...

— Dziękuję, z największą przyjemnością.

W blasku lampki elektrycznej szumi primus, ukoronowany niebieskim emaljowanym imbryczkiem. Ożywionym wzrokiem Gagarin wpija się

w drogie dlań, w drogie, jak przeszłość bezpowrotna, fotografje. Oto Mikołaj Nasakin w galowym mundurze huzara, w dołmanie na ramionach, w futrzanej czapie z kitą. Oto grupa huzarów pawłogrodzkich, zdjęta na pozycji. Tu również Mikołaj, Gagarin, jeszcze kilku oficerów wraz z Bejzymem. Ten wzrostem przewyższa wszystkich o głowę.

— Pani Magdaleno, jak pani zdołała przewieźć te fotografje? Przecież za sam taki wizeruneczek —pod mur i kula w plecy!

— No cóż, chowałam starannie, bo rozstać się z niemi nie mogłam. To było silniejsze odemnie. Niech pan mię zrozumie, książę: oto wszystko, co mi pozostało po człowieku, nad życie ukochanym...

Zaszkliły się ciemne, matowo-niebieskawym mrokiem ocienione oczy, drgnął i urwał się głos.

— Tak, niewypowiedziana dla nas strata— szepnął Gagarin.— Wieść o śmierci biednego Mikołaja zastała mię na południu. Co te łotry z naszą Rosją uczynili! Żeby tak zniszczyć państwo, najurodzajniejsze gubernje doprowadzić do ludożerstwa...

Umilkł, zgnębiony koszmarem odtworzonych obrazów.

Przy herbacie Łabędzka opowiadała o sobie, poczem spytała:

— A książę? Wnosząc z szaty zewnętrznej, wiedzie się panu, chwała Bogu, całkiem niezgorzej?

— Z szaty zewnętrznej?—zaśmiał się gość.— A czy pani wie, że jeszcze przed kilkoma godzinami niktby mnie nie poznał? Moja „szata zewnętrzna" była wtedy bez przesady wstrętna. Zaplamiony, obszarpany frencz wprost na gołe ciało włożony, na twarzy szczotka z twardej szczeciny, a na dobitkę znalazłem się na bruku warszawskim z sumą ośmdziesięciu marek w kieszeni,

za które nawet funta chleba kupićbym nie mógł. Obecnie zaś, jak pani sama widzi, nowiutki garnitur marynarkowy, nakrochmalona bielizna, pokoik w tym oto hotelu, zdobyty dzięki zastosowaniu oszustwa i łapówki, danej panu portjerowi wraz z zapewnieniem, że poszukuję pokoju tylko na jedną dobę. Jeżeli dodam, że w kieszeni jeszcze cośniecoś mi zostało, to łatwo sobie pani wyobrazi, jaki ze mnie jest fantastyczny Krezus. Co tam Krezus, poprostu Rotszyld! To lepsza od Krezusów firma! A jeszcze rankiem, droga pani, pełen byłem mroku. Ciężka praca fizyczna tak ze mnie całą siłę wymotała, że do takiej męki nie mógłbym już więcej powrócić, choć wokół mam próżnię. Kula w łeb, albo, jeżeliby wystarczyło duszy, to padaj, braciszku, na samo dno. Włóczęga, domy noclegowe, robactwa roje... Brr! I to miało oczekiwać mnie, którego tysiąc lat liczący ród ma w dziejach swych bojarów, wojewodów, generał-adjutantów i dziewięciu świętych! I oto nagle, masz tobie: życie-bajka, „Cudowne przemiany", jak to kiedyś głosił afisz w Ogrodzie Zoologicznym.

— I któż jest tych „Cudownych przemian" sprawcą?

— Zna go pani, nasz huzar pawłogrodzki, Bejzym.

— Bejzym? Widziałam go wczoraj... Co za serce szlachetne ma ten człowiek!

— A ja widziałem go dzisiaj. Szedłem doń, przyznać muszę, z dreszczem w duszy: a nuż nie przyjmie, a jeżeli nawet przyjmie, to oficjalnie, sztywno spyta: „Czem mogę służyć? Bardzo mu na mnie zależało, na brudnym, obdartym nędzarzu! I nieoczekiwanie—spotyka mię cudowne przyjęcie! Wielkopańskim gestem dał czek na znaczną sumę, bym mógł sobie przywrócić ludzki wygląd. Obiecał nawet, że mię gdzie ulokuje na jakiej posadce, ma bowiem chłop stosunki ogromne.

Jakże ja mu jestem wdzięczny za odzyskane życie! Jaką roskoszą nadziemską było wykąpać się w łaźni, wdziać bieliznę, ogolić się, na nogach poczuć cienką przędzę skarpetek i kamasze—zamiast onuczek i rozdeptanych dziurawych butów, nawet nie butów, ale jakiejś inkwizycji hiszpańskiej, która mi nogi do cna pokaleczyła. Niech się pani na mnie nie gniewa za niezupełnie salonowe wtajemniczanie damy w takie szczegóły, alem jest tak obłąkańczo szczęśliwy, tak wszystko gorąco odczuwam. Zresztą pani mię zrozumie, pani, która sama tyle przeszła...

— Rozumiem i współczuję. Do ostatniej niemal chwili miałam tylko jedną, jedyną koszulę. Wypierze się ją w tej oto miednicy, a tymczasem, póki nie wyschnie... Wreszcie w tych dniach uszyłam sobie drugą, bo tamta wystrzępiła się do cna. Wierzyć wprost się nie chce, że był taki czas, kiedy się nosiło tylko cienką bielizenkę z koronkami, haftem, wstążeczkami.

I Magdalena, jakby tem wyznaniem zawstydzona, jak i dnia poprzedniego u Bejzyma, spłonęła rumieńcem. W chwili zmieszania przypominała młodziutką, naiwną pensjonarkę.

— Niesłychanie jestem mu wdzięczny—powtórzył książę. — Nigdy mu tych dobrodziejstw nie zapomnę. Są jeszcze na świecie dobrzy ludzie. Tak, budzi się we mnie pragnienie życia: głód ruchu, powietrza. Chętniebym teraz siadł do powozu, aby widzieć na ulicach tłum i mieć tę świadomość, że ot, mogę, mam na to, by pójść do kawiarni, restauracji, do kina. Czy pani teraz jest wolna?

— Zawsze wieczorem jestem wolna. Nigdzie przecież nie bywam.

— A więc przejdźmy się po mieście, później zaś—na dworzec wiedeński na spotkanie kurjera. Popatrzymy na sypialne wagony międzynarodowego towarzystwa z napisami: Paris — Berlin —

Varsovie, i przekonamy się, jaka to publiczność w tym luksusie podróżuje. Tam znajdziemy zakątek prawdziwej Europy, a ja przez pół roku nic krom puszczy i tartaków nie widziałem, sam omal w żubra się nie zmieniwszy. A propos— żubrów w puszczy już niema, Niemcy na odchodnem zabrali je z sobą, jednakowoż rząd polski miał podobno zażądać zwrotu tych okazów. Więc co? Zgoda? Pani się nie gniewa? Może głupio i śmiesznie wygląda mój pomysł pogapienia się na sosjetę z wagonów międzynarodowych...

— Ależ co znowu, książę! Ani śmiesznie, ani głupio. Sama z przyjemnością przeczytam białą tabliczkę z kolorowemi literami: Paryż—Berlin—Warszawa. To nie tylko kawałek Europy, ale i swojej własnej przeszłości fragment...

— A potem wspólnie spożyjemy gdzie wieczerzę. Przy winie i muzyce pomarzymy o Petersburgu, nie o Piotrogrodzie, ale właśnie o Petersburgu, ongi pięknym, władnym, dziś mieście zawszałem, ohydnem, schamiałem... Aż płakać się chce...

5. „Kawałeczek Europy".

Nastrój Gagarina udzielił się Łabędzkiej. Rzeczywiście, trzeba było oszczędzać każdą stomarkówkę, odmawiać sobie pieczywa lub jazdy tramwajem, bo dorożka była już zbytkiem, komfortem nieosiągalnym. O wieczerzy w restauracji, przy muzyce—o tem Magdalena nawet marzyć nie śmiała.

A tak miło jest w chłodny wieczór sierpniowy przemknąć powozem wzdłuż Nowego Swiatu. Migocą światła, płoną białe kule lamp, zdobiących wejścia do kin, złotem światłem zaciągają się olbrzymie zwierciadlane witryny kawiarni.

Tłum wchodzi, wychodzi, tam i z powrotem się snując.

Łabędzka ciszę miała i spokój w duszy. Spokój zrodzony ze świadomości, że obok siedzi mężczyzna, który patrzy na nią, jak na siostrę, czystym, uczciwym wzrokiem, i że ani za wieczerzę, ani za przejażdżkę niczego żądać dla siebie nie będzie.

Na Głównym Dworcu, wziąwszy bilety peronowe, Magdalena i książę wyszli na spotkanie „kawałeczka Europy". Gdy pociąg, złożony z kilku oświetlonych bronzowych wagonów ze złotemi napisami wzdłuż ścian wozów, łagodnie się zatrzymał, młode serca silniej zabiły. Chwila dokuczliwej bolesnej tęsknoty... Ach, czemu z pociągu nie wyjdzie ktoś drogi, oczekiwany, bliski? Czemu?

Wysoki pan z siwemi wąsami i orlim nosem, wyjątkowo rasowy na tle dzisiejszej demokratycznej Warszawy, prowadząc na smyczy białą jak śnieg, zlekka blaskiem lamp elektrycznych zaróżowioną, niemniej niż on rasową charcicę, witał swą żonę, damę w głębokiej żałobie, z chorobliwie delikatną twarzyczką. Wyszli też jacyś wygoleni panowie z nowiutkiemi angielskiemi walizkami, niedawno jeszcze czereda komiwojażerów lub agenci od żywego towaru, dziś znani paskarze, obracający miljonami, liczonemi nawet nie w polskiej, lecz w światowych walutach.

— Oto, komu dobrze się dzieje na świecie! Oto cham, który się ziścił, cham - zdobywca! — po francusku szepnął książę Magdalenie.

Ona zaś nie słuchała. Uwagę jej pochłonęła podróżna w długiem sobolowem okryciu z kołnierzem z ciemnych lisów i z takiemi samemi mankietami.

— Książę, proszę spojrzeć! — szybko zawołała, nie odrywając oczarowanych oczu od królewskiej szaty.

— Owszem, piękna niewiasta. Blizna na policzku nietylko jej nie szpeci, ale przeciwnie, dodaje urodzie jakiegoś szczególnego smaku, powiedziałbym nawet: tajemniczości; szrama ta bowiem jest jakby szyfr, klucz, jakieś dramaty rozwiązujący.

Gagarin, mówiąc to, był przekonany, że Łabędzką nie sobole zajmują, lecz ich szczęśliwa posiadaczka.

Piękna...Ale co za zdumiewające podobieństwo: kubek w kubek takie samo okrycie sobolowe, z takiemi samemi lisami na kołnierzu i mankietach, miała zamęczona przez bolszewików ciotka Tamara. Za przeprowadzenie jakiejś sprawy w senacie, okrycie to otrzymała w darze od pewnego kupca z Syberji.

Gagarin wzruszył ramionami.

— Podobieństwo, rzecz prosta, przypadkowe

Słowa te nie przekonały Łabędzkiej. Niepojęty jakiś instynkt kazał jej wątpić, czy mógł istnieć jeszcze drugi egzemplarz okrycia, zdumiewająco do pierwszego pod każdym względem podobny: z długości, fasonu i gatunku futra.

Powitał podróżną i, lekko trzymając za łokieć, pomógł zejść na peron jakiś osobnik typu międzynarodowego, w żółtych kamaszach i popielatych getrach, z którym pani zamieniła kilka słów, ale w jakim języku, tego Magdalena nie zdołała usłyszeć.

Wyszedł też z pociągu jakiś młody człowiek w modnie szerokiem palcie, w binoklach, widocznie krótkowidz. Oczy miał wybałuszone, niedbałe gesty i ogoloną, drobno zarysowaną twarz, ale po staranniejszem obejrzeniu przychodziło się do wniosku, że podróżny musi mieć lat znacznie więcej, niż na to wygląda. Cała postać, po chłopięcemu wyrzucająca rękami i nogami, trzymała się niepewnie, jak gdyby wyjęto z niej jakieś zasadnicze wiązadło.

Witała go delegacja żydów, z których jedni ubrani byli po europejsku, inni zaś w chałatach i czarnych czapeczkach z maleńkiemi daszkami. Wszystkie szczegóły ich ubiorów były nowiutkie i zrobione z najlepszego materjału. Brodate twarze żydów miały wyraz pewności siebie, świadczący nietylko o dostatku, ale wprost o bogactwie i spokojnym, świadomym swej wartości dosycie.

Prawdopodobnie ten brunet z zadartym nosem, nie zdający sobie sprawy, gdzie ma podziać swe kończyny, który z powodu szczególnie silnego krótkowidztwa jednakowo nie odróżniał istot żywych od martwych przedmiotów, człowiek ten musiał być widocznie jakąś grubą rybą. I choć członkowie delegacji byli już w takim wieku, że przybysz mógł śmiało ujść za syna każdego z nich, jednak kłaniali mu się nisko, z szacunkiem chwytając palce, które ten pośpiesznie wysuwał przed siebie.

Wysłuchawszy krótkiej przemowy, ostentacyjnie i głośno wygłoszonej w żargonie, rozśrubowany jegomość odpowiedział też po żydowsku, tak wybijając każdy wyraz, by jak najmniej przypominał język niemiecki.

Jeszcze stosunkowo niedawno żydzi, jako tako inteligentni i jako tako wychowani, unikali ojczystego szwargotu, woląc koszlawić jakikolwiek inny obcy język, dziś zaś w miejscach publicznych wszędzie słyszy się już żargon demonstracyjny, niczem wyzwanie. Grupa otaczająca sleeping nie stanowiła wyjątku — to samo działo się w tramwajach, w kawiarniach, w kinach, w urzędach, jednem słowem—wszędzie.

Rys bardzo znamienny, rys czasu. Polscy żydzi, dumni z tego, że b. Rosją rządzą dziś ich bracia, wysoko dzierżą swoje głowy. Bóg raczy wiedzieć, jaka tym głowom śni się Polska?

W odległości paru kroków od Łabędzkiej stał

nie wysoki człowiek o ciemnej, brzydkiej twarzy, znamionującej dużą energję, twarzy puszkiem zaledwie pokrytej, choć człowiek ów musiał mieć już koło trzydziestki. Wywijał laseczką z miną szlifibruka, który sam nawet nie wiedząc dlaczego, w jakim celu, najpewniej z nudów i bezczynności, znalazł się na pociągu Paryż—Berlin—Warszawa.

Ten wyraz beztroski był jednak sztuczny. Osobnik ów w ten sposób przyglądał się kobiecie w sobolach, krótkowidzowi w binoklach oraz otaczającym go żydkom, jak gdyby jego ruchliwe oczy były właściwie aparatem fotograficznym. Po dokonaniu wzrokiem kilku zdjęć migawkowych, starannie notujących każdą widzianą twarz, każdy szczegół, pozorny szlifibruk odwrócił się nagle. Uczynił to, aby uderzywszy piersią o pierś bladego mężczyzny o znużonej twarzy, zakończonej ciemnym klinem brody, powiedzieć mu coś raczej wzrokiem, niż poruszeniem warg. Wybladła postać, po daniu takiej samej niemej odpowiedzi, niezwłocznie się ulotniła.

Tej krótko trwającej sceny nie zauważył nikt. A jeżeliby nawet zauważył, to nicby z niej nie zrozumiał.

Łabędzka i Gagarin wyszli na gwarną, szumem i sygnałami tramwajowemi dzwoniącą ulicę Marszałkowską.

— A więc widzieliśmy „rąbek Europy"?

W słowach Magdaleny brzmiał ton zawodu.

— Hm... Europy? Jabym powiedział, że raczej wyjątek synagogi, to byłoby ściślejsze — uśmiechnął się książę.—Jak widać, ten przyjezdny z manierami szczenięcia w wieku przejściowym, to jakaś gruba dla żydów figura. Robił wrażenie istoty, która w obawie przed narażeniem na szwank swej powagi rzuca się bez sensu na wszystkie strony. Ale spotkanie odbyło się na piątkę! Dama zaś z intrygującą blizną na policzku

niesłychanie mię zaciekawia. Maleńkie czerwone usta, regularne rysy, a wszystko to w nadzwyczaj bogatej oprawie. Sobole naprzykład są wprost wstrząsające! Za takie okrycie, chcąc je kupić za marki polskie, trzeba byłoby zapłacić astronomiczną liczbę wielu, wielu miljonów. Dokąd jednak pójdziemy na kolację, pani Magdaleno?

— A nie będzie pan się wstydził swej ubogo ubranej towarzyszki?

— Jak pani może!... Teraz zwłaszcza, gdy „cnota nawet w łachmanie godna jest szacunku." W Konstantynopolu zdarzyło mi się widywać byłych arcymiljonerów, ubranych daleko gorzej, niż pani. Więc chyba do „Kaukaskiej" zajdziemy? Uraczą nas tam wybornym szaszłykiem, a i orkiestrę mają niezłą. Nad czem się pani tak zamyśliła, pani Magdaleno? — pytał Gagarin, widząc, że Łabędzka nie słucha go, gdzieś daleko odbiegłszy myślą.

— Tak sobie. Właściwie nad niczem.

A w istocie myśl jej zaprzątnęło sobolowe okrycie. Kto jest i skąd pochodzi ta kobieta z blizną na twarzy?

6. „Hijena".

Kiedy Bejzym wszedł do sklepu z przedmiotami wojskowemi i sportowemi, wszyscy subjekci, zarówno wolni, jak zajęci załatwianiem interesantów, skierowali nań swe oczy, a kierownik i jednocześnie właściciel interesu, nie rozstający się z wyrazem dostojeństwa nawet w stosunkach z generałami, na widok Bejzyma zakręcił się jak fryga.

— Ah, panie majorze, jakżem szczęśliwy, że pana widzę. Czytałem, a jakże czytałem w „Gazecie"... Kiedyż więc będziemy się zachwycać filmem, przy pańskim udziale wykonanym? Płonę z niecierpliwości!

— Niebawem, niebawem. Widzi pan, potrzebny mi jest styk, właściwie nie tyle styk, co mocna szpicruta.

— Ubolewam, że nie steak, do usług pana majora, bo właśnie otrzymaliśmy nowy transport: hiszpańska trzcina, cienka, giętka, ale najbardziej nawet znarowiony koń ją odczuje.

— Wolałbym jednak szpicrutę.

— Pewnie na psa?

— Gdzież tam. Pies — to szlachetny twór Boży. Na hienę. Przywiozłem z sobą małą hijenę.

Trzcinki nie podobały się Bejzymowi.

— Nie mają wcale sprężystości: mocniej nią zdziel, a z pewnością się złamie. Czy pan przypadkiem niema szpicruty z bawolich żył? — spytał, mrużąc oczy.

— Z żył bawolich? Takie już dawno wyszły z mody, więc ich nie trzymamy... Chociaż, zdaje się, jeszcze jedna powinna gdzieś być.

Gospodarz sam osobiście raczył pobiec do sąsiedniego pokoju i po chwili wrócił, niosąc ostrożnie, jakby jakąś kruchą kosztowność, rózgę z bawolich ścięgien, splecionych spiralnie i kalafonją potartych, by pręt w chwili uderzenia nie ześliznął się, lecz przyległ do ciała dokładnie.

— Właśnie o taki mi chodzi — ocenił rzecz major okiem cow-boy'a i jeźdźca.

Pręt wziął do ręki przeciął nim powietrze, aż ktoś z publiczności, przerażony donośnym świstem, odskoczył na bok.

— Straszna to broń w rękach pana majora!— zauważył gospodarz.—Biedna hijenka!

Heller obudził się w swym pokoju, w hotelu Rzymskim, jak zwykle o jedenastej. Według trafnego spostrzeżenia Bejzyma, człowiek ten przypominał jakby żydowską trawestację Nerona. Istotnie: w mięsistej, niesymetrycznie ukształtowanej twarzy z dużym, obfitym podbródkiem, z rudawą kępką wijących się włosów nad niskiem i prostem

czołem, w grubej, jak u byka, szyi i w opasłym kadłubie z solidnym brzuchem, wzdymającym się pod pikowanym atłasem błękitnej kołdry, słowem: w całej postaci Hellera rzeczywiście było coś z Nerona. Wrażenie to potęgował jeszcze wyraz zadowolenia i tępego okrucieństwa w zimnych, blasku pozbawionych oczach człowieka, dla którego cały świat jest jeno tłem, poto tylko istniejącem, by tem plastyczniej mogła się uwypuklić bezcenna osoba Hellera.

Syn introligatora z Wilna, wyrosły w przesyconej kwaśnym odorem klajstru izbie, już w dzieciństwie zaczął rysować domki z dymiącemi kominami. Rodzic orzekł, iż z chłopca będzie drugi „Ajwajzowskij".

Icek Heller zaczął uczęszczać do szkoły rysunkowej w Wilnie, lecz dalej niż do modelów gipsowych nie dotarł, poczem z powodu najzupełniejszego braku wszelkich zdolności został ze szkoły wydalony. Proroctwo o drugim „Ajwajzowskim" nie ziściło się.

Potem Icek wstąpił do apteki i w wolnych od pracy chwilach napychał się socjalistyczną bibułą. Chciało mu się rewolucji, chciało mu się władzy, a tu masz, kręć, człeku, pigułki na przeczyszczenie. To też dla Hellera starożytne Wilno było nudną i ciasną dziurą.

Znalazł się później w Petersburgu, na posadce w aptece Bergholza, róg bulwaru Fontanki i Newskiego. Na wiecach studenckich uważany był za „swego". Zawiązał nawet romansik z córką popa, czerwonolicą kursistką. Oddała się Hellerowi dla zasady—„pryncypjalnie"; chcąc zaprotestować przeciw prześladowaniom narodu praw i dachu pozbawionego, świadomie oddała się jednemu z synów Izraela.

W końcu lutego — starego stylu — 1917 r., Heller, uzbrojony w granaty, przepasany wstęgami ładunków do maszynki, z wysoko w górę

podniesionym rewolwerem, mknął ulicami stolicy na zasmolonej ciężarówce, w towarzystwie marynarzy, żołnierzy i akuszerek. Po miesiącu krzątaniny Kiereński mianował go komisarzem jednej z armji frontu południowo - zachodniego. W czasie jego urzędowania zamordowano szereg oficerów i uwięziono kilku powszechnie szanowanych, bojowych generałów.

Po roku na krwawym widnokręgu Północnej Komuny uważany już jest za wschodzącą gwiazdę. Heller niestrudzenie prowadził badania, rozstrzeliwał, wymierzał chłostę, tucząc się i wydając ogromne sumy na rozrywki i ubrania z pierwszorzędnych firm krawieckich. Wykonawcy rabunków musieli składać mu lwią część łupu, o ile nie chcieli znaleźć się „pod murem".

Brudny, wymierający Petersburg sprzykrzył się wreszcie Hellerowi, który tyle nagrabił, że bogactw wystarczyłoby mu do śmierci. Przyszła chętka na wywczasy w warunkach dla ludzi cywilizacji niezbędnych. Zinowjew-Apfelbaum, przyjaciel i protektor Hellera, przy pomocy Cziczerina ulokował go na posterunku dyplomatycznym w legacji sowieckiej w Warszawie. Znalazłszy się w stolicy Polski, Heller zakupił zapasy cienkiej bielizny, a u Skwary zamówił tyle ubrań codziennych, okryć, futer, smokingów, fraków, że garderoby pozazdrościłby mu nawet pierwszy tenor operetki. W restauracjach dyplomata żądał zazwyczaj kotletów po kijowsku, kawioru ziarnistego, szampana, wogóle tego, o co było trudno i co kosztowało warjackie sumy. W zbytku szukał kompensaty za nędzę dzieciństwa, spędzonego w kwaśnym od klajstru zaduchu ojcowskiej introligatorni, za głodne lata młodości i studjów farmaceutycznych.

Podczas jednej z przejażdżek wspaniałem autem poselstwa, ujrzał na Długiej wracającą z biura Magdalenę. Ujrzał, poznał i przez swych

agentów niebawem wyszperał, gdzie Łabędzka pracuje i mieszka. Postanowił bowiem połączyć przyjemne z pożytecznem. Bo przecież w gabinecie, na Grochowej, przeszkadzano mu, i z rąk jego wymknęło się to, czegoby nie chciał teraz, tu, wypuścić. Piękna kobieta z dobrej rodziny, wdowa po świetnym oficerze kontrewolucji, to ma smak całkiem inny, niż zwykłe kapłanki miłości, które on, przepłacając, kupował sobie w Warszawie, a które bynajmniej nie zaspokajały plebejskich ambicyj komisarza. Ją mieć, tę dumną, starannie wychowaną, władającą językami szlachciankę—o, to musi być potrawa pierwszej klasy. Na zadośćuczynienie swemu kaprysowi Heller gotów był wydać nawet miljony, bo jeżeli Magdalena wyzna, gdzie są schowane brylanty byłej damy dworu, Tamary Dadiani, to miljonowy wydatek sowicie się opłaci.

Wprawdzie Łabędzka pokazała mu drzwi, ale co to znaczy? Kobieta zawsze zostanie kobietą — dziś wypędzi, a jutro... któż może wiedzieć, jak jutro się zachowa? Heller ją nastraszył, dał termin przyjęcia ultimatum i jest rzeczą wątpliwą, czy pani długo jeszcze będzie się bawiła w nietykalną księżniczkę.

Przeciągając się rozkosznie, Heller usiadł na łóżku i tłustemi nogami szukał nowiutkich safjanowych pantofli, wschodniego typu, z ostro zakończonemi nosami. Moda. Dowiedziawszy się, że ludzie z towarzystwa sypiają w pyjamie, Heller przyzwyczajony do skromnej koszuli, bezskutecznie usiłował przystosować się do tego wymagania.

Kelner przyniósł do pokoju kawę, a właściwie całe śniadanie, bo oprócz kawy były tam jeszcze bułeczki z masłem, ser, wędliny, miód, śmietanka, konfitury. Heller nie mógł skonsumować nawet piątej części śniadanka, ale cóż na to poradzić, skoro tak właśnie jadają gentlemani,

a dodać należy, że wielbicielem zwyczajów angielskich Heller stał się od czasu, gdy zastrzelił kapitana Cromy w gmachu ambasady wielkobrytańskiej w Petersburgu.

I choć angielska legacja w Warszawie wiedziała, kto jest mordercą kapitana Cromy, pomimo to jednak Heller stale otrzymywał zaproszenia na obiady i rauty poselstwa.

Zdjąwszy z siebie koszulę, i w narzuconym na gołe ciało szlafroku-kimono z japońskiego jedwabiu, siadł Heller przed gotowalnią, podobną raczej do witryny składu perfum, tyle na niej było flakonów z rzniętego kryształu, tyle lśniących nożyczek, pilników, szypczyków i innych przyborów tualetowych. Wyjął papierosa ze złotego porte-cigare, zdobionego koroną brylantową—ongi własność księcia Oboleńskiego, którego Heller rozstrzelał, i w oczekiwaniu na fryzjera zajął się szlifowaniem paznogci, miękkich, kwadratowych, z trudnością poddających się zabiegom, przeglądał się przytem nieustannie w owalnem, w masywne srebro oprawnem lustrze z czasów carycy Katarzyny, skradzionem z pałacyku grafa Bobryńskiego przy ulicy Galernej.

Za drzwiami rozległ się szmer.

— Ten osieł balwierz, zamiast zapukać, kręci się tylko niepotrzebnie—mruknął dyplomata sowiecki.

Nagle drzwi błyskawicznie się otworzyły, a później nie mniej szybko zamknęły, i na białem ich tle zdumiony Heller ujrzał szerokiego w barach Bejzyma ze szpicrutą w ręce. Natura nie odmówiła Hellerowi pamięci wzrokowej, więc też poznał on Bejzyma natychmiast, mimo że po raz ostatni widział go mniej więcej przed trzema laty, i to nie po cywilnemu, lecz w mundurze ułana formacyj polskich.

Jakim sposobem mógł się on tu przedostać? Kto go wpuścił? Przecież każdy obcy już na dole,

w hallu, musi poddać się iście inkwizytorskiemu badaniu, prowadzonemu przez dwóch rosłych „czekistów“?

Budzi się w chaosie szereg chceń. Heller nie wie, co czynić: dopaść dzwonka, rzucić się ku drzwiom, sięgnąć po rewolwer, w szafce nocnej schowany? Zacząć krzyczeć niesamowicie, jak zwierz osaczony? Uczynić wszystko to razem było niepodobieństwem, a na zdecydowany wybór jakoś brakło stanowczości.

Paniczne zmieszanie Hellera trwało zaledwie parę sekund. Bo oto Bejzym momentalnie przekręcił klucz w zamku i jednym, zwierzęco lekkim susem przesadziwszy pokój, znalazł się tuż obok łóżka.

— Żydzie! Jeżeli tylko przyjdzie ci do głowy nieszczęśliwy pomysł robienia wrzasku, to, klnę się Bogiem, żywy mi nie ujdziesz. Słuchaj więc: w ciągu trzech dni Warszawę masz opuścić bezpowrotnie. Znasz mię—Bejzym nie lubi rzucać pogróżek na wiatr. A poza tem: raz na zawsze zaniechasz wszelkich napaści względem pani Łabędzkiej, wdowy po rotmistrzu Nasakinie. Zrozumiano?

Heller z rozpaczą w zimnych oczach patrzał na Bejzyma. Nie ufając sobie samemu, na wszelki wypadek przygryzł wargi, byle tylko móc zapanować nad chęcią krzyczenia.

Z pod rozpiętego szlafroka wychylała się włóknista, niemęska pierś i obwisły, miękki brzuch. Widok drżącego ze strachu Hellera z roztrzęsionym tłustym podbródkiem, wnętrze pokoju z gotowalnią, spowitą w koronki, podobne do kociej sypialni, budziły w Bejzymie otrząs wstrętu. Gniew szybko zmienił się w uczucie niewysłowionej pogardy i obrzydzenia. Mimo to jednak Bejzym postanowił nie cofać się, nim przyzwoitej nauczki nie otrzyma morderca i bandyta.

— A teraz spróbuj tylko krzyknąć!—ostrzegał groźnie.

Wtedy na głowę, ramiona i plecy Hellera posypały się ostre, świszczące cięcia splecionej z bawolich żył szpicruty. Każde uderzenie pozostawiało na spasionem ciele krwawą pręgę. Heller, napoły nieprzytomny z bólu i przerażenia, osunął się na kolana i pełzając po podłodze, dłońmi usiłował osłonić oczy, nos wargi. Strach śmierci, jaką Bejzym mu zagroził, przemógł nawet potworne cierpienia fizyczne. Katowanemu udało się zachować milczenie jedynie w drodze nadludzkich wprost wysiłków.

Bejzym zaś, podniecony świadomością, że ten wijący się u jego nóg podły tchórz, u siebie, w sowdepji tak właśnie znęcał się nad bezbronnemi ofiarami terroru, ani na chwilę nie przestawał siec swą straszliwą rózgą. Na twarzy Hellera wystąpiła krew. Krew sklejała też rude strąki włosów na głowie.

Przez zaciśnięte zęby żyda przedzierał się głuchy, monotonny jęk:

— Uuuu! Uuuu!

Niebawem Heller bez przytomności legł na antycznym, bezcennym dywanie, skradzionym prawdopodobnie z jakiegoś meczetu.

Bejzym otworzył drzwi i spokojnie wyszedł na korytarz, i już nie tylnemi schodami, któremi wprowadził go Jaś Pawełek, lecz frontem zeszedł na dół i, minąwszy obojętnie dwóch czuwających „czekistów", przez nikogo nie zatrzymywany, opuścił siedzibę legacji.

7. Skandal w zacnej rodzince.

Czerwoni dyplomaci znaleźli swego kolegę leżącego bez przytomności w strumyku krwi. Z kimona japońskiego pozostały jeno smętne, szczątki.

Z drugiego piętra ściągnięto Katzenelsona, lekarza misji, znanego w legacji pod żartobliwem mianem „Lejby-Medyka“. Z jego pomocą i pod jego kierunkiem pacjenta obmyto, gdzie trzeba było zajodynowano, zabandażowano lub zgoła plastrami oklejono.

Związany Heller leżał pod pikowanym atłasem kołdry, wysłuchując wyrazów oburzenia, jakich otaczający łoże koledzy nie szczędzili „podłej białogwardyjskiej bestji“.

Dwaj marynarze z oddziału czekistów, tęgie chłopy z twarzami katorżników, przyłączając się do ogólnego chóru współczucia, choremu okazywanego, nie byli w stanie jednak zapanować nad czysto fachowym zachwytem:

— Ale też mu wsypał! Ależ mu wlepił! — pieli ze zdumienia, oczywiście już za drzwiami.

— Taaak. Rękę to musiał mieć niezgorszą: ciężką.

— Ciężką, może nawet i ciężką, ale prócz ciężaru, towarzyszu, potrzebna też jest znajomość przedmiotu. Umie walić, oh, umie ten Polak szanowny!

— Napewno to ten, co koło nas przeszedł. Gdybyśmy wiedzieli, o co chodzi, napewno udałoby się go zatrzymać.

— Spróbuj, proszę, owszem, spróbuj, bo ja to dziękuję. Czyś widział jego wzrost i ramiona?

U wezgłowia Hellera tymczasem odbywało się doraźne konsyljum, ale nie lekarskie, lecz dyplomatyczne. Poszwankowany z przysługującego mu prawa głosu narazie nie korzystał, zajęty swą pokiereszowaną fizjonomją, starannie w lusterku oglądaną.

Heller, chętnie uważający się za mężczyznę urodziwego, wpadł w przygnębienie. I nie bez racji. Jedno oko jako tako jeszcze wyglądało, ale drugie, z rozciętą brwią i powieką, posiniało

i spuchło haniebnie. Zamiast warg powstał jakiś bezkształtny krwawy strup.

— Co ten łotr ze mną zrobił! Chciał mię zabić, naumyślnie starał się twarz zeszpecić! Towarzyszu Katzenelson, czy będę widział prawem okiem?

— Czemu nie? Oczywiście, że będziecie widzieli, niech tylko ciało sklęśnie i oko nieco się otworzy, a nastąpi to niewątpliwie za jakie dwa, trzy dni—pocieszał pacjenta lekarz, drobny i tak jakoś zabawnie uwłosiony, że włosy sterczały mu siwiejącemi kępkami nawet z uszu i z nosa.

A zgromadzeni koło łóżka dyplomaci radzili, jakie stanowisko zająć należy w sprawie niesłychanego skandalu, jaki się rozegrał w siedzibie poselstwa. Czy nadać zdarzeniu rozgłos i urzędowo zażądać od rządu polskiego zadośćuczynienia, czy też skandal ukryć, przemilczeć i dalej cicho siedzieć w apartamentach hotelu Rzymskiego?

W dyskusji zarysowały się dwa obozy: żydowski i rosyjski. Żydzi, bardziej impulsywni i pewni siebie, doradzali środki energiczne. Szczególnie mocno zaperzał się towarzysz Wiszniewski, nie posługujący się pseudonimem tylko dlatego, że nazwisko od biedy mogło być uważane za polskie. Niechlujny, zapryszczony, w surducie, osypanym pyłem łupieżu, śliniąc się i jąkając, w konwulsjach gniewu wypluwał z siebie całe potoki frazesów:

— Towarzysze! Nasze wielkomocarstwowe... Tak, dobrze mówię: właśnie wielkomocarstwowe stanowisko republiki sowietów, zajmującej szóstą część lodu...

Przez zbytni pośpiech zamiast „lądu", wypluł słowo „lodu".

— ...Nie ścierpimy, żeby jacyś tam polscy bandyci, w siedzibie misji, korzystającej z praw eks... eks... eksterytorjalności, właśnie: eksteryto-

rjalności, pozwalali sobie na ordynarne, niegodne człowieka, wybryki w stosunku do przedstawicieli naszej dyplomacji. Rzecz niedopuszczalna, towarzysze. Piszmy notę, lecz utrzymajmy ją w tonie, na jaki powinno sobie pozwolić wielkie mocarstwo... Kto wie, może nadchodzi czas zdarzeń wielkiej doniosłości. Bądź co bądź Austrja za mord, na osobie arcyksięcia Ferdynanda dokonany, wypowiedziała wojnę serbskim świniopasom...

Tu już przesadził. Rosjanie uśmiechali się złośliwie. Nawet wśród tych żydów, którzy obdarzeni byli spokojniejszym temperamentem, nastąpiło poruszenie. Towarzysz Kontorszczyk, sekretarz ukraińskiej misji sowieckiej z hotelu „Victoria", cichutki pochlebca o przebiegłych oczach i kozim profilu, drwiąco przerwał:

— A zatem wojna, towarzyszu Wiszniewski?

— Wojna, a dlaczegoby nie wojna? — wyzywającym ruchem wstrząsnął niechlujną głową, posypując ramiona świeżą warstwą łupieżu. Czemu nie? Nie udało się nam wejść do Warszawy w dwudziestym roku, to się uda w dwudziestym drugim. Kopnięciem proletarjackiej stopy zmiażdżymy tych burżujów Polaczków...

Zapał bojowy towarzysza wzrastał z każdą chwilą. Było to tem dziwniejsze, że Wiszniewski do czasu, nim się zdecydował na karjerę dyplomatyczną, „robił" w tak cywilnej i przedziwnie pokojowej branży, jaką jest dentystyka.

Ociekające śliną pogróżki, z ust Wiszniewskiego obficie wypluwane, były dla Hellera słodką, kojącą muzyką. Ah, jak by to było pięknie, gdyby wskutek tego zajścia czerwony Kreml wypowiedział reakcyjnemu Belwederowi wojnę!

I Heller na chwilę w marzeniu ujrzał się w roli arcyksięcia Franciszka-Ferdynanda, z tą tylko różnicą, że Heller pomyślnie życie swe zdołał ocalić.

— Czyście skończyli, towarzyszu? — spytał Wiszniewskiego pierwszy sekretarz misji, Czelustin, były wychowaniec liceum cesarza Aleksandra III, były szambelan dworu i były hrabia, wysoki, blondyn z bladoróżową, niczem prosięcina, twarzą.

— Owszem, skończyłem! — hardo odpowiedział Wiszniewski.

— W takim razie ja proszę o głos. Zapał towarzysza Wiszniewskiego jest niewątpliwie szczery, gorący, i powiem nawet — szlachetny, wszystko to jednak uznać należy za strzelanie z armat do wróbli, innemi słowy: za burzę w szklance wody. A coby się stało, gdyby, dajmy na to, ów polski major towarzysza Hellera naprawdę był zastrzelił? W danym razie, jak sami, stwierdziliście, towarzyszu, mamy do czynienia tylko z aktem gwałtu. Wszelkie protesty, rozdmuchiwanie tego pożałowania godnego zajścia, postawi nas w sytuacji śmiesznej, a nie masz broni bardziej zabójczej, nad śmieszność. Mojem zdaniem istnieje tylko jedno właściwe, nawet piękne wyjście: towarzysz Heller powinien majorowi Bejzymowi posłać sekundantów.

—Co takiego? Po-je-dy-nek? Pojedynek, ten burżuazyjno-zoologiczny przeżytek?—oburzył się Wiszniewski.

— Chciałbym usłyszeć opinję poszkodowanego — spokojnie oświadczył Czelustin, zwracając się ku Hellerowi.

Pod atłasową kołdrą wierzgnęła obandażowana noga.

— Ja? Żebym ja miał się bić?—szepnął zdumiony pacjent.—Z kim? Z tym przeklętym Bejzymem? Towarzyszu Czelustin, wyzbądźcie się nareszcie waszych hrabiowskich nałogów i nie zawracajcie mi napróżno głowy!

— Wyłuszczyłem tylko swój własny sąd,

a wy, towarzyszu, uczynicie tak, jak będziecie uważali za stosowne.

Były człowiek, który w upadku swym, osiągniętym w pogoni za użyciem, stoczył się aż do rozbójniczej nory, mieszczącej się w hotelu Rzymskim, obojętnie wzruszył ramionami.

— Jeżeli zgodzimy się na wasz pogląd, to oczywiście nie pozostaje wam nic innego, jest to znów moja osobista opinja, nic zatem innego, jak niezwłocznie, gdy tylko na to stan zdrowia pozwoli, opuścić Warszawę.

— Taką decyzję już sam powziąłem! Cudzych rad nie potrzebuję, mam własną głowę na karku—odgryzł się Heller.

Czelustin uśmiechnął się subtelnie, jak dyskretny zwycięzca, w gruncie rzeczy bowiem zwycięstwo po jego było stronie. Wprawdzie w zagadnieniach politycznych koledzy-bolszewicy uważali go za zero absolutne, natomiast bardzo się z nim liczono we wszystkich sprawach, związanych z etykietą, ceremonjałem i dobrym tonem. Całe to przedziwne towarzystwo sowieckie, Bóg tylko raczy wiedzieć, skąd swój ród wywodzące, Czelustin, jako Petronjusz poselstwa, uczył manier, sztuki ubierania się, jedzenia oraz zachowania się podczas galowych przyjęć. Jeżeli recepcje miały się odbywać w samej misji, Czelustin wszystko naprzód musiał obmyśleć zaczynając od kwiatów, nakrycia, przekąsek i win, kończąc na cygarach i likierach. On decydował, kiedy należy być w żakiecie, smokingu i fraku, jaki mieć krawat, i zdanie jego w tej dziedzinie stawało się prawem. Za tę umiejętność i czynności mistrza ceremonji Czelustin otrzymywał, prócz mieszkania i życia, jeszcze trzy miljony marek polskich miesięcznie. Powodziło mu się świetnie, utył i opływał w dostatki; a że koledzy z liceum przy spotkaniu nie poznawali go, to dyplomaty demonstracja taka wcale nie wzruszała...

Aczkolwiek poselstwo zdecydowało całą tę historję z Hellerem jak najstaranniej zlikwidować, jednak w ciągu tegoż jeszcze ranka echa skandalu zdążyły obiec całe miasto. Awantura stała się tematem ożywionych rozmów we wszystkich ministerjach, poselstwach, kawiarniach, w sejmie, w bankach, w kołach wojskowych, słowem wszędzie.

Kartę wizytową z wyrazami współczucia przesłał poszkodowanemu, zabójcy kapitana Cromy, radca poselstwa angielskiego, a za jego przykładem niektórzy dyplomaci państewek bałtyckich.

I na tem koniec satysfakcji.

Bez porównania wspanialej wypadł triumf Bejzyma. Major otrzymał mnóstwo kwiatów, telefonów, a kart wizytowych zebrał i zaniósł na górę oddźwierny całe stosy.

Pierwszym bohaterem dnia stał się Bejzym, drugim Heller, trzecim zaś właściciel sklepu, w którym major kupił swą historyczną szpicrutę, czem zresztą firma bardzo się chełpiła.

W tak zwanych „sferach" oczekiwano powikłań dyplomatycznych, a ministerjum spraw zagranicznych było pewne, że z hotelu Rzymskiego otrzyma ostrą notę. Zdenerwowanie udzieliło się też i Olimpowi administracji.

W jej mniemaniu, zwykły oficer rezerwy nie zasługiwałby na żadną kurtuazję: areszt, deportacja i koniec.

Ale tu w grę wchodził Bejzym, postać zgoła nietuzinkowa, bohater, którego imię nie obce było nawet zagranicy. Tak. Bejzyma zna cała Polska, zaczynając od Naczelnika Państwa, kończąc na zwykłej chacie chłopskiej, której wnętrze zdobi chlebem do ściany przyklejona pocztówka z wizerunkiem mężnego zagończyka. Takiego nie sposób tknąć nawet. A zresztą nie należy on do tych, którzy tak łatwo poddają się i upokarzają. Takiemu lepiej dać spokój.

Hotel Rzymski żadnej noty nie wysłał, żadnych pretensyj nie zgłosił i ku ogólnemu zadowoleniu burza minęła, a na widnokręgu zajaśniała znów pogoda.

Wkrótce potem odwiedził Bejzyma gość o brzydkiej i smagłej, słabo porośniętej twarzy, w wieku lat trzydziestu pięciu. Człowiek ten, znajomy Bejzyma, doktor praw, Michał Winarski, tracił swą szpetotę dopiero w mazurze, którego tańczył kunsztownie i z wyjątkowym temperamentem.

Los obdarzył go dwoma talentami, ujawnionemi jeszcze w Petersburgu, w latach studjów, mianowicie sztuką tańczenia i nerwem scenicznym. Trzeci rodzaj talentu wyszedł na jaw i rozwinął się dopiero w Warszawie, gdy dr. Winarski zajął odpowiedzialne stanowisko w wywiadzie politycznym. O ile tylko na to pozwalała liberalna konstytucja, Winarski pomyślną walkę toczył z komunistami, zarówno rodzimymi, jak eksportowanymi z Rosji. Udawało mu się wykrywać liczne organizacje konspiracyjne, w zarodku dusić agitacyjne „jaczejki“ i setki bolszewików wraz z furami ich bibuły oddawać do rozporządzenia władz.

— Witam kochanego doktora!

— Szacunek majorowi! Wprawdzie zajęty jestem od rana do nocy, alem jednak pracy ukradł chwilkę, żeby pańską dzielną dłoń uścisnąć. Na jakie sześć tygodni wytrącił pan z szeregów tego łajdaka...

— Co za ścisłość informacyj! Zresztą, któż ma o wszystkiem wiedzieć, jeżeli nie pan, jako majster od wywiadu?

— Tak, tak—śmiał się doktor.—Za te marne grosze, jakie nam rząd asygnuje, udało mi się wywiad zorganizować nienajgorzej. Jeszcze coś panu powiem: poselstwo sowieckie długo się zastanawiało, jak ma postąpić: narobić krzyku, czy

też siedzieć spokojnie, przyczem czynnikiem najbardziej żądnym odwetu byli żydzi, w przeciwieństwie do pokojowych nastrojów grupy Rosjan z b. hrabią Czelustinem na czele. To wszystko, co miałem panu zakomunikować. Muszę już biec, mam bowiem dziś jeszcze zbadać pięćdziesięciu ośmiu komunistów, z których pięćdziesięciu sześciu—to współwyznawcy pańskiego dzisiejszego, że tak powiem, chrześniaka...

— Czy są tam kanalje większego kalibru?

— Gdzież tam, niemal wyłącznie drobiazg, płoć mizerna, ale zato wpadłem na trop ptaszka o bardzo wysokim locie, szelmy, która na szereg gościnnych występów zdaleka do nas zawitała. Szacunek majorowi.

— A możebyśmy tak razem obiadek zjedli?

— Z miłą chęcią. Proszę zatelefonować do mnie do biura, aparat mam w swoim gabinecie. Jeszcze raz dziękuję serdecznie za Hellera, jako że to on przecież kierował całą niesłychanie przemyślną i kosztowną propagandą. Teraz, kiedy się zaczęła agitacja przedwyborcza, wyjazd tego ananasa bardzo będzie mi na rękę...

W drzwiach Winarski zderzył się z jakimś tęgim, okrągłym i przyzwoicie ubranym jegomościem. Przybyły przedstawił się, jako inżynier Struś, b. lotnik wojskowy w armji francuskiej, obecnie właściciel nowej wytwórni filmów w Warszawie.

— Pan dobrodziej zapewne w celu wyrażenia mi...

— A pan myślał, że nie? — przerwał gość majorowi.—Przecież, do czarta, Polakiem jestem! Brawo, brawo, kochany majorze! W całej tej historji poznaję pana, pana g e n e r! Pan zawsze musi wyczynić coś szczególnie swoistego. Ha, ha, ha! Ale uznanie uznaniem, a interes zawsze interesem pozostanie, jak mówią w Odesie. Dość już włóczenia się po amerykańskich wytwórniach filmów,

czas chyba poprzeć ojczystą kinematografję. Tylko proszę nie robić takiej boleściwej miny! Znam, przewiduję wszystkie zarzuty, jakie można nam uczynić; oczywiście, narazie wszystko to, cośmy w tej dziedzinie dotąd zrobili, jest jeszcze niczem, ale obecnie już daję rozmach przedsiębiorstwu, dzięki kapitałowi francuskiemu, który udało mi się wciągnąć do naszej pracy. Laboratorjum mamy gotowe, budowniczy Szreter zaś w przyśpieszonem tempie wykończa ogromny pawilon. Podpisz pan umowę na dwanaście dramatów, w których dam panu role główne, a zrobimy takie nieprawdopodobnie pyszne kawały, że cała sztuka filmowa amerykańska pójdzie w kąt. No co, zrobiono?

— To pana raczej można nazwać Iankesem... Muszę się przedtem zastanowić, rozważyć propozycję.

— Daję dwadzieścia cztery godziny do namysłu.

— Za mało. Proszę o trzy dni.

— Dobrze, niech już tak będzie. Ale po upływie tego terminu melduje się u pana i podpisujemy umowę.

Ledwo Bejzym zdążył pożegnać się ze Strusiem, gdy do pokoju wszedł inny „bejzymczyk“ Weryga, dyrektor banku.

Gospodarz uprzedził powitanie:

— Pańska obecność wzrusza mię i czyni mi zaszczyt nielada. Nigdym nie przypuszczał, że lanie, jakie zgotowałem sowieckiemu żydkowi, tyle laurów mi przysporzy. Na wstępie pytanko: czy mogę liczyć na skromną posadkę w banku kochanego dyrektora?

— Posadę? A dla kogo?

— Dla mego dawnego kolegi z armji rosyjskiej, księcia Gagarina.

— A co protegowany majora umie?

— Świetnie zna języki: angielski, francuski i niemiecki.

— Tak? Więc dawaj go pan! Właśnie szukamy kogoś do korespondencji zagranicznej.

— Dziękuję serdecznie. Już jutro książę stawi się w banku u pana.

I Bejzym z taką siłą uścisnął dłoń Werydze, że ten aż poczerwieniał z bólu.

8. Kartka z życiorysu Bejzyma.

Do godziny drugiej brzęczał telefon i nie zamykały się drzwi.

Wreszcie nadszedł Gagarin.

— Hoho, co za elegant! Pozwól się obejrzeć!

Chociaż książę był rosły i barczysty, ale Bejzym ująwszy go za łokcie, bez najmniejszego wysiłku uniósł do góry.

— Elegant dzięki tobie, kochany przyjacielu — z radością odparł Gagarin, świecąc z pod krótkich wąsików jasnym uśmiechem. Garnitur marynarkowy, tani, bo z serji tak zwanych „ubrań gotowych", leżał na nim, jak gdyby najlepszy krawiec wykonał go na specjalne zamówienie.

— No puść już, Ignacy, puść mnie!

Ale Bejzym rozdokazywał się.

— Właśnie, że nie puszczę!

Gagarin nawet opamiętać się nie zdążył, jak nagle całem swem ciałem, krzepką dłonią w górę wyrzucony, zawisł w powietrzu i instynktownie szukając punktu oparcia, oparł się rękoma o sufit.

— Niech djabli wezmą taką siłę!—wołał. — Wiem, żeś atleta, ale też i ja ważę siedemdziesiąt pięć kilo!

— Cała sztuka, mój przyjacielu, nie na sile, lecz na umiejętności i tempie wyrzutu polega, a rytm taki trzeba odnaleźć najpierw, Ta sama historja, co w naszym sporcie jeźdźców, a wła-

ściwie to nietylko w sporcie, gdyż zarówno w życiu, jak w polityce rytm to grunt.

— Dobrze, ale puść mię już — błagał pod sufitem Gagarin. — Na podłodze, jako najbliżej przyrodzonego żywiołu, czuję się bądź co bądź znacznie pewniej...

Gdy żądaniu księcia stało się zadość, major rzekł:

— Mogę ci powinszować — od jutra prowadzisz korespondencję zagraniczną w banku Mazowieckim.

— Żarty! Nie może być!

— Byłby to głupi żart, mój drogi. Przed twojem przyjściem odwiedził mię pewien bardzo ustosunkowany dyrektor banku, były żołnierz z mojego szwadronu partyzanckiego. W dwóch słowach wszystko pomyślnie ułożyliśmy.

— Nie wiem, doprawdy... Zupełnie jak w bajce... Przecież ty jesteś moim aniołem opiekuńczym!...

Głos księcia zadrgał, a po twarzy spłynęły łzy.

— Dajże spokój dziękczynieniom. Nie znoszę łez ani podziękowań, a anioła opiekuńczego, sam przyznasz, najmniej chyba przypominam.

Smiech Bejzyma, jak grzmot, gamą ech wtargnął aż na korytarz.

— Nawet nie zdajesz sobie sprawy z wagi, jaką ma dla mnie twoja pomoc. Staczałem się już na samo dno...

— Eee, jakie tam znów dno! Pamiętasz, tak się nazywała knajpa w Petersburgu: „Dno". Tymczasem zejdźmy na dół i przy obiedzie oblejmy szlify sławetnego korespondenta banku Mazowieckiego, tylko na Boga nie w sali ogólnej, bo tu nie będę miał chwili spokoju. Dziś jestem w położeniu modnego boksera Dempseya po zwycięstwie jego nad Carpentierem.

— Wiem, wiem — chwalił się Gagarin.

— Skąd mianowicie wiesz?

— Też pytanie! Przecież cały nasz hotel mówi dziś tylko o tobie i twym sukcesie. Brawo! Zuch, udałeś się nam! Przecież to wstyd doprawdy, że to tałałajstwo Litwinowów, Krasinów i Radków bezkarnie hula sobie po Europie! Co tam: hula, dyktuje Europie warunki! Taki żydłak jak Sobelson, false Radek, b. kieszonkowiec i syn właścicielki domu publicznego w Krakowie, w Berlinie przygotowuje sobie najspokojniej przewrót komunistyczny. Sędziwa Europa widać zupełnie już straciła zmysły, skoro przykład mojej nieszczęsnej Rosji niczego jej nie nauczył. Wątpię nawet, czy wogóle kiedykolwiek nauczy...

W oddzielnym gabinecie restauracji Lijewskiego zacnie oblano szarżę bankową Gagarina. Przy mrożonej wódce i doskonałych przekąskach, takich, jakie zakład ma tylko dla wyborowych gości, potoczyła się gawęda o wielkiej wojnie, poruszono wspomnienia o czynach bojowych pawłogrodzkiego pułku. Zbudziło się w pamięci to, co już minęło i nigdy, nigdy więcej nie wróci...

W atmosferze wspomnień serdecznych i pod działaniem wina Bejzym, co mu się rzadko zdarzało, zaczął się wywnętrzać:

Z głową opuszczoną na potężną pierś, siwemi oczyma silnego, a jednocześnie dobrego zwierzęcia patrzał gdzieś przed siebie.

— No cóż, pusto wokół mnie... Widzisz, jam sam, samiuteńki na świecie... Nie mam dla kogo żyć, a normalne warunki bytu gniotą mię i dławią. Znasz niektóre fragmenty mej Odysei... Zaledwie zdążyli mię wylać z jednej szkoły za hałaśliwe sprawowanie a wątłą pilność, gdy oto wuj pcha już do drugiej... Rodzice wcześnie mię odumarli, jeszcze bąkiem byłem. Wuja miałem sknerę, mruka, ale potem przekonałem się, jakie gorące uczucie żywił staruch do swego urwipoł-

cia, niby do mnie... Choć dawno już nie żyje, a wciąż jeszcze, gdy tylko wspomnę, jak mu się za starania odwdzięczałem, to serce mi ściska żal. Pamiętam jego wysuszoną twarz ze zwisającemi kłakami wąsów, jego wypłowiałą czapkę z otokiem koloru opala — wuj też kiedyś służył w huzarach pawłogrodzkich. Na wsi, w naszym majątku Bejzymy, mając już lat siedemdziesiąt sześć, starzec jeszcze cwałował po polach, a trzymał się na koniu, nie przymierzając, jak młody a wytrenowany podrotmistrz. Miał nieboszczyk dar szczególnego doprowadzania do pasji nietylko mnie, ale i swojej dalekiej krewnej, Jadwigi, w której rękach spoczywało kierownictwo całego gospodarstwa. Jej też już niema. Za gardziel ściska żal, gdy wspomnę. Umarła wkrótce po wypędzeniu z Polski bolszewików. W stosunku do tej łagodnej, przezacnej istoty zachowywałem się jak skończone bydlę. Szykany, żarciki, pokpiwanie z jej żarliwości religijnej, pojmujesz: cały aparat chłopięcej niegodziwości, której dziś wstydzę się boleśnie... Sam jeden zostałem, jak palec...

— I nigdyś się nie zakochał? Czyż nie miałeś ani jednej prawdziwej sielanki, ani jednego romansu?

— Prawdziwej sielanki czym nie miał? — przeciągle spytał Bejzym, unosząc głowę.

A po chwili stanowczo:

— Nie, nigdy. Czepiały się mnie kobiety, jak się czepiają atletów cyrkowych lub tenorów z operetki. Jedne z nich brałem, ulegając chuci inne przez grzeczność — oto wszystko. Czegoś takiego, coby mi wypełniło życie, nie, choćby życia skrawek, nie—tego jeszcze nie było. Na taką lirykę w gruncie rzeczy czasu nie miałem. Coś mię ciągle gnało przed siebie... Żołnierka w legji cudzoziemskiej, w brudnej dziurze marokańskiej Sidi-Bel-Aless. Pijaństwo szalone. Zważ

tylko: takiego napoły już zdziczałego w pustyni legjonistę ciągnie do młodych Arabek, albo do czegoś jeszcze gorszego... Paskudnie bywało...

Poza tem: cisza, żadnych utarczek... Wreszcie popłynąłem do Ameryki i w porcie nowojórskim dostałem robotę przy wyładowywaniu okrętów; ale po niejakim czasie wyciągnął mię stamtąd słynny bokser, murzyn Jeftres i wziął z sobą na trening, obiecując złote góry i karjerę zapaśnika. Niebawem jednak sprzykrzyło mi się kuć murzyński pysk i swój własny na pięści wystawiać, więc zgłosiłem się do służby w straży granicznej. Wtedy to na granicy Meksyku zawisł na pętli mego lasso, jak na stryczku, pewien generał meksykański. Figura to była nie byle jaka— wprawdzie ekscelencję podejrzewano, że zaczął karjerę od obowiązków pucybuta, a może nawet od taczek katorgi, aleć zawsze to generał jak się patrzy, w mundurze złotem haftowanym, z orderami, w kapeluszu stosowanym z piuropuszem, w butach z ostrogami, jak gwiazdy wielkiemi. Taki lśniący, wspaniały, w blasku swego dostojeństwa—zawisnął jednak na stryczku.

— Coś za to miał?—pytał zaciekawiony Gagarin.

— Sześć tygodni lochu w stepowym forcie na pograniczu, a później: „ruszaj precz“. Co prawda, mogło być gorzej.

— A później?

— A później przekształciłem się w kowboja.

— Nic dziwnego. Z taką umiejętnością rzucania lasso!

— Lepszych majstrów widziałem! Potem zaś dyrektor wytwórni filmów w Los-Angelos, wielce szanowny mister White, zawiózł mię do siebie, by już po upływie roku obwołać „królem ekranu“. Aż tu wojna wybucha. Wpadły mi do ręki odezwy z Polski, zagrała krew i nie

upłynęło nawet sześciu tygodni, jak już brałem udział w szarżach huzarów pawłogrodzkich.

— Prawda, przecież tyś właśnie w huzarach naszych odbywał powinność wojskową, jeszcze nim ja do pułku wstąpiłem. Wtedy miałeś podobno jakieś zajście?

— Jakie tam zajście! — wzruszył ramionami Bejzym. — Poprostu w pierwszy dzień Wielkanocy tak zdzieliłem porucznika Łembowieckiego, że ten, zatoczywszy w powietrzu łuk, upadł z chodnika prosto w błoto jezdni.

— Zgodnie z prawem balistyki—uśmiechnął się Gagarin.--Gratuluję. Łembowieckiego znam, jako zgoła ciemną postać. Może nie wiesz o tem, że potem zaczął się on kręcić koło ministra Poliwanowa. A czem pan ów zasłużył sobie na tak surową naganę?

— Obelgą. Nazwał mię podłym Polaczkiem.

— Tak, jakbym go widział. Jest to zupełnie w jego guście. Zaczekaj no przyjacielu... Łembowiecki na jedno ucho ogłuchł doszczętnie. Czy to nie twoja zasługa?

— Bardzo być może. W każdym razie ogłuchł nie wskutek kontuzji. Ten nędzny tchórz wolał zawsze dekować się w sztabach.

Dwaj kelnerzy uprzątnęli stół, by przygotować miejsce na wazę z zawiesistym barszczem, obficie zaprawionym śmietaną.

— Co za przepych! — zachwycał się Gagarin.—Co za przekąski, jaka waza! Podejmują tu ciebie z takim szykiem, jakbyś był naczelnikiem państwa.

— A to dla tego — tłumaczył Bejzym,— że gospodarz tej miłej instytucji, pan Kucharski, żywi do mnie szczególną słabość. Mój towarzysz broni, również jeździec i koniarz, były huzar grodzieński, a w sztuce kulinarnej artysta rzadkiej miary. Witamy, witamy! Właśnie o wilku mowa, a wilk tuż...

Do gabinetu wszedł rumiany, tęgi mężczyzna z obfitą czupryną popielato-siwych włosów i, przedstawiwszy się księciu, oświadczył:

— Mam jeszcze kilka butelek szampana wysokiej marki, z których dwie z zawartością „Monton-Rotschild“ kazałem już zamrozić na cześć pana Bejzyma, z okazji chrztu, jaki zgotował dziś bolszewikowi.

— Dziękuję serdecznie. Od szklanki wina wykręcać się nie będę, pod warunkiem, że raczy pan nam towarzyszyć.

— Zaszczyt to będzie dla mnie prawdziwy. Na razie jednak uciekam, by wydać dyspozycje

Kiedy podano następną potrawę, kotlety po kijowsku, a z lodu w lśniących wiaderkach wyjrzały złote główki szampanek, zjawił się na chwilę pan Kucharski, by, wychyliwszy szklankę spienionego wina, dyskretnie cofnąć się na swój stały posterunek za bufetem.

Gagarin i Bejzym powoli, bez pośpiechu, delektowali się cudownym chłodem ostrych igiełek i pianki winnej.

— Czegośmy doczekali! — melancholijnie wzdychał książę.—Wino, które onego czasu w pułku stale zastępowało nam inne, zbyt pospolite napoje, obecnie stało się nieosiągalnym wprost zbytkiem. Wiele to teraz może kosztować butelczyna, chyba ze sto tysięcy?

— W każdym razie nie mniej. Gagarin, czy znalazłeś już pokój?

— Znalazłem, w hotelu na Długiej. Rzecz prosta, że się nie obeszło bez łapówki. Nora straszliwa, służba arogancka, doszczętnie schamiała, ale cóż począć, niema wyboru. Po wilgotnej ziemiance w puszczy Białowieskiej mój kiepski i brudny pokoik zda się być apartamentem, w niczem nie ustępującym komfortowi palace-hôtel'ów Paryża. Był kiedyś taki czas,

kiedym lekkomyślnie trwonił pieniądze, a zatrzymywał się tylko u...

— Na Długiej? — przerwał Bejzym. — Przecież tam mieszka wdowa po Nasakinie?

— Właśnie. Wczorajszy wieczór nawet spędziłem w jej towarzystwie. Co to było za miłe wytchnienie dla mej skołatanej duszy! Z jaką dumą i cudowną pogodą ta kobieta znosi obecny niedostatek. A poza tem piękna, co za oczy...

— Tak, oczy zadziwiające—zgodził się Bejzym. — Może trochę zbyt pełna, ale z tem jej do twarzy. Dziś wieczorem postaram się bezwarunkowo ją odwiedzić. Chciałbym pani Magdalenie przyjść z pomocą, ale nie wiem, w jaki sposób mam to zrobić, by nie dotknąć jej dumy, a przecież w tym głupim „Lloydzie“ zarabia ona jakieś nędzne grosze. Możeby... Znalazłem! Mam! Zrobię z niej artystkę filmową, ma bowiem wyjątkowe wprost warunki zewnętrzne. Niechajby trochę zeszczuplała, a idealniejszej powierzchowności niepodobna będzie sobie wyobrazić.

— Pomysł dobry. A jeżeli nigdy dotąd jeszcze nie grała?

— To niema znaczenia. Pierwszym warunkiem, jaki kinematografja stawia niewieście, to uroda; talent i obycie ze sceną na dalszym stoją planie. Zauważyłeś, jaką Łabędzka ma wyrazistą twarz? Mając taki rysunek twarzy, można na ekranie tworzyć cuda. Nie bój się, kochany; oko to ja już mam!

— Cóż w tem dziwnego: król ekranu.

— Co za król, jaki król? Tors, oraz sztuki karkołomne —oto co mnie ukoronowało.

— Jeszcze ci tego niedość? Dla kina jesteś prawdziwą kopalnią złota: bokser, jeździec, szermierz, zapaśnik, cow-boy, skoczek, pływak — czegóż jeszcze ci się zachciewa? Kim i czem wobec ciebie jest słynny Włoch Maciste? A co się tyczy Łabędzkiej, to myśl twoja jest genjalna.

— Zobaczysz, że zostanie jeszcze wielką, wielką artystką — z przekonaniem twierdził Bejzym.

Pan Kucharski do reszty podbił serca swych gości, w końcu obiadu wraz z kawą i likierami posyłając do gabinetu parę wyśmienitych cygar hawańskich, jakiemi nie mógłby się poszczycić żaden chyba w całej Warszawie sklep z wyrobami tytuniowemi.

W błękitnych obłokach wonnego dymu przyjaciele wspominali dawne dzieje, omawiali dzień dzisiejszy, nie cofając się nawet przed ufnem odgadywaniem szarady przyszłości.

Po powrocie do siebie Bejzym zastał na biurku list. Z wąskiej koperty dużego rozmiaru, ozdobionej koroną hrabiowską, wypadła nieznajomym dla Bejzyma charakterem skreślona kartka w języku francuskim.

„Wprawdzie nie znam Pana osobiście, lecz znam dobrze ze słyszenia majora Bejzyma, nieustraszonego rycerza, nie mniej od „króla ekranu“ sławnego. Z tytułu tej znajomości zdobywam się na odwagę i proszę o odwiedzenie mię w „Bristolu" w sprawie, która może i Pana zajmie. Czekam więc jutro o pierwszej w południe.

Julja hrabina Szapary“.

— Któż jest ta węgierska arystokratka i czego ode mnie może chcieć?

Marszcząc brwi, jeszcze raz odczytał pachnący subtelną perfumą list.

9. U dwóch kobiet.

Wieczorem Bejzym udał się do Łabędzkiej. Na słabo oświetlonym korytarzu owiał go zaduch ustępów, dźwięki rozklekotanego pianina, przy którym żydóweczka śpiewała jakąś rosyjską piosenkę, oraz ordynarne pogwizdywanie numerowego, zajętego czyszczeniem „Primusa“.

Bejzymowi przykrość sprawiała myśl, że Magdalena mieszka w takiej jaskini.

Kwadratowy pokoik Łabędzkiej jeszcze bardziej się skurczył, gdy się w nim znalazł olbrzymi kształt Bejzyma.

Magdalena ubrana była w głęboko wyciętą wełnianą bluzkę koloru ciemnej wiśni. Ładna w linjach szyja i szczyt wysoko sklepionej piersi, przeświecające w wycięciu, jaśniały matową bielą, twarz zaś, na policzkach brzoskwiniowym rumieńcem powleczona, miała delikatną smagłą barwę.

Cienkiemi palcami ręka jej usiłowała uchwycić potworną dłoń gościa.

— Ładnie, ładnie, panie majorze, takie awantury urządzać! Wiem już o wszystkiem. Swoją drogą—dziękuję panu serdecznie. Tak się o pana lękałam.

— O mnie? z jakiej racji? — pytał Bejzym, podnosząc do ust ciepłą i miękką raczkę kobiecą.

— Przecież pan bądź co bądź wystawiał się na niebezpieczeństwo. Ci złoczyńcy mogli byli panu jeszcze jaką krzywdę wyrządzić.

Ciepło a jednocześnie nieco ironicznie spoglądała olbrzymowi w twarz. W tej chwili była świeża jakaś i drobna, jak pensjonarka.

— Pani zapomina, pani Magdaleno, że ludzie ci to tchórze, których stać na odwagę tylko wtedy, gdy mają do czynienia z bezbronnemi istotami. Wiedzą oni dobrze, że ze mną lepiej nie zadzierać.

— No dobrze, zgadzam się chętnie, że to są tchórze. Ale mógł pan mieć różne nieprzyjemności ze strony władz polskich. Bądź co bądź, zbił pan na kwaśne jabłko dyplomatę, osobę nietykalną.

Ostatnie jej słowa pokrył donośny śmiech Bejzyma. Od wstrząsu powietrza szyby w ok-

nie tak zadźwięczały, jak gdyby kto na nie sypnął garścią drobnego śrutu.

— Ha, ha, ha! Dyplomata! Icek Heller, łupiezca i morderca—nietykalną osobistością! A tom się ubawił! Pani Magdaleno, niech się pani nie obawia. Władze mię nawet nie tkną, zbyt dobrze zasłużyłem się ojczyźnie, a tego się nie zapomina. Skąd pani o tym fakcie się dowiedziała?

— U nas, w „Lloydzie", już w południe o tem mówiono. To była taka sensacja, że w biurze na kwadrans zawiesiliśmy pracę. Wrażenie, jakie ta wiadomość na ludzi wywarła, da się porównać jedynie chyba z gromem wypowiedzenia wojny. Ale jaki pan jest odważny! Gdyby wszyscy tak postępowali z bolszewikami, to niebawem odechciałoby się im posiadania własnych poselstw w państwach kulturalnych.

— Tego samego zdania jest Gagarin.

— Nietylko Gagarin, panie majorze, lecz każdy uczciwy człowiek. A propos Gagarina... Jest on literalnie zakochany w panu. Wczoraj mówiliśmy niemal wyłącznie o szanownym moim gościu. Książę dużo mi o nim opowiadał.

— A co mianowicie opowiadał?

— O pana bezprzykładnych dowodach męstwa i siły. Czy to prawda, że pan rozrąbywał jeźdźca nieprzyjacielskiego do połowy piersi?

— Owszem, zdarzało się. To dużo zależy od uderzenia.

— Mówił, że po każdej szarży wasi oficerowie chodzili na pobojowisko. Wśród poległych podobno odrazu można było poznać tych, którzy dostali się pod cięcie pańskiej szabli. Swoją drogą, jakie to dziwne: pan taki dobry, wspaniałomyślny... i ni stąd, ni zowąd tnie do środka piersi... Straszne wprost! Patrzę na pana i wierzyć mi się nie chce...

— Widzi pani, w boju człowiek staje się

zwierzęciem, a co do mnie, to wszyscy wiedzą, że zawsze we mnie siedzi bestia. Kat jestem na bolszewików; choć ich nie torturuję, nie męczę, nie szlacheckie bowiem to rzemiosło, ale powiesić lub rozstrzelać, owszem, takich egzekucyj było bez liku. Tego nie sposób nazwać kaźnią lub traceniem; to było raczej zwykłe tępienie, podobne do tępienia... dajmy na to insektów. A więc wszystko to dobre, co się dobrze kończy. Spokój pani jest zapewniony, Heller niewątpliwie będzie się starał zapomnieć o pani istnieniu. Dla ścisłości, tylko stwierdzić należy, że ten opryszek, popobny do Nerona po żydowsku, mściwy jest podobnc, niczem szakal.

— Oh, teraz, kiedy mam takiego obrońcę, nikogo już i niczego się nie lękam. Chociaż...

Łabędzka umilkła, nagle zmieniona na twarzy. Na czarne oczy ciężko opadły powieki, czoło spowiło się w cień.

— Chociaż?—nalegał Bejzym.

— Może być, że tego nie powinnam panu mówić, ale usłyszałam w sobie głosy przeczucia, iż Heller zniewagi nie zapomni. W związku z tem mnie i pana oczekuje szereg... Trudno mi znaleźć określenia. Przykrości? To jakoś zbyt banalnie brzmi. No, niech pan na mnie krzyknie, niech mi pan da burę za to, że zaczynam pleść trzy po trzy...

I z blaskiem w oczach, z płomieniami na smagłej twarzy prosiła olbrzyma o pobłażliwość, przebaczenie i jeszcze o coś, czego nie umiała nawet sformułować.

Zaszumiał „Primus“, ten niezastąpiony towarzysz gospodarstwa koczowniczego, wierny przyjaciel, dobroczyńca i żywiciel.

Dawno już Bejzym nie pił tak smacznej herbaty, jako że smak przeważnie zależy od usposobienia, nastroju, a nastrój wieczoru tego był wyjątkowo miły. Ubogi pokoik zdawał się od-

dychać ciepłem, więc dobrze było mówić i myśleć obok kobiety, której widok budził tęsknoty za skwarną nocą podzwrotnikową.

Gdy Bejzym zwierzył się, że zamierza Magdalenę popchnąć na drogę karjery filmowej, młoda kobieta aż poczerwieniała z radości.

— Świetnie! Oddawna już o tem marzyłam! Chociaż wogóle niezupełnie dowierzam swym siłom, ale jeżeli idzie o kino, to mam wrażenie, że mogłabym grać nie gorzej od renomowanych artystek.

— Nie omyliłem się, wybornie! Twarz pani bardzo mi się nadaje do zdjęć kinematograficznych, a na ekranie będzie pani jeszcze piękniejsza niż w rzeczywistości, to znaczy, że otrzymamy efekt właściwy, o który napróżno ubiegają się artystki nawet klasycznie piękne, jako że takie piękno na filmie zawodzi. Więc tak. Sprawą pani należy zająć się poważnie.

— Boże, wprost wierzyć się nie chce, pomimo, że najzupełniej oceniam rozległość pana stosunków i wpływów. Z jaką rozkoszą rozstałabym się ze swoim „Lloydem"!

— Rozstanie się pani niewątpliwie!—dodawał jej otuchy Bejzym.

Była już północ, kiedy podniósł się z krzesła.

— Proszę mię już wypędzić od siebie. Przecież wiem, że pani wcześnie wstaje...

Na korytarzu ujrzał scenkę w swoim rodzaju: numerowy z poufałym uśmiechem na potwornie chamskiej gębie otwierał drzwi opasłemu mężczyźnie o wyglądzie paskarza i dziewczynie w białem boa.

Bejzym odwrócił się z obrzydzeniem i raz jeszcze stwierdził, że w tej niechlujnej budzie Łabędzka mieszkać nie powinna.

Nazajutrz połyskujący zwierciadłami błyskawiczny dźwig bezszumnie unosił Bejzyma na trzecie piętro hotelu „Bristol", do hrabiny Szapary.

Głębokie wnętrza jej apartamentu, z krzykliwym komfortem pierwszorzędnych hotelów zdobione taflami luster, obfitością tkanin, kotar i dywanów, przesycone były zapachem tych samych perfum, któremi pachniał wczoraj otrzymany list. Przed kominkiem, którego rozpalona czeluść promieniowała ciepłem, owinięta we wschodni szal siedziała hrabina. Delikatnie różowa twarz jej, z gorącym pąkiem soczystych warg i zlekka zadartym noskiem, miała rysy regularne, ale tylko w tym stopniu, że nie tchnęły chłodem rzeźby i nudą. Twarz świeża, bez śladu kosmetyków, z wyjątkiem chyba oczu, które umiejętnie podkreślił ołówek.

Bystry wzrok kobiety zrazu pośpiesznie przesunął się po Bejzymie, a dopiero potem twarz rozbłysła uśmiechem życzliwości i dumy.

— Bardzo się cieszę, że mogę pana poznać osobiście—dźwięcznie odezwała się hrabina po francusku. — W jakim języku mamy się porozumiewać? Pan podobno jest napoły Amerykanin, ja zaś po angielsku mówię z trudnością, choć rozumiem wszystko, a ojczystego pana języka zacznę się dopiero uczyć. Mamy zatem do wyboru: francuski, niemiecki, włoski i rosyjski.

— „A węgierski?“ — chciał spytać Bejzym, przekonany, że hrabina jest Węgierką.

— Jeżeli pani wszystko jedno, to rozmawiajmy po rosyjsku — zaproponował. — Francuskim władam nie tak swobodnie.

Siedząc tuż obok hrabiny, siwemi oczyma leśnego bożka przyglądał się jej bliźnie na twarzy i dużym brylantom w pierścionkach. W gorących odblaskach kominka tryskały wokół z klejnotów niebiesko-różowe drżące zorze.

— Zdziwił pana zapewne mój list. Zresztą pan prawdopodobnie tyle listów od kobiet odbiera, żeś oddawna już przestał się dziwić. Ale, na Boga, proszę tylko nie przypuszczać, żem pana

tu wzywała, by zaspokoić naturalną zresztą ciekawość niewieścią. Nie to do napisania listu skłoniło mnie, kobietę, że tak powiem, czynu.

Podkreślenie ostatnich słów wyglądało tak, jak gdyby piękna pani chciała gościa skłonić do zwątpienia o szczerości tej deklaracji.

— Ma pan przed sobą przedstawicielkę grupy Anglików, którzy część swoich kapitałów chcieliby przeznaczyć na założenie wielkiego przedsiębiorstwa filmowego w Warszawie. Zapewne już się pan domyśla potrosze, jakiego rodzaju zamach na pana knujemy?

— Owszem, domyślam się; ale niezupełnie jeszcze pojmuję, czemu ci kapitaliści za teren działania obrali właśnie Polskę.

— Zaraz to wyjaśnię. Widzi pan — Polska, jej miasta-antyki, pejzaż Wołynia, malownicze Karpaty — wszystko to stanowi wyjątkowo ponętne tło dla kinodramatów. Co się tyczy miejscowych wytwórni, to te wskutek braku podstaw finansowych nie mogą się pokusić o wielką inscenizację lub też przyciągnięcie bardzo kosztownych znakomitości ekranu, gdy nasza kompanja posiada po temu wszelkie warunki. Jednocześnie zajmiemy się pracami o charakterze korespondencyjnym. Zachód i Ameryka chętnie zaopatrzą się w zdjęcia z życia chłopów, górali, armji, w obrazki o nastroju religijnym lub patrjotycznym. Oto tak w skrócie wygląda nasz program. Nie wypieramy się, rzecz prosta, i motywu czysto handlowego. Niski kurs waluty polskiej sprawi to, że za wydane marki osiągniemy zyski w dolarach, funtach i frankach. Widując pana na ekranie, przyszliśmy do wniosku, że wytrzymałość pana mięśni tudzież znajomość sportów dla nas byłyby wielce pożyteczne. Proponujemy warunki takie: umowa na przeciąg lat dwóch, honorarjum tysiąc funtów miesięcznie. Czy nie za mało?

— Warunki niezgorsze, ale...

— Niema żadnych „ale“, panie Bejzym. Gdyby znajomość nasza trwała dłużej, dłonią zasłoniła bym panu usta. „Pieczęć milczenia“, tak toby się nazywało w języku przenośni i patosu. Proszę powiedzieć mi poważnie, jak wygląda to „ale“? Może pan jeszcze nie uwolnił się od mr. Whita, lub już tutaj jaką umowę zawrzeć zdążył? To ostatnie przypuszczenie jednak nie wydaje mi się prawdopodobne: krajowe wytwórnie filmów są zbyt ubogie, by mogły sobie pozwolić na angażowanie pana.

— Pani hrabino, właśnie, że ciągnie mię do siebie jedna z tych wytwórni, też oparta na obcych kapitałach.

— Ciągnie? To jeszcze nic straconego, jeżeli dopiero tylko ciągnie. Czy umowę tam pan już podpisał?

— Nie. Dopiero mam się namyślić.

— Kto się namyśla, ten może się rozmyślić. Drogi panie, proszę przystąpić do nas! Czyżbym na panu takie wrażenie wywarła, że nie chcesz mieć mnie za swoją dyrektorkę? Jakoś mi się nie zdaje...

Cisnąwszy Bejzymowi zaczepne spojrzenie, Julja Szapary założyła nogę na nogę, by mógł major ujrzeć ich doskonały, w przędzę jedwabnych pończoszek obciągnięty kształt. Ostrym noskiem pantofelka rysując w powietrzu esy-floresy, koliskiem zalotnych spojrzeń przebiegle osaczała Bejzyma.

Jakieś nerwowe, gorące prądy płynęły od kobiety, pachnącej słodkiemi zapachami mocnych perfum. W Bejzymie ocknęła się ta zdrowa i silna bestja, o której mówił z Gagarinem podczas wieczerzy u Lijewskiego. Twarz jego pociemniała nagle, a wgłębi źrenic zaćmiły się ogniki.

Zachęcona powodzeniem, Julja postanowiła swój atak doprowadzić do końca. W ostrym drapieżnym ruchu sprężyło się młode ciało, aż upadł

do nóg pstry szal wschodni i szeroka modna bluzka z krótkiemi rękawami pozwoliła podziwiać pyszne ramiona, z których jedno zupełnie wyzwoliło się z ciężarów jedwabiu, i białe ręce, znaczone błękitnemi nićmi żyłek.

Podeszła do Bejzyma bardzo blisko.

— Czy chce pan mieć we mnie swoją dyrektorkę?—spytała znacząco.

— Chcę — głucho odpowiedział zaschłemi wargami.

Przekonawszy się, że ptaszek wrażliwy jest na uroki, Julja wzięła znów ton urzędowy.

— Jeszcze dziś zatelegrafuję do moich Anglików, że pan się zgadza, i dziś jeszcze mój radca prawny wypłaci panu za pół roku zgóry sześć tysięcy funtów.

Siadła w fotelu, znów szalem owinięta. Pod wschodnią tkaniną ukryły się ramiona i ręce, skutkiem czego omal nie pierzchło upojenie Bejzyma.

Ponuro spoglądając na hrabinę, major uświadamiał sobie trzeźwo, że na jej korzyść wyzbywa się części swojej woli i samodzielności.

Ona zaś ciągnęła dalej:

— Moi Anglicy, jako ludzie praktyczni, realni, zażądają informacyj, co pan da do pierwszego obrazu. Nadmieniam, że scenarjusz — to rzecz drugorzędna, pan musi mieć projekt, obmyślić szereg atrakcyj, a intrygę samą i treść da się dorobić później.

— Ale pani przecież jeszcze nie ma pracowni.

— Niebawem pracownia będzie. Ponieważ części szklane otrzymamy zupełnie gotowe, więc mój budowniczy rzecz całą wykona w ciągu miesiąca. Chce pan wiedzieć gdzie? Plac kupujemy na polu Mokotowskiem. A teraz pan ma głos.

— Cóż ja mogę zaproponować? Marzy mi się pomysł przez nikogo dotąd nie wyzyskany:

polowanie na niedźwiedzia, z nożem tylko... Pierś w pierś...

— O, to będzie szalenie ciekawa scena! A szczegóły?

— Szczegóły? Trzeba poczekać zimy, a ta przyjdzie niebawem, tymczasem zaś wykonamy to, co się da w pracowni i pod gołem niebem na miejscu. Na Wołyniu mam folwarczek z kawałkiem lasu, a w lesie nie brak niedźwiedzi. Gdy spadnie śnieg, mój nowy leśniczy, doświadczony strzelec sybirski, odszuka knieję... Z nożem w ręku spotkam nieźwiedzia, a operator niechaj wykona zdjęcia z odległości kilku kroków. Powtarzam, że czegoś podobnego jeszcze nie widziano.

— Niesłychany, wprost cudowny pomysł! — zawołała hrabina. Film z tą sensacyjną sceną porwie publiczność wszystkich krajów! Walka człowieka z niedźwiedziem! I czy wszystko będzie widoczne: pchnięcie nożem, krew na śniegu, wszystko?

— Oczywiście, oczywiście — wszystko. Na wszelki wypadek weźmiemy z sobą aż trzech operatorów, by móc wykonywać zdjęcia z różnych punktów, co da nam potem możność wybrania najudatniejszych momentów.

— Ale czy nie stchórzą operatorzy? Bo jeżeli pan chybi i zwierzę rzuci się choćby na pana?

— Obawy pani są płonne. Za siebie ręczę, w razie czego jednak przemówi mój gajowy, który ze sztucerem w ręku stanie w pobliżu. Jest to strzelec wprost bajeczny! Jego sztukę musimy wyzyskać w jakim epizodzie. Operatorom nic nie grozi, choć operatorowi nie wolno być tchórzem. W Ameryce takiego pana biorą nasamprzód na szereg ryzykownych prób.

— Majorze, jakie to wszystko porywające! Pracować z takim człowiekiem jak pan, to istna

bajka! Ale—już druga. Nie odmówi mi pan swego towarzystwa przy obiedzie? Każę nakryć tu, w tym pokoju. Żeby jednak raz już z naszą sprawą skończyć, poproszę pana o skompletowanie niezbędnej trupy...

— Bardzo chętnie. Nawet mam już kogoś na oku.

— To dobrze. A teraz raczy pan powiedzieć, jakich wódek, win, likierów mamy zażądać do stołu?

10. Wejsberg—Biełogorow—Montebianco.

Michał Winarski, acz wiekiem jeszcze bardzo młody, zajmował już wyjątkowo odpowiedzialne stanowisko.

Gdy się patrzyło na tę szczupłą i ruchliwą figurkę z pozbawioną zarostu twarzą, z niesforną, przedwcześnie siwiejącą czupryną, trudno było uwierzyć, że taki młody człowiek może stać na czele urzędu, w którym zbiegają się wszystkie nici wywiadu politycznego Rzplitej Polskiej.

Jeżeli Naczelnik Państwa mógł czuć się bezpieczny w Belwederze, a ministrowie i obywatele w swoich mieszkaniach prywatnych, to przedewszystkiem dlatego, że Winarski noce bezsenne spędzał na czujnej i uciążliwej pracy. Człowiek ten wiedział, jak i gdzie skierować swą energję niewyczerpaną, jak najowocniej zastosować należy swój zdumiewający talent pracy.

Propaganda komunistyczna w Polsce, propaganda, na którą Moskwa nie skąpiła miljardów, a która w ciągłym ruchu utrzymywała tysiące w Rosji i w Niemczech wytresowanych szpiclów, propaganda ta, zgóry ufna w swe powodzenie, rzuciła Winarskiemu lepką od krwi rękawicę. Rozpaliła się walka, uporczywa i zajadła, na pierwszy rzut oka niemniej szaleńcza i nierówna,

jak pojedynek wątłego Dawida z tytanicznym Goliatem.

Wkótce jednak przekonali się, iż były aplikant adwokacki w Petersburgu, namiętny mazurzysta i utalentowany uczestnik przedstawień amatorskich, jest przeciwnikiem równie poważnym, jak niebezpiecznym, przedewszystkiem dlatego, że trzecia międzynarodówka, pomimo swych zasobów złota, nie mogła sobie pozwolić na zbytek przekupienia takiego właśnie wroga. Jako dobry syn swej ojczyzny, pragnący uchronić ją przed rozkładem i zgubą, a jednocześnie jako śmiertelny wróg bolszewizmu, Winarski znany był ze swych niezachwianych podstaw ideowych. I ten potentat, który niepostrzeżenie dla oka ludzkiego dowodził całą armją agentów zarówno na ziemiach Rzeczypospolitej, jak zagranicą, dygnitarz, mocen aresztować i badaniom poddawać wszystkich, na kogo tylko padł najlżejszy cień podejrzenia, mieszkał jak student w jednym pokoiku, choć tylko od niego zależało, by rekwizycja ułatwiła mu otrzymanie wygodnego lokalu. Czego zresztą ten człowiek mógłby nie mieć, jeżeli hotel Rzymski nie uchylałby się nawet od stomiljonowego okupu za każdego ujętego bolszewika!

Przywódca komunistów polskich, Łańcucki, temi słowy użalał się pewnego razu w raporcie, wysłanym do Moskwy:

„Jesteśmy w rozpaczy. Bezsilnie opadają nam ręce—prawie co noc ten przeklęty Winarski taranami wypadów niszczy nasze szeregi, zaprowadzając do więzień dziesiątki towarzyszów. Najściślejsza konspiracja nie osiąga celu i niemal cała nasza akcja przedwyborcza robi fiasko. Jeszcze jeden miesiąc albo dwa takiego stanu rzeczy i partja, pozbawiona kierownictwa, niechybnie pójdzie w rozsypkę. Położenie dziś jest takie, że jeżeli zdołamy posłać do Sejmu jednego tylko komunistę, to wynik wyborów uważajmy za pra-

wdziwy cud. Zarodki agitacyjne, w wojsku zasiane, przestały istnieć, armję zaś, chcąc nie chcąc musimy na długo uważać za straconą dla nas. Tylko przez zniszczenie, mechaniczne zniszczenie Winarskiego ocalić zdołamy od zupełnej zagłady rozśrubowany mechanizm propagandy.

Wiedział dobrze Winarski, że wróg chce go zgładzić. Mówiły mu o tem liczne anonimy, znaczone czerwoną pięcioramienną gwiazdą, z trupią czaszką w środku, bezimienne świstki zaplugawione stekiem karczemnych wymysłów lub zgoła niedwuznacznemi pogróżkami.

Wszystkie te listy Winarski z pogardliwym uśmiechem oddawał swemu sekretarzowi do regestracji i przechowania w archiwum. Pogróżki nietylko nie tłumiły w nim woli czynu, lecz wprost przeciwnie: podniecały, jak narkotyk. Winarski przez ośmnaście godzin na dobę nie rozstając się z swem biurkiem, w niesłychanie wyczerpującej orce, pomimo zapalenia oczu, jako wyniku bezsennie spędzonych nocy, trwał w zajadłej, nadludzkiej wprost walce na śmierć i życie. Czasem, nie dowierzając własnym ludziom, a właściwie ich doświadczeniu, sam osobiście, w przebraniu i ucharakteryzowany, brał udział w rewizjach, wykrywał konspiracyjne zebrania komunistów, drukarnie lub składy agitacyjnej bibuły, a już w parę dni potem silny oddział policji prowadził na badanie całą kupę bolszewików. I oto obok niechlujnych towarzyszów, typu przeciętnego łobuza, maszerowali przyzwoicie ubrani „fenicjanie“ z haczykowatemi nosami, w kapeluszach lub czapkach studenckich na kędzierzawych głowach.

Miłą tą sosjetę poprzedzał zwykle samochód ciężarowy z grupką żandarmów, siedzących na szczycie istnego pagórka, powstałego z bel zadrukowanego papieru.

Gdyby Winarski był tylko przeciętnym

urzędnikiem, mógłby się ograniczać, zgodnie z uświęconymi zwyczajami, do jedynie formalnego załatwiania spraw:

— Pójdzie pan tam a tam, będzie pan miał na oku tego czy innego osobnika, masz się pan dowiedzieć o tem, czy o owem.

I agent, często człek bez wykształcenia i intuicji, zbyłby mechanicznie, bez zapału i zaprzepaścił całą sprawę.

Ale Winarski postępował zupełnie inaczej. Sam naelektryzowany energją nadludzką, takiej właśnie energji wymagał od swych współpracowników.

— Agentów swoich—mawiał zwykle — staram się zainteresować, że tak powiem beletrystycznym pierwiastkiem sprawy: niechaj każde zdarzenie będzie dla nich żywą powieścią. Jakby od niechcenia, en passant, wtajemniczam ludzi w polityczny sens zagadnienia, ale tylko o tyle, o ile jest to dla sprawy pożyteczne, a więc jak najdyskretniej szkicuję charakterystykę i życiorysy osób, nad któremi rozciągamy tajną opiekę. Zauważyłem, że ta metoda zdołała porwać najbierniejszych nawet rzemieślników wywiadu.

I w tej właśnie chwili, choć już późna noc zaległa na świecie, Winarski zajęty był wtajemniczaniem swego pomocnika w istotę i znaczenie bieżących spraw. Ten łysy, z ogromnemi wąsiskami, wypukłooki komisarz policji, p. Maliszewski, człowiek niezmiernie dzielny i śmiały, mając w jednej kieszeni brauning, w drugiej zaś stalowe kajdanki, bez wahania zwykł puszczać się na najbardziej ryzykowne wyprawy.

Ubierał się stosownie do potrzeby — w ubranie cywilne albo w uniform. W obecnej chwili miał na sobie mundur, którego twardy, srebrem haftowany kołnierz sztywnie podpierał fałdy wygolonego podbródka.

— Więc widzi pan, panie Maliszewski, jakie

jest położenie—tłumaczył Winarski, kreśląc coś na skrawku papieru, lub też zaczerwienionemi od bezsenności oczyma wpatrując się w twarz komisarza.

Pan Maliszewski, podkręcając wąsa, uważnie słuchał wykładu. W świetle lamp elektrycznych błyszczała jego łysa czaszka, niczem wielka kula bilardowa z pożółkłej kości słoniowej.

— Więc położenie tak się przedstawia — powtórzył Winarski,— że dziś jest on poddanym angielskim, posiadaczem paszportu, wystawionego na imię Artura Montebianco. Zważ pan: Montebianco po włosku oznacza „Biała Góra". Właściwe jego nazwisko brzmi Weissberg, Aron Weissberg. Będąc jeszcze rosyjskim dziennikarzem, posługiwał się pseudonimem Biełogorow.

— A to bezczelny żydzior!—mruknął Maliszewski.

Winarski ciągnął dalej:

— Po rewolucji 1905 roku Weissberg-Biełogorow, późniejszy Montebianco, w obawie przed odpowiedzialnością za udział w ruchawce, uciekł z Rosji, by wkrótce potem wypłynąć w Palestynie, gdzie odrazu zajął wybitne stanowisko, jako bogaty finansista i jeden z filarów syjonizmu. Polityka, zwłaszcza zaś polityka żydowska, należą do rzędu zajęć niezwykle popłatnych, oczywiście dla ludzi, którzy się nią trudnią. Jeszcze przed wybuchem wojny Weissberg, pod mianem Montebianco, przyjął obywatelstwo angielskie, a gdy Londyn rozpoczął tworzenie legjonów żydowskich, były reporter zdołał już wycyganić dla siebie szarżę porucznika. Wprawdzie o jego czynach bohaterskich nic jakoś nie wiemy, jednakże pod koniec wojny Aronek miał już, zdaje się, stopień pułkownika i ordery za męstwo.

— Psia krew!—z pasją wtrącił swą lakoniczną opinję pan komisarz.

— Więc oto ów angielski pułkownik, czy

też coś w rodzaju pułkownika, plugawy i kaprawy żydziak wrócił do Palestyny, żeby wziąć udział w „rozbudowie“ swego państwa. Nadmienić trzeba, że miał niesłychanie poważne stosunki—naprzykład z Lloyd Georgem był za pan brat, a w pieniądze zaopatrzyli go bankierzy tej miary, co amerykański Jakób Schiff, lub angielscy Alfred Mondt i Sasoon. Zresztą tych dwu ostatnich zaliczyć trzeba nie tyle do rzędu bankierów, ile raczej rekinów naftowych. Krótko mówiąc, Artur Montebianco poczuł pod nogami twardy grunt. Pan wie, że niema chyba żyda, któryby nie tęsknił do roli dowódcy, do honorów, munduru — rzecz prosta nie na froncie, lecz gdzieś tam daleko od kul, na tyłach armji. Na to samo cierpiał i nasz Arturek. Przywdziawszy zatem mundur pułkownika wojsk angielskich, wziął się do organizowania bataljonów żydowskich, a siebie samego mianował czemś w rodzaju palestyńskiego ministra wojny. Atoli „armja“ żydowska w sposób tak dalece wyzywający i prowokacyjny zachowywała się względem krajowców-mahometan, że jakiś wojowniczy szczep arabski, zgodnie z nakazami Koranu żywiący szczerą dla Izraela pogardę, troszkę poturbował legjonistów pułkownika Weisberga. Naturalnie, powstał gewałt niesłychany: Arabowie rzną żydów! Mianowany przez Lloyd Georga namiestnik Palestyny, żyd sir Samuels, jak przystało na angielskiego wielkorządcę, uraczył ludność arabską krwawemi represjami. Duszą ekspedycji karnych był, jak się pan pewnie domyśla, Artur Montebianco.

Pewien pułkownik angielski, świetny oficer frontowy, kawaler licznych orderów, niejednokrotnie raniony, zabronił swemu oddziałowi strzelać do Arabów. Wtedy Artur Montebianco rzucił się nań ze swymi legjonistami i obezwładnionego Anglika uderzył w twarz.

— Boże miłosierny!— krzyknął Maliszewski, zaciskając pięści.

— Pułkownik posłał Aronkowi sekundantów, ale ten wyzwania nie przyjął. Stać w odległości dwudziestu kroków od wycelowanej lufy pistoletu, o, to ryzykowniejsza historja, niż znieważać pozbawionego broni przeciwnika. Ciekawa rzecz, że Weisberga wziął w opiekę sam przezacny sir Samuels i, zawezwawszy do siebie skrzywdzonego pułkownika, wsiadł na niego z takim impetem, że Anglik nie mogąc przeżyć swego poniżenia, palnął sobie w łeb.

— Jezus, Marja! Czyż to możliwe. Czyżby Anglja zupełnie już zżydziała?

— Cóż by w tem było dziwnego? Przecież to jest państwo, którego pierwszym ministrem kierują ręce Sassoonów, Mondtów, Rotschildów, jako bezwolnem narzędziem interesów żydostwa. Więc jakże mogłoby być inaczej, panie komisarzu? Opowiadanie moje zbliża się do końca. Ten oto właśnie Weisberg-Biełogorow-Montebianco w obecnej chwili jest gościem Warszawy, właściwie nie samej Warszawy, lecz Nalewek. Kamienicznik, nafciarz, bankier i przemysłowiec leśny, Perlmutter, umieścił palestyńskiego wysłannika we własnem swem mieszkaniu.

— A poco, w jakim celu przyjechał do Polski ten angielsko-żydowski pułkownik?

—W jakim celu? Przecież to jest jasne. Żeby finansować agitację przedwyborczą i starać się jej ster ująć w swoje ręce, pozatem Montebianco zajmie się dostarczaniem swemu przyjacielowi, Lloyd Georgeowi, informacyj o sprawach polskich. Czy mam panu tłumaczyć, jaki te informacje będą miały charakter? Dalszy ciąg bredni o rzekomym naszym antysemityzmie, o tem, że Polak nie zasiądzie do stołu, dopóki mu nie dadzą pieczeni z niemowlęcia żydowskiego. Słowem zwykła, podła bajda, usiłująca Amerykę i Anglję utwier-

dzić w przekonaniu, że jesteśmy barbarzyńcami, specjalistami od pogromów i że trzeba naszą markę usilnie, systematycznie dewaluować i doprowadzić do poziomu korony austrjackiej lub sowieckiego rubla. Czy się mylę?

Na nieregularnie zarysowanej, lecz opromienionej blaskiem energji twarzy Winarskiego wił się zagadkowy uśmiech.

Maliszewaki, czerwony z pasji, z pod wąsów ział ciężkim oddechem. Winarski, w wyrazistym konturze szkicując wizerunek człowieka, nad którym postanowiono roztoczyć „opiekę“, nie wiedział, do jakiego stopnia rozpalił w swym pomocniku żądzę pracy i walki.

— Więc to tak? — zawołał komisarz.—Więc to oni naprawdę chcą ojczyźnie mojej ten sam los zgotować, co Rosji? Niedoczekanie ich! Taką im łaźnię tutaj sprawimy...

— Panie Maliszewski! Zabraniam panu w ten sposób mówić!—surowo upominał go Winarski.— Zabraniam, jako pana zwierzchnik i jako człowiek wogóle. Ohydą tak zwanych pogromów nigdyśmy jeszcze swych rąk nie skalali. Do właściwego celu nie w ten sposób się dochodzi. Rozumiem i widzę potrzebę, nawet konieczność walki z pięcioramienną gwiazdą szatana, ale walki godnej nas, narodu cywilizowanego, walki bez użycia gwałtów i przelewu krwi. Niech pan mi wierzy, panie komisarzu, że takiej wojny żydzi stokroć bardziej się obawiają, niż najkrwawszych okrucieństw pogromu. Tęgi duch narodowy, jedność narodowa, wysokie napięcie uczuć patrjotycznych—oto nasza racjonalna i jedynie skuteczna broń. O sprawach tych obszerniej pogawędzimy przy najbliższej sposobności, narazie polecam panu rozciągnąć jak najtroskliwszą opiekę nad mieszkaniem Perlmuttra. Trzeba się dowiedzieć, kto bywa u „pułkownika“, jakiego rodzaju przygotowuje on zasadzki i jakie go łączą stosunki

z bolszewickiemi poselstwami w hotelu Rzymskim i w „Victorji". Spodziewam się, że mię pan zrozumiał i że szczegółowe instrukcje są niepotrzebne.

— Zrozumiałem, panie naczelniku. Rad będę jak najsumienniej wywiązać się z zadania.

— Życzę powodzenia, panie komisarzu.

II. Poprostu: Tirpitz.

Winarski nie wątpił, że zarówno Maliszewski, jak i współpracownicy dzielnego komisarza dołożą wszelkich starań, by jak najdokładniej wykonać dane im polecenie.

Akcja jednak nie mogła się ograniczyć do tych tylko zarządzeń. Należało w domu Kuszera-Perlmuttra znaleźć i mieć takiego człowieka, który dla Winarskiego na danym gruncie byłby tem, czem Winarski był — ale w stokroć większej skali — dla całego państwa: niestrudzonym, czujnym wzrokiem i słuchem.

Ale jak, gdzie znaleźć takiego agenta? Pierwszy warunek--musi to być żyd, bezwarunkowo żyd, bo Polak, nawet gdyby był najzajadlejszym komunistą, dostęp do Artura Montebianco mógłby uzyskać tylko w takim razie, gdyby udało mu się pozyskać trudne do zdobycia zaufanie gospodarzy domu. Dodać należy, iż Winarski oddawna marzył o poważnym i odpowiedzialnym wywiadowcy-semicie do spraw wyłącznie „rodzaju żydowskiego".

Przez długi czas pomysł trwał wciąż w sferze dobrych chęci, aż wreszcie — a było to nazajutrz po rozmowie szefa wywiadu z komisarzem Maliszewskim — na biurku w pracowni Winarskiego zabrzęczał telefon. Była godzina jedenasta rano i Winarski nie bez powodu oczekiwał melodyjnego głosiku, jako że pan szef, mimo popielatą cerę twarzy, miał duże u kobiet powo-

dzenie. Cóż w tem dziwnego? Wyobraźnię niewieścią pociągała jego stalowa wola, energja niewyczerpana i nadzwyczajny upór, gdy chodziło o osiągnięcie zamierzonego celu.

Atoli zamiast ciepłej melodji powitania, ostro zatrzeszczał w tubie młody męski głos, z rosyjska wyraźnie wybijający każde słowo zosobna. Chociaż zarówno styl jak i akcenty były bez zarzutu, jednak doktor w brzmieniu wyczuł żyda.

— Czy to pan Winarski przy aparacie? Sam pan Winarski we własnej osobie?

— Tak jest. Kto mówi?

— Nie wiem, czy samo nazwisko będzie wystarczającym materjałem informacyjnym. Jestem Tirpitz.

— Tirpitz? Tirpitz... Coś znajomego...

— Tirpitz, tak się też nazywał były „cesarsko-niemiecki" minister marynarki... von Tirpitz. Moje nazwisko natomiast brzmi zwyczajnie, poprostu: Tirpitz.

— Więc czegóż pan sobie życzy ode mnie, panie: poprostu Tirpitz?—pytał Winarski.

— Chciałem z panem pomówić... i nie bez pewnych podstaw sądzę, że z rozmowy tej nie będzie pan doktor niezadowolony. Jeżeli pan pozwoli, to poproszę o spotkanie na gruncie bardziej neutralnym i poufnym, niż biuro defensywy.

— Słusznie. Proszę zatem do siebie, do mego prywatnego mieszkania o godzinie dziesiątej wieczorem. Czy to panu dogadza?

— Najzupełniej.

— Więc czekam. Adres mój: Wspólna 47. A pan gdzie mieszka, panie Tirpitz?

— Na Podwalu, w hotelu Słowiańskim, pokoj Nr 48.

— Aha! Tymczasem do widzenia się wieczorem.

— Do widzenia, panie doktorze.

Winarski nacisnął guzik dzwonka. Do gabinetu wszedł żandarm.

— Poprosić pana Dzenaja.

Gdy się zjawił Ogły-Dzenaj, niski lecz mocno zbudowany Tatar - muzułmanin, Winarski rzucił mu zwięzły rozkaz:

— Osman się dowie, kto zacz jest niejaki Tirpitz, sądząc z brzmienia głosu — dwudziestodwuletni młodzian, żyd mieszkający na Podwalu, w hotelu Słowiańskim.

— Rozkaz!—z wesołym uśmiechem na przebiegłej twarzy odparł Dzenaj, kolega szkolny swego zwierzchnika z gimnazjum w Mińsku, bliźniaczo do Winarskiego podobny, tylko troszkę może od niego drobniejszy.

Przed wieczorem, ruchliwy jak rtęć Tatar dostarczył następujących informacyj:

Szymon Tirpitz, wolny słuchacz wszechnicy warszawskiej, uciekł do Polski z sowieckiego Kijowa, gdzie rodzina Tirpitzów posiadała duży skład maszyn drukarskich. Gdy władze sowieckie zniszczyły mieszkanie i interes Tirpitzów, rodzina zbiegła do Polski. Stryj Szymona został stracony z wyroku czrezwyczajki. W Warszawie Tirpitzowie żyją ocalonemi z pogromu okruchami dawnych dostatków, usiłując uruchomić jaki taki komis maszyn drukarskich. Na gruncie Rzeczypospolitej Polskiej młody Tirpitz nie miesza się do polityki, a z przekonań, których się nie wypiera z iście młodzieńczą prostotą, uważa się za prawicowca, jeżeli zgoła nie za monarchistę.

Wyniki wywiadu najzupełniej zadowoliły Winarskiego. Spotkanie z Tirpitzem było zdecydowane.

Został doktor w swoim pokoju sam jeden, gdyż żona wyszła na cały wieczór, a rodzina gospodarza mieszkania też była w domu nieobecna. Winarski oczekiwał gościa, przeglądając

francuskie, niemieckie i moskiewskie pisma, z których zwykle robił wycinki, lub kolorowym ołówkiem podkreślał.

Dzwonek. W chwili wprowadzenia Tirpitza do pokoju, Winarski bystrym, wszystkowidzącem spojrzeniem wykonał w pamięci „migawkowe zdjęcie". Dokładne i niezawodne.

Szymon Tirpitz był to szczupły, bezmała nawet chudy chłopiec o twarzy, która, pomimo nawet charakterystycznie sępich linij nosa, nie miało w sobie ostro zarysowanego typu żyda. Gdyby na tę samą czaszkę wdziać fez, mógłby Tirpitz znakomicie uchodzić za syna Wschodu, naprzykład Greka lub Ormianina.

Matowo biała twarz zdawała się być jeszcze bielszą, nawet bladą przez kontrast czarnych włosów i ciemnych, jak u ptaka okrągłych oczu, świecących blaskami ożywienia i wesołości.

Siadłszy obok doktora, gość z podsuniętej mu papierośnicy długiemi palcami wyjął papierosa i zapalił. Zarówno swą powierzchownością, jak swobodą zachowania się i smakiem, z jakim był ubrany, wywarł Tirpitz na Winarskim wrażenie jak najkorzystniejsze.

— Panie doktorze, — odezwał się wreszcie poprzez obłok dymu. — Chciałbym odrazu przystąpić do rzeczy. Wprawdzie nie miałem dotąd przyjemności znać pana osobiście, alem tyle słyszał... że... Że rad będę zaproponować panu swoje usługi.

— Usługi, pięknie, ale w jakiej dziedzinie?

— W dziedzinie walki z bolszewizmem.

— Ah, tak! Bardzo chętnie widziałbym w panu swego współpracownika, tem chętniej, iż wyczuwam w swym gościu żywy temperament; ale zgóry muszę uprzedzić, że skromny nasz budżet, przynajmniej narazie, nie pozwala mi na powiększenie składu osobowego biura...

Gorącym gestem przerwał Tirpitz zastrzeżenia szefa wywiadu.

— Za pozwoleniem! Za pierwszy warunek dalszej naszej rozmowy uważam wykluczenie motywu pieniężnego. Dlatego tylko pozwoliłem sobie śmiało i jasno zaproponować swą współpracę, że pod żadnym pozorem nie mógłbym się podjąć roli płatnego funkcjonarjusza.

— Aha... W takim razie, panie Tirpitz...

— Chce pan wiedzieć, jakie pobudki do tego mię skłoniły? — spytał młody gość. — Pobudki dwóch rodzajów: ideowe i czysto osobiste, czyli inaczej—głębiej uzasadniona nienawiść do bolszewizmu i bolszewików, następnie zaś pragnienie zemsty. Ci nikczemnicy przecież zrujnowali doszczętnie moją rodzinę, a wuja mego, człowieka wykształconego, stałego bywalca wielkich miast Zachodu—wręcz rozstrzelali. Nasamprzód ciągano go po czrezwyczajkach, w katowniach niszcząc mu zdrowie i duszę, a dopiero potem postawiono pod krwawym murem.

To postawienie „pod murem", o którem Tirpitz wspomniał, jest dotąd w Bolszewji urzędową formą tracenia.

— Po ucieczce z Kijowa,— mówił dalej młody mściciel — zamieszkałem w Warszawie razem z ojcem mym i matką. Ale czyż obecną wegetację naszą mogę nazwać życiem? Po wyszukanym komforcie prawdziwie wielkopańskich apartamentów mamy tłoczenie się w jednym pokoiku. Oh, jak ja boleśnie marzę o tem, by móc wszystkich wyprzedzić, by pierwszy wrócić do Kijowa, gdy skończy się w mieście władza tych oprawców! Sam osobiście poszedłbym na krwawe łowy, oh, jakbym poszedł i skalpy, czaszki liczył! Obmyśliłem już nawet wszystkie szczegóły, jak można owoce takiego polowania wyzyskać. Do celów zdobniczych, oczywiście...

Oczy mściciela płonęły. Zapał jego udzielił się i Winarskiemu.

— Nie omyliłem się zatem, — rzekł doktor z uśmiechem—że wre w tobie bujny temperament. Szarpiące duszę pana łaknienie odwetu mnie osobiście bardzo jest na rękę, tem bardziej, tutaj muszę być szczery, że takim płomieniem pali się dusza żyda.

— Poruszył pan moją słabą strunę, doktorze. Cóż, istotnie jestem żydem i nim pozostanę, nigdy nie wypierałem się pochodzenia swego i wypierać się nie myślę, ale bolszewików-żydów nienawidzę stokroć goręcej i bezwzględniej, niż bolszewików-Rosjan. Jeżeli ci ostatni nie zasługują na przebaczenie, cóż tedy mówić o żydach? Rosjanie-bolszewicy we krwi utopili własną swoją ojczyznę, żyd zaś okrwawił i zgubił ojczyznę cudzą, cudzą—jako że własnej nie posiada. Na ten temat nieraz zdarzało mi się toczyć dyskusję z mymi braćmi w Izraelu. Kłamstwem jest twierdzenie: że żydzi w Rosji są Rosjanami, we Francji—Francuzami, w Niemczech—Niemcami. Nieprawda! Gdziekolwiek jesteśmy, wszędzie my jeno przybysze, autochtonom obcy pod każdym względem. Kochałem Rosję, bom tam się urodził, wyrósł i wychował, ale uprawianie jakiejkolwiek polityki przez żydów, którzy zresztą dziś faktyczne rządy w Rosji sprawują, uważam i uważać będę zawsze za potworną zbrodnię. Nie myśmy tworzyli dzieje Rosji, więc jakiem prawem żydzi władzę jej swoją narzucili? Czy Rosji potrzebna była rewolucja, to już inna sprawa. Jeżeli nawet zgodzilibyśmy się na to, że wstrząs był koniecznością, to w każdym razie nie niszczący podstawy państwa i narodu przewrót Nachamkesów, Bronsztejnów, Trockich, Sobelsonów...

Tirpitz zamikł. Winarski bacznie studjował jego wzburzoną twarz, aż rzekł:

— Jaka szkoda, panie Tirpitz, że pan jest

tylko wyjątkiem. Gdyby na stu żydów choćby jeden tylko postępował tak jak pan postępuje, świat inaczejby wyglądał. Obecnie widzę, z kim mam do czynienia. Więc nie traćmy drogiego czasu i odrazu zajmijmy się celem pańskiej w domu moim obecności.

12. W kinie „Palace".

„Człowiek, który nie zaznał trwogi".

Tak oczywiście się nazywał sensacyjny, oczywiście amerykański, w sześciu częściach z prologiem dramat, wyświetlany jednocześnie w dwóch wielkich kinematografach. Obraz sam przez się sensacyjny, dla Warszawy był już zgoła rewelacją. Nie dziw, że przed „Palacem" na Chmielnej i przed „Panem" na Nowym Świecie wiły się wstęgi z prywatnych i urzędowych samochodów złożone. Utytułowana magnaterja, ministrowie, posłowie na Sejm, generalicja, studenci, oficerowie, słowem cała stolica szumną falą zalała sale kin, by ujrzeć Bejzyma na ekranie.

„Człowiek, który nie zaznał trwogi"—to on.

„Szlagierowy" film ten nie miał do głębi psychologicznej żadnej zgoła pretensji. Akcja obrazu, jej ruch niesłychany był jedynie ramą, tłem dla bohatera, by mógł łacniej olśniewać siłą, zręcznością linoskoka oraz znajomością wszystkich rodzajów sportu.

Bejzym sam jeden stawał do walki z tłumem wrogów: z fałszerzami pieniędzy, ze szpiegostwem politycznem, ze zmową wyjątkowo śmiałych awanturników, lub z bandytami meksykańskimi. Ze zmiennem szczęściem toczył się zaciekły bój, czasem zmieniający się we wzajemny pościg. Pod naporem siły nadludzkiej i zręczności atlety tłum, niczem gromada dzieci, szedł zrazu w rozsypkę, by znów zwartym wałem ruszyć do ataku i olbrzyma obezwładnić. Związanego, zrzucali

w worku ze stromej skały w otchłań morza, ale Bejzym w wodzie nożem wór rozciąwszy, przypływał do brzegu i jak piorun nieoczekiwanie spadał wprost na obóz przeciwników, radośnie przeżuwających śmierć niebezpiecznego wroga.

Niemniej efektowny był finał obrazu. Meksykańscy bandyci przywiązują do drzewa napoły obnażonego Bejzyma w całej krasie jego zdumiewającej muskulatury. Już na potwornie szerokiej piersi w tem miejscu, gdzie bije nieustraszone serce, zbrodnicza ręka narysowała czarny krążek. Wzięci do niewoli Indjanie otrzymują rozkaz strzelania z łuku do żywego celu i żądła strzał grzęzną w korze drzewa, tuż nad głową siłacza. Chwila dreszczem szarpiąca nerwy. Zmieniony na twarzy Bejzym czyni szalone wysiłki, by wyrwać się z przemocy sznurów, ale właśnie przybywa odsiecz niespodziewana: oddział jazdy z szeryfem na czele. Meksykańczycy uciekają w popłochu. Bejzym nadludzkim szarpnięciem się zrywa pęta, dosiada wierzchowca i razem z szeryfem ściga umykających bandytów. Wreszcie ostatnie fortissimo efektu: rzucone lasso chwyta herszta rozbójników i Bejzym, cwałując po stepie, zwycięsko wlecze za sobą na sznurze żywą zdobycz.

Wyświetlanie obrazu w „Palace" i w „Panie" odbywało się przy ciągłem towarzyszeniu oklasków. Do „Kino-Palace" na pierwsze przedstawienie zjawił się sam bohater, by na ekranie ujrzeć swe własne szaleństwa. Epopei tej Bejzym dotąd jeszcze nie widział, ponieważ wyjechał z Ameryki przed wywołaniem i utrwaleniem filmu, niezwłocznie po odegraniu ostatniej sceny obrazu.

Teatr zgotował znakomitemu artyście szaloną wprost owacje. Rad nie rad, musiał Bejzym powstać z miejsca i ukłonem podziękować publiczności za głośne objawy uznania. Czuł się przy-

tem niesłychanie głupio. Obok atlety siedziała w loży hrabina Szapary w swem wspaniałym okryciu sobolowem i w modnym zawoju ze złotogłowiu.

Boczną lożę, tuż obok samego ekranu, zajmowało liczne towarzystwo: ślepawy Artur Montebianco w silnych szkłach na nosie, a za nim cała świta: wygolony i okrągły pięćdziesięcioletni żyd z siwemi, niczem sierść kangura, włosami i z wielką perłą w krawacie, z obu stron córki, dwie brunetki z wydatnemi nosami na upudrowanych twarzach, ubrylantowane, w przepychu futer, koło nich zaś synowie, dwaj młodzieńcy z wielkiemi muszlami odstających uszu. To była rodzina Perlmuttrów, którym w udziale przypadł zaszczyt goszczenia w swym domu przyjaciela Lloyd George'a. Obok jednego z młodych Perlmuttrów siedział Szymon Tirpitz — jak zawsze matowo blady z płonącemi pod czołem kółkami ptasich oczu.

Nieopodal loży, w bocznem krześle trzeciego rzędu, zasiadł Winarski. Przy wejściu do sali pochwycił porozumiewawcze spojrzenie Tirpitza, dał krótką odpowiedź wzrokiem — i w dalszym ciągu sprzymierzeńcy już się z sobą nie komunikowali.

Julji Szapary schlebiała owacja, jaką teatr zgotował jej towarzyszowi. Uwaga hrabiny musiała się rozdwoić, by idąc szlakiem akcji na ekranie, nie stracić nic z odczuwania żywej rozkoszy towarzystwa. To też pani, mrużąc oczy, przez szkła face-à-main spojrzeniem przebiegała z ekranu na zmieszaną, nawet zlekka zawstydzoną twarz pokornie siedzącego siłacza.

Zresztą sama hrabina była dla Warszawy atrakcją nie byle jaką. Atrakcją efektowną z ostrym posmakiem zagadki. Stolica dużo mówiła o niej, o jej sobolowem futrze, o wystawnym stopniu życia w „Bristolu". Rzecz jasna, że, jak to zwy-

kle bywa w takich razach, znaleźli się ludzie wszystkowiedzący, dla których życie i pochodzenie hrabiny Julji stanowiły rzecz oddawna doskonale znaną.

Mąż jej, magnat węgierski, pułkownik Arpad Szapary, zginął w pierwszych tygodniach wielkiej wojny, podczas ataku huzarów na rosyjską piechotę, małżonka zaś hrabina Julja, znacznie później, bo już w zaraniu rewolucji, znalazła się w Rosji. Dobrze, wszystko to jest całkiem prawdopodobne. Ale blizna na twarzy? Jakie jest jej pochodzenie, jeśli łaska? Jakie pochodzenie? Proszę bardzo: w czrezwyczajce żyd-czekista kazał aresztowanej damie otworzyć usta, wetknął brauning i... I dzięki logice przypadku, dzięki wadliwie wziętemu kierunkowi strzału, kula, miast zgruchotać czaszkę i rozsadzić mózg, nieszkodliwie przebiła policzek.

W ten przynajmniej sposób ujął i swej damie przedstawił życiorys hrabiny pewien gentleman, w mrocznej loży połyskujący krążkiem monoklu. I zaciekawiona pani podczas przerw, gdy w kandelabrach wybuchały światła, uporczywie lornetowała zagadkową Węgierkę.

Z przerw korzystał też Winarski, by poddać obserwacji rodzinę Perlmuttrów. Każdego zosobna członka tej familji studjował z takiem zajęciem, z jakiem ogląda swe modele malarz, rysownik lub rzeźbiarz.

Rozpoczął od Artura Montebianco. W wyobraźni zdmuchnąwszy z „pułkownika“ nalot jakich piętnastu lat, doktór ujrzał młodzieńca o zadartym nosie, przybysza z egzotycznie słonecznej Odesy, ubożuchnego posiadacza wątłej walizki i wielkich nadziei na przyszłość. Oto Weisberg, zahaczony o redakcję jednego z wielkich petersburskich dzienników, pisuje jako „Biełogorow“ sprawozdania z psich wystaw, notatki o nabożeństwach, przez metropolitę odprawianych, o go-

spodarczych sesjach rady miejskiej. Po roku jest już naczelnym publicystą lewicowego pisma, a po latach piętnastu na stanowisku nieurzędowego wielkorządcy Palestyny, bezkarnie wymierza policzki oficerom Jego Królewskiej Mości króla Wielkiej Brytanji, cesarza Indyj...

Potem przyszła kolej na studjowanie wilgotnych uśmiechów Perlmuttra—taty. Synowie, aczkolwiek niczem nie przypominający sobą ojca, bardzo są do siebie podobni, z tą tylko może różnicą, że starszy, ten z bardziej odstającemi i czerwonemi uszyma, ma mocno naprzód wysuniętą dolną szczękę z grubą wargą, gdy młodszemu wysunęła się górna warga.

Tirpitz swywolnie szepce coś do ucha upudrowanym panienkom. Odpowiadają mu kwaśnym, swoiście zalotnym uśmiechem. Jeżeli przyroda wysili się i da światu urodziwe żydóweczki, to już naprawdę piękne, promiennie piękne, jednak przygniatająca większość kobiet-semitek odpycha nieforemnością swych kształtów. Wprawdzie panny Kuszer-Perlmutter urodziwego wyjątku nie stanowiły, ale dobre o sobie mniemanie wzmagała w nich świadomość bogactwa, brylanty, futra i wielki posag, który ma własności wyprostowywania najbardziej odrażających skrzywień w ramionach lub plecach cór Izraela.

Z tej natłoczonej sali modnego kina w myśli przeniósł się Winarski do swego gabinetu. Zdawało mu się, że bada obu Perlmuttrów młodszych—i tego, którego dolna warga naprzód wybiega, i braciszka z wydętą pod wystającemi zębami górną wargą.

W tym czasie daleko od ekranu, na galerji, siedzieli obok siebie Łabędzka w swem wyszarzanem kortowem okryciu oraz Gagarin, obecnie już urzędnik Banku Mazowieckiego. Obraz ich upoił. Był to jakby sen fantastyczny — oto Bejzym jest obecny w teatrze, w pierwszych rzę-

dach krzeseł, a nieco dalej na srebrnej płaszczyźnie sobowtór jego uwija się na tle czarodziejskiej zjawy skał, to znów w pustyni, za chwilę już w drobnych, niczem dreszcz, falach metalicznie połyskującego morza, w kniejach lasów dziewiczych, to znów w małej oberży na pograniczu, gwarnej życiem cow-boy'ów, czarniawych rozbójników, oraz wszelkich mętów i rozbitków, wyrzuconych za burtę życia.

— Ależ jak on gra, jak gra wspaniale! — zachwycała się Magdalena.

— Pani pewnie myślała, że Ignacy zdolny jest tylko do karkołomnych skoków? Chłop ma talent pierwszej wody!

Gagarin, mówiąc to, zauważył, że w wyrazie twarzy Magdaleny zaszła szczególna zmiana.

Istotnie, Łabędzką owładnęło dziwne jakieś uczucie. Widziała Bejzyma dwa czy też trzy razy, za serdeczną opiekę, jaką ją otoczył, była mu szczerze i gorąco wdzięczna. Są przyjaciołmi. Tylko przyjaciołmi, gdyż major niczem nie ujawniał zainteresowania innego rodzaju. I nawet dla niej, wciąż jeszcze żyjącej wspomnieniami o mężu i dawnem, umarłem szczęściu, Bejzym był tylko człowiekiem hartu i charakteru, zacnym i uczynnym przyjacielem. A jednak przykrość jej sprawia obecność Bejzyma w towarzystwie hrabiny, której sobole tak przypominają futro zamęczonej ciotki Tamary. Wprawdzie łączy ich jeszcze wspólna sprawa, mianowicie przedsiębiorstwo filmowe, do którego Bejzym wczoraj wieczorem Łabędzką w imieniu dyrekcji zaangażował, rokując bajeczną karjerę, niemniej jednak...

Niemniej jednak zadowolenie ze stanu rzeczy, z nadziei na przyszłość, truła stale wzrastająca niechęć do hrabiny. Niechęć już żywa wtedy, gdy w on wieczór Magdalena przelotnie ujrzała panią w sobolach na dworcu Głównym.

I razem z tą niechęcią wylęgły się złe prze-

czucia jeszcze nieuchwytnych, lecz ciężkich, bólem i trwogą brzemiennych przejść.

13. „Pantera.“

Umowę, opracowaną przez radcę prawnego pani hrabiny, Bejzym podpisał. Radcą, jak się okazało, był właśnie ten jegomość w popielatych getrach, który niedawno na dworcu witał swoją zwierzchniczkę. Nazwisko jego harmonizowało najzupełniej z całą osobą, utrzymaną w typie międzynarodowym. Cóż... Pan Haille. Pan Haille—Anglik? Niemiec? Może Holender lub Łotysz? A może żyd?

Wobec hrabiny pan Haille był pełen przesadnej uniżoności, zaco mu pani odpłacała silnie akcentowanem lekceważeniem.

Gdy radca prawny czytał Bejzymowi szkic umowy, Julja Szapary co chwila przerywała:

— Stop, Haille, zatrzymaj się pan, nie pędź tak na złamanie karku! Tutaj trzeba szukać sensu, trzeba się zastanowić. Dobrze, teraz dalej. No, w tem miejscu umowa jest niejasna, nic nie rozumiem. Kiedy pan nauczy się wreszcie formułować najprostsze myśli?

— Pani hrabino...

— Owszem, sama dobrze wiem, że jestem hrabiną. Co o nas pomyśli sobie monsieur Bejzym? Niby to przystępujemy do robienia wielkich interesów, a ani rusz nie potrafimy zredagować najłatwiejszej umowy. I to ma być kandydat praw, doktor... Doktor czego? Analfabetyzmu, czy też ignorancji?

Haille pokornie milczał, mocno zaciskając zęby.

— Co o nas pomyśli sobie monsieur Bejzym?—żaliła się hrabina.

Wprawdzie Bejzym nie wyrobił sobie jeszcze określonego poglądu, jednakże przeczu-

cie mu mówiło, że w samem przedsiębiorstwie jest coś niewyraźnego. W każdym razie sprawa przedstawia się nie tak poważnie, jak w pierwszej fazie układów. O pracowni, której części składowe w tych dniach miały nadejść do Warszawy, hrabina więcej już nie wspominała, a gdy Bejzym sam zaczął o tem mówić, otrzymał odpowiedź:

— Ah, prawda! Zapomniałam panu powiedzieć, że w tej sprawie dostałam telegram z Londynu. Okazuje się, że jakiś nowy dekret, bill czy też jakaś nowa ustawa, sama nie wiem, jak się to nazywa, zabrania wywozu szkła. Ale właściwie na co nam pracownia? Poco pracownia, jeżeli atelier możemy wynająć na miejscu. Wczoraj oglądałam na Lesznie świetny pawilon, jasny, głęboki i przestronny, z gotowem już laboratorjum...

— Owszem, znam ten budynek, wiem, że zdatny do użytku—zgodził się Bejzym.

Kiedy umowę strony podpisały, hrabina zwróciła się do swego doradcy:

— Panie Haille, raczy pan natychmiast wypłacić mr. Bejzymowi sześć tysięcy funtów zaliczki. Proszę uzbroić się w ołówek i obliczyć, jak suma ta według dzisiejszego kursu przedstawiać się będzie w markach polskich.

Ruchem dziwnie jakoś ociągającym się wziął Haille ołówek do ręki i niepewnie spojrzał na Julję.

— Pani hrabino, dziś tej kwoty wypłacić nie możemy.

— Jakto nie możemy?

— Nie możemy — cicho powtórzył Haille, błagalnie na Bejzyma spoglądając. — Czyby pan major nie zechciał narazie zadowolić się czekiem na tysiąc funtów?

Już miał Bejzym coś odpowiedzieć, gdy wypieszczona dłoń kobieca miękko o jego rękę się

otarła, jakby jeszcze raz chcąc poddać oficera działaniu niepokojąco ciepłych prądów.

— Drogi majorze, wszak pan się nie gniewa? Narazie tysiąc, pozostałe zaś pięć... Haille, powiedz pan kiedy? Za tydzień? Czemu pan milczy?

— Tak jest, prawdopodobnie w ciągu tygodnia nadejdzie nowy przekaz z Londynu.

Na Bejzyma spłynęło zalotne spojrzenie.

— Czy tak będzie dobrze, drogi majorze?

— Ależ naturalnie, przecież niema się co śpieszyć.

— Haille, proszę wziąć ołówek i liczyć...

— Według dzisiejszego kursu funt równa się... Zaraz, zaraz... Aha, czterdzieści dwu tysiącom marek, tak jest czterdziestu dwu, a zatem tysiąc funtów da sumę... czterdziestu dwu miljonów...

— Panie Haille, proszę o książeczkę czekową.

— Mam ją u siebie w pokoju.

— Więc proszę iść, przygotować czek i wracać.

Z milczącym ukłonem Haille bezszumnie ulotnił się.

Natarczywem spojrzeniem hrabina wplotła się w spojrzenie swego gościa. Ciemne jej oczy pociemniały jeszcze bardziej, delikatnie zarysowane nozdrza zaczęły drżeć.

Major ponuro milczał.

Julja w ciągu tygodnia zapanowała nad nerwami i nad wyobraźnią Bejzyma. Pąkiem swoich maleńkich ust, dźwięcznym śmiechem i giętką, jak ljana kibicią, rozpala w nim pożar zmysłów.

— Pan mnie nazwał Lianą!—śmiała się zadowolona. — Bardzo trafne spostrzeżenie. Jeżeli kogo pokocham, to przylgnę do niego, otoczę, jak podzwrotnikowa liana. A przed taką miłością niemasz już ratunku...

Wyzywająca obietnica rozkoszy przyprawiała Bejzyma o zawrót głowy.

Usiłował odgadnąć tę kobietę narkotyczną, jak jej perfumy, ale że wielokrotnie ponawiane wysiłki nie dawały żadnych rezultatów, więc zniechęcony, machnął jeno ręką.

Czyż nie wszystko jedno, kim jest ta Węgierka? Bejzym nie ma bynajmniej zamiaru łączyć się z nią na całe życie, ale pożąda jej jako kochanki, pożąda szalenie, nie bacząc na chłodny wiew straszliwej jakiejś zagadki. Czegoś jej brak, by można ją było nazwać zarówno osobą z towarzystwa, jak awanturnicą — czegoś jej brak do całości typu. Wprawdzie mówi po francusku lekko i swobodnie, ale nie jak Francuzka i nie jak wielka dama od dzieciństwa z językiem tym obeznana. Zna wprawdzie wykwintne ośrodki życia Europy, niewątpliwie musiała znać Jasny Brzeg, bywać w Ostendzie, w Biarritz, jadać w pierwszorzędnych restauracjach Paryża, ale pomimo to jakoś wymyka się z pojęcia, ze stylu jaśnie pani. Czasem w mowie jej zaskrzeczy jaskrawy prowincjalizm, czasem coś ordynarnego wypełznie ze sposobu zachowania się lub na jaw wyjdzie jaki jaskrawy brak w kosztownym zazwyczaj stroju.

A Bejzym w swem życiu włóczęgi poznał świat i posiadł szkołę oceniania ludzi, więc też co do hrabiny Szapary szybko wyzbył się złudzeń, co zresztą nietylko nie osłabiało w nim pociągu do niej, lecz przeciwnie, żądzę szczególnie potęgowało.

— Kobiety cnotliwe bardzo szanuję—zwierzał się kiedyś w ściśle męskiem kółku—ale wolę mieć je zdaleka, choćby naprzykład odgrodzone kratą, podobną do tej, za jaką w kościele Wizytek modlą się mniszki.

Jako człowiek bardzo skromnego o sobie pojęcia, nie przywiązywał Bejzym dużej wagi do

zalotnych spojrzeń, jakiemi hrabina go obdarzała. Kokieterja Julji była niemniej sztuczna, niż gra jej nozdrzy i komedja walczenia z własną namiętnością.

Chociaż major nie wierzył w płomienny temperament Węgierki, nie mniej jednak poddawał się sile własnych swych pożądań. Bywają przecież kobiety takie, bywają też i inne. Jedne brać należy w modlitewnej, bezmała świętej ekstazie, inne zaś bez wszelkich przygotowań i nastrojów, całkiem zwyczajnie, a nawet brutalnie, nawet z okazaniem pewnej pogardy. Julję Szapary Bejzym uważał za istotę tej drugiej kategorji.

Gdy spoglądała mu wprost w rozszerzone źrenice, jak gdyby gnąc się w męce pożądania, Bejzym musiał stoczyć z sobą walkę gwałtowną, by nie porwać jej w swe potężne ramiona i władnie nie unieść z salonu w półmrok sypialni, przez szerokie drzwi kuszącej metalicznemi blaskami łoża.

Ale wola czuwała. Czekał Bejzym wyraźniejszych dowodów zainteresowania i sympatji. Oczekiwał napróżno—hrabina nie wyprowadzała go z atmosfery półobietnic.

Czasem wzbierała w nim głucha nienawiść mężczyzny, który dotąd nie zaznał niewoli kobiety. Zdawał się tedy mówić spojrzeniem szarych oczu fauna:

— Potrzebny ci jestem do twych interesów. Schlebia twej dumie moja popularność, chcesz mię więc utrzymać przy sobie, nęcisz wciąż, kusisz, syreno. Ale poczekaj, jeszcze ci zato odpłacę!

Niebawem wrócił Haille z czekiem, który hrabina szeroko, zamaszyście podpisała.

— Oto proszę, panie Bejzym. Jeszcze raz przepraszam za chwilową redukcję umówionej sumy. Żeby oszczędzić panu zachodu, wydam

Haillemu polecenie, by sam załatwił sprawę w banku i pieniądze jutro z samego rana dostarczył panu do hotelu. Tem bardziej, że będzie to paczka pokaźna, koło dwudziestu funtów wagi.

— Pani hrabino, stanie się według woli pani. Więc to tak: gażę już biorę, a nie widzę ani śladu przygotowań do pracy.

— To już raczej pan temu winien. Mieliśmy od pana otrzymać pierwszy szkic scenarjusza...

— Owszem, przygotowałem go już w ogólnym zarysie.

— Tylko jednego proszę się wystrzegać, majorze, mianowicie polityki. Na międzynarodowym rynku dramaty polityczne nie mają popytu. Zajmująca osnowa, sztuki i kawały, bandyci, wywiadowcy, piękne kobiety — oto sedno rzeczy. A propos — czy ma pan w pogotowiu przystojne niewiasty?... Miał pan o to zadbać.

— Owszem, takie już mam. Czy pani sama nie zechciałaby opracować jakiej roli?

— Wie pan?—zawołała rozradowana. — To jest myśl! Jeżeli pan podjąłby się przygotowania mnie do debiutu... Rolę wystudjowałabym pod osobistym pana kierunkiem. Wymawiam sobie tylko pisanie listów, płacz i pocałunki... Chciałabym być kobietą-panterą.

— Więc nawet na filmie nie chce pani rozstawać się z sobą?

— A czyż w życiu jestem panterą? Haille, czy jestem podobna do pantery?

Zapytany popatrzył na Julję i nic nie odpowiadał.

Smutna rzeczywistość.

Nazajutrz rano Haille przywiózł Bejzymowi pieniądze. Rzeczywiście, była to pokaźna paczka, ważąca koło dwudziestu kilo.

Gdy radca prawny zachęcał majora do prze-

liczenia papierków, ten wykonał ruch przestrachu i obrzydzenia.

— Liczyć? Jeszcze czego! Ani myślę zajmować się takiemi rzeczami. Na skarbnika lub księgowego zupełnie się nie nadaję.

— A jeżeli okaże się brak?

— Brak? Wątpię. Zresztą, dajmy na to, brak miljona, więc czy nie wszystko jedno ile tam tych miljonów jest: czterdzieści jeden, czy też czterdzieści dwa?

Haille skłonił się z lekkiem wzruszeniem ramion.

Patrząc na tę starannie wygoloną postać, której pochodzenia i narodowości trudno było się domyślić, Bejzym zachodził w głowę, jaki stosunek łączył prawnika z hrabiną. Może jest, albo był jej kochankiem? A może... Nie, najwięcej cech prawdopodobieństwa ma druga hypoteza: były kochanek, gdyż tak się znęcać, jak hrabina się znęca się nad swym obecnym doradcą, potrafi tylko kobieta, która za swój dawny sentyment bezlitośnie mści się na byłym oblubieńcu. I choć się z nim obchodzi, jak z psem, porzucony przyjaciel nadal patrzy w jej oczy z cichym, łagodnym wyrzutem.

Zabrzęczał telefon.

— Hallo, kto mówi?

— Witam, majorze! Chciałem z panem pomówić, więc może o drugiej spotkamy się na obiedzie w „Europie".

Po nieco zachrypłym głosie poznał Bejzym generała Pac-Pomarnackiego.

— Z przyjemnością, panie generale!—zawołał w tubę.

O godzinie drugiej zasiedli razem przy wspólnym stole w restauracji hotelowej. Pac-Pomarnacki, niezbyt wysoki, lecz tęgi mężczyzna, o świetnej postawie wojskowej, kłaniał się swym znajomym na prawo i lewo. W jego har-

monijnych ruchach, w matowem brzmieniu niskiego głosu, w skłonnościach i upodobaniach było coś typowo wielkopańskiego, coś, w czem się poznawało tradycje światowe Petersburga z jego wyścigami, baletem — no i cóż w tem dziwnego?—operetką i farsą Saburowa.

.Pół życia spędził Pomarnacki w Petersburgu, z którym stałego bywalca wyścigu, baletu i cyrku Cinisellego łączyły rozgałęzione stosunki, znajomości oraz rozrywki.

Choć już czwarty rok nosił mundur generała armji polskiej, choć był rasowo czystym Polakiem, szczerze do swego kraju przywiązanym, jednak przetrwała w nim żywa sympatja do wspaniałej północnej stolicy, w której życie płynęło tak łatwo, wygodnie i rozkosznie.

I nawet tutaj w tej jasnej sali, rojnej od wytwornego tłumu polskich i francuskich mundurów, panów w cywilnych ubraniach, wystrojonych pań i garsonów, przy dźwiękach muzyki w pozach tanecznych sunących po lśniącej posadzce, nawet tu Pomarnacki spotykał i poznawał dawnych znajomych, okruchy tej pięknej stolicy, której krasa umarła na zawsze i nigdy już nie powstanie z martwych. Jednego z tej grupki rozbitków generał witał skinieniem głowy, innego pozdrowił ruchem dłoni.

Oto Poklewski-Koziełł — już starzec zgrzybiały, doszczętnie przez „bezkrwawą rewolucję" zrujnowany, do niedawna jeszcze krezus złotodajnego Uralu, magnat, którego roczne dochody przekraczały pół miljona rubli. Oto szczupły, ruchliwy z kościstą i żółtą, niczem pergamin, twarzą, istny kłąb nerwów — Rapp, znany jako pierwszorzędny jeździec, który acz w wojsku nigdy nie służył, jednak swą sztuką najwybitniejszych kawalerzystów gwardji w kozi róg zapędzał. Przejścia nie zabiły ducha w tym ruchliwym emigrancie. Wprawdzie w Rosji stracił

cały swój majątek, ale już zdążył w Polsce stworzyć nowy, a w kołach finansjery jako o sensacji mówi się o najnowszych pomysłach Rappa, mianowicie o projekcie założenia w Warszawie Banku Angielskiego.

A oto jeszcze jeden znajomy z Petersburga— Svensen, jasnowłosy Duńczyk, o szczerej i jasnej twarzy. Przed wojną śmigał wciąż między stolicą nad Newą a Paryżem, Brukselą, Kopenhagą, a w Polsce zdołał tyle lasów wykupić, że z nabytych obszarów śmiało można byłoby wykroić kilka księstw niemieckich.

Svensen śniadał w towarzystwie czterdziestoletniego bruneta o regularnych rysach twarzy i młodzieńczych, czarująco aksamitnych spojrzeniach. To także jeden z niedobitków byłej gwardji cesarskiej, rosyjski generał Olsufjew.

Do sprawy Pac-Pomarnacki przystąpił dopiero przy czarnej kawie i cygarach. Z pogodą, jaką darzy obfity stół i umiar w spożyciu trunków, czerstwy i rumiany generał zaczął:

— Słuchajcie Bejzym, proszono mnie o nieoficjalne zaproponowanie panu...

— Czego?—przerwał major, zlekka przysuwając się do generała.

— Więc słuchaj pan. Mam się dowiedzieć prywatnie, w toku pogawędki przyjacielskiej, czybyście nie byli skłonni znów wleźć w mundur. Na początek macie dostać podpułkownika i pułk jazdy. No, cóż pan nato?

— Co ja nato? — powtórzył Bejzym przeciągle.—Panie generale, czy ze względu na moje zaufanie i szacunek, jaki żywię do pana, mogę pozwolić sobie na szczerość?

— Co za pytanie! Oczywiście, słucham pana.

— A więc doskonale. Po powrocie z Ameryki widzieliśmy się przelotnie i tak krótko, żem nawet kilku słów nie zdążył z panem zamienić.

Do kraju znęciła mię pogłoska o wojnie, świadomość grożącego mej ojczyźnie niebezpieczeństwa. A ja, panie generale, kocham swój kraj i nietylko kraj, ale i wojnę. Gdyby uderzył grom zdarzeń, chwilibym się nie wahał i poszedł bronić Polski przed żydowskiemi wyprawami karnemi Wschodu.

— Dobrze pan to nazwał—stwierdził generał—„żydowskie wyprawy karne Wschodu". Ale mów pan dalej.

— Zatem... Jak się okazało, alarm był fałszywy, piorun nie uderzył, zamiast wojny mamy taki zwykły sobie pokoik, i dlatego też wolę pozostać w cywilu.

— Za pozwoleniem, jakże to... Jesteś pan żołnierz z krwi i kości, żołnierz z Bożej łaski, kochacie naszą armję i swem rycerstwem znakomicie przysporzyliście jej uroku i sławy. Nie rozumiem, skąd nagle ta wstrzemięźliwość...

— A właśnie dlatego i tylko dlatego, panie generale, żem jest żołnierz, że kocham armję, więc nie chcę wdziewać na siebie munduru, który szanuję...

— Nic a nic nie rozumiem—oświadczył Pomarnacki, wzruszając ramionami.

— Zaraz to pan zrozumie, a nawet nietylko zrozumie, ale i zgodzi się ze mną. Z bólem, z bólem wyrządzonej mi krzywdy patrzę na to, co się dzieje z polskim korpusem oficerskim. Nasz oficer, to jakieś pozbawione praw stworzenie, właściwie posiadające jedno jedyne prawo—prawo do śmierci w obronie państwa. W czasie pokoju oficera polskiego bezkarnie obrazić może każdy, komu to tylko przyjdzie do głowy: kelner, konduktor tramwajowy, żyd—i obrażony nie ma możności stanąć w obronie swego honoru, honoru munduru i armji, ponieważ oficerowi polskiemu nie wolno nosić broni poza służbą. Nie twierdzę bynajmniej, że oficer powinien chwytać

za oręż i rąbać gęby wszystkich, którzy mu się na oko nie podobają, ale z tytułu przynależności jego do kasty wojskowej, kasty, ponieważ rycerskie rzemiosło samo ją tworzy—oficer obowiązany jest, musi zawsze mieć przy sobie broń.

— Na pańskie zdanie piszę się bez zastrzeżeń, majorze. Nasze ciało oficerskie, niestety, uległo zbyt daleko posuniętej demokratyzacji.

— Więc widzi pan. Przystępuję do rzeczy. Raczył mię pan zapewniać, że dostanę pułk. Doskonale, ale czy ci, którzy mi to obiecują, mają pewność, że nominacji mojej nie sprzeciwią się żydowie?

— Jacy żydowie?—zdziwił się Pomarnacki.

— Najzwyklejsi. Z Nalewek, z Pragi, z ulicy Twardej, słowem, z całej Warszawy.

— Ciemny jestem, jak tabaka w rogu. Raczcie, panie Bejzym, jaśniej tę rzecz przedstawić.

— Wyjaśnienie znajdzie generał w dzisiejszych dziennikach. Przeglądał je pan?

— Owszem, ale z powodu braku czasu tylko po łebkach.

— To niech pan żałuje, uderzyłaby bowiem pana pewna, wysoce pouczająca wiadomość. Oto do prezesa rady ministrów, Antoniego Ponikowskiego, zgłosił się poseł Grinbaum i wręcz oświadczył, że żydzi nie chcą nadal widzieć generała Sosnkowskiego na stanowisku ministra wojny z powodu jego nieprzychylnego stosunku do oficerów-żydów w armji polskiej.

— Być nie może!—oburzył się Pomarnacki.— Cóż za zuchwalstwo!

— Generale, to jest szczyt bezczelności! Co za wstyd, co za poniżenie dla nas, Polaków, wstyd tem dotkliwszy, że Ponikowski nie kazał Grinbauma natychmiast wyrzucić za drzwi. I po tem też mi generał zaproponuje pułk? Przecież Grinbaum może narobić w sej-

mie krzyku: „Co takiego? Bejzym, ten sam Bejzym, który wychłostał dyplomatę zaprzyjaźnionego z nami mocarstwa, dowodzić ma pułkiem?" Jeżeli ten bezczelny żydowin nie robił sobie żadnych ceregieli z ministrem wojny, to co go powstrzyma od wystąpień przeciw jakiemuś tam pułkownikowi? Tak, generale. Dopóki ster polityki naszej spoczywa w rękach żydów i taki stan rzeczy nadal będzie tolerowany, dopóty niczem do służby w wojsku mnie nie skusicie. Niech pan teraz powie, czy nie mam słuszności?

— Tysiąckrotnie przyznaję wam słsuzność, panie Bejzym. Wiem, co się na świecie dzieje, wszystko widzę, pojmuję, milczę, szukając w sobie źródła siły, by wytrwać. Jeżeli pana, choć jesteś jeszcze młody, położenie takie oburza i o ból przyprawia, to cóż o mnie mówić, o starcu? Gdybym miał jaki fundusik, zrzuciłbym mundur generalski i do cywilu przeszedł natychmiast. Zresztą, mówiąc między nami, długo już go nosić nie będę.

Generał zniżył głos:

— Podaję się do dymisji, żeby módz się wziąć do roboty politycznej. A propos spraw publicznych — patrz pan, co się we Włoszech dzieje! Nieoczekiwane zjawisko! Faszyzm! Cud jakiś, doprawdy! A przedewszystkiem radykalne przewartościowanie, rewizja faktów i poglądów. Wszystkim dotąd się zdawało, że socjaliści i socjalizm to potęga, z którą czynniki ładu i porządku rady sobie nie dadzą. Ale dość było żywiołowego odruchu, by z owej rzekomej siły, z tej potęgi legendarnej pozostał fantom, upiór, strach na wróble. Dość było energiczniejszego napadu ze strony kilkudziesięciu tysięcy patrjotów, skupionych wokół swego wodza, by cały włoski socjal - bolszewizm, podwinąwszy ogon, przysiadł, spłaszczył się i stał się cichutki, niczem bieg strumyka lub trawy szelest. Gdyby

Europa poszła za przykładem Włocha Mussoliniego, rychłoby panowania rozwiązłego chama kres nastąpił. Zwycięstwo nad tak zwanym — daruje mi pan wyrażenie — proletarjatem będzie w gruncie rzeczy sparaliżowaniem szturmów, jakie żydzi przypuszczają do bram ducha chrześcijańskiego, albowiem tak zwany proletarjat jest niczem innem, jak mięsem armatniem, wzgardzonem bydłem pod biczem żyda. Hm... Jak to się mogło stać, żem w dziennikach przeoczył notatkę o bezczelnych żądaniach Grinbauma? Czyżby Sosnkowski rzeczywiście mógł się wypowiedzieć przeciw niedopuszczeniu żydów do korpusu oficerskiego? Takie stanowisko byłoby niezgodne z brzmieniem konstytucji.

— Zwyczajny kawał, wolta szulerska, generale—tłumaczył Bejzym.— Formuła ministra wojny brzmiała zupełnie inaczej, a mianowicie: „Oficerami armji polskiej mogą być tylko ci obywatele Polacy, których patrjotyzm żadnych nie nastręcza wątpliwości".

— No, przecież to jest arja z całkiem innej opery! Skąd więc Grinbaum mógł...

— Skąd, pan generał pyta? Bo na złodzieju czapka gore. Żyd może być tylko patrjotą żydowskim, ale nigdy polskim. Dowiedli tego synowie Izraela, dowiedli niezbicie w dni najazdu czerwonych hord. W dni te nie zdarzyło mi się widywać ich na froncie, jako że na tyłach się skupili. Z jaką złą radością oczekiwali przybycia swoich, swojej władzy, już przygotowując uroczystości powitalne na cześć swego cezara, Bronsztejna-Trockiego!

— Zgubią nam Polskę, jeżeli z letargu się nie ockniemy!—rzekł Pomarnacki, spoglądając na zegarek.—Już trzecia, na mnie czas. Czy mam zakomunikować tylko treść zasadniczą pana odpowiedzi, czy też wolno przedstawić i motywy odmowy?

— Wyświadczy mi generał prawdziwą przysługę, podając motywy. Mam zwyczaj ponosić odpowiedzialność za każde przeze mnie powiedziane słowo.

Tubylcy z Nalewek.

Szymon Tirpitz, jeszcze przed nawiązaniem stosunków z Winarskim, osobiście znał jednego z braci Perlmuttrów, tego mianowicie, którego dolna, mocno naprzód wysunięta, szczęka z miękką, odstającą wargą układała się w kształt ryja. Młoda latorośl możnego rodu występowała w świecie pod imieniem Edward i, podobnie jak Tirpitz, uczęszczała do uniwersytetu w charakterze wolnego słuchacza.

Na wykłady Edward Kuszer - Perlmutter przychodził rzadko, a białą czapeczkę z amarantowym otoczem nosił tylko przez wrodzony snobizm.

W domu Edwarda Tirpitz zachowywał się z rezerwą i chociaż starannie unikał rozmów na tematy polityczne, młody posiadacz odstających uszu zdradzał jakieś w stosunku do swego kolegi zamiary.

Na kilka dni przed wieczorną wizytą u Winarskiego, Szymon Tirpitz spotkał Edwarda na Bielańskiej, przed witryną złotnika.

— Wybieracie sobie pierścioneczek z brylancikiem, burżuju jeden! — żartobliwie spytał, stając tuż obok Kuszera.

— A czemuby nie, kochany Tirpitz? Zgadliście bardzo dokładnie. Bo jakąż wartość mają mareczki polskie? Będzie z niemi coraz gorzej, a przecie brylant to najpewniejsza waluta: w miarę spadku marki sam idzie do góry.

Schwyciwszy Tirpitza za łokieć, wymlaskał:

— Zapomniałem na śmierć powiedzieć wam

coś takiego, od czego natychmiast zamienicie się w słup soli.

— Co się stało?

— Stało się coś wstrząsającego. Przyjechał do Warszawy i bawi w domu naszym Artur Montebianco.

— Czy ten z Palestyny?

— A czy istnieje jaki drugi egzemplarz Artura Montebianco? Dobrze o tem wiecie, że drugiego niema. Wyobraźcie sobie, spotykał go na dworcu sam dziadek Abram, starzec, który zupełnie domu nie opuszcza. Co to jest? Kiedyż wy się nareszcie zamienicie w słup soli!

Ostatnie słowa były wyrazem oburzenia na obojętność Tirpitza, który jakoś zbyt słabo przejął się treścią sensacyjnej informacji.

— Jakto kiedy?—uśmiechał się Tirpitz, doskonale naśladując akcent odeski. — Przecież ja już od pięciu minut jestem słupem. Dajcie spokój, taka wielka osoba, taka figura!... Przecież z Lloyd Georgem jest on prawie na „ty".

— Właśnie! To dopiero mocarz, oto głowa co się zowie! Jeżeli chcecie, to mogę mu was przedstawić.

— Będę wam za to bardzo wdzięczny, Perlmutter. A powiedzcie mi, proszę, poco on tu właściwie przyjechał?—z naiwną miną pytał Tirpitz.

— Co takiego? To wy chcecie, żebym ja wam na to odpowiedział tutaj, na Bielańskiej, gdzie na każdym kroku wałęsają się agenci? sza!

Znacząco przyłożył palec do ust i zniknął w sklepie jubilerskim.

Nalewki stanowią typowe ghetto Warszawy, właściwie pozostałość średniowiecznego ghetta, kiedy to żydom wolno było gnieździć się w pewnej tylko, z góry im wyznaczonej, dzielnicy miasta. Nalewki są jakby wyłącznie żydow-

skiem państwem, w którego granicach języka polskiego prawie wcale się nie słyszy, a przechodzień — Polak uważany bywa za zjawisko zgoła wyjątkowe. Tutaj żydostwo ma swoje kawiarnie, sklepy, swoich balwierzów, szyldy w żargonie wypisane, nawet własnych fiakrów, obsługujących li tylko żydowskie dzielnice miasta. Kręcą się tu mężczyźni w charakterystycznych chałatach i czapkach z małemi daszkami, starcy wciąż jeszcze nie rozstają się z pejsami i noszą wielkie czapy futrzane, jak żydzi z portretów Rembrandta, a głowy starych żydówek nadal rażą oko pierwotną ozdobą peruk, czepców lub żółtych własnej roboty koronek.

Wszystko to razem, cała ta rozszwargotana, gestykulująca masa, gęste, w ścisku duszące się niespokojne skupisko mięsa ludzkiego, jest jakby żywym skrawem Wschodu, przeniesionym aż tu, pod blade i chmurne niebo Północy.

Specyficzne życie, życie handlowe, kipi tu i wre, niczem potok górski. Z podziemi, z ogromnych składów hurtowych, tragarze wynoszą ciężkie paki towarów, ładują je na wozy, platformy, taczki i gdzieś wywożą. W powietrzu brzęczy szczęk żelastwa, szarpie ucho skrzypienie kół, gardłowe okrzyki woźniców, pastwiących się nad wynędzniałemi szkapami, świst batów, a w źle oświetlonych i niepozornych kantorach wymiany szaleje huragan olbrzymich tranzakcyj walutowych.

Nad odmętem Nalewek góruje pieciopiętrową bryłą dom Perlmuttrów, w dziedzińcach rozgałęziony w prostokąty licznych oficyn, z których jedna, trzypiętrowa, mieści trzeciorzędny hotel, posępną, lecz niezwykle dochodową budę. We frontowej, głównej części gmachu, przeznaczonej na lokale prywatne, mieszka tylko gospodarz domu, pozostałe pomieszczenia zajęły kantory cudze lub własne licznych przedsię-

biorstw Perlmuttra. Piętra budowli spajały szerokie kamienne schody, stale brudne i zaniedbane, a już w dni słoty wprost przeraźliwie niechlujne i śliskie.

Mieszkanie Perlmuttrów miało aż dwanaście pokojów, z których pięć najobszerniejszych i najwyższych stanowiło galowy, odświętny apartament, pozostałe zaś, ciasne i niskie, połączone z salonami długim kurytarzem, były przeznaczone do codziennego użytku rodziny, przyczem każdy z jej członków posiadał oddzielny pokój. W owej odświętnej części mieszkania, tchnącej chłodem i stęchłą martwotą, znajdowała się ciężko i bez smaku umeblowana jadalnia z marmurowym kominkiem i wysokim, sięgającym aż pod sufit rzeźbionym kredensem. Kiedy w tym bogato zdobionym pokoju rodzinka siadała do stołu, można było zauważyć dalsze braki i jaskrawe kontrasty: popstrzony mnóstwem plam obraz, zmięte serwetki, talerze bez sensu z różnych serwisów pozbierane, tandetę sztućców różnego kalibru i kształtu.

Odżywiała się rodzina obficie, nie skąpiąc grosza na jedzenie, ale potrawy na stole Perlmuttrów dziwnie jakoś były niesmaczne i na wygląd nie zachęcające. Dom bowiem istniał bez gospodyni. Perlmutter-ojciec i Perlmutter-dziad przed kilku laty owdowieli prawie jednocześnie, a upudrowane krótkonogie pannice z kwaśnemi uśmiechami na ustach nie miały zwyczaju wstawać przed jedenastą i śniadania jeść inaczej, jak w łóżku. Po domu wałęsało się to stale zaspane, w zmiętych szlafrokach, ponieważ ze strojów i gotowalni korzystano tylko w wypadkach wyjątkowych.

Meble w salonach i w gabinecie Perlmuttra-taty, rozstawione bez najmniejszego poczucia smaku, raziły bezduszną symetrją. W olbrzymich płytach luster, oprawnych w mahoń i palisander,

odbijały się złocone ornamenty foteIów i nędzne kicze w kosztownych ramach. Popielniczki, cacka, drobiazgi etażerkowe — wszystko to przypominało poczekalnię lekarza lub rejenta, liczącego się z możliwością kradzieży, jakiej w saloniku może się dopuścić przypadkowy pacjent lub interesant.

Prześwietnemu gościowi dano dwa pokoje. Perlmutter-tata odstąpił mu swój gabinet, a sąsiedni salon zamieniono na sypialnię.

Siedemdziesięcioletni Abram Perlmutter-dziadek, którego pracy rodzina zawdzięczała nietylko ten dom, ale jeszcze kilka innych kamienic, wycofał się już z labiryntu interesów, by w spokoju pielęgnować swą długą siwą brodę i świderki pejsowe i nie rozstawać się już nigdy z ulubionym chałatem, oraz aksamitnemi butami z futrzanemi wyłogami. Trzymał się Abram dziadka. W przeciwieństwie do syna i wnuków, świecących platyną i złotem koronek, dziadunio żuł jeszcze kompletem własnych zębów. Ale też wnuki i wnuczki nie darzyły dziadka temi oznakami szacunku, jaki charakteryzuje obyczaje rodzin żydowskich i stosunek do siwych włosów — młodzież nie uważała za stosowne nachylić się nad ręką dziada, lub choćby wstać na powitanie, zastępując to niedbałem kiwnięciem głową. Inne względem starca było postępowanie Perlmuttra-ojca, którego nie raziła tak, jak wnuków, niechęć dziadka do korzystania z widelca, lub widok czapki, a w sobotę — staroświeckiego cylindra z szerokiem rondem.

Gdy Tirpitz na Bielańskiej spytał Edwarda o cel przyjazdu Montebianca do Warszawy, ten dał mu znak milczenia. To „sza!“ miało pokryć zasłoną tajemnicy nieurzędowy cel przybycia, oficjalnie bowiem Weissberg-Biełogorow-Montebianco zjawił się w stolicy Polski z mandatem amerykańsko-żydowskiego komitetu, utwo-

rzonego gwoli organizowaniu pomocy uchodźcom-żydom z Rosji.

Montebianco był zbyt wybitną osobistością, by miał osobiście brać udział w zebraniach warszawskiej filji komitetu. Kierownicy i sekretarze instytucji sami zgłaszali się do dygnitarza z plikami sprawozdań i rachunków. Ci ludzie, przeważnie na stanowiskach i materjalnie niezależni, przekraczając próg gabinetu Montebianca, w obliczu ślepawego młodzieńca z zadartym nosem i długiemi czerwonemi rękoma dostawali jakiejś gorączki lęku.

Emisarjusz wysłuchiwał raportów, siedząc w fotelu i paląc papierosy tak namiętnie i tak nerwowo, że dokoła niego sypał się deszcz iskier, referenci zaś stali w postawie pełnej uszanowania, a siadali dopiero po odczytaniu sprawozdań, notabene o ile im to dostojny gość wspaniałomyślnie raczył zaproponować. Panowie z komitetu nietylko chętnie poddawali się tej dyscyplinie, ale nawet dobrowolnie sami starali się ceremonjał obostrzać, jako że tego rodzaju etykieta dawała im, zresztą bardzo bliskie prawdy, złudzenie rządu żydowskiego z hierarchją i tabelą rang.

Panowie urzędnicy, z nabożeństwem śledząc niespokojne ruchy dużych, czerwonych dłoni, wiecznie zajętych zapalaniem papierosa i poprawianiem binokli, lub zawzięcie przed samym nosem rozmówcy gestykulujących, z zachwytem dumali:

— Tą samą ręką on podpisuje takie papiery, takie ważne papiery!...

Serce bić przestawało na samą myśl o niesłychanem politycznem znaczeniu podpisywanych przez Montebianca dokumentów. Ta sama dłoń zwierała się w przyjaznych uściskach z dłońmi takich potentatów finansjery światowej, jak Sassoon, Jakób Schiff, Rotschildowie, Mendelsohn, takich czynników historji Europy, jak Lloyd Geor-

ge, Wilson, Clemenceau. Ta sama wreszcie dłoń śmiało wymierzyła policzek pułkownikowi angielskiemu, wskutek czego oficer się zastrzelił, gdy Montebianco został nietykalny. Role się zmieniły: dawniej, nawet jeszcze nie tak dawno, bici byli nie oficerowie — chrześcijanie...

Bohaterstwem Montebianca zachwycała się zwłaszcza młodzież. Idąc śladem swego herosa, grupka żydów - studentów kiedyś wieczorem na „swoich" ojczystych Nalewkach pobiła oficera polskiego. Samotny, broni i pomocy pozbawiony Polak, nie mógł napastnikom skutecznie stawić czoła, dzięki czemu bojowo nastrojony but Izraela dotkliwie go poturbował.

Punktem kulminacyjnym apoteozy była chwila, gdy przed dom Perlmuttrów zajechał wspaniały automobil z flagą Wielkiej Brytanji: to poseł angielski pierwszy Arturowi Montebianco złożył wizytę. Lokaj, w złotem haftowanej liberji i w kapeluszu stosowanym z pióropuszem, szeroko otworzył drzwi pojazdu i pomógł wyjść wysłannikowi Jego Królewskiej Mości, króla Jerzego. Wizyta trwała blisko godzinę. Domownicy wówczas stąpali na palcach, a wokół gabinetu, w którym w cztery oczy konferowali z sobą Montebianco i minister, panowała głęboka, niemal martwa cisza.

Tegoż dnia, zgodnie z przyjętą w świecie dyplomatycznym etykietą, Artur Weissberg - Biełogorow rewizytował posła Wielkiej Brytanji.

Zdarzenie to tłustym drukiem obwieściły światu pisma żydowskie, zarówno żargonowe, jak i wydawane w języku polskim.

16. Montebianco uchyla zasłony...

Kiedyś wreszcie Tirpitz, jako swój człowiek, wziął udział w ciekawej pogadance. Właściwie

mówił tylko Montebianco, pozostali zaś trzej uczestnicy narady z natężoną uwagą słuchali.

Z początku Tirpitz musiał zwalczać w sobie popęd do drzemki. Siedząc w rogu wielkiej kanapy, niskiej i niekształtnej, jak i wszystkie sprzęty tego gabinetu, nadludzkim wprost wysiłkiem woli powstrzymywał się od głośnego ziewania. Wesoło spędzona noc, a pierwej kilka kieliszków przy obiedzie, robiły swoje.

Senne zwierały się powieki ptasich oczu, boleśnie dręczyła tęsknota do wyciągnięcia się niezwłocznie tu, na tej wygodnej otomanie, ale już przy pierwszych słowach Artura Montebianco łaknienie snu minęło.

W jaśni lampy elektrycznej świeciły złote koronki w półotwartych ustach braci Perlmuttrów, Edwarda i Mojżesza. Za oknami z kimś o coś kłóciła się gderliwa noc jesienna, więc w dobrze opalonym pokoiku, pomimo jego suchej, urzędowej atmosfery, ciepło było i przytulnie. W ten dżdżysty wieczór znakomity wysłannik, nie chcąc swej cennej osoby narażać na chłód i wilgoć, pozostał w domu, zaprosiwszy młodzież do siebie.

— Cóż tam dzisiaj w prasie polskiej?—spytał z pogardliwym uśmiechem na swej małej, jak pięść, twarzy.

Już miał odpowiedzieć Mojżesz Perlmutter, ale uprzedził go brat, niczem wzorowy uczeń, który chciałby zyskać pochwałę starego nauczyciela.

— Ta przeklęta „Dwugroszówka“ — zaczął, z trudem powstrzymując się od sztubackiego podniesienia prawej ręki.

— Co, znów kolejne szczucie?—domyślał się Montebianco.

— Jakżeż mogłoby być inaczej? — wzruszył Edward wąskiemi ramionami. — Te łotry przygotowały na dziś cały bukiet antysemickiego kwiecia. Tak, cały bukiet — powtórzył zadowolony

z barwności swego stylu. — Pismo notuje szereg wystąpień antysemickich w Wiedniu, Budapeszcie i Pradze, skierowanych przeciw kolegom i profesorom—żydom.

Montebianco zdusił w popielniczce ogień wypalonego papierosa, zapalił nowego i rzuciwszy płonącą zapałkę na czerwone sukno biurka, swoją wielką dłonią wykonał jakiś nieokreślony gest.

— To są śmieszne historyjki. Nic w tych epizodzikach niema poważnego. Walka z nami, walka poważna — to trudna rzecz. Ktoś dziś już, nawet nie pamiętam kto, powiedział, że świat posiada tylko dwie doskonałe organizacje: katolicyzm i niemiecki administracyjno-wojskowy ustrój. Autor tej opinji zapomniał o trzeciej organizacji, silniejszej niż ustrój Niemiec, gdyż potęga Rzeszy w końcu runęła, o organizacji nie słabszej od katolicyzmu, z którym toczymy walkę o panowanie nad światem. Tę organizację stanowimy my, żydzi!

Ostatnie słowa wykrzyknął Montebianco kogucim głosem, wstrząsnąwszy głową na cienkiej szyi osadzoną, a z nosa spadły binokle i popiół z papierosa posypał się na marynarkę.

Bracia Perlmutter przysunęli się do swego bożyszcza. Nawet Tirpitz oderwał plecy od zimnego obicia kanapy.

Na zadartym nosie znów zaświeciły szkła.

— Czyż mogłoby być inaczej? — mówił dostojny gość.—Przenigdy! W ciągu dwóch tysięcy lat prześladowano nas, palono na stosie, nienawidzono i jak zadżumionych więziono w ghettach. Ale my, mocno zacisnąwszy zęby, skupialiśmy się w nienawiści, gromadziliśmy kapitał energji i dóbr materjalnych, przekazując pokoleniom ten niezbity pewnik, że władzę nad światem daje dopiero złoto. Pisma reakcyjne wrzeszczą ciągle, że żydostwo ma własny, zakonspirowany rząd,

a my im odpowiadamy w naszej prasie — w naszej, gdyż osiemdziesiąt procent prasy świata do nas należy, odpowiadamy, że to kłamstwo, oszczerstwo, zmyślone przez łobuzerję antysemicką. Odpowiedź ta przeznaczona jest dla szerokich mas, gdyż w gruncie rzeczy, mówiąc między nami, jako augurami ruchu żydowskiego, zarzuty wrogów naszych z prawdą się nie mijają. Organizacja tego rodzaju, jaką my stanowimy, zważywszy na rozproszenie żydów, byłaby zgoła nie do pomyślenia bez jakiejś komórki rozkazodawczej.

— Nie mogę wam, oczywiście, powiedzieć wszystkiego, albowiem pełnia wtajemniczenia jest udziałem li tylko wybranych, a zresztą pocóż macie wiedzieć wszystko? Chętnie jednak zapoznam was z szeregiem dokumentów i faktów, najdobitniej o naszej potędze świadczących, o potędze narodu, który, choć pozbawiony własnego państwa, własnego rządu — mówię tu o rządzie jawnym — i własnej armji, stanowi o losach ludzkości. Nie mamy armji — bo pocóż przelewać krew szlachetnej i starożytnej rasy, jeżeli rozporządzamy armją chrześcijańską, niby to znajdującą się w rękach swych wodzów, a w istocie... Teraz, kochani moi, z całą ścisłością możemy twierdzić, że taka siła zbrojna, stworzona na zasadach werbunku, a oprócz tego obowiązku służby w szeregach, takie wojska już posiadamy. Czy domyślacie się o jakiem wojsku mówię?

Mojżesz jeszcze zwlekał z odpowiedzią, jeszcze się wahał, znów uprzedził brata prymus Edward.

— Czerwona armja!...

— Dobrze! — pochwalił Montebianco domyślnego ucznia. — Tak jest; oto nasza siła zbrojna z naszym wodzem Trockim na czele. Kimżeż jest ów Trocki? Jest człowiekiem, jak szatan energicznym, ale Trocki na swem stanowisku

nie pozostałby nawet dwudziestu czterech godzin, gdyby nie był potrzebny tym ludziom, o których, darujcie mi to, drodzy przyjaciele, mówić z wami nie będę. W dowolnej chwili i w dowolnym kierunku możemy rzucić dwa, trzy albo nawet cztery miljony tego szarego bydełka—użyłem tu nomenklatury generała Dragomirowa, z innym tylko akcentem uczuciowym, mianowicie bez wszelkiej słabości i współczucia, jakie Dragomirow miał dla szarej masy żołnierstwa. Parafrazując słowa Bismarcka, powiedzieć mogę, że naród rosyjski jest nawozem pod zasiew potęgi żydowskiej. Armja czerwona — to straszak, którego widmem skutecznie szantażujemy zgrzybiałą, na starczy uwiąd woli i ciała cierpiącą Europę; armja czerwona — to nasze mięso armatnie, a Rosja terenem zbrojeń, obozem warownym. I oto dziś tej zawszawionej, głodnej, zdziczałej pustyni, z jej armją i czerwoną gwiazdą na sztandarach, Europa bardziej się lęka, niż Rosji carów, na której sztandarach wypisane były hasła: „Bóg, Car i Ojczyzna". Skąd ten lęk? Czyżby Rosja sowiecka taką groźną siłą władała? Bynajmniej. Rozwiązanie mamy gdzie indziej: carska Rosja bądź co bądź zmuszona była do liczenia się z opinją Zachodu, gdy myśmy pomyślnie zerwali z wszelką kokieterją.

— Żadnych sentymentów!—zawołał Montebianco, zapalając następnego z kolei papierosa.— Więc macie oto, kochani przyjaciele, obrazek naszej potęgi. Na całej linji bojowej padło nasze hasło: „Precz z monarchją!"—i oto runęły trony, potoczyły się korony, a gdzie niegdzie wraz z koronami i najdostojniejsze głowy. Potrzebne nam są republiki, nie zaś monarchje; niepotrzebni nam są cesarze i króle w pysznych mundurach, w purpurze, w blasku tysiącletnich tradycyj i chwały; natomiast potrzebni są nam prezydenci w marynareczkach, jako ludzie od nas zależni, ludzie,

którym możemy udzielić pochwały, jeżeli pracują z korzyścią dla nas, a jeżeli okażą się zbędni, to żeby musieli pójść precz, jak pochwycona na kradzieży służba. Zwróćcie uwagę na tę nieubłaganą konsekwencję, z jaką urzeczywistniamy nasz program, zwróćcie uwagę na to, jaki los spotkał Mikołaja, Wilhelma, Karola Habsburga. Z tym ostatnim, z młodzikiem, który chciał ocalić dla siebie choćby tylko koronę węgierską, postąpiliśmy jak z awanturniczo usposobionym lejtenantem: poprostu wsadziliśmy go na torpedowiec i wysłali na Maderę. Czy myślicie, że istotnie umarł śmiercią naturalną, jak o tem pisały gazety? Skąd znowu! Przecież na Maderze nawet umierający powracają do zdrowia. Tak. Trzeba było wreszcie pozbyć się raz na zawsze tego niespokojnego pretendenta, który ani na chwilę nie chciał zapomnieć, że jest Jego Apostolską Mością. A cóż powiecie o królu Aleksandrze greckim, który, ukąszony przez małpę, wyzionął ducha? Fakt faktem, małpa małpą, ale z tym drobnym szczegółikiem, że zęby zwierzęcia były zatrute jadem, a samą małpę, łagodną ulubienicę króla, sztucznie wprowadzono w stan rozdrażnienia.

Korzystając z tego, że Montebianco zajęty był zapaleniem nowego papierosa, zdystansowany Mojżesz postanowił zwrócić na siebie uwagę gościa.

— A jakże tam Anglja? — spytał nieśmiało.

— Anglja?—powtórzył Montebianco zapytanie Mojżesza z taką wyrozumiałością, jakby rozmawiał z małem dzieckiem. — Czy wiadomo panu... Zresztą pan o tem wiesz z pewnością... Otóż król angielski przed złożeniem przysięgi na wierność swemu narodowi i konstytucji, przysięgał w loży masońskiej, do której należy od czasu, gdy jeszcze był młodziutkim księciem. Król angielski to nie jest funkcja realna, to fantom,

któremu na reprezentację udzielono pozwolenia. Dla Anglji woskowa kukiełka bardziej jest odpowiednia, niż jegomość prezydent w marynareczce—absolutnie nic nam ona nie przeszkadza, więc nic dziwnego, że pozwalamy jej królować. Zresztą skorzystaliśmy z naszego wpływu na tron, oby stanowisko wice-króla Indyj obsadzić kimś z naszych. Wice-król Indyj—ładnie to brzmi, prawda, co? Były Sir Izaak Rufus, obecnie lord Montegue—wice-królem Indyj, do djabła, hę? Ciekawi jesteście, pocośmy tam żyda posłali? By w najbogatszej angielskiej kolonji poderwał urok Metropolji i jej niezachwianą dotąd potęgę. I oto powstania krajowców objęły cały obszar Indyj, czyż to nie zasługa lorda Izaaka? Ludność muzułmańska gardzi nim, jako żydem, i pogardę swą przenosi na wszystkich synów Albionu. Oto co się zowie wspaniałe posunięcie na szachownicy! Zważcie: w naszym interesie leży, by wokół wrzało, by lała się krew i waśni nie gasły, gdyż w takim dopiero chaosie spaja się nasza jedność, nasza nad światem władza. Tak jest, nasze władztwo nad całym globem. Cisnąwszy w międzynarodowy motłoch hasła wyzwolenia, temi hasłami właśnie w kajdany zakuwamy ludy obu półkul. Tam, gdzie piszemy: „demokracja, interesy demokracji“, czytać należy: „żydostwo, interesy żydostwa“. Inteligencja rosyjska pod tym względem, trzeba jej to przyznać, wiernie i uczciwie nam służyła, boć w lewicowych i, że tak powiem, lewicujących pismach pojęcia „patrjotyzm“, „nacjonalizm“ raziły złym tonem, omal, że nie uważane za wezwanie do pogromu.

Artur Montebianco przerwał swe wywody, pochłonięty zapalaniem wciąż gasnącego papierosa.

Bracia Perlmuttrowie z zapartym oddechem, z otwartemi ustami wpatrywali się w swego mistrza. Twarzy Tirpitza nie można było dojrzeć,

gdyż młody człowiek nie wychylał się z otaczającego go półmroku.

W głębokiej ciszy, jaka na chwilę zaległa w pokoju, słychać było, jak bębni o szyby deszcz jesienny.

17. Oto dlaczego...

Montebianco powrócił wreszcie do tematu:

— A wielka wojna? Myślicie, że takby się skończyło, gdybyśmy nią nie kierowali? Cóż znowu! Odrazu było rzeczą zdecydowaną, że nie będzie ani zwycięzców, ani zwyciężonych—he he! zasada arcydemokratyczna! Zasada, którą głosił wkońcu sam prezydent Wilson: ani zwycięzców, ani zwyciężonych, w ten sposób bowiem smażymy odrazu dwie pieczenie. Mianowicie: zmordowane, upływem krwi osłabione narody, zwłaszcza, jeżeli są z wyników rzezi niezadowolone, wspaniale nadają się do wszelkich ruchawek. Powtóre: zwycięstwo przyprawia o zawrót głowy, wzmaga poczucie narodowe, którego my, żydzi, boimy się bardziej, niż najstraszniejszych pogromów. Bo cóż to jest pogrom? Kilkuset, czy też kilka tysięcy rozbestwionych łobuzów upaja się rozlewem krwi, zadawaniem męk i śmierci. Oczywiście, w takich razach ofiary być muszą, trudno, ale zważcie, że nawet antysemici—rzecz jasna, że mam na myśli antysemitów kulturalnych—gardzą, brzydzą się uczestnikami pogromów. Bo pogrom, przyjaciele moi, to epizod, krwawa plama, grymas potworny, a sami wiecie, że grymas trwa niedługo. Gdy jednak masy ogarnia uczucie dumy narodowej, wówczas mamy do czynienia ze zbiorowym antysemityzmem, gdyż muszę nadmienić, za antysemitów poczytujemy nietylko tych, którzy nas nienawidzą, ale i tych, co w or-

ganizowaniu państwa chcą się obejść bez nas. A więc: wojna bez zwycięzców i zwyciężonych! Oto jasna i zwięzła formuła, którą jednak wcielić w czyn realny może tylko tak genjalna organizacja, jak my. W ciągu siedmiu lat musieliśmy wszystko widzieć, wszystko słyszeć, musieliśmy wszędzie mieć swoich ludzi, by móc o wszystkiem wiedzieć i wszystko przewidzieć. W większości wypadków trudno było uniknąć akcji bezpośredniej, żeby w razie zdemaskowania zyskać taki efekt, iż ci nasi ludzie nie dla nas, lecz dla siebie wszystko to czynią. Prawdopodobnie zażądacie przykładów? Służę...

Nowy papieros, nowa przerwa i w obłokach dymu tytuniowego znów zawibrował ostrzej, każde zosobna słowo wybijający głos, któremu nieustannie towarzyszyła rytmu pozbawiona i z treścią wywodów niczem niezwiązana gestykulacja.

— Przypomnijcie sobie, chłopcy, operację w Dardanelach, operację, która świat cały wprowadziła w osłupienie. Akcję ową przypłaciła Anglja życiem dwustu tysięcy żołnierzy, zatonięciem kilku drednotów i wydatkiem wielu miljardów funtów, nic, krom niesłychanego skandalu i klęski, nie zyskawszy. Wyprawie dardanelskiej wróżono fiasko nawet w kołach niewtajemniczonych i laików, uważano ją wprost za szczyt analfabetyzmu strategicznego. He, he, he! Zawracanie głowy, moi drodzy. Angielski dessant otrzymał rozkaz zwinięcia manatków i powrotu na pokłady okrętów transportowych w ten dzień właśnie, gdy droga do Konstantynopola była wolna i kiedy Turcy, wystrzelawszy amunicję do ostatniego pocisku, sami już pośpiesznie szykowali się do odwrotu. Gdzież jest rozwiązanie zagadki? Słuchajcie uważnie: dajmy na to, Anglicy wchodzą do Stambułu i w myśl tajnego układu, zawartego z Rosją, oddają Konstantynopol carowi. Cóż z tego wyniknie? Otóż —

Niemcy zmiażdżone, wojna skończona i zwycięska reakcyjna Rosja, daleka od wszelkich zamiarów rewolucyjnych, na długi szereg lat staje się dla żydów istnym koszmarem. Trzeba było co rychlej nastraszyć Anglję, zawrócić ją na drogę tradycyjnie podejrzliwej polityki względem Rosji, wmawiając w nią uporczywie, że jeżeli Konstantynopol odda Rosjanom, Wielka Brytanja niechybnie straci wszelki urok w świecie muzułmańskim, a za kilka lat marsz carów na Indje stanie się faktem. Niech już wojna przeciągnie się jeszcze rok, jeszcze dwa, trzy lata, ale niech Rosja wyniszczeje, niech nie otrzyma ani Bosforu, ani Dardaneli, ani pełni panowania nad morzem Czarnem, jako wewnętrznem swem jeziorem. Efekt tych straszaków był niesłychany! Zamiast ostentacyjnego marszu na Carogród, błyskawiczny, na ucieczkę zakrawający odwrót w obliczu nieprzyjaciela, który sam już się do rejterady gotował. Następnie... Na żądanie mógłbym dać cały wór faktów... A choćby, naprzykład, tak zwana bitwa jutlandzka, podczas której eskadra angielska pod dowództwem admirałów Jellicoe i Beatty zadała flocie niemieckiej pierwszy cios i już lada chwila drugiem uderzeniem miała zniszczyć całą potęgę morską Rzeszy... Gdy oto nieoczekiwanie zwycięska eskadra otrzymuje od naczelnego dowództwa radio z rozkazem niezwłocznego powrotu do brzegów Anglji. Jedno tylko mogę powiedzieć: admiralicja Wielkiej Brytanji rozkazu takiego nie dawała i Anglja dotąd nie wie, kto od zguby uratował flotę niemiecką. Nie wie, ale musi milczeć. No co? Czysta, misterna robota, prawda?

— Może jeszcze chcecie? — pytał Montebianco, kołysząc się w kłębach dymu. — Rozpatrzmy zatem front salonicki, front niesłychanie ważny, znacznie ważniejszy, niż powszechnie przypuszczano. Działając energicznie, można było od-

razu siłą zmusić Grecję do podporządkowania się interesom Ententy i tą drogą wesprzeć Serbję. Bułgarja nie ośmieliłaby się na wystąpienie po stronie Niemiec, a Austrja w ciągu kilku miesięcy musiałaby kapitulować, ale wtedy znów zawisłaby groza: koniec wojny, zwycięzcy i zwyciężeni. Szczęściem, do Salonik posłano generała Sarail'a, masona, który w ciągu dwu lat drepcąc w miejscu i patrząc przez palce na germanofilstwo Greków, dopuścił do wystąpienia Bułgarji i do rozgromienia Serbji, czem bardzo osłabił urok Francji na Wschodzie. Jako nasz człowiek robił tylko to, czego myśmy odeń żądali. Kiedy jednak miejsce Sarail'a zajął generał Franchet d'Esperay, katolik i antysemita, położenie gruntownie się zmieniło — Grecję zapędził w kozi róg, pobił Bułgarję i od najeźdzcy uwolnił Serbję. Szczęściem dla nas, zmiany te zaszły dopiero wtedy, gdy strony były już dostatecznie znużone, gdy w Rosji, leżącej u nóg Lenina, Trockiego i Zinowjewa, żołnierze zamiast hymnu narodowego śpiewali „Międzynarodówkę". Nie było już ani zwycięzców, ani zwyciężonych! Przepraszam — byli zwycięzcy: żydzi! A przecież pod koniec wojny, przed zawieszeniem broni, omal djabli nie wzięli genjalnej naszej zasady. Było to wtedy, gdy zdemoralizowana armja niemiecka, śpiewając „Międzynarodówkę", — pod czerwonemi sztandarami szła z frontu na mityngi, a Francuzi z katolikiem Fochem na czele o tem tylko marzyli, by mocniej ująć za gardło Michałka. Już generał Castelneau, również katolik, otrzymał od Focha rozkaz odcięcia odwrotu cofającym się armjom Rzeszy. Niemcom groził najzupełniejszy pogrom, gdyż Francuzi, biorąc do niewoli półtora miljona żołnierza, niewątpliwie poszliby do Berlina, by tam podyktować drakońskie warunki pokoju... Nietrudno sobie wyobrazić, jakieby to były warunki. Na gwałt trzeba

było ratować Rzeszę. W on czas, w Paryżu, odbywały się narady Trzech, mianowicie Clemenceau, L. George'a i Wilsona, czyli sędziwy „Tygrys", drugi, jak wiadomo, nasz człowiek, i wreszcie, trzeci — paralityk postępowy. Osobistym sekretarzem Clemenceau był żyd Mendl, przy Wilsonie zaś stał Lansing. Nadeszła chwila nader krytyczna, ponieważ Castelneau już miał przed nosem umykających Niemców zamknąć szlaban sześciuset tysiącami bagnetów W głównej kwaterze Foch zacierał ręce, gdy oto z Paryża nadchodzi rozkaz: Cofać się. Generalissimus demokratycznej armji nie śmiał sprzeciwić się woli rządu i kazał swemu Castelneau zaciskające się kleszcze roztworzyć.

Moment był stracony — armja niemiecka w porządku wycofywała się z zasadzki, a ze zwycięstwa pozostał tylko cień. Teraz powiedzcie, chłopcy, czy to nie genjalny... interes?

Edward i Mojżesz byli tak wzruszeni, że słowa więzły im w krtani. Wzdychali tylko z wyrazem szczęścia i rozkoszy na podnieconych twarzach.

Zadowolony z osiągniętego efektu Montebianco, połyskując z pod szkieł binokli wybałuszonemi oczyma, zapalał następnego z kolei papierosa.

— W rok potem Foch, w burżuazyjnych pismach francuskich, uczynił staremu Clemenceau zarzut prawie że zdrady, na co „Tygrys" odpowiedział mu lekceważącem milczeniem i niefrasobliwą podróżą do Indyj. Clemenceau jest jednym z weteranów masonerji, który już w roku siedmdziesiątym ubiegłego stulecia walczył w szeregach komunistów, czyli, jak to się wówczas nazywało — komunardów.

— Skończywszy z wojną światową, przechodzę do wojen pomniejszych. Mianem takich wojen obejmuję walkę bolszewików z armją bia-

łą i wojskami Polski. Już wam mówiłem, że naszą siłą zbrojną jest armja sowiecka, a miejscem zbrojeń, ogniskiem rewolucji i działań zaczepnych — Rosja dzisiejsza. Oto dlaczego tyły i front wojsk Kołczaka niszczyli eserzy łącznie z Czechosłowakami i YMCĄ, która, jak się kiedyś wyraził Kołczak, bardziej jest żydowska niż chrześcijańska. Oto macie wytłumaczenie faktu, dlaczego pomoc, z jaką Anglicy przyszli Denikinowi, ograniczała się do przysłania transportu starych żołnierskich płaszczów i zdezelowanych na zachodnim froncie tanków; oto czemu w Archangielsku i na Murmaniu, gdy tylko zwyciężać zaczęły bandy białych, Anglicy zwinęli obozy i odeszli, uprzednio spaliwszy doszczętnie eskadrę lotniczą i automobile, byle tylko białych pozostawić na pastwę losu—bez pieniędzy, środków przewozowych i ekwipunku. Oto dlaczego zawiodła eskadra angielska, mimo, że Kronsztad wywiesił już białe flagi, zdecydowany poddać się bez bitwy, a Judenicz stał pod Petersburgiem, tuż przed Narwską rogatką. Oto dlaczego tak nagle skończyła się bardzo dla Rosji sowieckiej niebezpieczna awantura krymska barona Wrangla. Nikt nie ekwipował jego bosych żołnierzy, nikt mu nie dał ani pieniędzy, ani amunicji, ani nawet drutu kolczastego, a uznanie Wrangla przez Francję, w chwili gdy ekspedycja już dogorywała, zakrawało na zwykłą drwinę, której autorem był główny Milleranda doradca w sprawach rosyjskich, żyd Petit, w istocie Klein, żonaty z rosyjską żydówką, Bałachowską.

— Oto dlaczego w r. 1919 armja polska, z łatwością doszedłszy do Berezyny, na jakiś tajemniczy sygnał zatrzymała się i wbrew wszelkim zasadom strategji ani na krok nie posunęła się naprzód. A dość było kilku jesze dni pochodu, — Denikin w on czas stał pod Orłem — by wojska sowieckie znalazły się między młotem

a kowadłem. Oto dlaczego w rok później Polacy, pędząc przed sobą w popłochu uciekające dywizje bolszewickie, mając możność zniszczyć całą żywą siłę sowietów i bez strzału zająć już ewakuowany Smoleńsk oraz Kijów, znów na czyjś władny rozkaz stanęli w miejscu. Stan, jaki się przez to wytworzył, dał bolszewikom możność nabrania tchu, a później, już na konferencji pokojowej w Rydze, przemawiać do Polaków nie w tym tonie, w jakim przemawiać powinni zwyciężeni. Oto gdzie należy szukać źródeł epopei odeskiej, która się skończyła nieoczekiwanem i niczem nieusprawiedliwionem opuszczeniem miasta przez czterdziestotysięczny korpus, złożony z Francuzów, Greków, Polaków i ochotnikow z armji Denikina. Ewakuacja Odesy, dokonana jakby ze strachu przed ośmiu stami obdartych krasnogwardiejców Grigorjewa, zadała urokowi Francji cios niezwykle dotkliwy. I tu, podobnie jak w bitwie jutlandzkiej, zdecydowało zagadkowe radio ze sfałszowaną wieścią o rzekomym upadku gabinetu Clemenceau i o dojściu do władzy lewego skrzydła socjalistów, którzy przedewszystkiem zażądali odwołania z Rosji korpusu ekspedycyjnego. W danym razie dużo zadowolenia sprawiło mi to, że generał Franchet d'Esperay, ten dyktator Bliskiego Wschodu, dostał porządnego psztyczka w nos — na tydzień przed ewakuacją miał nieostrożność uroczyście obwieścić światu, iż Odesy nie odda, a gen. Schwarz otrzymał nawet rozkaz wzmocnienia odeskiego odcinka i tworzenia rosyjskich wojsk ochotniczych.

— W takim razie... Jak to mogło się stać? —spytał zdumiony Edward, korzystając z chwili, gdy Montebianco, zajęty zapalaniem papierosa, zrobił krótką pauzę.

— Zaraz to panu wytłumaczę, drogi przyjacielu. Widzi pan, duszą tego przedsięwzięcia

był szef sztabu francuskiego korpusu ekspedycyjnego, pułkownik Freidenberg. Choć lubił on nazywać siebie pułkownikiem Freidenbergiem, jako że dzięki tej zmianie nazwisko do pewnego stopnia oczyszcza się z brzmienia żydowskiego, jednakże, powtarzam, był to zwyczajny sobie Freidenberg. Sądzę, że dalsze wyjaśnienia byłyby już zbyteczne.

Artur Montebianco zataił jeden szczegół: ucieczka Francuzów z Odesy kosztowała Moskwę pięć miljonów rubli złotych, tyle bowiem wynosiła łapówka, jaką dostał pułkownik Freidenberg. W on czas była to suma tak znaczna, tak bardzo wysoka, że szef sztabu Freidenberg nie zawahał się splamić munduru armji, w której miał zaszczyt służyć.

CZĘŚĆ DRUGA.

I. Rywalki.

Bejzym postanowił najpierw napisać scenarjusz, a dopiero potem poszukać odpowiednich sił wykonawczych. Główne role kobiece powierzył hrabinie Szapary i Łabędzkiej, przyczem doświadczenie mówiło mu, że na filmie efektowniej wyjdzie twarz Magdaleny, niż hrabiny, chociaż pani Julja posiada szereg jej tylko właściwych a cennych zalet: sprężystą kibić i szczególną jakąś plastyczność, a ponadto — pyszne dekoracje z wspaniałych futer i kosztownych strojów.

Wprawdzie ani Julja, ani Magdalena nigdy dotąd przed aparatem kinematograficznym nie występowały, ta jednak okoliczność bynajmniej nie trwożyła Bejzyma.

— Bardzo ważną rzeczą—tłumaczył paniom—jest umiejętność wydobywania z twarzy silnego wyrazu, a sztuką tą powinny władać z łatwością istoty, umiejące trafnie myśleć i głęboko odczuwać. Ekspresja —jest to warunek naczelny, reszta bowiem sama się zjawi i ułoży. Trzeba się starać być naturalną, jak w życiu — przy stole siedzieć całkiem zwyczajnie, zwyczajnie jeść, przechadzać się, kłócić, kołysać dziecko, całować, ani na jedną chwilę jednak nie zapominając, że pa-

nie znajdują się przed aparatem, a więc w pewnej z góry wyznaczonej przestrzeni z kategorycznym zakazem chowania twarzy i spoglądania w objektyw aparatu. Otrzaskanie się ze sceną, technikę ruchów, posiądą panie w ciągu najdalej dwóch tygodni. W celach pedagogicznych i doświadczalnych, nim przystąpimy do filmowania obrazu, powinniśmy wykonać dwadzieścia lub trzydzieści metrów zdjęcia próbnego.

Na próbnej wstędze zmusił Bejzym swe bohaterki do pokazania się w ruchu i w mimice. Egzamin wypadł bardzo korzystnie—hrabina i Łabędzka doskonale uzupełniały się wzajemnie. Skłonna do ruchów rytmicznych, spokojna Magdalena traciła swą nierażącą zresztą tuszę, podbijając serca jasną twarzą o oczach, lśniących poświatą nocy tropikalnych, naturalnym cieniem okolonych oczach, które na ekranie zdawały się jeszcze głębsze, jeszcze większe i bardziej hypnotyczne.

Gdy Łabędzka po raz pierwszy zobaczyła siebie na małym doświadczalnym ekranie, wstrząsnął nią dreszcz radości a jednocześnie strachu. Nie poznała siebie samej—niby ona, a jednak nie ona. Uczucie zupełnie inne, niż, gdy się w lustro patrzy: w zwierciadle widzi się tylko swoje przelotne odbicie, film zaś pozwala oglądać jakieś drugie „ja", od chwili rozdwojenia wolne i swojem własnem życiem obdarzone. Rzecz dziwna: człowiek spogląda na siebie i widzi to, czego dotąd w sobie nie spostrzegał i nie znał. Chciałoby się patrzeć, patrzeć bez końca, żarłocznie, nienasycenie.

W ciągu całego dnia Łabędzka była pod wrażeniem tych „trzydziestu metrów", jakie na nią z ekranu jakby przez czyjś sen spojrzały. To niezbadane dotychczas uczucie co do siły i charakteru porównać można chyba tylko z wrażeniem, jakie daje pierwszy wzlot aeroplanem.

— Niech pan mi powie prawdę, panie Ignacy,—dopytywała się, jakby pod uciskiem męki.— Szczerze jak przed Bogiem proszę mi powiedzieć, czy będzie pan miał ze mnie pociechę?

— Nawet dużą pociechę. Niewątpliwie zostanie pani artystką, ale jeżeli... zamierzamy koronować się na królowę ekranu, to uprzedzam zgóry: trzeba zeszczupleć. Figurę ma pani piękną, w linjach harmonijną, wszystkie proporcje są świetnie zachowane, tylko trzeba pozbyć się wszystkiego, co zbyteczne, i to pozbyć się, nie tracąc proporcji. Potem udzielę pani kilku wskazówek z zakresu gimnastyki; kilka chwytów, kilka podstawowych ruchów i wszystko będzie dobrze. Niech pani zajmie się tem co rano, zaczynając od pięciu minut i stopniowo ćwiczenia przedłużając aż do półgodziny. Po dwóch miesiącach pani samej siebie nie pozna.

— Schudnę?

— Nietylko schudnie pani, ale poczuje się lekką, sprężystą i dziarską. Cała waga pani, cały ciężar gdzieś się podzieją, całkiem je pani zgubi...

Międzynarodowy Haille na rozkaz Julji Szapary dostarczył Bejzymowi jeszcze kilka miljonów na zaliczki dla aktorów. Łabędzka dostała miljon na garderobę.

Dając jej zawiniętą w gazetę pokaźną paczkę pieniędzy, Bejzym rzekł z miękkim uśmiechem, który tak zmieniał jego smagłą i męską twarz:

— Pani Magdaleno, niech się pani tak bardzo znów nie rujnuje — według scenarjusza jest pani skromną i niezamożną kobietą. Trza mieć parę zwykłych sukien domowych i palto zimowe.

Co za szczęście! Nareszcie Magdalena rozstanie się z tym nieszczęsnym kortem, ozdobionym futrem z małp. Boże, czyżby rzeczywiście miały się skończyć dni nędzy, kiedy to nabycie dodatkowej koszuli trzeba było okupić wyrzecze-

niem się zaspokojenia innych, nie mniej pilnych potrzeb?

— Bejzym życie umilił i dał mu jakąś ludzką barwę, nietylko panu, ale i mnie nawet— zwierzała się raz Gagarinowi. — Czy rzeczywiście będzie jeszcze jakieś jutro, moje jutro, z ziarnem nadziei i radości? Jakaś przyszłość, wypełniona porywająco ciekawą pracą? Aż boję się dać temu wiarę, zwłaszcza, że po tych wszystkich perypetjach swych przyszłam do przekonania, żem jest skończona, aż do finału dośpiewana istność...

— Kobieto, błagam panią, strzeż się grzechu! Mając lat dwadzieścia pięć i te warunki, w które można przyroda panią wyposażyła, żywcem leźć do grobu?... Nie, to niesłychane!

— Tak, wiem, że, przeciętnie rzecz biorąc, dwadzieścia pięć lat—to dopiero ranek życia. Ranek, gdyby nie te szalone lata bólu, zadum, samotności do szaleństwa, drogich mogił... Czasem zjawiał się wprost wstręt do życia... Nacóż cały ten karuzel, pytałam siebie. Poco? Naco? Tych kilka groszy zarobku, nora w niechlujnym hoteliku, herbata z suchym chlebem, kartofle we wszelkich postaciach, jako najtańszy środek odżywczy... Drogi książę, pan pamięta, jaką ja miałam w Petersburgu figurę? Niech pan porówna z tem, co jest teraz.

— I teraz, pani Magdaleno, niema naco się skarżyć. Pani właściwie jest w typie Rubensa, z tą tylko różnicą, że jego kobiety były blondynki, gdy pani...

— Dziękuję za porównanie!—przerwała Łabędzka.—Ładna mi nimfa rubensowska, puchnąca od odżywiania się kartoflami! Wiele w tem poezji, nieprawdaż?

— Poezji! Cóż za wymagania, patrzcie państwo! Obecnie człowiek powinien Bogu dziękować, jeżeli jest wymyty, jako tako ubrany, jako

tako najedzony i do siebie samego wstrętu nie czuje. Dzięki Bejzymowi chodzę do banku, odrabiam korespondencyjne kawałki za dość przyzwoitą gażę i żyję sobie jak król. Zimno mi się robi, gdy pomyślę, że ręce moje pokryte były skorupą odcisków, te same ręce, które dotykały tylko klawiszów fortepianu, a przez rękawiczkę— uzdy. Od walców Chopina i beethovenowskich, sonat do znojnej pracy w tartaku — oto dystans nielada!... Ziemianka, brud, roje robactwa, zdziczenie i ta nieznośna pogarda, wstręt, jaki się do siebie samego czuło bezustannie... Ale wszystko to dobre, co się dobrze kończy — w tej banalnej sentencji tkwi jednak żywa prawda. Oto i na panią pądł promień słońca — wyprowadzi panią Bejzym na radosną i światła pełną drogę sztuki... Przekonamy się, że ta przypadkowa znajomość z moim przyjacielem okaże się dla pani fatalną...

— Fatalną? — spytała Łabędzka, słowo to wiążąc z innem, niż Gagarin chciał, znaczeniem. Trwając w nieporozumieniu, powtórzyła ten wyraz, ale już w szepcie myśli.

Choć Gagarin w tej chwili nawet na nią nie spojrzał, ale ona jakby się zawstydziła słodkich przypuszczeń, które gorącym prądem niepokoju obiegły jej ciało, zostawiając na twarzy purpurowy ślad rumieńców.

Przed kilku dniami w hali, podczas oglądania próbnych zdjęć, Bejzym zapoznał Magdalenę z hrabiną.

— Według scenarjusza mają panie być rywalkami—uprzedzał żartobliwie.

— Czy tylko według scenarjusza? — ostro i przykro podkreśliła hrabina żart majora, przez szkła *face-à-main* mierząc Magdalenę wzrokiem i jakby dając do zrozumienia nietaktownem swem pytaniem, że choć ma już do Bejzyma pewne prawa, jednak w danym razie daleka jest od uczucia zazdrości.

Łabędzka, zazwyczaj skromna i łagodna, wytrzymała wbity w nią oszklony wzrok, odpowiadając wyniosłem spojrzeniem swych pięknych, głębokich oczu.

W tej niemej scenie rozegrało się pierwsze kobiece starcie, odbył się pierwszy pojedynek, pierwsza rewja i przegląd sił.

Hrabina miała zbyt wiele rozsądku, zbyt znała życie, by urodę Łabędzkiej oceniać tylko z jej bardziej niż skromnej szaty. Zdawała sobie sprawę, że kobieta, mająca taką powierzchowność, jutro, jeżeli tak zechce traf, stanąć może przed nią w przepychu kosztownych futer i w łunie brylantów. Wprawdzie w zachowaniu się majora nie zauważyła nic takiego, coby mogło wskazywać na jakąkolwiek względem egzotycznej brunetki zalotność, ale Julja Szapary aż nadto dobrze wiedziała, że od zdawkowych umizgów stokroć niebezpieczniejsza jest ta ciepła troskliwość, jaką Bejzym otacza Magdalenę. Instynktem kobiecym wiedziona, odgadła, że w sercu młodej brunetki wykluwa się coś więcej, niż zwykłe uczucie wdzięczności:

Zapragnęła tedy zrobić Łabędzkiej jakąkolwiek przykrość, byle zaraz.

— Drogi majorze—rzekła—proszę podać mi ramię i pójść ze mną obejrzeć dekoracje.

Olbrzymi atleta, by spełnić rozkaz, musiał aż się nachylić. Przytulona do ramienia siłacza, hrabina oddaliła się w głąb hali.

Magdalena, boleśnie przez Węgierkę dotknięta, poczuła znów smak łez i osamotnienie. I choć tłumaczyła sobie, że z Bejzymem nie łączy jej nic więcej krom przyjaźni, jednakże tylko wysiłkiem woli powstrzymała się od łez.

Bejzym wziął się do roboty. W głowie miał już całkowity szkic obrazu, pełnego porywających niespodzianek i kawałów od pierwszej do ostatniej sceny. Trzeba było tylko pomysł prze-

lać na papier, to jest wykonać tę pracę, której Bejzym organicznie nie cierpiał. Skreślenie zwykłej notatki było już dlań męką nie do zniesienia, a przecież scenarjusz pochłonie co najmniej dwadzieścia stronic skrobania piórem. Praca obliczona chyba na rok czasu.

Szczęściem, znalazło się wyjście z trudnego położenia. Łabędzka, mając wolne wieczory, będzie do Bejzyma przychodziła i w ciągu paru wieczorów wszystko pod dyktando napisze. W ten sposób atleta pozbędzie się nienawistnej zmory biurka, z nudy pisania liter wyzwoli się ręka, nie do pióra przyzwyczajona, lecz do szpady, szabli, do uzdy, do ćwiczeń gimnastycznych, do uderzeń boksu. Poza tem będzie śliczny pretekst do wręczenia wdowie przyzwoitego honorarjum i do obcowania w jej towarzystwie, które nań działa w sposób szczególnie uspokajający. Istotnie, w towarzystwie Łabędzkiej siłacz czuł w sobie przypływ jakiejś miękkiej, pogodą darzącej jaśni.

Ale oto znów hrabina... Hrabina budziła w nim inne zgoła uczucia. W promieniach jej oczu ciałem i duszą jego opanowywała drapieżna bestja nienawiści, a jednocześnie pożądania. W takich chwilach Julja Szapary, znalazłszy się sam na sam z Bejzymem, wpadała w zwierzęcy strach, jaki nikła i drobna samica odczuwa przed wielkim, dzikim samcem.

W takich razach Julja uruchamiała całą zbrojownię wdzięków i czarów. Nieruchome, szeroko rozwarte oczy błagalnie przenikały do dna duszy, by potem zgasnąć, ukryć się w zwartych powiekach, jakby na znak kapitulacji. Falowały cienkie nozdrza zlekka zadartego noska, a ciało, którego prężność i urok kształtu Julja znała wybornie, wiło się jak liana, nęcąc ruchem oddania.

Ale chwyty takie nie poskramiały bestji, przeciwnie wzmagały tylko napięcie instynktów.

W dreszczowym tchnieniu zmysłów smagła twarz Bejzyma nabiegała krwią, a oczy traciły ludzki wyraz. Takie oczy miewał major, gdy w swoim czasie rąbał szablą Niemców pod Stanisławowem, kozaków Budennego pod Zamościem, a w Radzyminie, wziąwszy się pod bok, z konia przyglądał się wieszaniu na rynku czerwonych baszkirów i komisara Dienstla.

Czasem zaczynała Julja żałować, że się dała wciągnąć w szaloną grę. Pierzchała komedja robionej żądzy, a całem jestestwem kobiety trząsł inny już zgoła dreszcz — dreszcz nieskrywanego lęku. Nie trwożyła hrabinę myśl, że Bejzym może wziąć ją siłą — najmniejszą rolę grała tu zagrożona cnota niewieścia—natomiast wył strach, że w ataku niesamowitym ten potwór złamie ją, zniszczy, spopieli, że z istności jej śladu nawet nie zostanie...

On zaś nagle wstawał, pozostawiał Julję jej otrząsom trwogi i sam biegł do domu, by cisnąwszy na podłogę gorączkowo zdartą z siebie odzież i bieliznę, pogrążyć się całem ciałem z rozpaloną głową w lodowaty ziąb pośpiesznie przyrządzonej wanny.

2. Najciekawszy moment.

Otrzymaną zaliczkę Łabędzka przeznaczyła na uzupełnienie swej wątłej garderoby. Gdy się ubrała w modne okrycie z futrzanym kołnierzem, pod którem wytworna suknia dyskretnie tuszowała jej pełne kształty, gdy główkę ozdobił szeroki czarny kapelusz — trudno było w tej damie poznać do niedawna jeszcze ubogą i zaniedbaną samotnicę.

Bejzym zauważył nietylko zmianę powierzchowności, ale i wewnętrzną metamorfozę. Jak ręką odjął minęło poczucie ubóstwa i bezradno-

ści, zjawiła się werwa i wiara we własne siły, chęć podobania się wszystkim, wszystkim, ponieważ kobieta, jak słońce światłem, gotowa jest pięknem swem świat cały nasycać.

Ta zachłanność wdzięków sięgała przedewszystkiem po Bejzyma, który kiedyś, spotkawszy się z Łabędzką, zdumiony zadrżał:

— Pani Magdaleno, jaka pani jest...

— No, jaka mianowicie? — spytała tonem wyzwania.

Tak jest, wyzwania. Jeszcze przed kilku dniami nie mogłaby się na takie brzmienie zdobyć, na taki blask oczu i uśmiech zalotny. Teraz jednak, gdy już zrzuciła z siebie brzemię groszowych rachunków, gdy po rozkoszach kąpieli świeże ciało poczuło na sobie cienką uperfumowaną bieliznę, gdy na obciągniętych w jedwabne pończoszki nóżkach zaświeciły modnie wydłużone lakierki, teraz w Magdalenie ocknęła się dwudziestopięcioletnia kobieta, zgórą od czterech lat, lat ciężkich przejść, troski i codziennych kłopotów, pozbawiona pieszczoty i rozkoszy pocałunku.

— Więc jaka jestem?—powtórzyła zaczepne pytanie.

— Wie pani, początkowo myślałem, że pani już piękniejsza być nie może, a okazało się, żeśmy zyskali na urodzie jeszcze jakich pięćdziesiąt procent...

— Tylko? Czemu nie ośmdziesiąt?

— Pani jest nienasycona!

— Mówię zupełnie poważnie. Możność i umiejętność utrzymania się na wyższym poziomie kultury cielesnej, jak również sztuka odpowiedniego ubierania się, wzmaga urodę kobiety conajmniej o ośmdziesiąt procent. Szczególną radość sprawia mi to, że przedewszystkiem panu obowiązana jestem...

— Na Boga, dość, dość! — oburzył się Bej-

zym. — Co za szczególna namiętność do dziękczynień! Jak się okazuje, cierpi na nią nietylko Gagarin, ale nawet i pani. Umówmy się zatem, ale raz na zawsze: żadnych podziękowań, żadnych wdzięczności. Takie akty do tego stopnia mię zawstydzają, że zaczynam się czuć arcygłupio, wyjątkowo głupio...

— Dobrze, już więcej nie będę, jak to mówią małe dzieci — śmiała się Łabędzka. — Więc zacznijmy pracę. Pisać będę z podwójną przyjemnością. Pierwsza, że to ja mam notować pana myśli...

— Co takiego? Myśli? Niech pani da spokój i myślą nie nazywa szablonowej fantazyjki, przeznaczonej na użytek tłumku, ulicy. No, a ta druga przyjemność?

— Druga wypływa z zaspokojenia czysto kobiecej ambicji — wiem, że w scenarjuszu uwzględni pan też i moją osobę. Zgaduję nawet rolę, jaką mi pan wyznaczy: rolę cichej, skromnej, zapomnianej owieczki. Tak, dopust Boży, gładko zaczesane włosy, miłość bez wzajemności...

— Właśnie. Brawo! Zgadła pani od początku do końca.

— Nic w tem nie widzę trudnego. W dramacie popisywać się będą dwie bohaterki — ja i madame Szapary ze swoim przepychem, z *face-à-main* i innemi ornamentami tygrysicy. Jeżeli więc ona istotnie ma być tygrysicą, to mnie pozostaje rola owieczki, tego bowiem wymaga szablon kinematograficzny.

Bejzym wniósł małą poprawkę.

— Hrabina Julja ma być nie tygrysicą, lecz panterą.

— Czy nie wszystko jedno, jak drapieżnik się nazywa? Ale dość już napletliśmy głupstw.

— Jestem do usług pani. Na stole mamy papier, pióra, atrament.

Łabędzka sprawnie siadła przy biurku i, umoczywszy pióro w kałamarzu, czekała. Bejzym zgasił wielki kandelabr, pozostawiając na biurku jedną tylko, przysłoniętą zielonym kołpaczkiem lampę, której światło jasnym kołem padało na biały arkusz papieru i pochyloną nad nim główkę w ciężkim zawoju starannie przez fryzjera uczesanych włosów.

Tymczasem major, wygodnie rozparłszy się na sofce i ssąc żarzące się w półmroku cygaro, pracowicie zbierał i wiązał myśli. W pewnej chwili zajęła go jasna smużka karczku, wychylająca się z pod kołnierza sukni. Dopiero teraz zauważył silne linje i pełny kształt szyi, które nietylko, że nie psuły harmonijnej całości, lecz jakby uwypuklały zmysłową wrażliwość tej tak młodej i tak w gruncie rzeczy mało życiem nasyconej istoty. Tych linij rasową szyję i wielkopański podbródek, spotyka się na rzymskich płaskorzeźbach, wyobrażających dostojne matrony Romy. Wprawdzie nie da się tego powiedzieć o całości profilu Magdaleny, ale to i lepiej—twarze matron mają w zbyt ostrym rysunku coś męskiego, a Magdalenę zdobi przecież miękki cień wąsików nad górną wargą i wokoło oczu przyrodzona, błękitna pomroka, na całą twarz rzucająca łagodne jakieś przyćmienie.

Siedziała Łabędzka z opuszczonemi powiekami, bez ruchu, wpatrując się w białe pole rozłożonego papieru, i tylko pióro zlekka drżało w jej palcach. Dziś, a zwłaszcza teraz, w tej chwili, gdy ma na sobie spojrzenie męskie, odgadła, odczuła, że Bejzym patrzy na nią nie tak jak dawniej, nie tak jak przyjaciel, lecz jako mężczyzna. Patrzy, nietylko patrzy, delektuje się. Niemożliwa do zwalczenia duma gorącym rumieńcem powleka twarz, a w jakimś dalekim zakątku duszy rozegrał się zatarg zawstydzenia i lęku z uczuciem szczególnie jakoś słodkiem...

Bojąc się, żeby on nie zauważył jej spłonienia, postanowiła przypomnieć o swej roli sekretarki.

— Panie Ignacy, jestem już dawno gotowa do pisania. Czy natchnienie zawiodło?

Nawet nie usłyszał, w swe dumy zasłuchany. Tak, z nią wypadłoby to zupełnie inaczej. Siąść razem, blisko obok siebie, ukradkiem węzeł jej włosów rozwiązać i poprzez pachnącą czarną przędzę spojrzeć w duszę, wyzierającą przez te dziwne oczy. Wtedy upaść na kolana i kraj szaty pokornie ucałować.

— Dawno jużem gotowa, panie majorze — powtórzyła Magdalena w nowej tonacji: rozkapryszenia i nakazu, a więc z nutą, na którą jeszcze przed pięcioma minutami nie pozwoliłaby sobie pod żadnym pozorem, a która teraz zadźwięczała, jako subtelny wyraz nieuchwytnych praw kobiety, świadomej swej władzy nad mężczyzną.

— Ah, przepraszam, pani Magdaleno — poruszył się nagle Bejzym. — Właśnie obmyślałem szczegóły pierwszej sceny...

Ocienione puchem kąciki ust Magdaleny drgnęły zlekka.

— No, i co pan wymyślił?

— Tak, tak, wymyśliłem — zawołał Ignacy i otrząsnął się, jakby chcąc od siebie odpędzić urok białej szyi i tęsknotę za rozpuszczoną czarną przędzą pachnących włosów...

A że umiał nad sobą panować, więc się skupił i zaczął dyktować; rzucając twarde, krótkie zdania, które pracowicie podchwytywała urocza sekretarka. Wiersz po wierszu pokrywał się papier wytwornem, z gotycka zaostrzonem pismem. Bejzym z materjału wyobraźni, jak rzeźbiarz z gliny lepił żywe postaci swego teatru. Powstawały szeregi obrazów, ludzie we wspaniałych salonach, to znów w jakimś szynku z pod ciemnej

gwiazdy, później w chacie leśniczego, to znów pod gołem niebem wśród bogactw przyrody.

Pierwszą część — scenarjusz przewidywał tych części aż sześć — ukończono tak szybko, że Bejzym się ucieszył.

— Całą godzinę pracowaliśmy—biedna pani Magdaleno!

— Wcale nie biedna. „Lloyd" nie tak mimusztrował w pisaniu.

— Co pani myśli o początku dramatu?

— Rzecz obmyślona jest żywo, zajmująco, nawet porywająco. Z niecierpliwością oczekuję ukazania się „owieczki" na scenie.

— Owieczki się zachciewa?—śmiał się Ignacy.—W akcji wystąpi z początkiem drugiego aktu. Tylko niech pani nie myśli, że ta kobieta do końca ma owieczką pozostać. Byłoby to wstrętne i nudne, więc żeby obraz od nudy uchronić, budzi się w niej...

— Pantera, tygrysica?—przerwała rozbawiona Magdalena.

— Nie—kobieta, kochająca kobieta. Zbudzi się wreszcie temperament, a najłagodniejsza, najcichsza kobieta, jeśli posiada skarb temperamentu...

Zabrzęczał dzwonek telefonu.

— Hallo! — zawołał Bejzym w aparat i pilnie słuchał.

Łabędzka nie miała żadnych wątpliwości, że to dzwoni hrabina Szapary; więc też skupiła się w sobie, wyprostowała, ochłodła. Na twarz jej padł cień przykrości.

Bejzym zaś słuchał, chwiał głową, ukradkiem spozierając na swą sekretarkę. Do uszu Łabędzkiej dochodziła zaledwie stłumiona miazga dźwięków, podobna do niespokojnego trzepotania się ptaka w zamkniętem pudle.

— Co ja robię? Piszę scenarjusz. Kiedy? Dajmy na to, za trzy albo za cztery dni będzie

gotów... Co takiego? No, przecież nie mogę ferować o sobie autorecenzji, pomimo, iż pierwszy akt dobrzy ludzie jakoś chwalą... Kto chwali? Mój sekretarz... Czy mężczyzna?...

Patrzał na Magdalenę z uśmiechem, przeznaczonym jednak nie dla niej, lecz dla swej nieoczekiwanej rozmówczyni.

— Czy mężczyzna? Niech pani zgadnie... Ah, tak! Już się gniewać zaczynamy? Hallo! Hallo!

Ptak przestał się trzepotać w zamkniętej skrzynce—telefon zamilkł.

Bejzym położył tubę na widełkach, w nijakim uśmiechu starając się ukryć swe zmieszanie.

— To nasza dyrektorka, hrabina Szapary—objaśniał.

— Czemu nasza? Niech pan powie—moja.

— Właśnie, że już nasza. Ponieważ pani wstąpiła do zespołu, a imprezę finansuje hrabina, więc—nasza...

— Niech już tak będzie. „Nasza" dyrektorka, jak widzę, czuwa nad panem.

— Czuwa nade mną? Cóż pani wygaduje!—nienaturalnie śmiał się Bejzym.

— Zresztą, to nie moja rzecz — z chłodną obojętnością stwierdziła Magdalena. — Ale nasza dyrektorka przerwała nam rozmowę. Powiedział pan, że najłagodniejsza niewiasta, jeśli Stwórca natchnął ją prądem temperamentu... To co?

— Więc gdy taka kobieta pokocha, to staje się drapieżnikiem o paluszkach, zakończonych szponami, któremi wywalcza swoje szczęście i bronić go potrafi zajadle.

— Tak jest—pomyślała Magdalena, poczem spytała:

— Dziś już pewnie pisać nie będziemy. Czy mogę... wracać do domu?

— Pisać nie będziemy, istotnie, lecz nie

znaczy to, bym nie protestował przeciw pani odejściu. Pani przecież nie zechce mi odmówić swego towarzystwa przy wieczerzy, którą spożyjemy, gawędząc, jak w pierwszy wieczór naszej znajomości. Pamięta pani?

Ale choć Magdalena gorąco pragnęła zostać, nad pragnieniem górę wzięło inne uczucie. Czemu do rozmowy ich wdarł się podstępnie telefon? Czemu twarz Bejzyma, gdy mówił z panią Szapary, stała się jakaś obca i sztywna?

Ruchem stanowczym powstała.

— Niestety, panie majorze, muszę sobie tej przyjemności odmówić. W domu oczekuje mię zatrzęsienie pracy, moc pracy....

Powtarzała uporczywie swą kłamaną wymówkę, torturując się perspektywą samotnego wieczora—wieczora bez końca i iskry ciepła.

— Bardzo żałuję, pani Magdaleno.—Proszę się przyznać, że ukąsiła panią jakaś mucha?

Nie odpowiadała, dumna i zamknięta w sobie.

Lekko wzruszywszy ramionami na znak bezsilności, trzymał gospodarz w pogotowiu okrycie gościa.

— Więc do jutra o tej samej porze?

— Tak, o tej samej porze.

Po trzech dniach scenarjusz był już skończony i Bejzym, uprzedziwszy dyrektorkę o swem przyjściu, zaniósł jej rękopis.

W apartamencie Julji zastał cieplarnianą temperaturę. Rozpalony kominek ział upałem. Hrabina w swem błękitnem i pajęczo cienkiem kimono przypominała jakiś barwny, jadowity kwiat.

Gdy wszedł, Węgierka niezwłocznie drzwi zamknęła na klucz.

— Aby nam nikt w czytaniu nie przeszkodził.

Koło sofy, na okrągłym i niskim stole, przy-

gotowane były tace z owocami, koniak, likiery i cukry.

— Czem się pani perfumuje? — spytał Bejzym, czując coś w rodzaju zawrotu głowy. Do mózgu uderzył mu mocny i słodki czad zapachów, jakiemi w rozprażonej atmosferze salonu promieniowały szaty i ciało Julji.

— Czem? Jest to moja własna kompozycja... Sekret... Żadnych nadto informacyj. Scenarjusz pan przyniósł?

— Oto jest. Służę pani.

— Walka z niedźwiedziem uwzględniona?

— Oczywiście! Wszak to ma być największą atrakcją obrazu. Zajdzie jednak pewna drobna zmiana, nieznaczne odchylenie od pierwotnie powziętego planu, mianowicie scenę z polowaniem musimy dać dopiero w samym końcu obrazu. Chociaż co do siebie jestem pewien i spokojny, ale wszystko trzeba przewidywać. Wszak bestja może mię podrapać lub uszkodzić...

— Uszkodzić?—oburzyła się Julja.—Jaki pan ma szkaradny styl!

— Lepiej przygotować się na możliwość niespodzianek, łaskawa pani. W Ameryce najniebezpieczniejsze historje wyczynialiśmy zwykle pod koniec roboty.

— Cóż, pan lepiej się na tem zna. A proszę mi powiedzieć, czy według scenarjusza mam być świadkiem pana walki z niedźwiedziem?

Bejzym potwierdził skinieniem głowy.

— Brrr — wzdrygnęła się Węgierka. — To musi być straszne. Chociaż, właściwie, lubię silne wrażenia. Nie napróżno jestem panterą.

— Jak widzę, rola ta bardzo się pani podoba. Pantera z blizną na policzku... Cóż, bądź co bądź styl jest...

— Dziękuję za taki styl! Czrezwyczajka w Moskwie, krwiożerczy inkwizytor—Łotysz, ba-

dania, pogróżki i w końcu strzał *à bout portant*. Przy sposobności opowiem panu dzieje tej stylizowanej ozdoby, a teraz lepiej przystąpmy do...

Gestem białej ręki wskazała zastawiony butelkami stół.

— Myślałem, że przeczytamy scenarjusz?

— Niech mi go pan zostawi, sama przeczytam. Proszę wziąć swój kieliszek. Dziś chcę być pijana, oszalała, chcę dokazywać i robić głupstwa. Czy pan słyszy: chcę robić głupstwa.

— A co pani głupstwem nazywa? — spytał ciężko dysząc — z wzrokiem posępnie utkwionym w biel jej ramion, jaśniejących w szerokich rękawach kimono, podobnych do listków jakiejś dziwnej rośliny.

— Proszę nie być takim ciekawym i nie wyprzedzać wypadków. Niech pan pije.

Nawet nie dotykając ustami szkła, wlał w siebie kleistą, jak płynny szmaragd zieloną i gęstą zawartość kieliszka. Julja niebawem poszła za jego przykładem. Usta jej stały się wilgotne i lepkie.

Patrzała na Bejzyma nieruchomym wzrokiem. Ale teraz to nie była gra.

— Niech pan mi powie, jaka w scenarjuszu jest najciekawsza scena ze mną?

— Najciekawsza, ale dla kogo: dla pani, dla mnie, czy dla nas obojga?

— Dla nas obojga.

— Ach, tak. Zatem scena, gdy chwytam panią na ręce i uciekam.

— Chwyta pan i... Czemu pan tak na mnie patrzy?

Zadrżała. W lęku tym nie było nic udanego.

— Proszę nie patrzeć tak na mnie. Ale ja bardzo proszę... Lękam się jakoś tych spojrzeń..

Istotnie, wzrok jego był trudny do zniesienia. Przyczyną zatrważającego wyrazu oczu nie

mógł być tylko sam atak rozkiełznanej żądzy. Patrząc na pół nagą Węgierkę, Bejzym uprzytomnił sobie nagle, że takie samo błękitne kimono miał na sobie Heller w ten dzień, gdy mściciel cięciami straszliwej rózgi poszarpał na strzępy cienki jedwab japoński. Potęga wrażenia i asocjacji była tak przemożna, że w Bejzymie nad żądzą wszechwładnie zapanowała nienawiść.

Ale dość było lękliwego gestu hrabiny, cofającej się pod naporem straszliwych spojrzeń, by zmysły wybuchły ze zdwojoną siłą.

Runął więc olbrzymi faun na błękitną, w trwodze skamieniałą nimfę.

Chciała krzyknąć, ale dźwięk zamarł na jej ustach.

Oszalałemi dłońmi drąc pajęczą tkaninę, pod którą na białem, żałośnie trzepocącem się ciele od żelaznych uścisków obficie występowały sińce, sycił Bejzym swą zemstę za dwa tygodnie niebezpiecznych, szarpiących nerwy igraszek.

3. Kozieł w okrągłych okularach.

Trudna przeprawa oczekiwała petenta, który, nie zaopatrzywszy się w poważne rekomendacje, chciałby dotrzeć do Weissberga-Montebianco. W najgorszym razie przed nosem zatrzaskiwano mu drzwi, w najlepszym zaś trafiał do Edwarda albo Mojżesza, którzy, jako pseudo-sekretarze przyboczni znakomitego gościa, rozpoczynali badanie: skąd interesant pochodzi i w jakiej sprawie przybywa? Tylko nielicznym wybrańcom losu, dokumentnie przefiltrowanym, włącznie aż do zawartości kieszeni, w których mogła się czaić zdradziecka broń, udawało się uzyskać posłuchanie u żydowskiego ministra Palestyny.

Hiacynta Walentynowicza Chownę coś z pięć

razy odprawiano z niczem — jego zmięty kapelusz i zrudziałe palto jakoś w nikim nie wzbudzały zaufania. Wreszcie, za szóstym już razem, Edward, przypadkowo znalazłszy się koło drzwi, wpuścił Hiacynta do przedpokoju. Uczynił to, lecz niezwłocznie do rasowo wschodniego nosa przyłożył uperfumowaną chusteczkę — od gościa tchnęło nieznośnym, koźlim odorem. Zresztą Hiacynt rzeczywiście podobny był do kozła, któremu na nos rozdokazywane sztubaki włożyły szkła okularów. Czoło miał niskie i szerokie, w górze porosłe strąkami z sierści. Podobieństwo do tego stopnia jaskrawe, że dziwny się wydawał brak rogów na mocnym łbie.

Odgadł Edward w przybyszu żyda. Wskaźnikami rasy były nietylko końce zaostrzonych muszel usznych, ale i typowy krój oczu oraz gęsta na twardej czaszce sierść.

— Czego pan sobie życzy?

— Chciałbym się widzieć z panem ministrem.

— W jakiej sprawie? Treść jej proszę mi zakomunikować, a dopiero potem...

— Przepraszam, a z kim mam zaszczyt.

— Jestem osobisty sekretarz pana ministra.

— Aaa, bardzo mi przyjemnie, bardzo przyjemnie—uśmiechał się Hiacynt Chowno, pokazując swe krzywe uzębienie. Przybyłem w sprawie, iż się tak wyrażę, w sprawie gazety. Kampanja wyborcza już się rozpoczyna, więc nie od rzeczy byłoby pomyśleć o założeniu w Warszawie rosyjskiej gazety do walki o prawa dla mniejszości narodowych. Panu, jako powiernikowi pana ministra, mogę się przyznać, że mam na myśli nie sawinkowowską „Swobodę“, gazetę mniej więcej rosyjską, ale dziennik żydowski, w języku rosyjskim wydawany. Będziemy....

— Dobrze—przerwał mu Edward. — Zameldużę o tem panu ministrowi.

— Dzięki, stokrotne dzięki! Kiedy mogę się dowiedzieć, jaka będzie pana ministra odpowiedź?—z przymileniem, nie rozstając się z uśmiechem, wypytywał Kozieł.

— Niech pan zajdzie, dajmy na to, jutro o tym samym czasie. A jakie jest pańskie stanowisko społeczne?

— Moje stanowisko... Jestem, widzi pan, kandydatem praw uniwersytetu w Charkowie i pomocnikiem adwokata przysięgłego z pewną przeszłością publicystyczną.

— Doskonale. Proszę więc przyjść jutro.

Nazajutrz wątpliwie pachnący Hiacynt, po czterdziestu minutach oczekiwania w przygnębiająco wspaniałym a sztywnym salonie, był przez Edwarda wprowadzony do gabinetu pana ministra. Młody Kuszer-Perlmutter czynność tę wykonał z fantazją raczej adjutanta: przepuściwszy Hiacynta, stuknął obcasami i zrobił klasyczny „samowar", sprowadzony z Austrji na potrzeby musztry polskiej.

Zwrot wstecz i Edward wyszedł z pokoju, prawdopodobnie srodze żałując, że zamiast munduru pospolity żakiet nosić musi na sobie. Palestyński minister i Chowno pozostali bez świadków w dyskretnem odosobnieniu.

Hiacyntowi znakomicie się powiodło: dygnitarz, przed którym z trwogą szacunku stanął, był niesłychanym, wprost anegdotycznym krótkowidzem. Choć Montebianco wybałuszał wypukłe, jakby z orbit wypadające oczy, choć mocno osadzał swe binokle, nic krom niejasnego konturu dostrzec nie mógł. We mgle rozpływała się nieogolona twarz oraz wszystkie szczegóły ubioru: tabaczkowa, niemiłosiernie zniszczona marynarka, brudny i przepocony kołnierzyk, jakiś bez sensu związany krawat i wypchane w ko-

lanach postrzępione spodnie z ciemnego materjału w drobne paski.

Zato powonienie pan minister miał najzupełniej normalne. Pociągał więc maleńkim noskiem niespokojnie, w przekonaniu, że gdzieś w pobliżu muszą być ślady kociego noclegu.

Hiacynt mówił prawdę. Był rzeczywiście aplikantem adwokackim, miał ukończony uniwersytet ze stopniem kandydata praw, co mu widać nie przeszkadzało z wyglądu przypominać raczej miszuresa z jakiegoś obskurnego zajazdu w Białymstoku lub Dubnie.

Montebianco nie zauważył tej dysharmonji. Pan Chowno jako taki, nie zaciekawiał zupełnie wielkiego człowieka. Tematem rozważań miała być tylko zajmująca propozycja, z jaką Hiacynt się zjawił.

— Proszę, niech pan siądzie. Mój sekretarz meldował mi o pańskich projektach. Pomysł wydawania gazety po rosyjsku, przeznaczonej do obrony interesów żydowskich, bardzo mi się spodobał. Czy jest pan obeznany z dziennikarstwem?

Kozieł gniótł w ustach uśmiech pokornej uniżoności, był bowiem przekonany, że wyraz jego od kilku dni nieogolonej twarzy minister widzi.

— Czy jestem?... Ależ tak, niewątpliwie. W Charkowie wypadło mi redagować pismo pod nazwą „Prawnik dla wszystkich“, a poza tem stale pisywałem do wydawanej w Elizawetgradzie „Swobody“. Mogę udowodnić to wycinkami, wklejonemi do zeszytu...

— Nie trzeba. Wierzę i bez tego. Poza tem to nie ma znaczenia. Panu chcę powierzyć stanowisko redaktora odpowiedzialnego, ponieważ istotne kierownictwo objąłby doświadczony dziennikarz, towarzysz Wiszniewski z misji sowieckiej. Naczelną władzę sprawować będę ja sam,

od czasu do czasu zasilając pismo artykułami wstępnemi.

— Ooo!—obłudnie cieszył się Hiacynt.

— Wiele potrzeba pieniędzy na początek?

— Na początek... Zaraz to panu ministrowi powiem... Na początek trzeba będzie wyłożyć miljonów, miljonów...

Bał się Hiacynt podać zbyt niską sumę.

— Myślę, że jakie piętnaście miljonów — wykrztusił wreszcie, pocąc się ze wzruszenia.

— Zgoda. Zaraz dostanie pan czek.

Poczuwszy grunt pod nogami, Hiacynt odzyskał tupet.

— Przekona się pan minister, że niebawem tę sawinkowowską „Swobodę" doprowadzimy do ruiny. Bo czem w gruncie rzeczy będzie owa „Swoboda", gdy do współpracownictwa zaprosimy szereg najznakomitszych piór?

— Naprzykład kogo?

— Naprzykład Czyrykowa.

— Czyrykowa? Zanic. Łobuz pogromowy. Kogo więcej?

— Kupryna...—już słabiej proponował Hiacynt.

— Pod żadnym pozorem. Łobuz pogromowy. Poza tem kogo?

— Bu... Bunina?...—szepnął zmieszany prawnik.

— Pogromowiec. Dziwi to pana? Zaraz rzecz wyjaśnię. „Gromiła" jest nietylko ten, kto fizycznie w pogromach udział bierze, lecz również i ta kategorja ludzi, którzy nie idą z nami. Niema dużego znaczenia fakt, że Kupryn, Czyrykow i Bunin całkiem nie pisują o żydach, decyduje bowiem to, co oni mówią i jak myślą. Czy pan mię zrozumiał?

— Zaczynam rozumieć. To rzeczywiście bardzo, bardzo... zdumiewające.

— Słuchaj pan dalej. Może ci się to bar-

dzo przydać w publicystyce. Wszystko, absolutnie wszystko, zaczynając od artykułów wstępnych a kończąc na drobnej notatce kronikarskiej, słowem wszystko powinno być ujęte ze stanowiska interesów żydowskich. Czy pan przegląda wielki dziennik „Nowiejszyja Izwiestja"?

— Tak jest, codziennie. Z prawdziwą niecierpliwością wyczekuję chwili, kiedy tę gazetę mogę kupić.

— Właśnie. Prowadzi ją stary technik dziennikarski, Paweł Skiss, a subsydja wydawnicze ma ode mnie. Sprawa tak jest w „Izwiestjach" postawiona: jeżeli, naprzykład, ma się gdzieś odbyć jakaś konferencja, jaki zjazd międzynarodowy, to nasz wywiad ma ustalić, czy i w jakim stopniu konferencja odpowiada naszym interesom. Gdzieś, dajmy na to, obraduje zjazd emigrantów rosyjskich, musimy zatem wyszperać, co się tam o żydach mówi i co się przemilcza. Oto najważniejsza, naczelna zasada wywiadu, Następnie!.. Przyjeżdża, naprzykład, z ramienia Wrangla jaki Kartaszow lub Kuźmin-Karawajew i zapowiada odczyt. Wówczas Paweł Skiss posyła na odczyt swego reportera ze ścisłemi instrukcjami: zbesztać, wyśmiać, wydrwić. Przeciwnie rzecz się będzie miała, jeżeli się zjawi napoły obłąkany Lwow i w odczycie o Korniłowie zajmie życzliwe dla nas, socjalistyczne stanowisko. Wtedy reporter otrzymuje rozkaz roztaczania wokół prelegenta nimbu pochwał. Powstaje, przypuśćmy, następująca kombinacja: dowiadujemy się o zamierzonych awansach lub nominacjach na premjerów, ministrów, gubernatorów, dyrektorów policji, rektorów wszechnic, kardynałów, naczelnych inżynierów i t. d., a dowiedziawszy się, musimy zasięgnąć jeszcze języka, jak się nominaci zapatrują na sprawę żydowską. Jeżeli stwierdzamy, że osobistość jest naszą kreaturą, wówczas zyskuje nasze poparcie, w razie prze-

ciwnym—obalamy ją, do czego przyczyni się jednolitość naszego frontu. Trzeba znać przeszłość człowieka, wyszperać momenty kompromitujące, by mogły cień rzucić na jego imię, w razie zaś braku konkretnych danych, można zawsze coś skomponować, zmyślić, wykorzystać wrogów, byle tylko przeciwnika pogrążyć. Wszakże mówią Francuzi: „Oczerniajcie, oczerniajcie, zawszeć coś tam z tego zostanie". Umiemy przychodzić ludziom z pomocą, ale też i umiemy grzebać ich żywcem. Rozumie pan?

— Rozumiem—odpowiedział Hiacynt, drżąc w świętem zachwyceniu. Kolanka nowozaciężnego redaktora leciuchno dygotały w wypchanych workach spodni.

— W b. Rosji zdołaliśmy wytresować dla siebie czołowe warstwy inteligencji i najoświeceńsi ludzie w oczy nam patrzyli z wyrazem winy na twarzach, jakby prosząc o przebaczenie, iż są Rosjanami, nie zaś żydami. Wszak pan pamięta, że w rosyjskiej prasie lewicowej takie pojęcia, jak „potęga Rosji" lub „patrjotyzm", uważane były za objaw złego tonu, czemś w rodzaju patentu na pogromowca. Tak oto sprawy się mają, panie, panie...

— Chowno.

— Aha... Oto masz pan, panie Chowno, program naszej gazety. Czy pan się nań zgadza?

— Czy się zgadzam? Co za dziwne pytanie! Ja wprost nie jestem w stanie wyrazić tych uczuć, jakie mną miotają! To jest właśnie ten program, który nocami niepokoił moją głowę. Jakiż rzut szeroki, co za głębia! Przecież to genjalny pomysł!

Artur Montebianco zapalił papierosa i, uporczywie gestykulując, ciągnął dalej swe wywody. U wylotu rękawa wiła się niespokojna, przez bezpośrednie sąsiedztwo z białym mankietem jeszcze czerwieńsza, ręka.

— Nie sądzono nam było zmiażdżyć Polaków siłą oręża w roku dwudziestym, dzięki propagandzie postaramy się uczynić to w dwudziestym drugim. Na ten cel gotowi jesteśmy bez wahania i żalu przeznaczyć miljardy. Ludzie, których nie można byłoby kupić, nie istnieją, trzeba tylko wiedzieć, ile kosztują i jak do dzieła wziąć się należy; tych zaś, którzy na drodze naszej stanęli lub na sprzedaż iść nie chcą, tych osaczamy ze wszystkich stron, pozbawiamy ich rozmachu życia lub zgoła niszczymy. Ale jak się pismo będzie nazywało? Czy już jest koncesja?

— Owszem, panie ministrze, już mam koncesję na „Warszawskije Otgołoski".

— Jak?: „Warszawskije Otgołoski"? Zresztą nazwa nie ma znaczenia. Więc pamiętaj pan — odrazu, już w pierwszych numerach trzeba będzie rozpocząć nagankę przeciw tej kanalji, Winarskiemu. Czy ma pan jego życiorys?

— Życiorysu, niestety, nie posiadam, — wolno, cedząc sylaby, odparł Hiacynt.

— I to też drobiazg. Postaraj się pan dyskredytować go w oczach wyższych władz administracyjnych. Winarski żonaty jest z Rosjanką, trzeba zatem puścić plotkę, że pani jest monarchistką, a pan służył w carskiej ochranie. Przecież pan wie, o co mi chodzi... Jakiś epizodzik z lat studenckich, jakaś uwiedziona szwaczka, jakaś niezupełnie wyraźna historyjka na tle pieniężnem. „Oczerniajcie, oczerniajcie, zawszeć tam coś pozostanie? A gdy z Winarskiego pozostaną żywe zwłoki, z duszą doszczętnie wytrutą i spaloną, wówczas można będzie pomyśleć i o... O ostatecznej likwidacji...

Ostatnie zdanie Montebianco skończył w myśli.

Wyjąwszy z biurka książeczkę czekową, zwrócił się do pana Chowny z zapytaniem:

— Pan żąda?... Żąda pan na początek pięt-

naście miljonów? Zbyt skromne wymaganie. Dam dwa razy więcej, ale pod warunkiem, że pod postacią korespondentów pchniesz pan na Wołyń, na Białoruś i do Galicji gromadę doświadczonych agitatorów, których zadaniem będzie na miejscu pracować nad utworzeniem bloku mniejszości. Im więcej będziemy mieli w Sejmie głosów, tem łatwiej zapanujemy nad położeniem. Gdy się przyłączą do nas socjaliści, wówczas z mniejszości przekształcimy się w większość.

Weissberg - Montebianco, uzbroiwszy oczy w drugą parę szkieł, podpisywał czek, prawie wodząc nosem po papierze.

Ruchy czerwonej a wielmożnej ręki śledził z zapartym oddechem aromatyczny kozieł w okularach. Zdawało mu się, że jego w strąki zwinięte nad czołem szczecina podnosi się i staje dęba.

Sukces przewyższał najśmielsze marzenia. Hiacynt obliczał w myśli wysokość oszczędności, jakie można poczynić na swoją korzyść. Musi wreszcie przekonać się, jaki smak ma chleb z masłem.

— Przy żłobie politycznym można i wolno się pożywić...—przypomniał sobie gdzieś zasłyszany frazes.

4. Kwitnący Hiacynt.

Gorączka przedwyborcza już ogarnęła całe państwo. Wprawdzie namiętności polityczne jeszcze się nie rozkiełznały, jeszcze do starć z bronią w ręku nie doszło, niemniej jednak wzdłuż całego frontu wyborczego grzmiała zajadła wojna haseł agitacyjnych.

Wszystkie stronnictwa jedynie do siebie wzywały wyborców — z trybun gazet, z oklejonych różnokolorowemi plakatami płotów i murów.

Nie przeoczono żadnego środka, byleby tylko przeciwnika w oczach mas zniesławić. Szczególnie w akcji tej odznaczała się lewica, jakby urzeczywistniając przypadkowo podsłuchane wskazówki Weissberga-Montebianco, w które minister palestyński sowicie zaopatrzył niewyrobionego jeszcze w dziennikarstwie Hiacynta Chownę.

Każdy, nieco bardziej znany kandydat prawicy na posła lub senatora musiał przejść przez cuchnące błoto miotanych nań oszczerstw. Bestja złego kłamstwa, jadowitą pianę z pyska tocząc, napastowała przeciwnika ze zwierzęcem zdziczeniem. Na murach domów ukazały się karykatury z odpowiednim tekstem. Ah, gdyby te zatrute wiersze śmierć zadawać mogły!

Ten pan oto za Mikołaja nosił białe szambelańskie spodnie, a poniżej pleców dwa złote klucze; tamten otrzymywał od Niemców subsydja, ów zaś chlebem i solą witał generałów rosyjskich, gdy na czele wojsk cara zajmowali Lwów i Czerniowce.

Prawicowe ugrupowania odpowiadały humorem i sarkazmem karykatury, świetnie ośmieszającej socjalistycznych i żydowskich kandydatów. Utalentowani rysownicy świetnie umieli uwydatnić zwyrodniałe typy jednych i semickie, drapieżne rysy drugich.

Jak oszalałe, gnały po mieście otwarte samochody i niezgrabne ciężarówki. Dziesiątki rąk pracowicie rozrzucały pliki odezw. W powietrzu unosiły się chmury kartek, podobnych do przestraszonego stada mew. Jak dziwne jakieś czworokątne liście, z dziwnych drzew jesienią strącone, szeleściły pod nogami przechodniów warstwy zdeptanego papieru.

W owe dni Nalewki podobne były do oblężonej twierdzy, skąd do obozu nieprzyjaciela coraz to jakaś wycieczka wyruszała. Na miasto puszczał się wtedy samochód z grupą żydów

i dużym żydowskim transparentem na długiej żerdzi i, rozrzuciwszy na Bielańskiej, albo na placu Teatralnym, agitacyjną bibułę, pośpiesznie zmykał na rodzime swoje Nalewki.

Bojowe wycieczki nie miały określonego wzoru. Czasem zamiast maszyny galopowało kilka dychawicznych, co chwila batem dopingowanych szkap dorożkarskich. Za dorożkami, obładowanemi żywym bagażem semitów z transparentami, sunął tłum gapiów, bawiąc się łapaniem „białych ptaków". Czasem taką dryndę wyborczą konwojowała biegnąca w cwał eskorta honorowa, złożona z żydków-skautów w polowych mundurach i australijskich kapeluszach z szerokiemi rondami. Niektórzy z tych „obcych krajowców" dęli w fanfary, dzięki czemu całość robiła wrażenie jakiejś wesołej, lecz sensu pozbawionej szopy.

Ale pod szatą bałaganu kryła się zorganizowana, z fanatycznym uporem do celu swego dążąca siła. Automobilowe i konne wypady z fanfarami i eskortą harcerską były jeno wesołą maską, grymasem, kierowanym przez konspiracyjny sztab główny, który się mieścił w sercu nalewkowskiej twierdzy, oblężonej, lecz mimo to w ostateczny triumf święcie wierzącej.

Hiacynt Chowno założył swój „interes prasowy" w dwóch pokojach hotelu przy ul. Długiej. Gruba łapówka, dana obu portjerom, sprawiła to, że jakby na skinienie różdżki czarodziejskiej nagle znalazły się dwa wolne pokoje, z których jeden Hiacynt przeznaczył na gabinet dla redaktora, a drugim miała się redakcja podzielić z administracją.

Nowe stanowisko bynajmniej powierzchowności Hiacynta nie zmieniło. Ten sam nieogolony wizerunek w okrągłych szkłach, nie zmienił się też i głupi jakiś w idjotyczne centki krawat, pozostała ta sama wymięta koloru cykorji marynarka

i wzdęte na kolanach spodnie w paski, ten sam brudny, przepocony kołnierzyk.

Za to zjawiła się pycha. Hiacynt zaniechał przymilnych uśmieszków, natomiast dumny ze swego stanowiska tłumowi głodnych dziennikarzy, którzy się do nowopowstającego pisma zlecieli, nie szczędził ordynarnych gestów i upomnień.

Pensje i honorarja były tak nędzne, że w osłupienie wprowadzały nawet wygłodniałych na emigracji wychodźców.

— Panowie,— oświadczył świeżo upieczony redaktor—wiedzcie, iż zaczynamy bardzo skromnie. Mego dziennika, jako ideowego organu mniejszości, pragnącego jako tako żyć w granicach Polski, nie finansują ani banki, ani inne przedsiębiorstwa; wątły nasz budżet oparł się na wdowim groszu, zaoszczędzonym i na cel szlachetny oddanym przez sympatyków gazety. Dlatego też na początek najwyższa gaża nie może przewyższać siedemdziesięciu pięciu tysięcy miesięcznie. Ja sam, proszę panów, żyję byle jak, zarabiam bardzo mało, ponieważ jako człowiek idei, mamoną najmniej się przejmuję.

Kłamstwo poszło jak z nut: Chowno wyznaczył sobie pół miljona miesięcznej gaży.

Współpracownikom Rosjanom mawiał:

— Narazie powstanie w Polsce niezależne pismo rosyjskie! O, to nie będzie sawinkowowska „Swoboda", poufny organ Belwederu!

Z dziennikarzami-żydami spotykał się Chowno poza redakcją, petlurowcom zaś, którzy do gabinetu jego wnosili rozwydrzenie w ruchach i krzykliwy sposób mówienia, spowiadał się:

— Więc przyjmijcie do wiadomości, że sam jestem Ukrainiec, urodzony nad Dnieprem w tem miejscu, gdzie dawniej była Sicz zaporoska, zniszczona przez tę rozpustnicę, Katarzynę II. Powiem wam nawet, że w żyłach moich płynie krew zaporoska...

Ukraińcy sceptycznie się uśmiechali, słuchając tych zapewnień zaporożca z odstającemi uszyma i zbitą sierścią nad niskiem czołem. W żaden sposób nie mogli sobie tego kozła wyobrazić z krzywą szablicą przy boku i w żupanie, ponieważ jednak Hiacynt był im potrzebny, więc ostrożnie milczeli.

Już w pierwszych numerach gazety Chowno dowiódł niezbicie, iż jest pilnym uczniem Artura Montebianco, narazie jeszcze zbyt tchnącym prowincją i niekoniecznie zręcznym, ale bądź co bądź w piśmie już się wyczuwało sprawną pałeczkę dyrygenta i niezłą szkołę.

Nielubiane przez żydów władze administracyjne polskie, poczynając od wojewodów i starostów, a kończąc na wioskowych sołtysach, były celem zawziętych ataków ze strony nowego dziennika. Szczególnie dużo miejsca i temperamentu poświęcił Hiacynt odrazu w pierwszym numerze Michałowi Winarskiemu.

Nadmiar obcych wyrazów i nadętych frazesów do tego stopnia poplątanych, że nietylko czytelnik albo autor, ale nawet sam djabeł w gmatwaninie słów karkby sobie skręcił, najwyraźniej mówił o tem, że wzorem publicystycznym dla autora musiały być artykuły wstępne dziennika „Odesskija Wiedomosti". Gdy armja Denikina, wypędziwszy z Odesy oddziały Petlury, tępić zaczęła podziemne jaczejki bolszewizmu, pismo to — mowa tu o „Odesskich Wiedomostiach"—wszczęło alarm niemiłosierny z powodu rzekomego niebezpieczeństwa, jakie ze strony wojsk narodowych groziło „demokracji".

I otóż, sięgnąwszy do zbrojowni banalnych i doszczętnie już wytartych komunałów, Hiacynt eksplodował straszliwym artykułem, skierowanym w stronę Winarskiego. Wprawdzie szef defensywy z nazwiska nie był wymieniany, ale prze-

zroczystość aluzyj nie nastręczała żadnych wątpliwości kogo mianowicie gazeta ma na myśli:

— „Rycerz żelaza i postronka, wróg śmiertelny demokracji, którą jak kat dusi wbrew nakazom konstytucji polskiej... Zaciekły reakcjonista, który z nad brzegów Fontanki przywiózł podłe metody carskiego departamentu policji i carskiej ochrany".

Denuncjacja kończyła nię słowami:

— „Rzecz jasna, że pan, o którym mówimy, nie może wyznawać zasad demokratyzmu choćby dlatego, że żonaty jest z Rosjanką, damą o wybitnie monarchistycznych przekonaniach. Najwidoczniej pani owa musiała się starannie zakuć w pancerz protekcji i wpływów, skoro nie dzieli losu grupy ultramonarchistów, na mocy rokazu władz wygnanej z granic Polski".

Artykuł poszedł. Oczy Hiacynta z pod szkieł przeświecały blaskiem zadowolenia. Wzrokiem i szczerzeniem płaskich, zrośniętych z sobą zębów zdawał się Hiacynt żądać pochwał od głodnej czeladzi, dumnie zwanej „gronem redakcyjnem".

Ludzie z odrobiną sumienia milczeli, natomiast mniej wrażliwi wyciskali z siebie pochlebną opinję:

— Ale też pan ma cięte pióro, panie redaktorze! Takiego zadał pan bobu Winarskiemu, że posadę straci niewątpliwie.

— Tego to już nie wiem, moi panowie, — skromnie tłumaczył się Chowno. — Wiem tylko tyle, żem obowiązek uczciwego dziennikarza i obywatela spełnił. Naszem zadaniem jest przywiązywać do pala hańby tych wszystkich, którzy swą nienawiść do człowieka zaspokajają metodami Stołypinów i jemu podobnych oprawców z epoki Mikołaja II.

Spadł na Hiacynta wielki zaszczyt. Weissberg-Montebianco zawezwał go do siebie, łaska-

wie wetknął mu w dłoń parę palców czerwonej ręki i, otworzywszy złotą papierośnicę, rzekł:

— Pal pan.

Wprawdzie redaktor nie palił, ale nie śmiał odmówić. Ostrożnie, dwoma palcami, wydłubał z kosztownego drobiażdżku egipskiego papierosa i zapalił. Ale że, nie mając o paleniu pojęcia, połknął dym, więc płuca i gardziel bluznęły parskającym kaszlem.

— Do pewnego stopnia jestem z pana zadowolony—oświadczył Montebianco.—Podkreślam że nie zupełnie, lecz tylko po części. Narazie pismo przypomina raczej jakieś powiatowe wydawnictwo... Weźmy naprzykład „Swobodę"... Zgoła z nią nie sympatyzuję, ale dziennik tchnie Europą. To nic zresztą: sam zacznę pisać, do współpracy powołam towarzysza Wiszniewskiego i braki niebawem się wyrównają. Ze swej strony zaproś pan na gościnne występy hrabiego Aleksego Tołstoja, Wietługina, Wasilewskiego-Niebukwę i przekonasz się, że wszystko będzie dobrze.

— Oczywiście, oczywiście—godził się Hiacynt.—Ale oni zażądają ogromnych honorarjów!

— Jeżeli zażądają, to zapłacimy. Wszak to nazwiska, talenty! Dam panu jeszcze pieniędzy, ale proszę dziś jeszcze napisać do nich do Berlina.

— Czy mogę się powołać na pana, panie ministrze?

— Nie, pod żadnym pozorem. Zbyt starannie Warszawa rewiduje listy, zwłaszcza adresowane do Berlina, by można było sobie w nich na jakąkolwiek szczerość pozwolić. W tych dniach do Berlina wysyłam umyślnego gońca, którym ze względu na bezpieczeństwo bagażu i poczty będzie kurjer z poselstwa angielskiego. Sam zatem napiszę i do Tołstoja, i do Wietługina, i do Wasilewskiego, pojmuje pan—ja sam...

5. Od ducha do ciała.

Tytuł hrabiowski, jak wiadomo, nawet w demokratycznej republice nie pozbawiony uroku, piękna powierzchowność, kosztowny ze starego złotogłowia turban, płaszcz sobolowy — wszystko to sprawiało, że przed Julją Szapary otworem stały drzwi do wszystkich ministerjów i sztabów.

W ciągu kilku dni Węgierka osiągnęła to, co dla cudzoziemca przeważnie było niezmiernie do zdobycia trudne: koncesję na dokonywanie zdjęć kinematograficznych z życia zarówno koszarowego, jak i ściśle wojskowego armji polskiej.

— Zagranica żywo się zajmuje wszystkiem, co jest związane z bytem młodej państwowości polskiej — tłumaczyła z czarującym uśmiechem dygnitarjatowi wojskowemu i cywilnemu.—Jestem przekonana, że nasze filmy niebawem podbiją świat cały. A prócz tego niechaj kino, jako najwłaściwszy środek propagandy, wywiąże się ze swego zadania i pokaże Europie bojową moc bohaterskiej waszej armji...

Czyż można się było oprzeć takim argumentom, zwłaszcza gdy je formułowała urocza rzeczniczka popularności polskiej siły zbrojnej?

Jednego z generałów zaciekawiły pobudki tej sympatji.

— Pani hrabino,—spytał—przecież pani, o ile się nie mylę, jest Węgierką, skąd zatem taki sentyment do naszego kraju?

— Skąd? Węgier, Polak—dwa bratanki, wasza ekscelencjo. Czyż krajów naszych nie łączą winy wspólnej rycerskiej przeszłości i tradycyjnej sympatji?

— Jest pani bardzo wymowna, hrabino, — zachwycał się generał, bez wahania podpisując zależne od niego pozwolenie.

Gdy wszystkim formalnościom biurokratycznym stało się zadość, milczący i pokorny Haille dokądś zatelegrafował, poczem do Warszawy zjechało coś z dziesięciu operatorów, wszyscy bez określonego typu, raczej o typie międzynarodowym, wszyscy jakoś do Haillego podobni. Grupka cudzoziemców rozpierzchła się po całej Polsce, krom jednego, który pozostał w Warszawie do prac nad obrazem Bejzyma.

Scenarjusz majora realizowany był w dość szybkiem tempie. Zajęto już wszystkie sceny pawilonowe, pozostawało jeszcze sedno obrazu, główna sensacja: zimowe polowanie na niedźwiedzia.

W majątku Bejzyma, na wschodniem pograniczu, oddawna już krzątał się i w lasach gospodarzył kształtem do żywego sześcianu podobny, legendarny strzelec sybirski i zagończyk, Lasota. Miał on polecenie wykryć w kniei niedźwiedzia i jak tylko pierwszy śnieg spadnie, natychmiast depeszą zawiadomić o tem swego chlebodawcę.

Aliści gajowy mógł śmiało do siebie zastosować słynną lokucję „księcia świń" z operetki „Baron cygański": „Pisanie i czytanie nie nasze jest zadanie". Łatwiej mu było loftką trafić w pyszczek wiewiórki, tańczącej na szczycie sosny masztowej, niż nagryzmolić parę słów. To też zredagowaniem i wysyłką depeszy miał się wkońcu zająć rządca folwarku, pan Łaszcz, inwalida, który stracił rękę w czasie wielkiej wojny.

Był on rządcą, tylko że w gruncie rzeczy nie było znów tak na czem rządzić: mająteczek po traktacie ryskim mocno się skurczył, rola bowiem, tudzież dwie trzecie boru odcięła granica, więc przy właścicielu pozostały zaledwie zabudowania dworskie i jaki taki kawał lasu. Stanowisko swoje pan Łaszcz zawdzięczał dobremu sercu i uczynności Bejzyma, który bezdomnemu starcowi,

a do tego jeszcze inwalidzie chcąc przyjść z pomocą, osadził go na szczątku swej posiadłości.

Prócz głównych wykonawców obrazu, to jest hrabiny, Łabędzkiej oraz majora, jako głównego bohatera, w niebezpiecznych łowach miało wziąć udział jeszcze kilka drugorzędnych sił aktorskich.

Magdalena, wiedziona instynktem zakochanej kobiety,—uczucia jej skrystalizowały się ostatecznie w miłość, do której jednak bała się przyznać — doszła do wniosku, że hrabinę łączy z Bejzymem pełny a niewątpliwy romans. Jeszcze przed dwoma tygodniami, gdy spotkała ich razem w hali, do porozumienia miłosnego między nimi było nie doszło, choć Julja Szapary starała się postępować tak wyzywająco, by nikt co do ich stosunku nie miał żadnych złudzeń.

— Czyżby on kochał ją naprawdę? — zadawała sobie Magdalena pytanie, czując, jak treść tej indagacji wewnętrznej bólem duszę jej przeszywa. — Czyżby nie dostrzegał, że ma do czynienia z oschłą i sprytną awanturnicą, której przeszłość jest równie ciemna, jak teraźniejszość? Musi być jej do czegoś potrzebny; zażyły stosunek ze znakomitym wojownikiem schlebia jej czczej dumie. Daj Boże, by tylko próżność nią powodowała i żeby nie zaszło nic takiego, co na czyste i uczciwe nazwisko rzucićby mogło cień niesławy.

Powstał więc powikłany kłąb przejść wewnętrznych. W zbudzonych uczuciach Magdaleny, uczuciach, od których usiłowała się uwolnić, a które ścigały każdą jej chwilę, zatruwając pracę dnia i ciszę nocy, w chaosie myśli, udręk, w gorących wybuchach bólu to znów pożądania rozkoszy, lęgnął się czerw dramatu.

Jeszcze tak niedawno żyła pewnością, że wciąż jeszcze kocha tylko tego, który już w mrok śmierci odszedł, kocha tą jedyną, pierwszą i ostat-

nią miłością. Jakżeż niedawno wyznała Gagarinowi, że w życiu jej z chwilą śmierci męża wszystko już się skończyło nieodwołalnie. I w rezygnacji dwudziestopięcioletniej istoty nie było ani cienia pozy.

Rzeczywiście, w ciągu tych kilku lat osamotnienia, które się w noc kaźni Mikołaja zaczęło, Magdalena cofnęła się w mgłę wspomnień. W tem odrętwieniu zapomniała o rzeczywistości zapomniała, że jest młodą, urodziwą kobietą, z pełnią praw do życia, pieszczot i rozkoszy.

Zapadła w drzemkę bezwładu i apatji, tak zresztą według trafnego spostrzeżenia Gagarina charakterystyczną dla ludzkiego stada wygnańców z Rosji.

Z tego stanu przyćmienia wytrąciło wreszcie Magdalenę spotkanie z Bejzymem. Pierwszy miesiąc znajomości upłynął na ciągłem oszukiwaniu siebie, że ten ciepły prąd, jaki ją ku majorowi skłania, to tylko serdeczna przyjaźń, która zawsze jeno przyjaźnią zostanie. Ale gdy wzrok jej starł się ze spojrzeniem hrabiny, gdy ta w hali uprowadzała z sobą Bejzyma, gdy z oczu Łabędzkiej wówczas trysnęły łzy zniewagi i bólu, treść uczuć stała się bardziej niż oczywistą...

Po zdemaskowaniu swego serca Magdalena noc bezsenną spędziła na modlitwie. Klęcząc na wąskiem łóżeczku, z dziewczęcą wiarą patrzyła w małą u wezgłowia zawieszoną ikonę. W tym chaotycznym szczebiocie zmęczonej duszy, z dziecięcą prostotą przemawiającej do Boga, była przedewszystkiem skrucha. Skrucha wobec Mikołaja, którego Magdalena obiecała kochać wiecznie. Więc do stóp Królowej Niebios wzlatywała majacząca maligna błagań o hart, o łaskę wytrwania w ślubach.

Bo walka tak była trudna! Z początku buntowała się tylko dusza, tętniąca zachwytem dla bohatera, później jednak ogniem zajęło się ciało,

pieszczot i szaleństw zgłodniałe, spragnione pocałunków, od których wrzałaby krew, zamierała przytomność, a na oczy spadał mrok zapomnienia.

Z uczuciem niewysłowionego strachu ujrzała Magdalena tę prawdę niezbitą, że zmysły jej, dotąd spokojnie drzemiące, zbudziły się dopiero w chwili, gdy na drodze jej przeznaczenia stanął Bejzym. On zapanował nad nią wszechwładnie, biorąc w jasyr sny jej i wolę. Miłość do Mikołaja inna była, nie mniej silna, lecz inna bezwarunkowo.

Obecnie, gdy warunki bytu zmieniły się na korzyść, gdy skończyło się wreszcie graniczące z nędzą ubóstwo, gdy Magdalena wróciła do komfortu a ciało pieściły batysty, nieoczekiwanie wybuchnął w niej bachiczny wprost instynkt rozkoszy. Gruzińska krew po matce, gorący ton cery, oczy znojne, niczem noc tropikalna, błękitnawym cieniem omroczone, wszystko aż nadto wyraźnie świadczyło o bujnem, żywiołowem tętnie ukrytych namiętności.

I już bez rumieńców wstydu, a raczej z uczuciem radosnego upojenia, oglądała w lustrze swój akt, starając się przybierać najbardziej malownicze i harmonijne pozy. Zgodnie ze wskazówkami Bejzyma, zaczęła na schudnięcie stosować gimnastykę rytmiczną i zabiegi wodne. Po ćwiczeniach Magdalena znów podchodziła do lustra i znów palcami wodząc po zgięciach bioder i wzgórzach piersi, czuła delikatny mat białej skóry.

Po latach zaniedbania i ubóstwa ciało powróciło do dawnej kultury. Pielęgnowała je Magdalena z przedziwną starannością, niczem odaliska, której sułtan znienacka rzucić może do nóg symboliczną chusteczkę...

Kiedy, pisząc pod dyktando Bejzyma, Łabędzka na smużce swej szyi poczuła gorący jego wzrok, zrozumiała, że w jej stosunkach z ma-

jorem nastąpił przełom, że zbliża się ta godzina, gdy sułtan może znagła przywołać do siebie odaliskę.

I tu dopiero szatańsko zadrwił z niej los. Oto Magdalena, wyzwoliwszy się z władztwa, jakie nad nią roztoczył cień mogiły, stęsknione ręce po nowe wyciągnęła życie, przemocą w sobie dławiąc zawstydzenie i lęk uwolniła zmysły z więzów wstydu po to tylko, by widzieć, jak ukochany rycerz w objęciach innej się wije. Ironja rzeczywistości przejęła ją tak wielkiem przerażeniem, że w pierwszej chwili chciała umowę z dyrekcją zerwać i uciekać z Warszawy, dokąd oczy poniosą. Ale to była tylko chwila, chwila słabości. Dość ma już roli pokornej owieczki. Film filmem, rola rolą, o szczęście jednak i prawo do miłości stoczyć trzeba zaciętą a nieubłaganą walkę.

Wstąpił w nią duch buntu, że nieoczekiwanemu przypływowi energji sama się dziwiła. Bejzym niczego nie powinien się domyślać—sponiewierana godność kobieca, zawód bolesny pozostaną jej dumy tajemnicą nieprzeniknioną.

A Julja Szapary?... Magdalena dołoży wszelkich starań, niczego nie zaniedba, byle tylko zdemaskować podejrzaną awanturnicę, która Bóg wie skąd pochodzi i gdzie tytuł hrabiowski ukradła.

Ani na okamgnienie Łabędzka nie wątpiła, że jej to się uda. Kochająca a do tego jeszcze zazdrosna kobieta jest detektywem, stokroć niebezpieczniejszym od samego Pinkertona.

6. Tajemnica ciała.

A Bejzym?

Potem, gdy zamiast studjować szczegóły obrazu, hrabina oddała się jego bohaterowi, a wła-

ściwie gdy ten zawładnął nią, gdyby kłąbkiem duszącego się z przerażenia ciała, czuł Bejzym, że go ta kobieta ciągnie i nęci coraz mocniej. Nie zdawał sobie przytem sprawy, co w tym popędzie przeważa: żądza czy nienawiść.

Gdy kończył się paroksyzm szału i skwar pieszczot stygnął, zjawiała się reakcja nie mniej gwałtowna w porywach niechęci, jak poprzedzające ją wybuchy zmysłów. Zdawało się wówczas, że nadchodzi kres porozumienia, że po pierwszej furji skruchy i żalu romans spali się w ogniu odrazy. Ale dość było drgnienia zawsze gdzieś czybających występnych ust, by olbrzym, poczuwszy na sobie oplot Djany, znów stawał w płomieniach straszliwej chuci, od której niemasz ucieczki ni ratunku.

Bejzym nie okazywał Julji nawet krzty należnego kobiecie szacunku, nie miał też źdźbła wiary, kierowała nim jedna tylko potęga: pragnienie. Potęga tak można, iż wszystkie zastrzeżenia wobec niej ginęły. Widział nieszczerość Węgierki i to, że jedynem, bodaj niekłamanem jej uczuciem, był strach. Julja naprawdę bała się tego człowieka. Z trwogi zrodziła się jej udana namiętność. Gdy widziała nad sobą skrzywioną twarz krzepkiego fauna, na szyję jego teatralnym jakimś ruchem zarzuciwszy ramiona, z pod rzęs świeciła przewróconemi białkami oczu. Zaciśnięte zęby zgrzytały, a kształtny, nosek grał cienkiemi nozdrzami,

Ta komedja temperamentu nasuwała Bejzymowi na myśl kokotki paryskie, przyjeżdżające do Ameryki na gościnne występy — porywy ich były w prostym stosunku do zaofiarowanej sumy w dolarach. Miały one ten sam zwyczaj całować półotwartemi ustami, podobnie zawracać oczyma i krasić uściski zgrzytaniem zębów. Ornamenty, budzące w końcu niesmak i wstyd — za kobietę.

Kiedyś w chwili otrzeźwienia powiedział hrabinie:

— Przecież pani mnie nie kocha?

— Wogóle nie wiem dotąd, co to znaczy miłość. Niedość panu tego, że go pragnę?

— I co do tych pragnień mam pewne wątpliwości. Uważam panią za komedjantkę.

— Za komedjantkę?— wzruszyła ramionami hrabina. — Cóżbym przez komedję zyskać mogła? Małżeństwo z panem ani mi się śni. Rujnować pana—nie mam zamiaru. Więc jakież mogłoby być źródło komedji?

— Nie wiem, to dla mnie samego jest zagadką. Stwierdzam tylko, że w pieszczotach pani tkwi kłamstwo. I że brak mi sił, by zerwać tę, to...

Bezskutecznie szukał określenia.

— Aaa! Dziękuję panu! Bardzo to było w tonie, merci. Tak, na zerwanie ze mną nigdy się pan nie zdobędzie. Wartość swą znam. Wiem, że piękna nie jestem, ale posiadam jakieś coś, do czego nawet premjowane krasawice tęsknią, a co bywa udziałem rzadkich bardzo wybranek losu. Nieprawdaż, panie majorze?

W głosie jej dźwięczała nuta bezwstydnego triumfu.

On milczał. Ale posępny wzrok, nabiegła krwią twarz i oddech wstrzymany były stokroć od słów wymowniejsze.

Tak, hrabina najdokładniej zna swą wartość, nawet nie wartość, lecz cenę, oto dlaczego Julja może być uważana za klasyczny wzór rachunku życiowego. Oto dlaczego mężowie dla jakichś tam wulgarnych stworzeń bez wahania swoje żony rzucają. Oto, dlaczego majestatem monarszych koron żonglują awanturnice i w brudnych rękach dzierżąc wraz z losami kraju dobre imię i honor najjaśniejszego kochanka, gronostajowy

płaszcz plamią piętnem skandalów. Mają, widać, jakąś tajemnicę ciała, sekret uroku i władzy.

Bejzym nie wierzył Julji. Kilkakrotnie pochwycił ją na kłamstwie. W pierwszych dniach znajomości z majorem pochodzenie blizny na twarzy tłumaczyła jako wynik „rozmowy“ z czerwonym urzędnikiem moskiewskiej czrezwyczajki, ale już po tygodniu opowieść miała inną wersję. Niby też czrezwyczajka, również sędzia śledczy, również strzał, ale działo się to wszystko już nie w Moskwie, lecz w Smoleńsku, a sędzia z Łotysza zmienił się w zwykłego marynarza.

Sprzeczności te nie uszły uwagi kochanka.

— Za pozwoleniem, pamiętam wybornie, iż to godne ubolewania zdarzenie spotkało panią w Moskwie, a nie w Smoleńsku. W ten sposób pani przedstawiła rzecz...

— Czyżby? Nie może być! Pan musiał to z czem innem zmieszać... Zresztą, tyle zniosłam, tyle razy byłam bliska obłędu, że w głowie mej powstał chaotyczny wicher wspomnień. Jeżeli się uwzględni, przez wiele katowni i mąk przejść musiałam, w jakich celach mię więziono, to nikt nie powinien się dziwić pewnym niedokładnościom...

— Bywają różne niedokładności—upierał się Bejzym.—Mam wrażenie, że terenu akcji, w której komisarz kulą dziurawi policzek, nigdy w życiu się nie zapomni. Ja, naprzykład, pamiętam najdokładniej datę swej ucieczki w przeddzień zapowiedzianego rozstrzelania, wiem — z pewnością, że rzecz działa się w więzieniu w Odesie. W pamięci pozostały mi nawet takie szczegóły, jak kształt odcisków, bąbli i sińców, jakie mi się na dłoniach od wyłamywania krat porobiły. Nie zapomnę też nigdy rysów twarzy marynarza francuskiego, który z morza wyciągnął mię na pokład torpedowca. Była to mocno ogorzała twarz ruchliwego marsylijczyka...

— Dość!—oschle przerwała hrabina. — Wierzę, że ma pan fenomenalną pamięć, ale to nie daje jeszcze panu prawa do kwestjonowania mojej prawdomówności. Zamiast ocenić to, że jesteś major jedynym człowiekiem, którego w swe przejścia wtajemniczyłam, pozwala pan sobie na jakieś śledztwo..,

I kochankowie patrzyli na siebie, jak wrogi.

Nie mniej sprzeczne były opowiadania Julji o zamku hrabiów Szaparych. Z początku kasztel znajdował się gdzieś pod Szegedynem, później przeniósł się w okolice Nowego Sadu, aż wreszcie stanął w odległości kilku kilometrów od Szombatu.

Prostota charakteru Bejzyma oparła się tej fantazji.

— Gdzież wreszcie jest owo zamczysko nieboszczyka męża pani? W Szegedynie, Nowym Sadzie czy w Szombacie?

— Ha ha ha!—fałszywie roześmiała się hrabina.—Świetny z pana komik. Więc pan nie wie, że hrabiowie Szapary są jednym z najbogatszych rodów magnackich i posiadają na Węgrzech kilka zamków? Lepiej powiedz mi pan, kiedy wreszcie wybierzemy się na te wspaniałe łowy do pana „rodowego zamku"?

— Do mego zamku?—z uśmiechem powtórzył Bejzym, drwiną zgoła niedotknięty.—Wprawdzie mój ród jest stary, bardzo nawet stary, ale Bejzymowie, jako że do rodów magnackich nie należą, zamków żadnych nie mieli i nie mają. Przywiązani do niespokojnych rubieży Rzeczypospolitej, bronili jej i przed Moskwą, i przed Siczą, i przed Ordą krymską. Gdy nas niszczono do cna, jako tako odbudowywaliśmy się i trwali tak aż do czasu nowej pożogi. Już miałem przyjemność zameldować pani, że pojedziemy dopiero o ponowie. Ujrzy pani wtedy niewielki parterowy domek, którego słomianą strzechę od nieda-

wna dopiero zastąpił blaszany dach. Ale z tego skromnego gniazda dumniejszy jestem, niż gdyby to był wspaniały zamek z kolumnadą, skrzydłami i szeregiem oficyn.

O przeszłości hrabiny wiedział Bejzym bardzo niewiele, a właściwie nawet nic, mógł się więc dziwić, skąd Julja jest tak dokładnie poinformowana o wszystkiem, co jest z jego osobą i życiem związane.

Kiedyś powiedziała:

— Pan ma zdumiewające szczęście. Nie mogę wyjść z podziwu, jak zdołał pan swe życie ocalić.

— Zdziwienie, czy ubolewanie, pani Juljo?

— Co ma znaczyć to zapytanie? Czy ciągle pan jeszcze o mej szczerej przyjaźni powątpiewa? Pan sam przyzna, że trudno jest oprzeć się zdumieniu, gdy się pomyśli, z jakich opresyj wychodził pan cało. Naprzykład, ten kawał w Mińsku, kiedy, przebrany za oficera niemieckiego, wysłał pan z miasta kilka pociągów z czerwoną gwardją... Przecież w razie zdemaskowania pseudo-Niemca groziła awanturnikowi śmierć niechybna. Co właściwie skłoniło pana do takiego szaleństwa?

— Co? Głos ojczyzny. Sprawa nasza wymagała uwolnienia Mińska od sowieckiego tałałajstwa. A pani skąd wie o tym eksperymencie?

— Oh, ja nietylko o tem wiem! — wymijająco odpowiedziała. — Muszę się przyznać, że szczegóły te budzą we mnie szczególny podziw... Mieć w panu wroga — to rzecz niebezpieczna. Albo ta pańska z Dienstlem przeprawa, zaczynając od wyratowania księżnej Siedmiogrodzkiej a kończąc na okrutnym finale w Radzyminie, na rynku, czyż to...

— Okrutny finał?—zdziwił się Bejzym.—Gdy po dwóch latach wzajemnego pościgu udało mi się wreszcie Dienstla ująć, spełniłem tylko to, com ślubował, a ślubowałem, iż hycla powieszę. Więc pani i o Dienstlu wie?

— Cóż w tem dziwnego? Nigdy nie taiłam, że się osobą i życiem pana szczerze interesuję. A proszę mi powiedzieć, wielu wogóle zgładził pan komisarzy?

— Jakoś nie liczyłem. Mogę tylko panią uspokoić, że zacny jużby się zebrał poczet. Krótko mówiąc, dobrzem sobie na odpuszczenie grzechów zapracował.

— Pan wierzy... w grzechów odpuszczenie?

— Wierzę... A jakże, wierzę...—w zamyśleniu bąknął.—Kiedyś, w latach młodzieńczych nie wierzyłem w nic, ale wojna i rewolucja pomogły mi odnaleźć Boga.

— Ach, więc to tak... — przeciągle rzekła Julja.—Dobrze, jak jednak pan nazwie swój ostatni gest, już nie w atmosferze wojny wykonany... Mam na myśli obicie tego dyplomaty rosyjskiego... Jakże go tam?... Aha, Hellera... Czy tak się nazywa: Heller?

— Przepraszam, ale rosyjskiego dyplomaty tego nazwiska nie znam, ponieważ obecnie Rosji już niema, miejsce jej zajęła Sowdepja. Czy pani wie, kto zacz jest ów Heller?

— Nie, nie wiem.

— Szkoda, bo gdyby pani wiedziała, to wówczas mój „gest" może na innyby ton zasłużył. Proszę zatem przyjąć do wiadomości, że Hellera uważać należy za mordercę, kata i bandytę. Tak, bolszewicy słonoby zapłacili temu, kto by mię w ręce ich wydał. Wręczyliby mi wtedy długi, bardzo obszerny i urozmaicony rachuneczek..,

Hrabina musnęła swego gościa zagadkowem spojrzeniem, lecz nie odpowiadała.

Po wyjściu Bejzyma w pachnącym apartamenciku zabrzęczał telefon.

— Proszę, kto mówi?

— Czy to pppani hraaabina...—jąkał się jakiś głos.

— Tak, hrabina Szapary.

— Czy abby napewno sssama osoobiście?

— Napppewno—przedrzeźniała Julja swego rozmówcę.—Czy to w sprawie gladjatora?

— Aaa! Teraz widzę, że tto ppani rzeczywiście. Kiedyż wreszcie? Nuneron zzzasypuje nas listami, podobno pali się ogniem niecierpliwości.

— Niech więc postara się nad swą niecierpliwością zapanować. Powiedziałam już: gdy spadnie pierwszy śnieg.

— Pierwszy śnieg? Czy to jaki sssymbol?

— Żaden symbol, lecz zwykłe zimowe zjawisko. Jutro o szóstej wieczorem będę tam. Dosyć już, kładę słuchawkę na widełki.

7. Grand hiszpański w egipskim gabinecie.

Tirpitz uprzedził Winarskiego:

— Niech pan się strzeże! Przygotowywany jest zamach.

Winarski spojrzał na niego wąskiemi i już nieco płowiejącemi oczyma.

— Drogi panie, pierwszy tenor operetki nie otrzymuje tylu listów miłosnych, co ja pogróżek, i to codziennie.

— Co innego pogróżka, a co innego... krótko mówiąc, ja pana uprzedzam. Sprawa jest bardzo poważna i jeżeli nie będą przedsiewzięte właściwe środki...

— Zaczekaj, młodzieńcze. Pomimo swych nielicznych lat znasz pan życie i jesteś chłopcem zgoła rozsądnym, więc sam powiedz: czy można w takiej sytuacji jakieś „właściwe środki" przedsiewziąć? Czy ciągle, od rana do nocy ma mi po piętach dreptać sfora agentów? Stwierdzam zatem, że tego rodzaju ochrona chybiłaby celu, a po wtóre nawet w sprawach naprawdę poważnych odczuwam brak wywiadowców.

Tirpitz nie mógł zapanować nad oburzeniem.

— Jakto? Więc zagrażającego panu niebezpieczeństwa nie uważa pan za sprawę naprawdę poważną? Przecież Winarski jeden jest tylko i niktby go nie mógł zastąpić.

— Co pan za głupstwa wygaduje! Ludzi niezastąpionych niema. Zresztą wierzę w przeznaczenie. Cały rozkład życia naszego już gdzieś tam nieznana Wola wykreśliła, jak plan ruchu kolejowego. Pomyśl pan tylko, jak strzegł się Plehwe. Jeździł opancerzoną karetą, a pozostały zeń jeno krwawe strzępy i nowiutka teka, z którą właśnie do Carskiego Sioła zdążał. Jeszcze ostrożniejsi byli wodzowie proletarjatu Lenin i Uricki, a jednak pierwszego z nich postrzeliła Dora Kapłan a drugi zginął z ręki studenta Kanegissera. I ku wstydowi narodu rosyjskiego Kapłan i Kanegisser—to żydzi... Cóż... Miast się rozwodzić nad rzekomo grożącem mi niebezpieczeństwem, może powiesz mi pan co nowego?

— Narazie, poza słynnym wykładem Artura Montebianco na temat potęgi żydowskiej, nic nowego nie wiem.

— I prócz jego stosunków z hotelem Rzymskim—dodał Winarski, mrużąc wąskie oczy.

— Tak jest, prócz jego stosunków z hotelem Rzymskim—wesoło powtórzył Tirpitz.—Aha, jeszcze coś, Montebianco zawiązał dość ożywioną korespondencję z Hellerem.

— Z Hellerem? A pan mówisz, że nie masz żadnych nowin! Bardzo ważna informacja.

— Przepraszam najmocniej, panie szefie, za brak pamięci. Widzi pan chodzi o to, że Heller wprawdzie wyjechał, ale niedaleko, jako że wstyd nie pozwala mu pokazać się w Petersburgu, Moskwie lub Kijowie.

— Heller, bolszewik, wstydzi się? Toż Worowskiego w Rzymie a Mostowienkę w Pradze spotkała jakaś rękoczynna przykrość, i pomimo to nic, dobrze się czują!

— Oczywiście, ale tam nie było lania aż do utraty przytomności, a poza tem na obliczu Hellera pozostały zacne ślady skandalu, co proletarjackiemu dandy chwały w kołach towarzyskich stolicy w żadnym razie nie przysporzy. Siedzi sobie biedaczysko gdzieś na Wołyniu, w sławuckim zamku Sanguszków, czy też w Zasławiu, słowem, sowiecki dostojnik na zimowych wywczasach, co nie przeszkadza mu jednak uprawiać szeroko zakreślonej agitacji bolszewickiej na kresach Polski. Jaki jest tej agitacji rozmach, świadczyć może to, że między rezydencją Hellera a Warszawą kurjerzy stałą utrzymują łączność. Oh, żeby tak dostać się jeszcze do skóry tego nicponia!

Okrągłe oczy Tirpitza zaiskrzyły się.

— Marzenia, czcze marzenia, mój chłopcze! Jeżeli hultaj tu był trudny do „wymacania", to cóż dopiero tam, na obcem terytorjum? Ale zato braci Perlmutrów każę w tych dniach aresztować. Proszę się nie dziwić, jeżeli jaki tydzień spędzisz pan w ich towarzystwie. Leży to nawet w pańskim interesie.

— Owszem, pan będzie łaskaw!—z zabawną uprzejmością kłaniał się Tirpitz.

— Wyobrażam sobie, jaki to się zrobi gwałt. Jakbym widział już ten kubeł pomyj, którym towarzysz Chowno ze szpalt swego dziennika raczy mię poczęstować. A propos... Czy jest pan pewny, że gazetę Hiacynta finansuje Montebianco?

— Żebym tak zdrów był!—wykrzyknął Tirpitz, z rozmyślną szarżą akcentując to typowe żydowskie zaklęcie.

— Tak, więc nie wymknie się nam ta sympatyczna kompanijka—z zadowoleniem stwierdził Winarski.—Trzymamy ich w saku: z jednej strony czuwa pan, z drugiej znów komisarz Maliszewski. Takie z was zajadłe buldogi, że aż muszę wasze zapędy hamować.

Godzina dziesiąta wieczorem. Rzecz dzieje się w dwupokojowem konspiracyjnem mieszkanku na Poznańskiej, które z wielkim trudem zdobył wreszcie Winarski dla tak ważnych celów, jak wywiad polityczny. Oświetlenie naftowe, ani elektryczności, ani gazu niema w starym i zaniedbanym domu. Za jakieś wywalczone grosze Winarski jako tako umeblował kryjówkę. Spotkania z agentami odbywały się tutaj, ponieważ dom, w którym szef wywiadu mieszkał, wszystkie piętra i lokale w dzień i w nocy niestrudzenie szpiegowała sfora bolszewików zarówno rodzimego, jak obcego autoramentu.

Prawie codziennie, koło północy, Winarski wieczerzał na Jasnej w małym i jedynym gabinecie restauracji, urządzonej w stylu pseudo-egipskim. Wieczerza była jednocześnie śniadaniem i obiadem. W ciągu dnia, w odmęcie nieustannej pracy, Winarski całkiem o posiłku zapominał. Łaknienie zjawiało się dopiero wieczorem, gdy po wyjściu z kieratu organizm krzyczał o pokarm i nerwy odprężały się.

Bliscy przyjaciele Winarskiego wiedzieli, że najwłaściwszem miejscem i porą na pogawędkę z nim jest właśnie godzina północna w restauracji „Egipskiej". Tam, w czterech ścianach ozdobionego niby antycznemi malowidłami gabinetu, przy mocnej kawie, różnokolorowych likierach i w dymie cygar upływały godziny na ożywionej pogawędce. Czasem ucztę przerywało ukazanie się kelnera z jakąś tajemniczą wieścią, poczem szef wywiadu ginął w wąskim i ciasnym korytarzu, gdzie nań z pilnym raportem oczekiwał rudy pan Maliszewski lub ruchliwy, niczem rtęć, sobowtór Winarskiego, Tatar Ogły, albo wreszcie któryś z agentów defensywy. Konferencja taka trwała zwykle krótko—szef albo wracał natychmiast, albo też znikał, uprzednio o swem wyjściu zawiadomiwszy towarzyszów biesiady.

W ten wieczór w gabinecie restauracji oczekiwał doktora Winarskiego osobnik lat dwudziestu ośmiu, szczupły, o bardzo wydłużonym owalu nieregularnie zarysowanej twarzy. Każdy rys, każda linja głowy świadczyła o wysokiej i subtelnej rasie, a dziewczęco delikatna cera oraz piękna oprawa ciemnych oczu tworzyły wyjątkowo efektowną harmonję.

Dumny zarys głowy i rasowe, wąskie usta dziwnie jednak odbijały od demokratycznych szczegółów zwykłego marynarkowego ubrania. Całość raczej domagała się czarnych jedwabiów granda hiszpańskiego z wieku XVI i łańcucha z orderem Złotego Runa.

Gdy Leon Liwicki—tak się nazywał młody człowiek—przed ośmiu laty kończył w Peterburgu arystokratyczne liceum Aleksandra III, kustosz cesarskiego muzeum „Ermitage", członek Akademji i artysta-malarz Liebhardt, wpatrując się w młodziutką twarz liceisty, rzekł:

— Oto patrzę na pana i myślę, gdzie to ja już ciebie, mój młodzieńcze, widziałem. Ah, prawda! W madryckiej galerji Prado znajduje się portret pędzla Velasqueza, wyobrażający Filipa IV, gdy ten był jeszcze infantem. Jak dwie krople wody jesteście do siebie podobni, może z tą tylko drobną różnicą, że masz pan nieco inny krój ust, bardziej zwarty i suchy. Dolna warga Filipa, jak zresztą u wszystkich Habsburgów. bardziej jest wysunięta naprzód. No, i w kolorze włosów też jest różnica: pan jesteś blondyn...

Kustosz zaprosił Liwickiego do swej pracowni i w ciągu trzech posiedzeń powstało bardzo cenne studjum: młodzieniec w stroju hiszpańskiego granda. Na wystawie portret cieszył się dużem powodzeniem.

Działo się to przed ośmiu laty. Obecnie książątko hiszpańskie, o oczach jak gdyby z innej twarzy przeniesionych, dumny grand, o tyle dziw-

ny, że jasnowłosy, teraz w gabinecie Egipskim czekał na Winarskiego, skracając sobie czas popijaniem kawy i paleniem papierosa.

Wreszcie zjawił się zapracowany i głodny szef wywiadu. Na widok przekąsek i karafeczki z zadowoleniem zatarł ręce.

— Już zamówiłem sobie podwójną porcję polędwicy. Chcę zjeść jak najwięcej mięsa—oświadczył. — Żadnych frykasów, żadnych delikatesów! Mięsa chcę!

— Tak jest, powinieneś odżywiać się należycie. Fatalnie zmizerniałeś, cera jakaś zielonkawa...

Mówiąc to, Leon krytycznem okiem oglądał przyjaciela.

— Cóż począć? A czy wiesz, kto tu lada chwila nadejdzie? Bejzym z księciem Gagarinem. Znasz obu, prawda?

— Ktoby nie znał Bejzyma? Z Gagarinem spotykałem się jeszcze jako liceista w Petersburgu, gdy był paziem wielkiej księżny Marji. Pamiętam blask, jaki odeń szedł, a potem wywytworny paź musiał się wziąć do piłowania drzewa w puszczy Białowieskiej. Golgota szlachty rosyjskiej... Ty go znasz?

— Nie. Gagarin prosił Bejzyma o ułatwienie mu zawarcia ze mną znajomości. Aaa! O wilku mowa...

Gdy wszedł Bejzym i Gagarin, w gabinecie odrazu zrobiło się ciasno. Potężną swoją bryłą major sam zda się mógł wypełnić nikłe rozmiary pokoju. W obliczu tej żywej machiny trzej panowie, zwłaszcza Winarski, dziwnie jakoś zmaleli.

Wzięto się do trunków i przekąsek.

— Już zdążyłem przedtem zjeść kolację, ale wypić z panami zawsze mogę—tłumaczył się Liwicki, nalewając sobie koniaku do kieliszka. Chociaż pił dużo, na spokojnej twarzy nie znać było ani śladu podniecenia. Nawet duże dawki alko-

holu nie wytrącały go z wytwornej równowagi starannie wychowanego światowca.

Zawiązała się z Gagarinem rozmowa o przedwojennym i przedrewolucyjnym Pitrze. Pienił się potok lakonicznych okrzyków, krótkich słów, zrozumiałych tylko dla ludzi, których łączą wspólne cechy dramatu: świeże jeszcze mogiły. Mogiły płytkie, aby tylko ciało człowieka zmieścić mogły, groby rękami ofiar wykopane. Jednego z krewnych rozstrzelano na wsi, w majątku, a przed egzekucją marynarze dopuścili się haniebnego gwałtu na żonie, w oczach związanego męża. Drugi członek rodziny wyzionął ducha na torturach w czrezwyczajce w Moskwie, inny w Petersburgu. Hrabina N. nawiązała stosunek z ordynarnym komisarzem - Łotyszem, inny znów krewniak zginął śmiercią walecznych na południu, jako oficer armji ochotniczej. Ci nieliczni, którym udało się ujść śmierci, rozproszyli się po całym chyba świecie.

Długiemi palcami ujął Liwicki kieliszek z koniakiem i podniósł go do ust. Stawiając szkło na obrusie, bacznie spojrzał na księcia.

— Wie pan, co mię dziwi? Za mało: dziwi, zdumiewa, przeraża nawet. Oto przed chwilą tak na chybił-trafił, rzuciliśmy dużą garść nazwisk ludzi zamęczonych, rozstrzelanych, ludzi, którzy przed śmiercią musieli jeszcze oglądać pohańbienie rodzin... W całej Rosji niema chyba zakątka, gdzieby nie płynęła krew zmieszana ze łzami, zdawałoby się zatem, że ot, musi wybuchnąć pożar żywiołowej, potwornie bezlitosnej zemsty. Niech mi pan tych mścicieli pokaże. Gdzie są? Nie mówię tu o białej armji, która jest czynnikiem wojny, choćby wojny domowej. Ale gdzie są próby teroru, choćby pojedyńcze wystąpienia, akty odwetu ze strony tych setek i tysięcy istnień, które w przewrocie straciły wszystko, co w ich

życiu było najdroższego. Jak mogą, jak śmieją oddychać jeszcze kaci Rosji? Nic, milczenie.

— No, cóż...—ponuro odezwał się Gagarin.— Ja osobiście obowiązek swój wobec ojczyzny spełniłem. Przez dwa zgórą lata biłem się z wojskami uzurpatorów, i to do tego w warunkach niemożliwie ciężkich. Wkońcu jednak nerwy zdarły się i wystrzępiły, zbrakło mi sił, woli. Tego co mówię, nie uważajcie za chęć usprawiedliwiania się, wysiłek mój bowiem, lata walki świadczą, żem czynu nie unikał, panowie...

8. Jeszcze jedno engagement.

Rozpalony żądzą zemsty Gagarin drżał ze wzruszenia. Dygocącą dłonią odsunął od siebie talerz z nietkniętą potrawą i zaczął dużemi kieliszkami pić koniak.

Towarzystwo, widząc wzburzenie księcia, podjęło rozmowę. Mówiono o wszystkiem, byle tylko nieznośnemu milczeniu kres położyć.

W pewnej chwili Bejzym, zerknąwszy ku Liwickieum, zauważył:

— Ma pan postawę sportowca. Choć robi pan wrażenie człowieka o kruchych wiązaniach, musisz pan jednak być bardzo mocny i wytrzymały.

— Bokser—oświadczył Winarski.—Ta krucha postać, co rano wstawszy z łóżeczka, nadziewo bokserskie rękawice i jak w bęben wali w zawieszoną u sufitu skórzaną kulę.

— Pokaż no mi pan swoją rękę — prosił major.

Liwicki, wiedząc, co Bejzyma najbardziej zajmuje, ścisnął pięść i zgiął rękę w łokciu. Ogromne palce atlety z upodobaniem a znawstwem jęły obmacywać nabrzmiałą mięśniami ciężką kiść.

— Widzę, że się pan trenuje,—w tonie pochwały stwierdził Bejzym.—Ręka doskonale rozwinięta, bicepsy też niezgorsze. Kończyny udały się panu.

— Patrzcie go, jaki fałszywy: na pierwszy rzut oka taki niby szczuplutki, nawet chuderlawy, trzech groszybyś zań nie dał! — dziwił się Winarski, dumny ze swego przyjaciela.

Liwickiemu też schlebiało uznanie człowieka, uważanego za jedną z najsłynniejszych znakomitości sportowych świata.

— Teraz, majorze,—rzekł ze śmiechem,—wysłuchawszy tylu zawodowych pochwał, wpadnę chyba w manję wielkości...

— Niech pan mi wierzy, drogi panie, że nie każdy fachowy bokser może się takiem ramieniem poszczycić. Bardzo chętnie wziąłbym pana na trening.

— Ależ, cóż znowu! — z zabawną rozpaczą bronił się Liwicki.

— Bardzo chętnie, powtarzam. Choć właściwie jesteś pan dla mnie za lekki, za filigranowy, niechcący mógłbym ci jeszcze twarz uszkodzić. A przecie szkoda byłoby skrzywić lub spłaszczyć taki rasowy, cienki nos...

— Masz tobie! Nowy komplement! Kłaniaj się i dziękuj, Leonie—nalegał rozgrzany alkoholem Winarski.

— Nos jest to miejsce niesłychanie na uderzenia wrażliwe—tłumaczył Bejzym.—Oto mamy wytłumaczenie zagadki, czemu murzyni, jako posiadacze płaskich twarzy, są tacy w boksie wytrzymali. Kiedy bujna moja młodość cisnęła mię aż na bruki Nowego Jorku, bym poznał pracę i dolę robotnika portowego, słynny zapaśnik, murzyn Jeffrees, raczywszy zwrócić na mnie swą łaskawą uwagę, zrobił mię swym trenerem. Codzień kułem mu czarny nos i, wyobraźcie sobie: nic, żadnego wrażenia.

— Wiele ma pan ciekawych wspomnień!— z zachwytem zawołał Liwicki. — A po ćwiczeniach bokserskich przyszła kolej na karjerę filmową?

— Właściwie nie odrazu... A propos ekranu. Do zespołu, z jakim wkrótce grać będę przed aparatem kinematograficznym, poszukuję wytwornego sportsmana - myśliwego. Czy panby nie chciał, panie Liwicki?...

— Owszem. Ale gdzie i jak?

— Na Wołyniu, w moim lesie, gdy pierwszy śnieg spadnie. Mam z nożem w ręku wyjść na niedźwiedzia.

— Ah tak! O tej sensacji słyszałem już na mieście. Naturalnie, że udział swój zgłaszam jak najskwapliwiej. Pociąga mię nie tyle chęć oglądania siebie na ekranie, co właśnie ta niesłychana walka z niedźwiedziem. Zgóry już przewiduję, a nawet widzę nekrolog, jaki wypiszemy pańskiemu przeciwnikowi. Czy to ma być zwykły nóż myśliwski?

— Widzi pan, panie Leonie,—spokojnie wyjaśniał rzecz major, — nóż myśliwski, jako zbyt ciężki, do takiego przedsięwzięcia niezupełnie się nadaje. Ten brak stwierdziłem i na własnej skórze odczułem w Ameryce, w zapasach z buremi niedźwiedziami. Za najwłaściwszą do takiej zabawy broń uważam krótki nóż hiszpański. Żądełko takie, ćwierć łokcia długości, bardzo jest w Andaluzji popularne.

Rozstawił potężne palce, chcąc pokazać długość noża.

— Ah tak! Widziałem w Nizzy w witrynach składów broni tego rodzaju noże, tylko znacznie większe.

— Wiem, wiem—uśmiechnął się major. — Znam te srebrem inkrustowane. specjalnie dla turystów przeznaczone cacka, prawdziwe... solingeńskie. Nożów tego typu, jaki ja posiadam, ka-

walerowie Andaluzji używają do walk, staczanych o kobiety. A więc jedziemy?

— Naturalnie, że jedziemy. Ale i pana Michała zabieramy z sobą.

— Jeżeli tylko pan Michał będzie wolny,— zauważył Winarski. — Prócz tego nie zapominajmy, że folwark pana Bejzyma leży na samem pograniczu, to znaczy, że przez niedostatecznie strzeżoną granicę może się jaka banda zbirów bolszewickich przedostać i gościa z sobą uprowadzić. A wówczas z pleców moich napewno zdzieranoby pasy, a na piersiach orłaby wycięto... Nie, mili moi, tak silnych wrażeń lepiej się strzec.

9. Smak władzy.

Bolesna łaźnia zeszpeciła oblicze Hellera na zawsze. Szpicruta rozcięła obie wargi, obnażając zęby i dziąsła. Robiło to wrażenie, że neronową twarz rozszarpało końskie kopyto. Tylko w ręku olbrzyma i siłacza mogła rózga podobne poczynić spustoszenia.

Gdy Heller przekonał się, że ślady egzekucji pozostaną do końca życia, wówczas wpadł w dziką wściekłość. Owładnął nim istny szał bezsilnej złości i głuchej rozpaczy. Czołgając się po podłodze z głuchem wyciem, gryzł Heller stół i krzesła, wyrywał ze swej wspaniale spiętrzonej à la Trocki grzywy całe pasma włosów, lub oszalałą głową tłukł o ścianę.

— Na cóż żyć dłużej?! — w przygnębieniu straszliwem zadawał sobie pytanie.

Jakiż sens będzie miało życie teraz, gdy zeszpecony dyplomata nigdy już swej wypieszczonej twarzy w lustrze nie zobaczy! Miast pełnych i czerwonych warg, szrama, przypominająca krzywą wyrwę, szrama, która wstręt będzie budziła nietylko w mężczyznach, z czem ostatecznie

można się pogodzić, ale przedewszystkiem w światku kobiet. Wonczas, gdy Heller miał jeszcze ludzką twarz i nieuszkodzone wargi, jako pomocnik aptekarski u Bergholza na rogu Fontanki i Newskiego, smakowicie wycałowywał niebrzydkie pokojówki, oraz duchem wierzeń socjalistycznych owiane akuszerki. Ten stan rzeczy trwał do przewrotu. Mętna fala rewolucji wyniosła aptekarczyka do władzy. Lubieżne wargi ssać zaczęły dumną urodę pań z arystokracji, których mężowie, ich los i życie znaleźli się w rękach łakomego na kobiety oprawcy.

Teraz zaś... teraz trzeba będzie się pożegnać nietylko z ucztami miłości, ale bodaj że z karjerą. Niepodobna przecież pokazywać się na mityngach z poszarpaną twarzą. Blizna może uchodzić za ślad walki, ale poszarpane wargi budzić muszą niechęć, a nawet odrazę.

A żył Heller przecież tylko dla kobiet i władzy, i nie wiadomo było, co dlań większą wartość posiada: kobieta czy władza. Te dwa elementy szczęścia i pożądania wzajemnie się uzupełniały, mając za tło ten majątek, którego ambitny farmaceuta dorobił się z bajeczną, tylko w Sowdepji do osiągnięcia możliwą szybkością.

Rozstać się z władzą? Za nic! Zbyt długo, zbyt chciwie i rozrzutnie pił dostojnik z tej zatrutej czary, by potem dobrowolnie móc się jej wyrzec. Ostatecznie, jeżeli się zapuści brodę i wąsy, szpetne ślady jako tako będzie można ukryć. Zarost, doskonale! Taki szczegół powierzchowności nie będzie pozbawiony charakteru romantycznego, nimbu tajemnicy!

Przypomniała mu się czytana w młodości powieść z tych czasów, gdy Lombardją zawładnęli Hiszpanie. Zwycięski Madryt zamianował wtedy wielkorządcą Medjolanu kapitana Mendozę. Twarzy tyrana, przez cały świat za okrucieństwo

znienawidzonego, nikt nie oglądał, gdyż stale zakrywała ją maska.

Oto już jest nowy pseudonym: Mendoza. Niema więc towarzysza Hellera, umarł Heller. Jest zato towarzysz Mendoza. Dobrze, ale co na to powie Sownarkom? Czy Olimp sowiecki nie uzna metamorfozy za akt zbyt mało proletarjacki, za akt burżuazyjny?

Nie, Mendoza nie nadaje się. Niechaj więc tylko broda i wąsy... Cokolwiek zresztą, byle utrzymać się przy władzy. Nie wypuści jej ze swych rąk, wyrwać jej sobie nie pozwoli. Władza i zemsta — oto cel życia. Bo Heller musi zemścić się na Bejzymie. Za rozkosz odwetu chętnie, z radością odda wszystkie posiadane brylanty, cały majątek obecny i ten, który jeszcze kiedy mieć może...

Kto raz skosztował władzy, jak właśnie on, Heller, który jednym zamachem pióra oddawał ludzi torturom i śmierci, który tę śmierć lub męki sam zadawał, własnoręcznie wybijając zęby ciężką a zimną rękojeścią brauninga, lub kulą dziurawiąc czaszkę, kto zatruł się narkozą władzy, ten za żadne skarby nie wyrzeknie się jej dóbr i rozkoszy.

W takich chwilach zapominał Heller, że jest synem introligatora z Wilna, wypędkiem ze szkoły rysunkowej i wreszcie zwykłym aptekarzem, jakich w każdym kraju spotkać można tysiące. Zdawało się Hellerowi, iż jest istotą wyższego rzędu, Kaligulą, Dżengis-hanem, Attylą, Napoleonem. Czasem znów odwrotnie, cieszyła go krwiożercza świadomość, iż on, syn introligatora i skromny farmaceuta, na śmierć skazuje carskich generałów, książąt, ministrów, a żony i córki ich, do niedawna tak dumne i niedostępne, obecnie lży, poniża lub niewoli.

Samo ukazanie się Hellera budziło w sercach ludzkich zimny dreszcz strachu.

Leżąc w półmroku pod atłasową kołdrą, obwiązany bandażami i plastrami oklejony dygnitarz sięgnął do wspomnień o Petersburgu, o ulicy Grochowej, o pracowni ze zbiorem rewolwerów na biurku. W tym czasie atrakcją nowego zawodu było samemu wchodzić do izb więziennych, w których roiło się od oszalałych ludzkich istnień, i osobiście wywoływać z nazwiska skazanych na rozstrzelanie...

W jaskrawo elektrycznością oświeconej komorze zjawiał się późną nocą, starannie ubrany, z brylantem w krawacie i, potrząsając gęstą czupryną, w milczeniu wpatrywał się w zbite, strwożone stado dwunożnych. Jakby chcąc w nieskończoność przeciągnąć tę chwilę przerażenia, Heller długo stał w bezruchu, niczem posąg groźnej jakiejś i oszalałej potęgi. Dopiero gdy występny głód wrażeń był już dostatecznie zaspokojony, padał krótki rozkaz:

— Ten a ten! Marsz, bez rzeczy!

„Bez rzeczy" miało swe specyficzne, ponure znaczenie: deportacja na tamten świat.

Ale, jeżeli chodziło o „burżujów" i „białą gwardję", to „coś", co pchało go, Hellera, do natłoczonych izb więziennych, szybko się stępiło. Przestał działać widok królików i przerażonych baranów, pokornie na rzeź idących. Znacznie silniejsze można było mieć wrażenia, gdy z hasłem „marsz bez rzeczy" schodziło się do osadzonych w lochu zbuntowanych marynarzy. Nie dawno jeszcze, przed kilku miesiącami, ci sami marynarze oficerów swoich, przeważnie szlachtę, mordowali, w otchłaniach mórz topili lub w żar pieców wrzucali, przed śmiercią zmuszając swe ofiary do jedzenia barszczu z ekskrementami zmieszanego. Te dekoltowane goryle uważały się za najwyższą klasę społeczeństwa proletarjackiego, a sam Trocki nazwał ich „ozdobą i dumą rewolucji".

I oto on, Heller, żydek-aptekarz, dziś tę „ozdobę i dumę" na śmierć posyła.

I jeszcze nagli:

— Ruszaj, łajdaku!

Więc marynarze rosyjscy, jakby w odwecie za obficie przelaną krew admiralicji i oficerów, bladzi i niemi, szli z trzęsącemi się wargami, szli pokornie, niewiadomo dla czego tak cicho, na palcach, szli na rozkaz farmaceuty Hellera, szli bez rzeczy...

Aby móc jeszcze takie chwile przeżywać, syn introligatora z Wilna nie może rozstać się z władzą...

Wprawdzie karjera dyplomatyczna już się skończyła—niepodobna bowiem pełnić zagranicą czynności reprezentacyjnych, mając tak zeszpecone usta—ale przecież Heller nigdy o karjerze dyplomatycznej nie marzył. Języki znał słabo, a na naukę było już za późno. Na stanowisko swe w legacji w Warszawie zapatrywał się jak na coś, co mu daje możność odpoczynku w jednej ze stolic Europy, w której zaopatrzyć się może w zapasy odzieży i bielizny, gdzie można błąkać się po kawiarniach i restauracjach, słowem mieć to wszystko, czego wymierająca, brudna i zdziczała Sowdepja już nie ma i dać nie może.

Pierwszy miesiąc pobytu w Warszawie minął mu na przyzwyczajaniu się do rozrywek stolicy. Ogłuszał go gwar, blask oślepiał. Rzęsiście oświetlone okna wystawowe sklepów, na ulicy dorożki, auta, karety. Sklepy na każdym kroku—aż nęcą do odwiedzania wnętrza, do ciągłych zakupów. Ten blask Warszawy przypominał mu Petersburg przedrewolucyjny, bo czerwony Piter—to zabity deskami Gościnny Dwór, to obumarły Newski prospekt, to nieżywe sklepy, w których niepodobna dostać ani ołówka, ani papierosów, ani szpulki nici. Socjalizację przeprowadzono konsekwentnie i gruntownie.

Z początku więc Warszawa bawiła towarzysza Hellera. Z początku, później bowiem doświadczał on mniej więcej takich wrażeń, jakie przeżywać musi stary żołnierz legjonu cudzoziemskiego, gdy po wielu latach wojen kolonjalnych i tułaczki, nareszcie znajdzie się w ciżbie Paryża. Najpierw niby to zabawa, zaciekawienie, aż oczy z orbit wyłażą, ale musi wreszcie nadejść chwila przesytu i nudy, a przedewszystkiem uczucie braku swobody. Inni ludzie, inne zwyczaje, prawa inne. Inna zupełnie moralność...

Tam, na Wschodzie, w upalnej atmosferze pustyni, w lasach Madagaskaru lub w dżunglach Indo-Chin — biały człowiek, jako zdobywca, stał się panem życia i śmierci bronzowych, żółtych i czarnych tubylców. Jeżeli zwycięzcy spodobała się kobieta—to ją brał. W razie interwencji męża, ojca lub brata — przemawiał karabin albo rewolwer.

Więc Heller, podobnie żołnierzowi z kolonji, czuł się w Warszawie skrępowany. W Petersburgu przyzwyczaił się korzystać z przywilejów raczej jakiegoś półboga: mógł milczących rabów-Rosjan więzić, rozstrzeliwać, a własność ich sobie przywłaszczać. Tutaj zaś, zagranicą, posępny półbóg na nikim wrażenia nie robi, nikim nie wstrząśnie on, zwykły śmiertelnik i pospolity uczestnik rozrywek stołecznego tłumu.

Zajście z Bejzymem przyśpieszyło tylko powrót Hellera do krainy białych murzynów. Nawet bez przymusu skandalu, żądny władzy aptekarczyk zdecydowany był powrócić do ulubionego zajęcia: do badań, do tortur, do brylantów, łez, gwałtu i argumentów kuli.

Informacje Tirpitza były zgodne z prawdą. Heller istotnie nie chciał pokazywać się ani w Petersburgu, ani w Moskwie, a za czasową rezydencję obrał Sławutę, malowniczo wśród lasów położone miasteczko. Przed rewolucją Sła-

wuta należała do księcia Romana Sanguszki i znana była ze swych fabryk tkackich, kumysu leczniczego oraz jedynej w Europie stadniny arabów.

Ale już w pierwszych dniach „bezkrwawego przewrotu“ sędziwy dziewięćdziesięcioletni książę Roman Sanguszko poniósł śmierć męczeńską z rąk zdziczałego żołdactwa. Umundurowany motłoch zniszczył apartamenty zamkowe, pokradł wyroby sławuckich sukiennic, a przedziwnie rasowe konie arabskie rozstrzelał—za „burżuazyjne narowy.“ Niebawem z perły Wołynia pozostało pustkowie i stosy zgliszcz. Na zamku, wśród bagnetami podziurawionych portretów rodowych pendzla wielkich mistrzów, w chaosie zniszczonych Ludwików i na onuczki podartych gobelinów — obradować zaczął miejscowy sowiet.

10. Przed „najwyższym“ przyjazdem.

W Sławucie Heller znalazł się po raz pierwszy.

Chociaż, jako urodzony mieszczuch, naogół nie przejmował się „głupstwem“, zwanem pięknem przyrody, jednakże tutaj oszołomił go wspaniały majestat lasów, których pogwar, podobny do szumu fal morskich, ciche miasteczko słyszało w dzień i w nocy. Zapachem choiny nasycone powietrze tak było świeże i lecznicze, że przez medycynę na śmierć skazani suchotnicy, znalazłszy się w tym zbiorniku ozonu, po upływie paru miesięcy znakomicie odzyskiwali siły.

Władze sowieckie, jako sprawcy upadku tej cudownej stacji klimatycznej, nie raczyły nawet pomyśleć o odbudowaniu uzdrowiska leśnego, choćby tylko na potrzeby toczonych przez gruźlicę mas proletarjatu, o które rząd robotniczo-

włościański tak krzykliwie i gorąco troszczy się... na papierze.

Heller mógł dla siebie zarekwirować pierwszy lepszy, a właściwie najlepszy dom w mieście i usunąć zeń jego dawnych gospodarzy oraz mieszkańców, ale farmaceuta koniecznie chciał osiąść na zamku książęcym, w tem starożytnem gnieździe potomków Giedymina. Wprawdzie zrujnowany kasztel tchnął zniszczeniem i chłodem od kilku lat nieopalanych komnat, ale przecież to przeszkodą dla wybitnego komunisty być nie może. On tylko cisnął słówko rozkazu oczekującym go na dworcu kolejowym czerwonym urzędnikom, by żądaniu zwierzchnika niezwłocznie stało się zadość.

A rozkaz brzmiał mniej więcej tak:

— Słuchajcie, towarzysze. Jeżeli w ciągu sześciu godzin nie przygotujecie dla mnie mieszkania w zamku, to ja się z wami rozprawię po swojemu!

Przerażony drobiazg biurokratyczny, chcąc zyskać pochwałę dostojnika z Petersburga, natychmiast wziął się do pracy. Około trzydziestu kobiet, wyłącznie z warstw „burżuazyjnych" zaprzągnięto do przymusowych robót. Krasnoarmiejcy pilnie doglądali mycia okien, podłóg i drzwi, palenia w piecach, przenoszenia mebli do apartamentu dygnitarza.

Gorliwość była tak dalece posunięta, że jeszcze przed wskazanym terminem, to jest przed upływem sześciu godzin, trzy wielkie komnaty oczekiwały już na przybycie dostojnika. Po środku sypialni stanęło ogromne rzeźbione łoże pod bogatym baldachimem, w górze zdobionym poczerniałą już mitrą książęcą. Drugi pokój przeznaczono na pracownię, a trzeci miał być jadalnią Hellera. Chude, blade kobiety, żony i córki dawnych urzędników carskich lub funkcjonarjuszów książęcych, w paleniska kominków rzu-

cały naręcza drew, rade, że przy tej pracy same mogą się nieco ogrzać.

Towarzysze w szynelach bez naramienników i w skórzanych kurtkach, chcąc dać wyraz swej gorliwości proletarjackiej, wszystkich sił dokładali, aby ściany apartamentu ozdobić resztkami bogatej ongi galerji obrazów. Wypędek ze szkoły rysunkowej w Wilnie, niedoszły drugi „Ajwajzowski", bądź co bądź miał pewne pojęcie o sztuce i wynik gorliwości krasnoarmiejskiej ocenił życzliwie.

W sypialni krzywo zwisało płótno Rubensa, z mleczno-różową Zuzanną i sprośnemi starcami o atletycznej budowie. Heller niebawem przetłumaczył wartość dzieła na funty, dolary i franki, poczem powziął cichą decyzję, iż porzucając Sławutę, obraz weźmie z sobą i dla siebie. Gwoli wygodzie, płótno można będzie wyciąć i zwinąć w rolę, w podróżach bardzo do przewożenia łatwą.

W gabinecie, umeblowanym sprzętami różnych stylów, sowiecka czeladka zawiesiła aż dwa wielkie portrety księcia Romana Sanguszki. Jeden z nich, malowany przed siedemdziesięciu pięciu laty, wyobrażał młodego, przedziwnej urody rycerza w stali, na długim i ciężkim mieczu wspartego. Z drugiego portretu spoglądał rasowy o wydatnych i ostrych rysach starzec z siwemi bokobrodami. Od zakutego w pancerz jeźdźca dzieliła go odległość pół wieku.

Heller odczytał podpis malarza: Henryk Siemiradzki, Roma 1900. Przez podarte wargi ohydnie szczerząc zęby, farmaceuta pięścią pogroził najpierw podobnemu do bożka wojny młodzianowi, później zaś siwej głowie rasowego starca.

— Ah, łotry! Jaśnie oświecona kanalja! U Siemiradzkich i Briułowów zamawialiście portrety, ale skończyło się wasze panowanie, królewięta! Teraz nasza kolej tuczyć się na

smacznej kuchni i spać w książęcych łożnicach pod jedwabnemi baldachimami!

Upojony rankiem życia, rycerz spoglądał gdzieś przed siebie, a suchy z pergaminową twarzą starzec pogardliwym wzrokiem mierzył rozwścieczonego Hellera, jakby nie mogąc wyjść z podziwu, skąd, jakim sposobem tu, w książęcym zamku, znalazł się i bluźni ten arogancki żydziak?

Heller fizycznie poczuł na sobie muśnięcie dumnego spojrzenia. Zarosła rudą szczeciną twarz skrzywiła się w przystępie pasji, a grube pięści znów się zatrzęsły.

— Więc kto zwyciężył? Kto z nas jest silniejszy? Czy ty, potomek udzielnych książąt litewskich, któryś do zamku żydom wstępu zabronił, czy też ja, obecny tych komnat gospodarz? Z życia wymiotła cię rewolucja, zdechłeś sobaczą śmiercią, a ja żyję i długo jeszcze żyć będę. Kto z nas zatem jest silniejszy, powiedz, jaśnie oświecony książę?

Pogardliwe spojrzenie starego pana prześladowało bolszewika, spojrzenie zimne, z za świata płynące. Wrażenie było tak nieznośne, że farmaceuta kazał wreszcie niemiłe płótno zdjąć ze ściany.

W Sławucie Heller zastał takie właśnie warunki, za któremi w Warszawie długo i boleśnie tęsknił. Stale wystraszeni i doszczętnie obrabowani mieszkańcy w dreszczach przerażenia spędzali jednostajne dni chłodu i głodu. Z ukazaniem się Hellera lęk jeszcze bardziej się spotęgował. Miasto milczało. Śmiech i rozmowy zamarły.

Gdy nadeszły wczesne wieczory zimowe, ongi zamożne osiedle, przed rewolucją elektrycznością oświetlone, pogrążało się w głęboki mrok. Za żadną cenę niepodobna było dostać świec lub nafty. Jaśnią płonęły tylko okna wybitniejszych urzędników i komisarzy. Nawet ksiądz i pop

w długie wieczory musieli zadowalać się wątłem światełkiem olejnego kaganka.

Podobnie przedstawiała się sprawa zaopatrzenia w żywność. Chleb stał się udziałem jedynie uprzywilejowanych wybrańców, lud zaś jadał placki z brudnej najgorszego gatunku mąki owsianej. Czasu pokoju takiej potrawy nie tknąłby nawet zgłodniały pies bezpański.

Tymczasem w rozrzutnie opalanych apartamentach Hellera jaskrawo płonęły wielkie, dużą ilość nafty pochłaniające lampy. Na śniadanie, obiad i wieczerzę kuchnia przygotowywała najwyszukańsze potrawy z sarniny lub dzika, gdyż lasy książęce mogły jeszcze stół dostojnika niezgorzej zaopatrywać.

Na zimowych wywczasach było Hellerowi prawie dobrze, bez mała dobrze. Owem „czemś", co zatruwało poczucie dosytu i ozonowy wiew lasów, było zeszpecenie twarzy i żądza zemsty.

Po kilku dniach pobytu farmaceuty w zamku Sanguszki miasteczkiem wstrząsnęła oszałamiająca wieść, której zresztą nowy gospodarz kasztelu wysłuchał nietylko bez zapału, ale wprost z niedwuznacznie kwaśną miną, wieść, że w najbliższym czasie do Sławuty na dwutygodniowy odpoczynek przyjeżdża wielkorządca Petersburga, Zinowjew. Za tym po szlachecku brzmiącym pseudonimem ukryła się postać o bardzo gminnem nazwisku: Apfelbaum.

I rzeczywiście w niespełna tydzień na stację wtoczył się pociąg nadzwyczajny, który narazie przywiózł tylko liczne bagaże i dwór dostojnego gościa: lokajów, kucharzy, cukierników, elektrotechników, tapicerów oraz spory oddział jawnych i zamaskowanych czekistów. Pierwsi z nich zdrowe chłopy z dzikim wyrazem twarzy, w doskonale skrojonych mundurach i sukiennych hełmach, dużą czerwoną gwiazdą ozdobionych, uzbro-

jeni od stóp do głów, ponurym wzrokiem toczyli wokół, gdy ich zakonspirowani koledzy, ubrani po cywilnemu, niczem nie odbiegali od utartego wzoru obłudnie uśmiechniętego szpicla.

Czeladź generał-gubernatora zamierającej stolicy niezwłocznie wzięła się do roboty. Kucharze i kucharki robili zapasy żywności, monterzy zakładali w zamku instalacje elektryczne, na drabinach zawisła gromadka dekoratorów i tapicerów, mających za zadanie zniszczone komnaty doprowadzić do znośnego stanu.

Heller nie czuł się już zupełnym gospodarzem rezydencji. Wprawdzie pozostawiono go w jego apartamentach, ale uwaga miasta i komisarzy w inną już się zwróciła stronę. Ambitny farmaceuta zmalał, zczezł, zdmuchnięty z porządku dnia, w nikim już nie budząc strachu i zgrozy.

Nie próżnowali też i czekiści. Okrutny, zły i tchórzliwy jak hiena Apfelbaum - Zinowjew, chcąc się zabezpieczyć od możliwych zamachów, polecił swoim agentom dokładnie oczyścić mieścinę z żywiołów wątpliwej lojalności. Wszystkich tych, którzy oprawcom wydali się choć trochę podejrzani lub niepewni, porywano z domów w nocy i pod silną eskortą wysyłano do odległego o trzydzieści kilometrów miasta Zasławia, gdzie na przyjęcie gości czekał już obszerny gmach więzienny. Nie szczędzono nikogo, nawet duchowieństwa, zarówno prawosławnego, jak i rzymskiego. Kilku burżujów nie doszło do bram więzienia: rozstrzelano ich po drodze, w lesie.

Na stosunkowo znacznej odległości od fasady zamku, do odnawianej rezydencji broniły dostępu druty kolczaste i warty z karabinami maszynowemi. Mieszkańcom Sławuty kategorycznie zabroniono przechodzić koło zamku, co było o tyle niewygodne, że, aby się przedostać z jednej części miasta do drugiej, trzeba było zba-

czać i odbyć długą a zbytecznie uciążliwą drogę. Stan wzmocnionej ochrony, a właściwie zgoła oblężenia, tak ściśle był przestrzegany, że z nastaniem zmroku wszelki ruch zamierał.

Kiedy wszystko już było gotowo, jedni z obywateli uwięzieni, a tamci rozstrzelani, gdy nieszczęsna, do ostatecznych granic maltretowana ludność własnego cienia bać się zaczęła, gdy sprowadzony z Zasławia pułk piechoty od stacji do zamku utworzył żywy, bagnetami najeżony szpaler, kiedy na dworzec kolejowy ruszył fantastycznie umundurowany szwadron czerwonej jazdy, w mefistofelesowskich czapkach, w czerwonych mundurach i czerwonych spodniach, a opryczniсy-czekiści z karabinami na pogotowiu zwartem kołem otoczyli zabudowania stacyjne — wówczas dopiero bezszumnie wtoczył się i stanął wspaniały do niedawna carski pociąg.

W zwierciadlanych szybach wagonów lodowym blaskiem zaświecił zimowy ranek. W oknach snuły się tam i z powrotem ciemne sylwety ludzkie.

Czerwienią gwiazd i kokard ozdobiona delegacja miejscowego sowdepu zastygła w martwem oczekiwaniu. Nieco dalej, by z pospólstwem się nie łączyć, stał Heller, tak dokładnie w szerokie futro sybirskie zawinięty, że w sutym kołnierzu kryła się niemal cała twarz. Blady kapelmistrz wojskowej orkiestry, nie spuszczający oka z wagonu, z którego miał wielkorządca wysiąść, dał batutą sygnał. Jaskrawo lśniąca miedź trąb zabrzmiała nagle dźwiękami „Międzynarodówki".

II. Apfelbaum i jego świta.

Z generał-gubernatorskiego wagonu wybiegło dwóch kozaków kubańskich w galowych mundurach eskorty carskiej, koło otwartych drzwi

naprzeciwko siebie stanąwszy na baczność z dobytemi szablami w rękach, brodacze kubańscy zamarli w bezruchu. Trzeci kozak błyskawicznie postawił czerwonem suknem obite stopnie, a w tyle pociągu, na obszernej platformie, szoferzy pośpiesznie ściągali brezentowe pokrowce z trzech dworskich samochodów: karety „Limuziny" i dwóch maszyn o otwartych karoserjach.

To będzie ostatni
I zwycięski bój...

dźwięczała metalicznie w przepojonem zapachem borów powietrzu szalona pieśń miedzianych krtani.

Nagle kozacy kubańscy wyprężyli się i zastygli, czyniąc wrażenie ogromnych figur woskowych. Nad ich barwnie fosforyzującemi plamami ukazał się gruby mężczyzna w kosztownem futrze; z pod bojarskiej na bakier osadzonej czapy widać było tłustą, zmiętą, raczej babią jakąś twarz. Przed dostojnikiem wyśliznęli się z wagonu dwaj adjutanci, by Zinowjewowi pomóc zejść na peron.

Ruchem batuty kapelmistrz w połowie taktu urwał grzmiącą pieśń. Gdy satrapa przyłożył rękę do bobrowej czapki, na krótkim i mięsistym palcu błysnął potwornych rozmiarów brylant.

— Komunistyczne pozdrowienie!—zachrypiał porządnie już przepity głos.

Zresztą nietylko głos świadczył o nałogach dygnitarza. Dość było spojrzeć na obwisłą, siecią czerwonych żyłek pokrytą twarz, na zaczerwienione oczy we wzdętych woreczkach osadzone, ażeby natychmiast się przekonać, iż towarzysz Apfelbaum zbytnią wstrzemięźliwością nie grzeszy.

W twarzy tej było coś z żyda-aktora i jednocześnie kupca.

Przez umierające z głodu gubernje Rosji jechał Zinowjew carskim pociągiem, w pijanym zgiełku bachanalji. Do Sławuty dwór przywiózł z sobą zgórą czterdzieści tuzinów francuskiego szampana. Wszystko, co wiózł Apfelbaum, pochodziło z kradzieży: pociąg, wino, futro i czapka bojarska, brylanty na krótkich palcach, nazwisko, władza i wreszcie ostentacyjny respekt, jakim dwunogie bydełko rosyjskie otaczało tego, do niedawna jeszcze bardzo jałowego reporterzynę.

Do niedawna, bo teraz tępy dziennikarczyk jest carem i bożkiem Północnej Komuny. Gdyby móc zebrać krew, w ciągu czterech lat panowania Zinowjewa przelaną, to kat Petersburga mógłby codziennie przez kilka miesięcy brać purpurową kąpiel. Apfelbaum szczyci się tem, że bez pozwolenia Moskwy, w ciągu jednej nocy, rozstrzelał aż czterech wielkich książąt. Płonący błękitnym ogniem brylantowy pierścień przedtem zdobił długą, rasową rękę księcia Pawła Aleksandrowicza, a schowana w kieszeni marynarki Apfelbauma ciężka złota papierośnica należała do wielkiego księcia Mikołaja Michajłowicza, w którego pałacu na bulwarze Angielskim, po zamordowaniu właściciela, zamieszkał czerwony kniaź Północy. W Sowdepji święcie jest przestrzegana w prawiekach poczęta tradycja, której mocą kat obejmuje w posiadanie kosztowności swej ofiary.

Niecierpliwie i z roztargnieniem wysłuchał petersburski generalny gubernator przemówień powitalnych miejscowego sowietu. Mówca, za nadmiar gorliwości proletarjackiej upiększony aż dwoma gwiazdami i dwoma wstęgami, wyciskając ze swej mózgownicy piekielnie trudną terminologję rewolucyjną, pocił się, niczem koń w kieracie. Apfelbaum wspaniałomyślnie podał mu dwa palce, co złotoustego komunistę tak przeraziło, że nagle w połowie zdania orację swą przerwał, przyczem spocił się jeszcze obficiej. Zastą-

pił go wyprężony służbiście dowódca pułku piechoty, były oficer kadrowy armji. Raport jego, składany prezesowi Północnej Komuny, niczem się nie różnił od raportu, jakim przed kilku laty witał carskich generałów. Ten sam szyk mechanicznie wyrzucanych beznamiętnych frazesów, z tą tylko różnicą, że miast: „wasza ekscelencjo“, mówiło się: „towarzyszu“.

Dowódca pułku nie dostąpił zaszczytu uścisnięcia najdostojniejszych palców. Odszedł, pożegnany lekkiem kiwnięciem głowy.

W ciągu całej tej ceremonji Heller tak lawirował, żeby nie wypaść z pola wzroku Zinowjewa. Wreszcie dopiął swego: dostojne oczy zahaczyły o jego ukrytą w kołnierzu twarz.

— Ah, to wy tutaj przebywacie, towarzyszu? Komunistyczne pozdrowienie!

A potem ciszej:

— Tak, tak, słyszałem o tym wypadku. Teraz widzę, jak ten łotr was urządził. Bądźcie pewni, towarzyszu, że się zemścimy, zemścimy się z pewnością.

Przy tych słowach Apfelbaum protekcjonalnie poklepał aptekarza po ramieniu.

Na peronie kręciła się świta jednego z najwybitniejszych przywódców Sowdepji. Te dzwoniące melodyjnym śmiechem kobiety, otulone w kosztowne futra, to urodziwy harem rozpustnego Zinowjewa. Harem, sprytnie wepchnięty w rubrykę personelu kancelaryjnego padyszacha, a więc odaliski w stopniu sekretarek lub maszynistek.

Skład osobowy bardzo niejednolity—zaczynając od dam z towarzystwa, kończąc na kokotach ancien régime'u. I jedne i drugie świetnie umiały się do nowych warunków zastosować.

Ale kto je po raz pierwszy ujrzał, napewno nie dostrzegłby żadnej różnicy—damy z towarzystwa wziąłby za kokoty i naodwrót. Byłe żony

i córki byłych generałów świty cesarskiej i szambelanów, w jakiemś dzikiem pragnieniu utożsamienia się z półświatkiem wzajemnie się prześcigały w nienaturalnej ordynarności i w doborze najekscentryczniejszych strojów.

Na przeciwległym biegunie stały zawodowe nierządnice: ideałem, do którego dążyły i który im imponował, była wytworna, spokojna duma z wielkiego świata. Dlatego też krzykliwa, niespokojnie nóżkami tupiąca hrabina Brieckdorff raziła rozwydrzeniem dziewki, gdy Aleksandra Iwanowna Goreckaja, przed dwudziestu laty w kołach oficerów gwardji znana pod mianem „Szurki-Zwierzaka", dziś jeszcze, pomimo swoich czterdziestu ośmiu lat i tuszy, zdumiewająco piękna, dzięki sztuce ubierania się i taktownemu zachowaniu śmiało ujść mogła za arcyksiężnę.

Hrabina Brieckdorff oraz inne arystokratki z haremu Apfelbauma karmiły swego padyszacha pochlebstwami. Wręcz inaczej postępowała „Szurka-Zwierzak". Mówiła mu „ty", nie szczędząc epitetów, wśród których dość często powtarzały się dusery tego rodzaju, co „świnia" i „cham".

Nie raz Zinowjew musiał przełknąć całą litanję komplementów i uwag.

— Ty, dorobkiewiczu, parwenjuszu jeden! Jak ty jesz?

Albo też:

— Skąd ty możesz wiedzieć, jak smakują niewiasty wyższej klasy? Zresztą, gdzieś ty właściwie mógł ich skosztować? Pewnie w swoim Berdyczowie, albo na emigracji w jakiej szwajcarskiej dziurze, gdzie w oberżach od kelnerów wyłudzałeś drobne a bezzwrotne pożyczki.

— Dajmy na to, że jestem nie z Berdyczowa, lecz z Radomyśla — żartobliwie odpowiadał padyszach, w głębi duszy stwierdzając, że jednak „Szurka-Zwierzak" przeważnie miewa słuszność. Przedtem rzeczywiście przedmiotem jego zabor-

czości erotycznej była tylko tania ulicznica. Dopiero niedawno towarzysz Zinowjew nauczył się jako tako władać sztućcami, a przedtem... Tak, przedtem w tawernach Paryża i Zurychu trzeba było ratować się przed głodem, naciąganiem garsonów na kilkufrankowe pożyczki.

Wszystkie te przytyki uchodziły Szurce bezkarnie. Ambitny i arogancki Apfelbaum czuł instynktowy respekt dla kobiety, przed której oszałamiającą urodą, daleko poza granicami Rosji znaną, korzyli się członkowie dynastji Romanowów, Burboni i Bonapartowie. Swietności takiej nie była w stanie oprzeć się plebejuszowska wyobraźnia Zinowjewa.

Z zapartym oddechem przysłuchiwał się opowiadaniom Goreckiej o jej romansie z księciem Ludwikiem Napoleonem. Zawsze opowieść taką kończył hardy refren:

— Widzisz teraz, z kim masz zaszczyt obcować, w jakie koligacje wszedłeś, krewniaku cesarskich wysokości! I to tylko dzięki mnie, któram niedawno jeszcze księżną była, a dziś muszę się zadawać z parszywym żydem...

I pierś „Szurki-Zwierzaka" podnosiła się w westchnieniu napoły tylko teatralnem, gdyż w melancholji jej, bądź co bądź, dźwięczała nuta szczerości.

Przez ekran wspomnień przesunął się korowód wielbicieli. Co się z nimi dzieje? Gdzie się podzieli? Ludwik Napoleon przebywa podobno we Włoszech; generał Orłow, ów słynny Sasza Orłow, ulubieniec dworu cesarskiego, w dziwny jakiś sposób rozstał się z tym światem w Egipcie... Gdzież jest hrabia Kapnist, lejb-huzar cesarskiej mości? Czy żyje jeszcze?

Oto prawdziwy sarkazm losu: zacząć radosne i bogate życie z księciem Napoleonem, bawić się i szaleć z Kapnistem, by wreszcie zejść do roli kochanki... czyjej? Towarzysza Apfel-

bauma. Jedyną pociechą było to, że obecny amant, po złupieniu Petersburga, uważany jest za jednego z najbogatszych ludzi Europy i że skarbiec jego, niczem skarbiec sułtana Abdul Hamida, ugina się pod ciężarem kosztowności...

— Czy auto gotowe?—padło władne pytanie.

— Tak jest, gotowe — prężąc się, odpowiedział wytworny adjutant, wychowaniec korpusu paziów i siostrzeniec hrabiny Brieckscorff.

Choć pod karą wszelkich okropności, aż do rozstrzelania włącznie, władze zabroniły mieszkańcom w ten ranek wychodzić na miasto, chociaż piechota jeszcze w nocy rozciągnęła się wzdłuż ulicy, którą miał przejeżdżać najdostojniejszy gość, jednakże auta dworskie na wszelki wypadek poprzedzał samochód z dziesięciu uzbrojonymi w karabiny kozakami, by w razie otworzenia gdziekolwiek okna lub drzwi, bez pardonu strzelać do nieostrożnego gapia. Ale białe, blachą lub dachówką kryte kamieniczki ciche były, niczem śmierć. Tylko gdzieniegdzie na tle milczących okien zamajaczyła blada ze strachu twarz śmiałka, w którym ciekawość przezwyciężyła nawet zwierzęcy strach.

Za uzbrojonym samochodem cwałował podobny do gromady djabłów półszwadron fantastycznie umundurowanej jazdy w czerwieni i sukiennych hełmach, zakończonych miękkim rogiem. W pewnej odległości za kawalkatą toczyła się kryta „Limuzina," w której pudle zasiedli Apfelbaum wraz z hrabiną Brieckscorff, potem znów półszwadron czerwonych biesów, a w tyle łańcuch samochodów ze świtą.

Tak wyglądał triumfalny wjazd szefa Północnej Komuny do napoły żywej, przerażonej Sławuty.

12. Proletarjackie łowy.

Chociaż Zinowjew lubił Hellera — a farmaceuta właśnie generał-gubernatorowi Petersburga zawdzięczał swoją karjerę — mimo to przyjazd protektora nie poszedł w smak protegowanemu. Heller chciał być ośrodkiem uwagi miasta i urzędników, bożkiem miejscowego sowietu, panem życia i śmierci roztrzęsionych ze strachu burżujów, aż tu zniknął, zgasł, zczezł w oślepiających blaskach wielkiego „słońca". Za przykładem Cezara wolał być pierwszym na wsi i był nim rzeczywiście do chwili przybycia Zinowjewa. Miejsce, jakie mu teraz w udziale przypadło, leżało na drugiem, a nawet na trzeciem planie, ponieważ pierwszy lepszy adjutancik lub sekretarzyk wielkorządcy spoglądał nań z góry tem specyficznie lokajskiem spojrzeniem, ktorem czeladź grubych ryb zwykła mierzyć dygnitarzy mniejszego kalibru.

Po marmurowych schodach z rzeźbionemi poręczami wszedł Zinowjew na górę i, nie zdejmując nawet futra ani czapki, z najbliższą swą świtą odrazu wpakował się do prywatnych apartamentów farmaceuty.

— Co to takiego?—spytał dostojnik niemile zdziwiony, pokazując olbrzymie łoże pod baldachimem z mitrą książęcą. — A ja na czem mam spać? Nie, towarzyszu, róbcie co chcecie, ale to łóżko wezmę ja, a dla was każę wstawić inne.

— Ależ bądźcie łaskawi, proszę bardzo — krzywo uśmiechał się, upokorzony tą decyzją Heller.

To jednak dopiero była przygrywka, po której nastąpił cały koncert przykrości.

Jakiś rosły żydek z czarną, tłustą czupryną i szerokiemi ustami, w których sterczały ostre krokodyle kły, zerknąwszy na „Zuzannę" Rubensa

z szacunkiem szepnął coś Zinowjewowi na ucho. Był to malarz-futurysta Altman, przez Łunaczarskiego mianowany kierownikiem petersburskiej akademji sztuk pięknych. Czynności swe nowy dyrektor rozpoczął od wydalenia z uczelni mistrzów tej miary, co Makowskij i Bekiemiszew, którzy po kilku miesiącach nędzy zmarli z głodu i chłodu w swych nieopalanych norach.

Altmana wziął z sobą do Sławuty Zinowjew tylko dlatego, że przecież i Napoleonowi w wyprawie do Egiptu towarzyszyli artyści.

Heller, który dzieło Rubensa w marzeniu przeliczone już na obcą walutę już za swoją uważał własność, przeczuł nową krzywdę.

— Nie gniewajcie się, towarzyszu — rzekł Apfelbaum, — ale ten obraz każę przenieść do siebie.

Farmaceuta milczał, spojrzeniem dusząc sprawcę nieszczęścia, futurystę Altmana.

— Rozbój, rozbój w biały dzień!—wyła rozżalona dusza.

Tegoż dnia „Zuzanna" znikła ze ściany, a na miejscu, gdzie dotąd pyszniło się książęce łoże, stanęło zwykłe metalowe łóżko, przyniesione z gościnnych pokojów.

Kasztel zatętnił życiem. Zabawa rozdokazywała się tak donośnie, że w sarkofagach z pewnością poruszyły się prochy Sanguszków.

Przywiezione z Petersburga zapasy trunków uzupełniono czcigodnem winem i miodem, których znaczna liczba butelek cudem jakoś w piwnicach książęcych ocalała. Kucharze i cukiernicy w białych czepcach od rana do nocy zajęci byli w kuchniach i piekarniach przygotowywaniem wyszukanych potraw, wypiekiem tortów i ciast.

Jedną z sal przeznaczono na jadalnię. Podczas obiadu i wieczerzy na marmurowej galerji przygrywała gościom orkiestra wojskowa. Kiedy

jednak adjutant, hrabia Brieckdorff, były paź dworu, rzucił fachową uwagę, że jakaś tam orkiestra pułku piechoty urąga wymaganiom dobrego tonu i że przyzwoici ludzie, siadając do stołu, powinni być chórem fanfar witani, Zinowjew natychmiast zażądał trębaczy z Zasławia, gdzie właśnie konsystował pułk czerwonej jazdy.

Obiady i kolacje, zwłaszcza kolacje zamieniły się w długi cykl bachanalij. Harem i hołotka, zwana świtą wielkorządcy, w pogoni za rozrywką urządzały pseudomitologiczne orgje. Uwieńczeni liśćmi dębowymi mężczyźni w samej tylko bieliźnie uganiali się po zamku za półnagiemi kobietami. Szczególnie wstrętnie wyglądał wtedy sam Apfelbaum—jego miękka, tłusta, niemęska twarz, obwisła pierś i wielki brzuch, musiały budzić odrazę. Na okropne zabawy wodza proletarjatu patrzyli trzeźwi trębacze i służba, nie krępowano się bowiem nikim. Opasły, strumieniami potu zlany satyr, sapiąc i parskając, ciężkim truchtem ścigał swe odaliski i bachantki.

Ażeby przypadkiem nikt obcy ucztującym nie przeszkodził, zamku pilnie strzegli kubańscy kozacy w galowych mundurach carskiej eskorty, czekiści w miękkich hełmach z rogiem, fantastyczni, do czartów podobni jeźdzcy, czuwały kulomioty i jeżyły się zasieki z drutów kolczastych.

Hrabina Brieckdorff przypomniała sobie nagle, że niedawno jeszcze do starego Sanguszki zjeżdżali w gościnę członkowie dynastji rosyjskiej, austrjaccy arcyksiążęta i polska szlachta z trzech zaborów. Fotografje wspaniałych przyjęć i łowów spotykała hrabina w zagranicznych ilustracjach.

Nie chcąc w niczem uchybić znaczeniu swego pozbawionego tradycji dworu, Zinowjew zapowiedział:

— My też urządzimy polowanie! Albośmy to gorsi od tej podłej arystokracji?

Obiecać było nietrudno, znacznie łatwiej, niż lekkomyślną obietnicę urzeczywistnić. Apfelbaum, mieszczuch z krwi i kości, reporterzyna, a później emigrant, nie mający najmniejszego pojęcia o tem, co to jest wieś, las i bagna, strzelby myśliwskiej, jak żyje, nigdy w rękach nie miał. Dotychczas strzelał tylko z rewolweru, na odległość bardzo nieznaczną, bo wprost w skroń, albo w czoło burżujów.

Wynikiem rozmów i narad na temat łowów było iście barbarzyńskie, nikczemne wytępienie zwierzyńca. Miano zwierzyńca miał trzymorgowy odcinek lasu, otoczony wysokim z drutu plecionym płotem. Niegdyś biegały tam sarny i kozły. Część zwierzyny zniszczył podmuch rewolucji, część wysłano do Moskwy, by i Bronsztejna-Trockiego tuczyć, kilka egzemplarzy pochłonęły uczty Zinowjewa, a kilka jeszcze pozostało przy życiu.

I oto w pewien słoneczny i mroźny ranek, po nocnem pijaństwie, samochody zawiozły „myśliwych“ do zwierzyńca. W gęstwinie sosen snuły się pełne wdzięku sarny, z pod długich rzęs wodząc wokół łagodnym wzrokiem. Za matkami biegały małe, usiłując wilgotnemi wargami schwycić brodawkę nabrzmiałych mlekiem wymion.

Hałaśliwie roześmiana, bulgocąca dwunoga trzoda wtargnęła w czarującą ciszę idylli leśnej. Przestraszone zwierzęta zaczęły się miotać. Przerażenie jeszcze bardziej się wzmogło, gdy koronami drzew wstrząsnął huk strzałów.

Strzelano z naganów, mauzerów i brauningów. Znalazło się zaledwie dwóch takich „myśliwych“, którzy przybyli z karabinami. Uczestników polowania odurzyły słodkawo-kwaśne duszące wyziewy prochu, widok gęstej i ciemnej krwi, szarpiący nerwy trzask wystrzałów.

Przygryzając ukarminowane wargi, niezręcz-

nie, odwróciwszy głowy, strzelały kobiety Apfelbauma. Strzelał sam gubernator, dla pewności oparłszy swój brauning na poziomo przeciągniętym drucie ogrodzenia. Strzelali też adjutanci i sekretarze, strzelał też Altman, starając się trzymać broń jak najdalej od siebie.

Ociekające krwią, kulami przeszyte zwierzęta padały jedno po drugiem. Piękne oczy z rozpaczą i błaganiem patrzały na roznamiętnionych zapachem krwi katów, aż zaszły bielmem śmierci.

„Szurka-Zwierzak“ w polowaniu udziału nie brała. Gdy podniecona czereda wróciła z łowów, na głowy ich posypały się wymysły:

— Nikczemnicy! Oprawcy! Rzeźnicy! Też znaleźli się myśliwi! Nie dla was, chamów i rzezaków, rycerski sport myśliwski! Mordowaliście nieszczęsne zwierzęte bez ryzyka, bez walki, niegodziwcy z pod ciemnej gwiazdy!

W tępieniu zwierzyny nie uczestniczył też i Heller, z innych jednak niż Szurka pobudek. W pojęciu jego polowanie nie było sportem szlachetnych, lecz mordownią, jaką w lesie urządził Apfelbaum, grzechem. Heller demonstracyjnie trzymał się zdala od całego towarzystwa, jako dotknięty w dumie własnej dygnitarz proletarjacki, któremu Zinowjew zabrał i łoże, i „Zuzannę“ Rubensa, i wyjątkowe stanowisko, jakie zajął był w głuchej mieścinie. To po pierwsze. Drugim motywem chłodnej rezerwy w stosunkach towarzyskich z generalnym gubernatorem było straszliwe zeszpecenie twarzy, z którym, jako faktem dokonanym, farmaceuta w żaden sposób nie mógł się pogodzić.

To też postanowił dyplomata przenieść się do Zasławia i osiąść w klasztorze Bernardynów. Tam nikt nie będzie jątrzył go blaskiem dostojności. Stamtąd do granicy polskiej jest tylko wiorst trzydzieści, a to stanowiło okoliczność szczególnie ponętną...

Tak. Życie w surowej ciszy klasztoru katolickiego musi mieć urok nielada. W pamięci Hellera odżyła zaczerpnięta z powieści postać Karola V-go, który kazał się żywcem zamurować w celce, przylegającej do małej kaplicy.

Wprawdzie rozgoryczony towarzysz nie zamierzał naśladować władcy, w którego państwie nigdy nie zachodziło słońce, ale, bądź co bądź, perspektywa spędzenia paru miesięcy w starożytnym warownym klasztorze niezmiernie go pociągała.

13. Klejnoty księżniczki d'Angoulême.

W gronie trzynastu sekretarzy Zinowjewa— bolszewicy, zerwawszy z przesądami, jako dość bliscy krewni djabła, nie obawiają się feralnych liczb, a więc i trzynastki, czarcim tuzinem zwanej — więc w gromadce sekretarzy Zinowjewa miał Heller szczerego przyjaciela w osobie szczupłego Soskisa, z którym pokiereszowany dyplomata sowiecki w tym samym czasie i w tej samej aptece rozpoczynał karjerę farmaceuty.

Spotkawszy się w Sławucie z Hellerem, trzynasty sekretarz Zinowjewa często odwiedzał druha w jego zacisznym apartamencie i, ziejąc kłębami dymu tytuniowego, piskliwym głosikiem opowiadał najnowsze plotki oraz zdarzenia z życia stołecznego Moskwy i Petersburga.

W przyjacielskim referacie była mowa przedewszystkiem o odebranych świątyniom kosztownościach i drogich kamieniach, z jakich rząd sowiecki ogołocił grobowce carów w soborze cytadeli św. Piotra i Pawła, nic więc dziwnego, że Heller, słuchając tych ponętnych wieści, siedział jak na rozżarzonych węglach.

Pod najściślejszym sekretem zwierzył się Soskis swemu ziomkowi, iż w tych dniach wy-

jeżdża zagranicę, delegowany przez Zinowjewa do przetłumaczenia na funty szterlingi klejnotów, które z podziału przypadły petersburskiemu satrapie. Wśród tych na sprzedaż przeznaczonych kosztowności największą wartość ma wspaniała bransoleta, wyjęta z sarkofagu Katarzyny II-ej, order maltański cara Pawła, kilka wielkich, wydłubanych z ikon cerkiewnych, szmaragdów i wreszcie brylanty byłej księżniczki d'Angouleme.

— Jakiej księżniczki?—przerwał Heller z miną człowieka, który po raz pierwszy słyszy to nazwisko.

— Zaczekaj, zaraz ci to wszystko wyjaśnię. Dzieje tych brylantów słyszeliśmy bezpośrednio od niej osobiście.

— Od kogo? Od księżniczki d'Angoulême?—zniecierpliwił się Heller.

— Ależ nie przerywaj mi!—grymasił Soskis, krzywiąc swą chudą, zarośniętą twarzyczkę. — Księżniczka, o której mówię, oddawna już przebywa w krainie cieniów. Słuchaj uważnie. W swoim czasie agenci wyszperali i donieśli nam, iż była księżniczka Drucka-Lubecka posiada jakieś nadzwyczajne klejnoty. Podobno ósmy cud świata! Otrzymawszy od towarzysza Zinowjewa rozkaz dokonania rewizji, z oddziałem krasnoarmiejców zajechałem autami pod dom arystokratki. Podczas rewizji wykryłem istny skarb. Ach, Heller, gdybyś ty te klejnoty widział!

— Pokażesz?—chciwie szepnął farmaceuta.

— Nie mogę.

— Soskis, pamiętaj, żeśmy razem chodzili do chederu! Możesz mi chyba ufać!

— Nie żądaj tego ode mnie. Nie mogę. Ale słuchaj. Zabraliśmy się tedy do księżnej: gadaj, towarzyszko, skąd masz te skarby? Wszystko wyśpiewała. Ciekawa historja, kochany Heller. Jak ci pewnie wiadomo, wielka rewolucja wypędziła z Francji czarnosecinną familję Burbonów.

Wówczas Paweł I-y, imperalista i samodzierżca, pozwolił Burbonom zamieszkać w Kurlandji. Jednej z księżniczek udało się przewieźć z sobą niesłychanie cenne kosztowności, a że znalazła się w potrzebie, więc gubernatorowi Libawy, księciu Druckiemu - Lubeckiemu, zaproponowała kupno brylantów. Tranzakcja doszła do skutku, i oto skarb, przechodząc z pokolenia na pokolenie, wreszcie w naszych znalazł się rękach. Koniec. Ciekawe, co?

— Bardzo — szczerze stwierdził Heller. — Ciekawe zwłaszcza dla Zinowjewa i, rozumie się, dla ciebie też, ponieważ jakiś tam procent pewnie ci kapnie do kieszeni.

— A coś ty myślał, że darmo będę sobie zawracał głowę?

— Powiedz mi teraz, Soskis, z nią co się stało?

— Niby z kim?

— Mówię nie o Durewnach, lecz o Druckiej-Lubeckiej.

— No, cóż... Nic szczególnego — wzruszając niedbale ramionami, krzywił się sekretarz Zinowjewa. — Miesiąc przetrzymali na Grochowej, a potem wio! na wolność. A szkoda; na wszelki wypadek należało rozstrzelać.

— Hmm — mruknął Heller, do głębi rewelacjami poruszony.

Nazajutrz powziął nieodwołalnė postanowienie wyjazdu do Zasławia.

Nocą trapiła go zmora brylantów. W mgłach niespokojnych marzeń błądziła sama księżna d'Angoulême, jakoś do Zuzanny z obrazu Rubensa dziwnie podobna. Z wizyjnego oddalenia uśmiechała się kusząco do Hellera, półnaga, bo ubrana tylko w obcisłą, drogiemi kamieniami płonącą szatę.

Ocknąwszy się z maligny, szukał wzrokiem obrazu, ale spojrzenie otarło się o zimną ścianę.

— Byle prędzej wynieść się z tego zamku, byle prędzej uciec z bagna rozpusty, której moje komunistyczne sumienie nie może przebaczyć!

Nie wiadomo skąd nagle w Hellerze zjawiła się purytańska moralność. Niezależnie od pobudek, jakimi w swej decyzji kierował się rozgoryczony aptekarz, stwierdzić należy, iż orgje rzeczywiście przybrały ton horrendalny. Nawet sam inicjator, kierownik i patron hałaśliwych becceństw, wreszcie ze zdumieniem zawołał:

— Ale też i uzdrowisko, tą Sławuta! Wyobrażam sobie, jak w grobowcach książęcych muszą się przewracać kości potomków Giedymina!

Soskis zaszedł do Hellera z pożegnalną wizytką.

— Jak to, już?

— Już.

— Czy przez Warszawę?

— A jakżeby inaczej?

— Jeżeli będziesz w naszem poselstwie, to kłaniaj się wszystkim. Możebyś tak wziął list do Wiszniewskiego? A z Warszawy dokąd?

— Do Brukseli — dumnie odparł wysłannik Zinowjewa.— Widzisz, dzisiaj tam jest główny międzynarodowy rynek wszelkich precjozów.

— Czy wieziesz też i brylanty księżnej d'Angoulême?

— Coś ty się tak do tej księżnej przyczepił? Mam jej już po samą szyję.

Chcąc rozmowę skierować na inne tory, przyciszonym głosem rzekł:

— Żebyś ty wiedział, jaki wczoraj wynikł skandal! Wyobraź sobie, Szurka - Zwierzak tak trzasnęła towarzysza Zinowjewa w pysk, że pozostał wyraźny ślad pięciu palców. Słowo honoru daję, zupełnie wyraźnie dotąd widać...

— A niby zaco?

— Uważasz niby zato, że... Była wieczerza, pijaństwo... Goła szyja...

— O kim mówisz? — niecierpliwił się Heller. — Aha, rozumiem. Zinowjew siada do stołu z odsłoniętą szyją. Ma to być nonszalancja w stylu Potiomkina. Bo czemu towarzysz prezes Północnej Komuny ma być gorszy od księcia Taurydy! Przeciwnie, stokroć od Potiomkina mądrzejszy! Bo jeżeli tamtem korzystał z łask Katarzyny za jej życia, to Zinowjew, *der feine Konditor*, cieszy się względami nawet zmarłej. Dowodem tych łask może być wyjęta z grobowca Katarzyny bransoleta!

— Pozwól mi skończyć, gaduło — piszczał Soskis. — Szurka była w bardzo wyciętej sukni, więc Zinowjew, tego, uważasz, z łapą do niej, tak przy wszystkich. A ona jak krzyknie: „Ręce przy sobie", jak nie zdzieli w gębę, rzekłbyś — strzał z pistoletu. A on nic: siedzi i śmieje się. Gdyby to nie była Szurka, oho! Inną zastrzeliłby z pewnością na miejscu, tej zaś wszystko uchodzi.

— Wiesz czemu? — spytał Heller. — Ratuje ją pochodzenie proletarjackie.

Heller z pewnością nie zdawał sobie sprawy, jak trafnie udało mu się rzecz tę ująć.

Rzeczywiście: ani hrabina Brieckşdorff, ani inna *grande dame*, która w upadku swym doszła aż do alkowy dyrektora północnej stolicy, nikt krom Szurki - Zwierzaka nie ośmieliłby się na żadne w stosunku do pana ostrzejsze wystąpienie. Tylko Szurka Goreckaja szczególnie go jakoś swem niepozornem drzewkiem genealogicznem rozbrajała.

Z rodowodu Zinowjewa i swego drwiła z wisielczem lekceważeniem.

— Ze mną proszę być ostrożniejszym, kochanku luby. Maltretuj sobie dowoli baronówny i hrabianki, ale ode mnie wara! Z tego samego gatunku ziarna pochodzimy, towarzyszu: tyś dziewka w portkach, a ja w kiecce, a w obojgu nas pły-

nie krew czysto chamskiej rasy. Towarzysz jesteś synem zwykłego chałaciarza cebulowegu, a ja córką "faraona" *), wprawdzie bynajmniej nie z opery lub baletu, lecz takiego sobie całkiem ordynarnego faraona z rogu Ligowki i Newskiego, gdzie właśnie mój tata z wyżyn swego posterunku macierzyście beształ woźniców.

Ta wytworna dama o powierzchowności i manierach arcyksiężnej, biegle władająca kilku językami, z namiętną brawurą zwykła akcentować swoje plebejskie pochodzenie.

Soskis wyjechał, wziąwszy z sobą list Hellera do Wiszniewskiego i paczkę z „bibułą".

Tegoż dnia jednak zupełnie nieoczekiwanie na zamku w Sławucie zjawił się sam Wiszniewski, zaniedbany, brudny, w przydługim, najwidoczniej nie na niego robionym płaszczu mikołajowskim z pelerynką i bobrowym kołnierzem. Na łupieżem usianej głowie zawadjacko się gięła bardzo już zniszczona, z przepychem bobrów nie harmonizująca czapa.

Wiszniewski zaczął się jąkać, śliną pryskając aż na sofę.

— Ja... jadę prosto z Równego... sssamochodem. Szosa, niech ją czarci ścisną; poprostu nie szosa, ale jakiś ppprzytułek położniczy... Wszystkie flaki ze mnie wytrzęsło... Coco porabiasz, jjjak ci się powodzi?

— Jak widzisz.

Skromnym gestem Heller zapraszał do rozejrzenia się po apartamencie.

— Nic nie wiesz?

— Bardzo niewiele. Ostatni kurjer z Warszawy był u mnie przed pięciu dniami.

— A więc istotnie nnnie wiesz nic. Zaszły wypadki niesłychanej wagi. Tto bydlę Winarski ośmielił się aresztować braci Perlmutterów.

---

*) Tak ulica Petersburga nazywa pogardliwie policjanta.

— Być nie może? Cóż za bezczelność!

— Toż mówię: ośmielił się. Była rewizja, znaleziono bibułę.

— Ale spodziewam się, że starania o uwolnienie są wszczęte?

— Rozumie się. Perlmutter-ojciec uruchomił cały aparat wpływwów...

Wiszniewski zaciął się, poczem zaparskała opowieść tak dalece niewyraźnie, że Heller nie mógł pochwycić nietylko wątka myśli, ale zgoła choćby sensu słów.

Przeczekawszy paroksyzm jąkania się, gospodarz zaczął gościa badać:

— Więc co słychać wogóle?

— Montebianco miota się i rzuca na wszystkie strony. Telefonował nawet do posła angielskiego, który rozpoczął już starania u władz wyższych...

— A z jakim wynikiem?

— Narazie z żadnym. Na Winarskiego wywierany jest nacisk ze wszystkich stron, ale ta szelma uparła się i biedne Perlmutrzątka dotąd pozostają pod kluczem. Ale nie powiedziałem ci najważniejszej rzeczy, od której wpadniesz w cielęcy zachwyt. Winarski padł ofiarą terorystycznego aktu, terorystycznego w najszlachetniejszem słowa tego znaczeniu.

Heller aż podskoczył.

— Zabity?

— Niestety, niezupełnie. Raniony, leży w szpitalu.

— Więc co mię ma w cielęcy zachwyt wprowadzić?

— Pomyśl tylko, Heller... To reakcyjne ścierwo wytrąciliśmy z szeregu na przeciąg conajmniej miesiąca, a przez ten czas dużo przecież może zajść ważnych zmian. Ojciec Perlmuttrów pieniędzy na akcję nie żałuje; Winarskiego ściga

nietylko Chowno, ale też i niektóre polskie pisma. Słowem...

Wiszniewski znów zachłysnął się i zaślinił.

— Do djabła, sprawa niekoniecznie tego...— ponuro mruknął Heller, biegając po gabinecie. — Ten Winarski porządnie popsuł nam szyki. A jak wybory?

— Wspaniale. Zwycięstwo lewicy zapewnione, demokracja zatriumfuje niewątpliwie. A teraz pomówmy o sprawach, które też i ciebie bezpośrednio dotyczą. W gruncie rzeczy przyjechałem przedewszystkiem poto, by ci oświadczyć, że godzina zemsty zbliża się...

— Bejzym? — ochryple krzyknął Heller.

— Tak jest, Bejzym.

— Co ty mówisz!

Rzucił się ku Wiszniewskiemu i w szale niecierpliwości zaczął go szarpać.

— Mów prędzej, co?

— Dzieło zemsty może jest cięższe, niż ci się zdaje. Tego potwora, tego łobuza, tego bandytę będziemy mieli w swoich rękach.

— Nie męcz mię! Mów wszystko, prędzej!

— Powiem, ale wpierw puść mię, bo podrzesz płaszcz. Okazało się, że na samem pograniczu Bejzym ma posiadłość ziemską. W lasach tego folwarku odbędzie się jakaś scena dla kinematografu, pomyślimy zatem o urządzeniu wypadu kawaleryjskiego i porwaniu Bejzyma.

— Kiedy to ma być? — z żarem badał Heller, w podnieceniu wyłamując sobie palce u rąk.

— Gdy spadnie pierwszy śnieg. Do przygotowań należy przystąpić niezwłocznie. Sądzę, że za podstawę operacyjną należałoby wybrać Zasław.

— Dziś tam jeszcze jadę. I ty ze mną?

— Owszem, chciałem tylko przedstawić się towarzyszowi Zinowjewowi.

— Jak chcesz. Ale muszę cię uprzedzić, że Zinowjew dziś może cię zupełnie nie przyjąć. Pójdę, by rzeczy przygotować do wyjazdu. W Zasławiu zgłoś się do mnie niezwłocznie; zamieszkam w klasztorze Bernardynów.

CZĘŚĆ III.

1. Na posterunku.

— Więc jak to było?

Winarski uniósł się nieco na poduszkach i z uśmiechem opowiadał:

— Więc proszę, słuchajcie. Zawiadomiono mię, że na Pradze, w pewnym domu przy ulicy Stalowej, w konspiracyjnem mieszkaniu, należącem do jakiegoś formalnie zarejestrowanego biura, mają w pewnym terminie zebrać się na naradę wybitni komuniści. Była godzina przedwieczorna. Wysławszy na miejsce agentów, po pewnym czasie sam przybyłem na Pragę, by osobiście czuwać nad przygotowaniem zasadzki. Wszyscy moi ludzie mieli już role wyznaczone, ja zaś, ucharakteryzowawszy się na zdemobilizowanego oficera, stanąłem w jednej z przyległych bram, w wyborze punktu obserwacyjnego kierując się tem, by z ukrycia móc mieć na oku wszystkich wychodzących z lokalu spiskowców. Około siódmej zebranie się skończyło i uczestnicy zaczęli ostrożnie, w pojedynkę przemykać się na ulicę.

Ujrzałem robociarzy—Polaków i żydów, ale ani jednej znanej twarzy. W pewnej chwili przyszedłem do wniosku, że komuniści musieli już się rozejść, ponieważ w ciągu jakich dziesieciu minut

czujnie pilnowana brama pusta była i milcząca. Już miałem zejść z posterunku, gdy oto nagle odezwała się we mnie pasja myśliwska. Znacie panowie potęgę tej namiętności, wiecie, co się dzieje w duszy myśliwego, gdy szukając naprzykład przepiórek, widzi, jak niemal z pod nóg jego wyrywa się tęgi zając. Taką dużą sztuką było dla mnie pewne indywiduum, w którem dzięki światłu latarni ulicznych poznałem towarzysza Smirnowa. Pod tym pseudonimem kryje się osobnik o jakiemś typowo żydowskiem nazwisku, przed trzema laty znany z roboty bolszewickiej na gruncie Mińska Litewskiego. Gracz to był nielada; sfery kremlińskie za spryt i ruchliwość bardzo go ceniły, Nazwiska zapomniałem, więc pozostańmy przy pseudonimie. Ten właśnie Smirnow w Mińsku stał na czele dowcipnie zorganizowanego węzła agitacyjnego, którego jadowite macki pełzały ku Polsce.

— Po trzech latach—ciągnął dalej Winarski—agitator znalazł się na bruku warszawskim. Teraz panowie wyobrażacie sobie moje podniecenie na widok tego gagatka. Owładnęła mną taka gorączka, żem z trudnością tylko zdołał zapanować nad sobą, by świetnej okazji przedwczesnem wystąpieniem nie zmarnować. Już miałem wyskoczyć z ukrycia i z okrzykiem „ręce do góry“ zakuć ptaszka w kajdanki, czem bezwarunkowo znacznieby m sobie sprawę powikłał, niemasz bowiem szkodliwszej nieroztropności nad przedwczesny, nie we właściwym czasie dokonany areszt. Czy nie prawda, panie Liwicki?

Pan Leon dał odpowiedź milczącem skinieniem głowy.

— No, bo tak!—tłumaczył Winarski.—Złapać trzeba, ale dopiero wtedy, gdy wszystkie nici są już w ręku. Chcąc zdobyć jak najwięcej materjału informacyjnego, postanowiłem paniczka śledzić. Agenci już się rozpełzli po mieście—każdy szedł

ciepłym jeszcze śladem. Każdy miał kogoś na oku...

— Bardzo zajmujące! — cieszył się Bejzym.

— Owszem—westchnął Winarski. — Szkoda tylko, że dla mnie zdarzenie skończyło się mniej zajmująco.

Z bieli poduszek uśmiechała się smagła, wymizerowana twarz.

— ...Towarzysz Smirnow wciągnął mię w zasadzkę...

— Czy poznał pana?

— Poznał wtedy, gdym z miną beztroską szedł za nim w odległości dwudziestu kroków. Zdradziła mię bekiesza, ta sama, którą łotr widział na mnie jeszcze w Mińsku. Spacer mój trwał aż do ulicy Szerokiej. Tam Smirnow, wszedłszy do bramy domu Nr 17, minął dziedziniec i zniknął w poprzecznej oficynie. Podążam za nim niezwłocznie i na dole, w klatce schodowej, nasłuchuję, jakie drzwi skrzypną, by wiedzieć, gdzie się ptaszek ukrył. Wokół mnie i na schodach było zupełnie ciemno. Starając się stąpać jak najciszej, ostrożnie wchodzę na pierwsze piętro, aż tu z mroku, z pod nóg moich, wysuwa się nagle jakiś cień i z ordynarnem przekleństwem skacze mi do gardła. Żgnął mię w plecy piekący ból, a potem poczułem, jak czyjeś ręce brutalnie na schody mię zrzucają. Ciało moje ciężko stoczyło się po kamiennych stopniach na dół, poczem, jak się mówi w powieściach, spowiła mię czarna, nieprzenikniona mgła. Nim odzyskałem przytomność, upłynęły kwadranse, w ciągu których widocznie nikt z mieszkańców tej oficyny mieszkania nie opuszczał i do domu nie wracał, nikt mię bowiem z kałuży krwi nie podniósł. Obmacałem czaszkę—cała, nie uszkodzona. Usiłuję wstać — bezskutecznie; ogólne potłuczenie i silny upływ krwi z głębokiej rany w plecach pozbawiły mię sił. Ale że perspektywa

spędzenia nocy na zimnych schodach niekoniecznie mię nęciła, więc, trzymając się poręczy i opierając o mur, dowlokłem się jakoś do bramy, wyszedłem na ulicę i siadłszy do stojącej opodal dorożki, kazałem się zawieźć do domu. Od lekarza, który mię dogląda, doczekałem się zacnego komplementu: oto naprzekór pozorom mam żelazny organizm...

Przy tych słowach Winarski uśmiechnął się dumnie.

— Ale wszystko to dobre, co się dobrze kończy—wesoło dodał.—A wypadek mógł się skończyć znacznie gorzej. Towarzysz Smirnow w ostatniej chwili skiksował, a przecież któżby mu przeszkodził zarznąć mię jak barana. Zapewne obawiał się, iż w pobliżu gdzieś muszą być moi ludzie. To też niedokładnie żgnąwszy nożem w plecy, czmychnął jak mógł najspieszniej..,

— Szkoda!—westchnął Bejzym.

— Rozumie się, że szkoda. Jestem jednak pewien, że wkońcu opryszek wpadnie w moje ręce. Za parę tygodni opuszczam szpital, a wówczas z pod ziemi go wydobędę, na żadne przeszkody nie bacząc.

W wąskich szczelinach powiek zaiskrzyły się niebieskie oczy.

Wiadomość o zamachu błyskawicznie obiegła miasto i już nazajutrz Bejzym z Liwickim, siedząc u wezgłowia ranionego szefa defensywy, słuchali jego opowiadania.

Zimowy dzień ociężale przesączał się do szpitalnego pokoju przez duże, nieozdobione firankami okno, za którem na tle spłomienionego zachodu nieruchomo stały czarne sylwety bezlistnych drzew. Śniegu jeszcze nie było, więc zdawało się, że to późna jesień czeka dopiero na przybycie zimy.

— Zupełnie, jakbyśmy teraz byli nie w Warszawie, lecz w wiejskim jakimś dworze...—z wy-

razem rozmarzenia zauważył Liwicki, biegnąc spojrzeniem ku łunom zachodu.

Mniej idylicznie nastrojony Bejzym znagła pogroził komuś w przestrzeni olbrzymią swą pięścią.

— Gdyby tak kto chciał i mógł odszukanie tego Smirnowa mnie powierzyć, — mruknął groźnie — wziąłbym parę szwadronów ułanów i, otoczywszy Nalewki, postawiłbym krótkie ultimatum: „Jeżeli nie wydacie Smirnowa, za opór wasz zapłacą osadzeni w więzieniach bolszewicy". Gdyby jeszcze na ulice wyruszyły wzmocnione patrole ułańskie... hoho! ręczę słowem honoru, że ryży morderca znalazłby się w naszych rękach.

— Hmm...—pokręcił głową Winarski.—Ale w parę dni później prasa Ameryki i zachodniej Europy zaczęłaby wyć, iż w Warszawie ułani bawią się w pogromy, a wszystko to najfatalniej odbiłoby się na kursie naszej marki. Nie, drogi majorze, żadnych gwałtów, żadnych wybryków, któreby żydom dały temat do hałasów o antysemityzmie polskim. W tej materji najzupełniej zgadzam się ze zdaniem pana Leona, iż hańbiące człowieka pogromy są już jakby podszewką bolszewizmu. Niech się plamią niemi choćby bandy Petlury, ale nam nie wolno.

— Niech już tak będzie—westchnął Bejzym.— Więc siedźmy z założonemi rękoma i bez walki oddajmy się w niewolę wojującemu żydostwu, które, upiwszy się triumfem w Rosji, z kolei Polskę na skraj zguby spycha. Doskonale!

— Tego nie powiedziałem—zawołał Winarski i zlekka na łokciu się uniósł, aż ból skrzywił mu twarz.—O co mię pan podejrzewa, majorze? Przeciwnie — solidarna, planowa walka na całym froncie jest niezbędna, ale walka dumna i szlachetna, walka o prawa i godność narodu. Takiej walki, wszczętej na gruncie kulturalnym i gospo-

darczym, żydostwo stokroć bardziej się obawia, niż najkrwawszych pogromów. Śmiało i uczciwie, drwiąc z wszelkich oskarżeń o gwałcenie zasad demokratycznych, mamy prawo i obowiązek czuwać nad tem, by żywioły, które na przestrzeni tysiąca lat udziału w budowie ojczyzny naszej nie brały, teraz nie niszczyły podstaw naszego bytu. Morzem przelanej krwi polskiej, ceną chwały i genjuszu narodowego okupiliśmy prawo rządzenia się u siebie zgodnie z naszemi interesami, choćby się to nawet nie spodobało pasorzytującym przybyszom. Spójrz pan, jak żywiołowo na świecie ruch narodowy się rozpala! Jeszcze przed dziesięciu laty walka studentów z zalewem żydowskim byłaby bajką, a dziś ograniczeń procentowych domaga się nie administracja państwowa, lecz właśnie studenterja, młodzież. Hegemonja semicka zbyt szerokie zatacza kręgi. Przemysł, handel, szkoły — tego już za wiele. Polską nie mogą rządzić ludzie, dla których ojczyzna nasza jest tylko czemś w rodzaju pokojów umeblowanych...

Winarski odpoczął nieco i po chwili dalej snuł swe wywody.

— Tak, konstytucję mamy bardzo liberalną, mamy równość, braterstwo, mamy więc i blok mniejszości narodowych w parlamencie. Nie powinniśmy jednak zapominać, że państwo nasze zmartwychpowstało w straszliwej wichurze wojny i przewrotów i że ta wojna oraz rewolucje jeszcze się nie wypaliły, że taki stan grozę budzącej niepewności musi trwać, dopóki Rosją rządzi szajka przestępców. Niebezpieczeństwu zapobiec może tylko zwarta jednolita wola całego narodu, zgoda wszystkich jego warstw, zaniechanie waśni partyjnych, które tak bezczelnie na gruncie Sejmu i Senatu wyzyskuje sławetny blok mniejszości. Gdyby udało się nam tę jedność stworzyć, z lekceważeniem i pogardą moglibyśmy słuchać dola-

tującego ze Wschodu szczęku broni... Ale narazie, panowie, nim do świętej arki zgody dojdziemy, macie charakterystyczny obrazek stosunków. Oto za aresztowanie czynnie uprawiających bolszewizm braci Perlmuttrów muszę się kąpać w pomyjach oszczerstw, denuncjacyj i pogróżek. W tej przeciwko mnie skierowanej akcji—stwierdzam to z głębokim bólem—biorą udział nietylko żydzi, ale i pewne żywioły polskie. Jedni ścigają mię z pobudek partyjnych, innymi zaś kierują motywy wątpliwie ideowego charakteru... Nie wchodzę w szczegóły, stwierdzam jedynie ubolewania godny fakt. Nie zdziwię się nawet, jeżeli tu jeszcze, w szpitalu, do którego przywieziono mię wprost z posterunku, w pismach znajdę wiadomość o swej dymisji...

Winarski zamilkł. Milczeli też Liwicki i Bejzym.

W białym pokoju zgęszczał się zmrok. Złociste płomienie zachodu szybko gasły, aż pozostała z nich wąska, popielato-złota smuga.

Na jej tle wyraziście czerniły się za oknem sylwety odartych z liści i milczących drzew.

2 Przemiany.

Przeczucia Winarskiego nie sprawdziły się tylko w szczegółach. Wprawdzie raniony szef defensywy wiadomości o swej dymisji w dziennikach nie znalazł, ale po dziesięciu dniach pobytu w szpitalu, gdy rana już pomyślnie goić się zaczęła, chorego odwiedził kolega z ministerjum spraw wewnętrznych.

Gość odrazu przystąpił do rzeczy.

— W sferach rządzących daje się zauważyć lekki zwrot ku demokracji.

— Jakto? — zdumiał się Winarski. — Więc dotąd niedość byliśmy demokratyczni?

Na twarzy młodego dygnitarza ukazał się uśmiech dostojnej tajemnicy.

Sprawa przedstawiała się tak: pan minister, śląc Winarskiemu wyrazy współczucia i ubolewania, proponuje mu sześciomiesięczny płatny urlop dla poratowania zdrowia.

— Propozycja ta zupełnie mię nie dziwi...— twardo oświadczył chory, niebieskiemi oczyma patrząc w dobrze ułożoną twarz kolegi, który siedział sztywno, z kapeluszem na kolanach, jak podczas jakiegoś ceremonjalnego obrzędu. — Ale takiem rozwiązaniem sprawy, niestety, zadowolić się nie mogę. Jeżeli zwierzchność zarzuca mi przewiny służbowe, to, nim dymisję otrzymam, powinienem stanąć przed sądem. Jeżeli zaś praca moja nie nasuwa żadnych zastrzeżeń, to w takim razie jakiż sens może mieć cała ta komedja, te cukrzone pigułki z wyrazami ubolewania, ten długi urlop z zachowaniem gaży, urlop, z którego zresztą pod żadnym pozorem nie skorzystam?

Po wyjściu ze szpitala Winarski znalazł się w szczególnem położeniu—miękko usunięty z zajmowanego stanowiska, nie otrzymał dymisji, ani też nie zgłaszał się po urlop.

W kilka dni później, z powodu obrania Gabrjela Narutowicza prezydentem Rzplitej, odbyły się krwawe demonstracje. Gdy po paru dniach urzędowania Narutowicz padł ofiarą zamachu, sfery nagle przypomniały sobie Winarskiego. Mówiono, że gdyby w krytyczne dni na czele defensywy stał doktor Michał, ulic Warszawy nie zrosiłaby krew. Za przykład podawano bezkrwawy wynik innych, poprzednich wystąpień tłumu i pomyślne gaszenie ognia w zarodku przypisywać zaczęto energji, taktowi oraz doświadczeniu usuniętego kierownika wywiadu.

W rozgrzanej atmosferze czuć było wiew zdarzeń. Ulicami przeciągały patrole wojskowe. Sama przyroda jakby starała się te dni jeszcze

bardziej omroczyć, bo po jesiennem niebie nisko toczyły się zwały ciężkich chmur.

Pod wieczór na zasępione miasto spadł pierwszy śnieg. Najpierw lękliwie i niepewnie, później coraz śmielej i obficiej zaroiło się w mokrem powietrzu od gęstych płatków.

Na tę noc Warszawa wdziała na siebie biały pokrowiec.

Nazajutrz wczesnym rankiem Bejzym otrzymał od Łaszcza depeszę: zima już jest, a Lasota knieję wykrył.

Trzeba było zatem śpieszyć się i jak najprędzej trupę zawieźć na wieś, gdzie na rozkaz gospodarza czyniono już gorączkowe przygotowania na przyjęcie kilkunastu osób.

Do tego czasu hrabina coraz częściej zdradzała swoje zniecierpliwienie, dokuczając Bejzymowi wciąż tem samem pytaniem:

— Kiedyż nareszcie pojedziemy?

I oto wreszcie nadszedł oddawna oczekiwany dzień, gdy Bejzym zawiadomił Julję o otrzymaniu przezeń pomyślnej depeszy.

— Ogłaszam mobilizację! — zawołał radośnie. — W drogę możemy ruszyć choćby nawet jutro; im prędzej to uczynimy, tem lepiej.

Ku zdumieniu majora Julja przyjęła wiadomość całkiem obojętnie.

— Tak, oczywiście śnieg spadł... Pan chciałby zaraz tam jechać?

— Ależ, na Boga, przecież najmniejsza odwilż pozbawi obraz uroku zimy...

— Dobrze, dobrze. Lecz przecież niedźwiedź chyba nie ucieknie?—machinalnie pytała, myśląc widocznie o czem innem.

Hrabina bowiem w ostatnich czasach zmieniła się dziwnie. W jej fałszywej, zawsze do gry i pozy przygotowanej duszy, odezwały się nagle nowe, szczere nuty.

Zmiana ta, którą poprzedziły chwile szczegól-

nego jakiegoś niepokoju, nie uszły uwagi Bejzyma. Stwierdził, że kobieta coś przed nim ukrywa.

W stosunkach ich wzajemnych pozornie nie zaszło nic nowego. Jak i przedtem, tak i teraz wybuchał major płomieniami żądzy, pozbawionej nawet cienia miłości i szacunku do tej zawsze nienaturalnej, zawsze nieszczerej kobiety. Wprawdzie każde szaleństwo kończyło się u Bejzyma atakiem wstrętu i niesmaku, ale nie tak dalece silnego, by mógł zgasić płomienie, które co pewien czas nanowo rozpalały zmysły.

Siły porywów nie łagodził kobiecy urok Łabędzkiej, któremu coraz wyraźniej zaczął się Bejzym poddawać. Nawet w marzeniach swych o Magdalenie olbrzym nie przestawał być chłopięco nieśmiałym. Zbijał go z tropu złoty nimb, otaczający ciemną główkę wdowy, wobec której serce zamierało w modlitewnym zachwycie.

Jaskrawym przeciwstawieniem tej nakazującej cześć istoty była Julja. Po jej gorące uściski mógł się kochanek zgłosić zawsze, w każdej chwili do cieplarnianym skwarem dyszących apartamentów „Bristolu". Tam oczekiwało go zaspokojenie nałogu rozkoszy, z którym major nie miał sił zerwać. Spalał się więc w pieszczotach i męce, jak rozkochany w czystej dziewczynie narzeczony spala się w objęciach rozpustnej kochanki, gdy na odejście woli i mocy mu zbraknie.

Ale ta zagadkowa kochanka, swym wyuczonym szablonem bachantki, niecąca czasem szał wściekłości, zmieniła wreszcie swą taktykę. Właściwie to już nie była taktyka. Ta Julja, w chwili, gdy chciwie rzucał się na nią Bejzym, stawała się jakby prostsza, jakby naiwniejsza i, rzekłbyś, dziwnie bezbronna.

— Co się właściwie stało? — zadawał sobie Bejzym pytanie, na które nie mógł znaleźć odpowiedzi.

W związku z tem zaczął major powoli z wię-

zów się wyzwalać, a Julja tracić swą nad nim władzę.

Najbardziej uderzało go ociąganie się hrabiny, gdy mówił jej o konieczności niezwłocznego wyjazdu na wieś.

— Jeszcze nie dziś... Lepiej pojutrze, gdy Skwara mój kostjum wykończy.

— Przepraszam, ale miała pani na to czasu wbród. Przecież jeszcze przed dwoma miesiącami wiedzieliśmy ze scenarjusza, w jakich kostjumach wystąpimy na polowaniu. Skwarę znam, jest to jeden z moich bejzymczyków, poproszę go przez telefon, by strój w ciągu nocy wykończył. Gdy pracownicy otrzymają dodatkowe wynagrodzenie, to pośpiech rzeczą zbyt uciążliwą nie będzie.

Już podchodził do telefonu, gdy Julja zatrzymała go.

— Nie trzeba, majorze, nie trzeba! Sama tę sprawę załatwię. Więc kiedy chce pan jechać?

— Jutro.

— Jutro? Czemu tak prędko? Najlepszy mój operator, Stein, wyjechał i do Warszawy ma wrócić... ma wrócić...

— Niech go djabli wezmą, niech już nie wraca!—wybuchnął atleta. — Jego psim obowiązkiem jest siedzieć tu, na miejscu i czekać na rozkazy. Jeżeli niema Steina, to weźmiemy z sobą innego.

A po chwili, bezmała rozgoryczony:

— Nie poznaję pani doprawdy! Co się stało? Co znaczy to zwlekanie? Może pani zamierza łeb skręcić filmowi? Uprzedzam więc, że do takiego finału nie dopuszczę, jako sportsmen i żywy czynnik kinematografu. Zbyt się do tego obrazu zapaliłem, by móc teraz obojętnie pomysł swój i pracę zmarnować. Poza tem... Przecież na Boga jedynego, nie jestem chyba maszyną, lecz istotą dostatecznie chyba unerwioną! Pani zapewne sądzi, że takie spotkanie oko

w oko z niedźwiedziem to drobiazg, zabawka, figielek, a tymczasem... Tymczasem ja czuję gorączkę wzruszeń na myśl o zbliżającej się walce, do której stanę tylko w nóż uzbrojony... Proszę zwrócić też uwagę i na to, że zapał łowiecki wieki trwać nie może, że w razie dłuższej zwłoki, do jakiej pani dąży, podniecenie wytli się, zgaśnie, i sensacyjna scena, na którą takeśmy liczyli, może przez to dużo na efekcie stracić, a co zatem idzie i minąć bez właściwego wrażenia. Ale poco ja się nad tem tak rozwodzę? Przecież pani, jako kobieta rozumna, bez takiego słowospustu argumentów sama wszystko pojmuje, a więc dość krasomówstwa! Do czynu! Jutro o ósmej wieczorem wszyscy uczestnicy leśnej sceny obrazu, a w ich liczbie i pani, spotkają się ze mną na dworcu Głównym. Jeżeli zaś nie przestanie pani kaprysić, mój wielki znaku zapytania, tak panią nazwałem, jako że nie domyślam się, nie zgaduję pobudek dążenia do zwłoki, to uprzedzam, iż dam spokój całej tej zabawie w film, albo też takich głupstw narobię, że... Proszę zatem decydować się na wybór, cierpliwość moja już się wyczerpała.

Przy tych słowach Bejzym zerwał się i sięgnął po kapelusz.

Był tak rozdrażniony, że nie zauważył nawet szczególnego wyrazu twarzy swej kochanki, wyrazu błagania, trwogi oraz zaciekłej rozterki.

Chciała widocznie Julja pęta milczenia zerwać i mówić, wyznać coś, o coś błagać.

Ale tylko szepnęła pokornie:

— Jutro o ósmej będę na dworcu...

— Nareszcie!—z ulgą westchnął major—lecz szybko zapanowawszy nad uczuciem radości, nachylił się nad zimną, drżącą ręką kobiecą i martwe jej palce do ust podniósł.

W tej chwili nie mógł znów widzieć udręką tchnących oczu Julji, która na jedną sekundę po-

dała się naprzód, lecz natychmiast z dreszczem na zmienionej twarzyczce, jakby z braku sił do jakichś zwierzeń męczących a niesłychanie ważnych, bezwładnie na fotel się osunęła.

Gdy Bejzym, wychodząc, zamykał za sobą drzwi, Julja ponownie zerwała się w krótkim ruchu. Drgający kłębek jej ciała bezradnie wtulił się w ciemny kącik otomany.

Powoli wlokły się długie kwadranse rozterki, aż wreszcie na biureczku bezdusznie zabrzęczał telefon.

Nie odrazu podeszła doń Julja. Sztywny aparat, z równą obojętnością roznoszący ludziom smutek jak i wesele, nieszczęście jak radość, zdawał się dyszeć przejmującym chłodem.

Czarna skrzynka niecierpliwie wybuchała spazmami dźwięków.

— Proszę...—wionął wreszcie w tubę cichy, zmordowany głos hrabiny.

— Ttto paani?

— Tak, to ja.

— Czy aby nnappewno pani saama, osobiście?

— Czego pan chce?

— Bo ppierwszy śnieg już dawno spadł, a pani wciąż zwleka. Czczasby już chyba... wszystko przygotowane. Hallo! Hallo!

— Słyszę. Ale pewne czysto techniczne przeszkody dotychczas...

— Co za przeszkody?... — jąkał zirytowany głos. — Zzawracanie głowy, jak mówią Polacy. Żądamy od pani dotrzymania warunków umowy... Proszę dać termin podróży, ale już niezawodny. Hallo? Czy pani jest przy aparacie?

— Jestem, jestem... Więc jutro wieczorem. Dosyć, nie mogę mówić, czuję się niedobrze...

— To jak ppani pojedzie, jeżeli jest niezdrowa?—badał stroskany głos.

Ale pytanie przebrzmiało bez odpowiedzi. Na tem skończyła się wtedy próba spłaty długu.

3. Stamtąd.

Gagarin długo był pod wrażeniem ostatniej swej z przyjaciółmi rozmowy.

Mijały dni, upłynął miesiąc, a w uszach księcia wciąż jeszcze brzmiało oskarżenie, jakie rosyjskim klasom oświeconym, a więc i jemu, Włodzimierzowi Gagarinowi, rzucił Leon Liwicki.

Książę zdążył już ponownie wejść w rytm sytego żywota, tak się napawał dostatkiem po latach tułaczki o głodzie i chłodzie, iż żądza zemsty nad ujarzmicielami jego ojczyzny znacznie w ostatnich czasach przygasła. I chociaż, widząc w sobie ten objaw, truł się pogardą, fakt pozostał faktem.

Otrzymawszy znaczną podwyżkę, Gagarin zmienił swój dotychczasowy pokój na większy i czystszy, wciąż jeszcze jednak w hotelu przy ulicy Długiej. Jadał smacznie, wypalał kilka cygar dziennie i zastanawiał się nad tem, czy się nie przenieść do Paryża, gdzie właśnie jego bank otwierał filję. Dosyt i spokój tak go pochłaniały, że stało się to nawet przedmiotem ironicznych żartów, jakich książę nie szczędził sobie w rozmowach z Łabędzką, wadę tę zresztą przypisując całej emigracji rosyjskiej.

Czasem tylko jeszcze, gdy myślał o haniebnej niewoli, w jakiej trwa jego ojczyzna, i o ośmnastu zamęczonych Gagarinach, duszą jego wstrząsało oburzenie i drapieżny poryw zemsty. Ale to już były tylko chwile.

Właśnie kiedyś podczas takiego przeżuwania fantastycznych marzeń o czynie, ktoś nieśmiało zapukał do drzwi, poczem w szarym mroku wieczora ujrzał Gagarin przed sobą wysokiego wzrostu kobietę, ubraną w długi płaszcz wojskowy i furażerkę, podobną do tych, jakie na froncie nosiły amerykańskie i francuskie sanita-

rjuszki. Z pod czapeczki tej spoglądała twarz duża i długa, ostro rzeźbiona, cała w zmarszczkach, twarz raczej męska niż kobieca.

Z pamięci księcia wyjrzała na portrecie widziana głowa jednego z Gagarinów, starannie wygolonego generała z czasów Katarzyny II, w czerwonym mundurze i w peruce. Te same rysy, ten sam wyraz oczu.

I po chwili, w wybuchu radosnego zdumienia, jakby własnym oczom nie wierząc, Gagarin zawołał:

— Waria?

— No co, poznałeś nareszcie?

Była to kuzynka księcia, Barbara Drucka-Lubecka, której klejnoty z polecenia Apfelbauma-Zinowjewa wiózł Soskis do Brukseli na sprzedaż.

Nastąpiła długa chwila gorącego powitania.

— Boże, ileż trzeba było wycierpieć! — skarżyła się Barbara, garnąc się do księcia. — Jakżem szczęśliwa, że cię wreszcie odnalazłam!

Po zwiędłej twarzy spłynęły łzy.

Włodzimierz Gagarin zaświecił lampę, i posadziwszy kuzynkę w fotelu, podał jej szklankę wody.

Piła chciwie, drżącemi ze wzruszenia rękoma rozlewając wodę na podłogę.

— Więc wyobraź sobie, Wałodia, wyrwałam się jednak, uciekłam. Bolszewicy zrabowali wszystko, zostałam w nędzy... Ale jak zdołałeś mię poznać? Postarzałam się przecież o lat dwadzieścia. Pomyśl: z trzydziestu ośmiu na sześćdziesiąt kilka...

W milczeniu patrzał na drogą wygnankę, i chociaż w ostatnich latach przestał już się dziwić, jednak teraz miał wrażenie, że go wzrok zawodzi.

Bo czyżby to mogła być ona, zawsze uśmiech-

nięta, zawsze wspaniała księżniczka Waria, u której, w jej zacisznym pałacyku przy ulicy Sergjewskiej, tak często bywał Gagarin, jeszcze jako młodziutki pazik dworu?

To do tej niezgrabnej, lecz dumnej i majestatycznej starej panny, z wyrazami ostentacyjnego respektu zjeżdżali ministrowie i generał-adjutanci cesarza. Gagarin pamięta ją na tle pięknych wnętrzy pałacowych, zawsze w czerni, z nieodłącznym sznurem pereł na szyi, jako jedyną kosztownością, którą nosić raczyła można posiadaczka klejnotów duchessy d'Angoulême.

A teraz ta dumna magnatka stoi przed nim w zwykłym szynelu żołnierskim, w grubych, gwoździmi nabijanych butach.

Barbara musiała widocznie pochwycić spojrzenie księcia, gdyż pośpiesznie oświadczyła:

— Dzięki Bogu i za to, co mam, bo gdybyś mnie w dniach tułaczki mej widział! Same łachmany, wkońcu niemal boso, gdyż obuwie tak się zniszczyło, żem je sznurkiem obwiązywać musiała. Nocleg nie zawsze mi wypadł w chacie, nie zawsze chłop na próg swego domu wpuścił. Więc spało się w stercie grochowin, dzwoniąc zębami noc całą. W takie bezsenne i zimne noce grzać się można było jeno ciepłem myśli zbolałych. Ostatnie trzy dni wędrowałam, nie mając w ustach nawet spleśniałej skórki chleba. Chwilami zdawało mi się, że już kres wysiłku, że padnę i więcej się nie podniosę. Niemoc, zawrót głowy... Właściwie to nie był zawrót głowy, raczej mdłości. Trudno mi było opędzić się wrażeniu, że to jakiś drapieżny potworek w rodzaju szczura niezmordowanie wygryza lub nadgryza mi wnętrzności. Halucynacja głodowa...

— Waria, oh, moja biedna Waria! Wierz mi, że i ja znam to uczucie — miękko uśmiechał się Gagarin.

— Pokrzepiałam się modlitwą.

— Tak. Tyś zawsze umiała się modlić.

— Zawsze... Ale tak gorąco, jak w te dni rozpaczy i nędzy, nigdy się nie modliłam. Słowo Boże dodawało mi sił i ono mię ocaliło. Cudem tylko — inaczej tego nazwać nie mogę, tylko cudem—już na samej granicy udało mi się niespostrzeżenie wyminąć posterunek straży czerwonej. W Rosji, właściwie w byłej Rosji, straszono mię Polakami, starano się przekonać, że spotkam się tu z ordynarnem przyjęciem, jeżeli zgoła nie z odprawą. Rzeczywistość plotkom tym zadała kłam. Zaznałam tyle ze strony Polaków życzliwości, tak się mną na granicy gorąco zajęli oficerowie, że słów mi brak... Dostałam bieliznę, ubranie, szynel, furażerkę, a nawet dowody osobiste, których przecież na taką wyprawę brać z sobą nie mogłam... Nawet w pieniądze mię zaopatrzono... Łzy wdzięczności i wesela dławiły mi krtań. Pomyśl tylko: po czterech latach męki w domu niewoli, po gehennie upokorzeń, jakich wyzwolony proletarjat nie szczędził burżujce, nagle znaleźć się w atmosferze kultury i z poczuciem wolności osobistej, której już nie będzie zagrażał zdziczały motłoch sowieckiego Edenu... Przecież to szczęście, rozkosz niewypowiedziana, nadludzka chyba...

— Bardzo mię to twoje pierwsze wrażenie ucieszyło—rzekł zadumany Gagarin.—Olbrzymia większość społeczeństwa polskiego jest do nas, emigrantów-Rosjan, bardzo życzliwie usposobiona... Wroga nam znikoma mniejszość potwierdza tylko regułę. Niektórzy z naszych monarchistów popełniają ten gruby błąd, mniemając, że uda się zatrzymać bieg zdarzeń i że odrodzona Rosja znów w swą istność wchłonie gubernje dawnego generał-gubernatorstwa warszawskiego. Nonsens! Gorzej nawet niż nonsens, bo zgoła głupstwo! Wielka Polska, dowiódłszy światu, iż istnieć może i powinna, jest faktem realnym,

który dla przyszłej Rosji mieć będzie znaczenie niesłychanie doniosłe. Nieprawdaż, Waria?

— Najzupełnie zgadzam się z tobą. Ale wyobraź sobie, że jeszcze niedawno, bo przed samą ucieczką musiałam w pewnych kołach Petersburga zwalczać wyraźne ciążenie ku Niemcom.

— Zwalczać? Poco? Niech trwają w zaślepieniu! — wybuchnął Gagarin. — Niechaj nasza klątwa wiecznie ściga Niemców! Dzięki im Rosja stała się pustynią. Im zawdzięczamy przecież import bolszewizmu w osobach Lenina i towarzyszów, których na zgubę naszą przysłano w zaplombowanym wagonie! Czy Niemcy Wilhelma chociaż palcem ruszyły, by od ostatecznej zagłady uratować Rosję i jej dynastję? A teraz, spojrz... Teraz żydek Sobelsohn rządzi się w Berlinie, jak szara gęś, a rząd niemiecki na dwóch łapkach przed nim skacze. Dziś o przymierzu z Berlinem może u nas mówić tylko idjota, albo... Ale czy nie dość już polityki, jak na pierwsze spotkanie? Gawęda nie ucieknie, a ty pewnie jesteś głodna. W każdym razie nie mogę zrobić ci zarzutu, żeś zbyt utyła...

— Wiem, iż przypominam raczej mumję któregoś z Ramzesów... — żartowała księżniczka, i jej ostra, siecią zmarszczek znaczona twarz opromieniła się dobrotliwym uśmiechem.

— A więc nowe życie rozpoczniemy przedewszystkiem od należnego odżywiania organizmu,—zdecydował Gagarin—wprawdzie nasza restauracja hotelowa nie należy do pierwszorzędnych zakładów gastronomicznych, ale, zważywszy na pośpiech, z jakim powinniśmy się wziąć do wzmacniania twoich nadwątlonych sił, narazie nie wybredzajmy i ustalmy menu. Apetyt musisz mieć jak po tyfusie, żywiołowy. Poza tem: chociaż ubraną w szynel i buty wojskowe, księżniczkę Drucką-Lubecką uważam za zjawi-

sko skądinąd arcyczcigodne, jako że teraz przeważnie tylko chama stać na stroje, mimo to trzeba się z taką garderobą rozstać jak najrychlej. Dzisiaj dostałem pensję, notabene najzupełniej dostatnią, więc jeżeli cośniecoś jeszcze od swego dobroczyńcy Bejzyma dopożyczę, to na gruntowny remont damskiej tualety najzupełniej nam wystarczy. Zaznajomię cię z niejaką panią Łabędzką, osobą bez przesady czarującą, do której śmiało zwróć się o pomoc w uskutecznianiu wszelkich sprawunków, bo przecież nie ulega żadnej chyba wątpliwości, iż jaśnie oświecona księżniczka o prezentację swoją dbać powinna. Po czwarte... Chyba, że już po czwarte?... Więc zamieszka Waria u mnie, na ten cel otrzymawszy to właśnie łóżko, ja zaś przeprowadzam się na sofę. Tylko bardzo proszę bez żadnych „ale". Gospodarzem tutaj jestem ja!

4. U Lourse a.

Gagarin czuł, że jednak o swych kłopotach pieniężnych nie zdecyduje się nawet słówkiem pisnąć Bejzymowi. I tak już major postawił księcia w trudnem położeniu, gdy ten, chcąc kiedyś spłacić pierwszą ratę długu, został przez olbrzyma porządnie sfukany.

— Dajże mi spokój z pieniędzmi! Jakże ci nie wstyd, chłopie! Sumka to dla mnie bagatelna, a tobie jeszcze przyda się z pewnością. Oddasz mi, gdy już trwale na własnych nogach staniesz.

— Ale pozwól mi... — próbował tłumaczyć książę.

— A właśnie, że na nic nie pozwolę.

— Ależ muszę ci powiedzieć, że...

— Rotmistrzu książę Gagarin, proszę zamilczeć łaskawie.

Teraz zaś, idąc do „Europy“, czuł Gagarin, że w chwili krytycznej język odmówi mu posłuszeństwa. A przecież na czyn zdecydować się trzeba, choćby tylko dlatego, że Barbara tyle razy wybawiała go z opresji jeszcze wtedy, gdy młody jej kuzynek nosił mundur pazia, a później huzara.

Szczęściem, Bejzym samorzutnie pochwycił inicjatywę w swoje ręce. Ledwo Gagarin o przyjeździe kuzynki wspomnieć zdążył, gdy tamten zakrzyknął:

— Co mówisz: w płaszczu żołnierskim? Toż musimy ją ubrać od stóp do głów! Niechaj sprawą tą niezwłocznie zajmie się Łabędzka.

Przy tych słowach otworzył szufladę biurka i, wyjąwszy pokaźną paczkę banknotów, wręczył ją księciu.

— Jeżeli będzie mało, to śmiało powiedz, bo drożyzna pędzi z zawrotną szybkością. Zresztą już i tak być musi: albośmy to nie demokraty i socjały?

Gagarin ściskał dłoń przyjaciela.

— Nie wiem, jak mam ci dziękować. Brak mi słów doprawdy. Ja tak już bezlitośnie pozwalam sobie eksploatować twoje zacne serce...

— Tylko bardzo proszę bez głupstw!—obraził się Bejzym.

Łabędzka nie zawiodła pokładanych w niej nadziei. W ciągu jednego dnia pracowitych wędrówek po sklepach, księżniczka, korzystając z rad swej przewodniczki, zaopatrzyła się we wszystkie niezbędne szczegóły ubrania i bielizny. W nowych szatach, utrzymanych w surowym stylu angielskim, Barbara odzyskała swoją imponującą postawę, z której tak swego czasu w arystokratycznych kołach Petersburga słynęła. Nie wróciła tylko młodość. Patrząc na steraną twarz, miało się wrażenie, że w siatce zmarszczek zastygły koszmary cierpień i nędzy, przeżytych w Domu Niewoli.

Styl i rasa księżniczki szczególny zachwyt budziły w Bejzymie.

— Wiesz, — rzekł kiedyś Gagarinowi — niezmiernie chciałbym zaprosić na wieś też i twoją kuzynkę, ale jakoś nie śmiem jej tego zaproponować. Stylowa sylweta księżniczki Barbary niesłychanie mogłaby nasz film upiększyć. Jeżeli rzeczywiście jesteś moim przyjacielem, to ją do wspólnej podróży namówisz.

— Sądzę, że bez namów się obejdzie. Skoro na obecności mej kuzynki zależy ci naprawdę, to Waria z pewnością wymawiać się nie będzie.

Księżniczka istotnie zgodziła się bez zastrzeżeń.

— Czemużbym nie miała przejść przed aparatem?—rzekła. — Przyznam się, że nawet chciałabym zobaczyć siebie na ekranie.

Bejzym odwiedził jeszcze hrabinę, a o zmroku spotkał się u Lourse'a z Magdaleną i Drucką-Lubecką.

Była godzina piąta. Biała sala ze zwierciadlanemi szybami w ogromnych oknach szybko się zaludniała. Przy marmurowych stolikach zasiedli ludzie, którzy w określonych godzinach musieli w modnej cukierni „odbyć swą urzędową obecność". Większość stanowili spekulanci o typie międzynarodowym lub rasowo-żydowskim, ubrani w bogate futra z bobrowemi lub skunksowemi kołnierzami. W rozgwarze setek głosów słychać było rozmowy na temat handlu zbożem, alkoholem, jajami. Komunikowano sobie adresy, ceny i daty: tam jest do sprzedania las za tyle a tyle, gdzieindziej znów można coś innego kupić. Jaskrawy obraz giełdy. W lupy jubilerskie uzbrojeni taksatorzy oglądali wystawione na sprzedaż klejnoty, mierząc ich wagę oraz rozmiar przy pomocy misternych jakichś przyrządów. Kosztowne pierścienie, spinki i brosze wędrowały z rąk do rąk.

Przy jednym z marmurowych stolików zasiadł też i Hiacynt Chowno w towarzystwie jakiegoś również bardzo wyszarzałego osobnika. Z chwilą ukończenia wyborów, utrzymywany przez Montebianca dziennik przestał wychodzić, i kozieł w okrągłych okularach stragan swój musiał zwinąć.

Murzyn zrobił swoje i pokornie odszedł. Jednak wrogi państwu polskiemu świstek żydowski, w ciągu miesiąca podpisywany przez charkowskiego adwokacinę, kosztem wielu włożonych w wydawnictwo miljonów bądź co bądź do stworzenia bloku mniejszości narodowych poważnie się przyczynił.

Przywłaszczywszy sobie w ciągu miesiąca koło czterech miljonów marek, Chowno nie przestawał błagać możnego protektora o dalsze finansowanie gazety. Prośby nie znalazły oddźwięku. Aresztowanie braci Perlmuttrów, oraz wykrycie w piwnicy ich taty dwustu pudów literatury tak wstrząsnęło, a nawet przestraszyło Artura Montebianco, że o utrzymaniu wydawnictwa przy życiu Chowno nie mógł już marzyć.

Likwidowanie pisma nie obeszło się bez drobnego zresztą zajścia: za jakieś drobne podobno niedokładności przy wypłacie, współpracownicy i zecerzy trochę pana redaktora obili.

Nad tym aktem samosądu Chowno szybko przeszedł do porządku dziennego, z filozoficzną pogodą mówiąc:

— Niechaj mię biją, bylem tylko zarobił!

I Hiacynt w samej rzeczy zarobił. Chociaż miał już miljony, ale ani jednej marki na uzupełnienie swej zniszczonej garderoby nie wydał. Siaduje u Lours'a zawsze w tem samem doszczętnie wyszarzanem ubraniu, w przepoconym kołnierzyku, niezmiennie brudny i nieogolony, zawsze jednakowo niechlujny i odrażający.

Mając przed sobą „pół czarnej", ten najta-

niej kosztujący glejt na krzesło w cukierni warszawskiej, w pewnej chwili zwrócił się Chowno ku swemu, niemniej niż on sam niechlujnemu, rozmówcy:

— A jednak uprzątnęliśmy Winarskiego.

— My? Niby, co za „my"?

— Jakto: co za „my"? — dziwi się Kozieł, obnażając płaskie i żółte zęby. — W mojej gazecie ja wraz z Montebianco... I wogóle... Znasz pan Perlmuttrów?

— Pytanie! Ktoby nie znał Perlmuttrów!

— Wyobraź pan sobie, że oni byli nietylko synami swego ojca, ale i osobistymi sekretarzami Artura Montebianco.

— Teraz widzę, panie Chowno, że ten Winarski to naprawdę bezczelnik.

— Więc widzisz pan. Ale obecnie, potem co ja rzeknę, powiesz pan, że on jest bezczelnik kwadratowy, a nawet sześcienny. Wyobraź pan sobie, że Winarski chciał badaniu poddać samego Montebianca. No, dobrze że człowiek ma duże stosunki. W Anglji on jest jak u siebie w domu. Takie stosunki to nie są żadne głupie żarty. Na Nalewkach możesz pan dwa razy w tygodniu widzieć samochód pod flagą Wielkiej Brytanji—to poseł angielski tak do Montebianca jeździ w gościnę, jak naprzykład pan do mnie. I ten szarlatan, ten żydożerca Winarski, podburzający jedną narodowość przeciw drugiej, zaryzykował zatarg. Z kim zatarg, pytam? Pan wiesz z kim. No, a teraz proszę mi powiedzieć, kto wygrał? Kto teraz z posady wydmuchany chodzi sobie po Marszałkowskiej i przemyśla nad tem, czy nie zająć się adwokaturą? Panie Mogilewker, zgódź się pan z tem, że my to siła nie byle siaka taka...

— Ma się rozumieć, że siła. Też pytanie! — stwierdził Mogilewker.

— A może jeszcze tak pół czarnej?—proponował Hiacynt.

— Jeżeli o mnie idzie, to już dość.

— Mogilewker, to ja częstuję.

— No, chyba że tak...

— Proszę pana, jeszcze pół czarnej — rzucił Chowno zamówienie przebiegającemu obok stolika kelnerowi. Dając tę dyspozycję, zdawało się Kozłowi, że musi mieć przytem minę beztroskiego hulaki i utracjusza.

Przez tłum kawiarniany ku jednemu z niezajętych jeszcze stolików uparcie przedzierał się Soskis. Warszawa była w jego mniemaniu pierwszem żywem miastem, to też nic dziwnego, że po martwej ciszy Sowdepji zgiełk stolicy oszołomił go, jak swego czasu upoił i oszołomił dyplomatę Hellera.

Przyzwyczajony do żałobnego milczenia, jakie się nad ogromnem cmentarzyskiem dawnej Rosji unosi, Soskis w olśnieniu i zachwycie pił wielogłosowy gwar stołecznej ulicy, zalanej strumieniami białych świateł elektrycznych. Sekretarz Apfelbauma-Zinowjewa, poczuwszy wokół siebie komfort Europy, ruszył do sklepów, by tam bez sensu i miary zakupywać tuziny krawatów, koszul, obuwia i ubrań.

Do Brukseli nie było mu śpieszno. Pocóż miał się śpieszyć, jeżeli brylanty z dniem każdym same po drabinie cen się wspinają?

Zająwszy wolny stolik, wysłannik petersburskiego wielkorządcy rozpiął skunksowe futro, a kosztowną o wydłużonym kształcie czapkę starannie na marmurowym blacie położył. Mrużąc oczy, olśnione obfitością białego światła, którem na salę ział wielki kandelabr, Soskis cierpliwie zaczął badać ruch strzałek na tarczy osadzonego w ścianie zegara. Towarzysz-sekretarz widocznie kogoś oczekiwał.

Wreszcie ów ktoś zbliżył się do stolika i, przywitawszy się z Soskisem, siadł obok niego. Ten ogolony człowiek z wybitnie kościstą

twarzą przypominał raczej żywy sklep wyrobów jubilerskich. Prawie wszystkie palce jego rąk płonęły blaskami brylantów, w krawacie lśniła perła wielkości grochu, na kamizelce wił się ciężki złoty łańcuch, iż śmiało można byłoby na nim obłaskawioną panterę prowadzić, a w mankietach zielonym ogniem płonęły cztery sześciogranne duże szmaragdy. Jeżeli do tego dodamy złotą papierośnicę i takąż zapalniczkę, które gość Soskisa już demonstracyjnie na stole położyć zdążył, to musimy dojść do wniosku, że kosztownościami temi można byłoby ozdobić nie bylejaką witrynę jubilerską.

Jeszcze przed dwoma laty Markman był ubogim i bardzo szmatławym zegarmistrzem, który, w pogoni za groszem wyemigrowawszy z Sowdepji do Polski, szybko doszedł do majątku i dziś jest właścicielem jednego z najbogatszych zakładów jubilerskich w Warszawie pod firmą „Benisław Markgraf".

Beni Markman, miljoner — miljoner, licząc nawet w najmocniejszych walutach światowych, po przybyciu do Warszawy jako tako zaopatrzył rodzinę w nędzne grosze, a sam, z woreczkiem koprowiny na pogranicze pomknął, niczem wilk zapachem krwi znęcony.

W Równem, w Ostrogu, w Husiatynie, w Korcu, przy wszystkich szczelinach i rogatkach granicznych, przez które przesączały się strumyki zbiegów i repatrjantów polskich, Beni Markman działał owocnie, wszędzie czując się jak u siebie w domu. Za śmieszne jakieś grosze wyłudzając od napoły żywej nędzy wygnańczej drogocenne kamienie, ukrywane w obcasach, w podszewce ubrania lub w otworach spróchniałych zębów, nasz „poławiacz pereł" na łupach swych zarabiał niesłychane lichwiarskie sumy.

Po dwóch latach żerowania na pograniczu, ma już na ulicy Wierzbowej wielki interes pod firmą

„Benisław Markgraf“ i z tytułu swych bogactw dużą w związku jubilerów odgrywa rolę. Nie obce mu są sprawy giełdy, do spółki z cudzoziemcami załatwia operacje walutowe, a marzeniem jego jest stać się światowcem, zawsze wytwornie ubranym, zawsze ziejącym aromatami francuskich perfum. Bierze nawet lekcje shimmy od baletmistrza.

— Mój mąż tańczy szymona...—z naiwną dumą lubi czasem pochwalić się drobna i ślepawa małżonka firmy, postać do tego stopnia małomiasteczkowa i niepokaźna, że ani brylanty wielkości orzecha laskowego, ani najdroższe futra nie są w stanie zatrzeć piętna prowincji.

Po uzyskaniu obywatelstwa polskiego, Markman przemyśla o mandacie do sejmu, o wielkiej polityce żydowskiej i o tem, aby móc tak „trząść Polską“, jak nią trzęsą Grynbaum i Diamand.

Bo czemu Beni Markman ma być od Diamanda i Grynbauma gorszy?

5. Warunki Bejzyma.

Wątły i plugawy Soskis był uosobieniem zarozumiałości. Wzruszając mizernemi ramiączkami, na Beni Markmana starał się patrzeć z góry, o ile na tego rodzaju hardość mógł mu nędzny wzrościk pozwolić. Dużemi łykami wchłaniał przytem w siebie gorącą czekoladę i pożerał ciastka jedno po drugiem.

Zachowanie się Soskisa nie działało snać na wygolonego „z angielska“ jubilera. Raczej przeciwnie— „szymonista“ ze słodkim uśmiechem na dużej twarzy zdawał się najwidoczniej zabiegać o względy osobistego sekretarza samego Zinowjewa.

Poza respektem, jaki w miljonerze budzić musiał zaufany wielkiego syna Izraela, do pewnej

pokory skłaniało nadto jeszcze marzenie o zdobyciu klejnotów księżniczki d'Angoulême, marzenie o tyle do osiągnięcia możliwe, iż wysłannik Apfelbauma skarbu swego z Warszawy bądź co bądź jeszcze nie wywiózł.

— Jutro wyjeżdzam, — jakby od niechcenia oświadczył Soskis. — Przedział w wagon-list już zamówiłem.

— Czemu tak rychło, szanowny panie?—łasił się Markman. — Warszawa—cóż to za piękne miasto! Chcesz pan do teatru — proszę, chcesz pan do kina — owszem, czemu nie? A kobiety! Aj, przecież to jest coś przewyśmienitego!

— Co pan mi mówisz!—wzruszał ramionkami mizerny Soskis.—Co mi pan raczysz tak wychwalać? Paryżanki—to dopiero jest dobry gatunek!

Powiedział to takim tonem, jak gdyby całe swe życie na rozrywkach z paryskiemi kokotami spędził.

— No, w Paryżu, w samym Paryżu to ja jeszcze nie byłem—cicho przyznał się Markman.— Nie byłem, ale koniecznie pod wszelakim pozorem wybiorę się łącznie w towarzystwie żony. Niech się ona trochę tam doubierze, bo tutaj, wiesz pan, zupełnie nie umieją szyć damskich strojów. Nu, a jak niby tymczasem, czy decyzja wyjazdu do Brukseli jest już kategoryczna i nieodmienna?

— Czy nieodmienna?—drwiąco pytał Soskis, wciąż wiązaniami ramion wzruszając. — Kategoryczna i niecofniona?

— Przepraszam, panie Soskis, proszę ze mną pomówić, jak dwóch przyzwoitych ludzi. O co panu chodzi, poco właściwie pan sobie na koszta podróży naraża? Wiem poco: żeby dostać przyzwoite cymbele-bimbele. Wiem i szanuję takich skrufułów. A na dowód, jak szanuję, powiem tylko to: po jaką cholerę tłukasz się pan aż do Brukseli, jeżeli te same cymbele-bimbele możesz pan i w Warszawie otrzymywać?.

Oczy Soskisa miały wyraz łagodny, nawet marzycielski.

— Tak, panie Markman. Bardzo być może, panie Markman. Ale tam owo cymbele-bimbele ja mogę dostać w funtach angielskich. Tak, tak, panie Markman.

— W funtach?—dziwił się jubiler. — Proszę mię posłuchać. Pan jest człowiek wykształcony, a pan masz taką dziwne zauchwałość do angielskiej waluty? A wyobraź pan sobie, jaki to się gwałt wyrobi i jak ten funt zacznie zlecić z pieca na łeb, kiedy wam naprzykład przyjdzie do głowy wysłać naszego Budiennego na... Nu, jak jemu na imię... Aha, na Indja. Ja panu dam bardzo mądrą radę. Jeżeli pan chcesz mieć obcą walutę, to już wybieraj walutę takiego państwa, które całkiem nie życzy sobie wojować i woli na swoje bogactwo siedzieć. Więc pytam się, może pan chciałby franków szwajcarskich, to proszę; a może jeszcze lepiej w koronach norweskich? Służę serdecznie, owszem, czemu nie? A dlaczegoby nie naprzykład guldenów holenderskich — z przyjemnością, prawda? I nie tylko guldenów, ale i innych, jeszcze lepszych naprzykładów także mam...

— To pan masz i korony, i guldeny, i franki?— miękko pytał Soskis.

— A czemuby tak nie? — oburzył się Markman, krzywiąc swą wielką twarz z odstającemi kośćmi policzkowemi. — To już jest właściwość naszej branży. Taki od brylantów to jednocześnie musi być trochę bankierem.

— A czy panu starczy na kupno pieniędzy?

— Czemu ma nie starczyć? A jeżeliby nawet... To co? Wejdę z kim w spółkę... Bruksela! Też pan wymyśliłeś! Chyba poto, żeby tam panu głowę zawrócili i potem oszukali.

— Czyżby? — wahał się sekretarz Apfelbauma.

— On się jeszcze pyta: czyżby!—wybuchnął jubiler, widząc, że rybka bierze. — On się pyta! Tam łobuz na łobuzu siedzi i łobuzem pogania. Ot, masz pan widok na brukselską giełdę! Nu, a teraz proszę o ostatnie słowo.

— Widzisz pan, panie Markman, zasadniczo, właściwie mówiąc, gotów jestem na konkretną propozycję zareagować i wejść z panem w kontakt...

— Poco takie uczone słowa, od których się zimno w głowę robi? Ja jestem człowiek prosty, ale uczciwy, więc pytam: kiedy ja mogę pański towar obejrzeć?

— Kiedy? Choćby dziś wieczorem.

— Wieczorem? Kto kamieni ogląda wieczorem? Na moje sumieni, te powykształcowane ludzie to są poprostu dzieci. Mam znów jednego naprzykładu... Oto moje córeczki, Sarcia i Rywcia, one, wiesz pan co, lubią na kosztowności patrzeć też wieczorem.

— W takim razie przyjdź pan jutro.

— A, to rozumiem. Jutro o dziesiątej zjawiam się u pana w hotelu. Nu, a co będzie z bransoletą tej starej paskudnicy Katarzyny?

— Bransoletę Katarzyny postanowiliśmy sprzedać komuś z Ameryki. Zrozumiej pan wreszcie, że jest to historyczna relikwja, panie Markman. Słyszysz pan? relikwja historyczna!

Słowa te wysłannik Apfelbauma wymlaskał ze szczególnym smakiem.

— A czy wolno tych relikwij zobaczyć? Choćby z jednym tylko okiem?

— Czemu nie, zobaczyć wszystko można. Wychodzi pan? Więc do jutra, panie Markman, bo ja tu jeszcze sobie trochę posiedzę.

Markman wstał i, nachyliwszy się nad Soskisem, szepnął mu do ucha:

— A czy pan przypadkiem nie posiada przedmiotów religijnych?

— Jakich religijnych?—pytał trzynasty sekretarz Zinowjewa.

— Czyżby pan nie rozumiał? Ja mówię o różne rzeczy z kościoły, z cerkwie...

— Aaa! Teraz rozumiem: kielichy i tak dalej...

— Nu nu, a ja niby o czem mówię? Żebym ja tyle lat żył, wielem ja takich rzeczy od nasze ludzie w hotelu Rzymskim nakupował! Naprzykład... Jak to się nazywa, czem pop tak z dymem wymachuje?

— Kadzielnica—zgadł Soskis.

— O, właśnie, skadzielnica!... To ja miałem jedną taką, całą w szmaragdach, ale kupił ją ode mnie jeden z naszych... A zapłacił w dolarach... Tak on kupił i do Ameryki zawiózł, do jakiemuś muzej. Nu, więc do jutra, panie Soskis, no nie?

Markman wyszedł, pozostawiając po sobie zapach jakichś mdłych perfum.

Po odejściu kupca, towarzysz sekretarz przywołał do siebie kelnera i kazał podać sobie jeszcze czekolady oraz ciastek.

Po względnej djecie sowieckiej słodycze smakowały mu, jak łakomemu dziecku.

Soskis był z siebie zupełnie zadowolony, jako że udało mu się nad burzliwą radością zapanować w chwili, gdy Markman zaproponował dokonanie tranzakcji na miejscu. Chociaż towarzysz sekretarz podniecał i irytował jubilera zamierzoną podróżą do Brukseli, chociaż posiadane papiery dyplomatyczne znakomicie broniły nietykalności bolszewika, pomimo to jednak bał się Soskis podróży.

Wiózł przedmioty, bądź co bądź, pochodzące z kradzieży, łup rozbojniczy. Dlatego lepiej i bezpieczniej będzie skarbu pozbyć się w Warszawie, niezwłocznie, natychmiast, choćby nawet uzyskana ze sprzedaży suma była mniejsza od tej, jaką można byłoby otrzymać na rynku brukselskim.

W gruncie rzeczy, jakieś tam kilkaset tysięcy franków dużej różnicy nie stanowi...

Więc Soskis zadowolony był z siebie i Markmana, a Markman z Soskisa, poczem, chcąc sobie dodać otuchy, stwierdzał, iż sekretarz satrapy ostatecznie nie powinien zbyt wielkiej wagi przykładać do kosztowności, zdobytych uświęconemi w Sowdepji sposobami.

I wreszcie przyszedł Markman do wniosku, iż Soskis zupełnie na klejnotach się nie zna i że dlatego właśnie chce ich jak najprędzej się pozbyć. Czyli, że geszeft murowany.

Owej nocy Markman długo będzie się przewracał z boku na bok. Żona oraz córeczki, panna Sarcia i panna Rywcia, pomyślą sobie, iż tatko niezdrów, a tymczasem tatko obmyśli, przemyśli kombinację z Soskisem.

Ileż to razy Markman kupował rzeczy kradzione! Bo skupowanie kosztowności, z kradzieży pochodzących, to najzyskowniejszy handel.

W pewnej chwili Soskis o mało się nie udławił. Ze zdumienia. Słodkie ciasto ciężką kulą stanęło mu w gardle, gdy nagle, ku niesłychanemu swemu przerażeniu, ujrzał przed sobą „byłą“ księżniczkę Drucką-Lubecką, w towarzystwie jakiegoś wielkoluda i jakiejś pięknej brunetki.

Tak, to ona, Lubecka! Niewątpliwie ta sama. Tak twardo i dumnie zarysowanych twarzy kobiecych on dotąd nigdy jeszcze nie spotkał i niewiadomo, czy wogóle kiedy spotka.

Czemu Soskis wtedy tej arystokratki nie zastrzelił? Gdyby był to uczynił, dziś upiór jej nie dręczyłby go, nie ścigał i wreszcie nie wykrył go aż tu, w Warszawie, w białej cukierni Lourse'a!

Sekretarz prezesa Północnej Komuny dygocącą ręką podniósł do ust szklankę, chcąc łykiem gorącej czekolady usunąć z gardła dławiącą masę ciasta. Wzdłuż stosu pacierzowego przebiegały

Soskisowi zimne fale dreszczów, bo towarzystwo z odległości kilku kroków bardzo uważnie mu się przygląda. A każda z tych osób patrzy inaczej: brunetka mruży piękne oczy z wyrazem wzgardliwego zaciekawienia, księżniczka najwidoczniej hamuje w sobie oburzenie, olbrzym zaś srogim wzrokiem niebezpiecznego drapieżnika wprost wgryzł się w stężałą z trwogi twarz żydka.

Uciec! Uciec niezwłocznie, w tej chwili! Rozglądając się wokół, szuka Soskis swego kelnera. Nacóż zresztą kelner? Można mu przecież zostawić piętnaście albo dwadzieścia tysięcy, byle tylko od wzroku tego dzikiego fauna się uwolnić.

Na czyn jednakże zabrakło woli. Drewnianym głosem towarzysz sekretarz powtarza w kółko „proszę pana“, „proszę pana“, wyjmuje już nawet portfel, ale z miejsca ruszyć się nie może. Chce, szalenie chce—bezskutecznie. Nogi zdrętwiały, tułów stężał i odruchom spłoszonej woli posłuszeństwo wypowiedział, jakby pod działaniem koszmaru.

Zupełnie jak w dziejach snu, jak w złych majaczeniach, już się zaczyna coś przerażającego: w zalanej światłem kawiarni idzie ku Soskisowi potwór.

Przyszedł i, siadłszy obok na krzesełku, na którem niedawno jeszcze Beni Markman siedział, spytał cicho:

— Czy Soskis?...

Jak dziko błyszczą oczy zmory! Wykręcać się, kłamać? Niepodobna.

— Tak, ja Soskis. Czem mmogu służyć?

— Zaraz się pan dowiesz—szepnął potwór.— Proszę o taki wyraz twarzy, jak gdybyśmy sobie gwarzyli po przyjacielsku. Uprzedzam, że w razie usiłowania ucieczki lub wszczęcia jakiego skandalu, złapię za kark i kontrskandalem odpowiem. Na całe gardło krzyknę, żem złapał czeki-

stę, złodzieja, który w Rosji złupił obecną tu księżniczkę Drucką - Lubecką. Nim nadeszłaby policja, z ciebie strzępyby pozostały. Tutaj masz pan nie tylko żydów, tu, proszę samemu stwierdzić, są też i Polacy. Czy chcesz pan takiego skandalu?

— Nnnnie!—zadzwonił zębami Soskis.

— Masz pan słuszność; widzę, że mam do czynienia z człowiekiem rozsądnym. Ah, zapomniałem się przedstawić. Nazywam się Bejzym, major Bejzym. Może pan o nim co słyszałeś, w Sowdepji bowiem nazwisko to jest dosyć znane.

W wyobraźni swej Soskis ujrzał postrzępione wargi Hellera—i zatrząsł się jeszcze mocniej.

— Niech się pan uspokoi, niech pan nad sobą zapanuje—uspokajał go olbrzym. — Wyglądem swym zaczyna pan już zwracać uwagę publiczności kawiarnianej. Jeżeli do końca rozmowy zachowywać się pan będziesz jak przystało na istotę rozsądną, to sprawę załatwimy pokojowo, w przeciwnym razie uraczę waść lepiej i dokładniej, niż uraczyłem imć Hellera. To panu obiecuje człowiek, który ma zwyczaj sumiennie dotrzymywać przyrzeczeń.

Słowom tym towarzyszyło takie przekonywające spojrzenie, że dusza Soskisa, trzepocąc się, w poszukiwaniu kryjówki, osiadła aż w piętach.

— Proszę czuwać nad sobą i słuchać uważnie—powtórzył swą radę Bejzym.—Wiem, z kim pan siedział niedawno, i z kilku zdań, których strzępy o moje uszy się obiły, temat waszej rozmowy odgadłem, zwłaszcza, żeś pan nieostrożnie wymienił nazwisko księżnej d'Angoulême. Proszę milczeć i nie zaprzeczać! Nietrudno się domyślić, żeś pan tu nie z pustemi rękoma przyjechał. Gdzie pan stoisz?

— Ja... tam... W hotelu Rzymskim.

— Soskis, nie łżyj pan! Soskis, tylko praw-

da może pana ocalić. Jeżeli będziesz kłamał, wydam cię ludziom na zlinczowanie.

Bejzym podniósł się z krzesła.

— Nie trzeba, proszę pana, nie trzeba! Powiem prawdę, już mówię! — błagalnie zachrypiał sekretarz Apfelbauma:—Mieszkam w Europejskim, pokój numer... Zaraz... Numer sto dwanaście...

— Aaa! Doskonale się składa, jesteśmy sąsiądami. Zrobimy zatem tak: wyjdziemy stąd razem, razem udamy się do pana, aby tam zaczekać na przybycie księżnieczki Druckiej, oraz tej drugiej damy. Pokaże nam pan wtedy swoje klejnoty, z których księżniczka wybierze te, które do niej należą, poczem rozstaniemy się bez żadnych awantur i wzajemnych pretensyj, a rozstawszy się, prędko o swojem istnienia zapomnimy. Oto są moje warunki, które pan może przyjąć albo odrzucić. Nie nalegam...

— Zgadzam się! Ja przyjmuję warunki.

— Nie omyliłem się zatem, nazywając pana człowiekiem rozsądnym. Proszę posiedzieć sobie spokojnie, zająwszy się, naprzykład, regulowaniem rachunku, a tymczasem ja odprowadzę panie do drzwi kawiarni. Numer sto dwunasty, czy nie tak?

— Tak jest.

— Proszę o spokój. I nie myśl pan uciekać: wszystko jedno dogonię.

Ale Soskis niezdolny już był do niczego. Osłabł, rozmiękł i zniedołężniał do tego stopnia, że Bejzym musiał mu pomóc wstać, a później, gdy wyszli na ulicę, pod rękę ciągnąć za sobą nieme, wstrząsem strachu obezwładnione ciało.

6. Geszeft Beni Markmana.

Noc tę Beni Markman spędził niespokojnie. Wizja brylantów, miraż olbrzymiej tranzakcji ustawicznie z powiek sen mu spędzały.

Już po rozmowie z Soskisem jubiler dowiedział się, że wsród przeznaczonych na sprzedaż kosztowności znajduje się też kolja z błękitnych brylantów, słynne na całą Europę arcydzieło kunsztu złotniczego.

Beni Markman tak się przewracał w łóżku, tak głośno wzdychał i ustami cmokał, iż rano spytały go o zdrowie zaniepokojone córki i żona.

— Czy jestem zdrów? Pytanie! Zdrów, jak jaki bik!

I na dowód „biczego" zdrowia tate błyskawicznie wyskoczył z łóżka i, powiewając rozpiętą pyjamą — przyzwoici ludzie sypiają w pyjamie — wykonał jeden z tych niesamowitych piruetów, których, jako żywo, imć pan baletmistrz nigdy go nie uczył.

Prezentacja ta bardzo zmartwioną rodziną uspokoiła.

Posiliwszy się czekoladą i pączkami w żydowskiej cukierence na Bielańskiej, Beni Markman, starannie przez żydka-balwierza (też z Bielańskiej) ogolony, udał się, kopcąc cygarem, do „Europy". Niósł w sobie taką pogodę słoneczną, że gdyby to tylko nie uchybiało jego latom i stanowisku, z prawdziwą przyjemnością wykonałby kilka pas „szimego", o którem z takiem rozrzewnieniem często wspominała dostojna małżonka.

Gdy wielkie zwierciadła w westybulu powitały go mrowiem odbić, Markman, delektując się nieomylnem przeczuciem świetnego geszeftu, szepnął otaczającym go lustrom, iż z siebie jest najzupełniej zadowolony i że bardzo się sobie z urody podoba.

Już wszedł na szeroki, dywanami wyłożony korytarz. Z obu stron szpalery białych, czarnemi cyframi ponumerowanych drzwi. Oto tu pokój Soskisa.

Końcem trzcinowej laski Markman lekko stuknął w drzwi. Milczenie. Stuknął po raz drugi

i trzeci, bez odpowiedzi. Jubiler aż zatrząsł się z zimnej zgrozy na myśl, że nuż ptaszek rozmyślił się i uleciał, lub niegodnie ze swego współwyznawcy zakpił?

Markman nachylił się i rozpoczął badać drzwi. Nie, musi być w domu, bo klucz tkwi w zamku. Zatem nie wyjechał.

Zastukał ponownie.

— Panie Soskis! To ja, Markman!

Meldunek przebrzmiał bez echa.

— Cholera tobie na twój brzuch! — mruknął natarczywy interesant i, silnie pchnąwszy drzwi, wszedł do pokoju.

Ujrzał Soskisa. Markman wolałby go zupełnie nie widzieć, niż ujrzeć takim, jakim go zastał.

Nieumyty i rozczochrany, sekretarz Apfelbauma nieruchomo leżał na sofie. Zaczerwienione oczy, dziko błądząc po pokoju, zatrzymały się wreszcie na gościu, lecz go nie poznały.

W smudze tego spojrzenia Markman skurczył się, niczem zwiędły liść.

— Dobry dzień, proszę pana — próbował uśmiechnąć się jubiler. — Nu, jak się spało? Się spało dobrze? Widzi pan, akurat dziesiąta, i oto już sobie przyszedłem... Czy oglądniemy tych kamieni?

W tem stało się coś, czegoby nigdy Markman nie oczekiwał. Z ochrypłym gardłowym rykiem Soskis nagle rzucił się na jubilera i, ująwszy go za gardło, zaczął drzeć na niem krawat, kołnierzyk i drapać na glans wygolone policzki.

— Aaa! Łajdaku, łotrze, oszuście! — wył zausznik Zinowjewa. — I tyś też przyszedł mię ograbić, złodzieju!

Barczysty, korpulentny kupiec, mimo swej tuszy i siły, nie mógł sobie z chuderlawym szaleńcem poradzić. Nim pomoc skąd nadejdzie,

trzeba było przed szponami osłonić do krwi podrapaną twarz.

Już oszalały żydek miał brudne swe pazury zatopić w oczach jubilera, gdy ten, wyrwawszy się jakoś z objęć warjata, z przeraźliwym krzykiem wypadł na kurytarz.

— Aj waj mie! Gewałt, strażnik! On warjat, sumaszedszy! Trzymajcie jemu, bo on mię zabije! Ratunku! Pogotowie!

Zewsząd zbiegli się zwabieni krzykiem kelnerzy, numerowi, pokojówki, lokatorzy. Przez uchylone drzwi wyglądały głowy napoły lub zupełnie rozebranych pań.

Obraz był taki, że w alarmie Markmana trudno było dopatrzyć się przesady.

Podrapana twarz, zakrwawiony gors koszuli, podarty kołnierzyk, wszystko to robiło wrażenie, jak gdyby jubiler cudem tylko uszedł śmierci.

Z kolei Soskis rzucił się na jakąś rosłą numerową w białym fartuchu, ale ta pozbyła się napastnika jednem uderzeniem pięści.

O przykrem zajściu dyrekcja hotelu zawiadomiła poselstwo sowieckie. W pięć minut potem przed „Europą“ zatrzymał się samochód, z którego wysiedli dwaj urzędnicy misji.

Tegoż dnia przewieziono Soskisa do domu warjatów. Tak skończyła się miljony rokująca podróż do Brukseli.

Dwie były przyczyny nagłego obłędu Soskisa. Pierwsza z nich—to cios olbrzymiej straty. Koniec skarbu. Jak teraz Soskis wróci do Sowdepji, czem Apfelbaumowi katastrofę wytłumaczy? Zresztą, nie to, nie przykra konieczność tłumaczenia się wobec zwierzchnika była najboleśniejszym punktem sprawy. Nie pierwszy i nie ostatni wypadek, że na granicy władze zatrzymują agenta sowieckiego z poufnym bagażem klejnotów, walut, utensyljów kościelnych lub dzieł sztuki. No, cóż, wypadki chodzą po ludziach.

Czerwoni wywłaszczyciele przez palce patrzą na niepowodzenia swoich funkcjonarjuszów.

Soskisa dobiło co innego.

W kawiarni Bejzym zapewniał, że:

— Rozstaniemy się bez awantur, w ciszy i pokoju, a później zapomnimy o sobie.

I zdawało się, że słowa te mówi szczerze. Ale znalazłszy się w pokoju Soskisa, w towarzystwie księżniczki oraz Łabędzkiej, po krótkim namyśle przyszedł major do wniosku, że udział jego w rewindykowaniu złupionych przez czrezwyczajkę klejnotów może w Warszawie różnie być komentowany, Bejzym bowiem ma w Polsce nietylko przyjaciół i wielbicieli, ale i bardzo licznych wrogów. Największego krzyku należałoby oczekiwać ze strony legacji sowieckiej, która niewątpliwie wszystkich starań dołoży, by zajściu z Soskisem dać zabarwienie możliwie najbardziej dla Bejzyma kompromitujące.

Zważywszy wszystko dokładnie, atleta rozkazał Soskisowi:

— Bierz pan pióro do ręki i pisz, co podyktuję.

— A co mi pan... podyktuje? — ośmielił się zapytać złem przeczuciem tknięty sekretarz.

— Proszę pisać! Żadnych interpelacyj, żadnych wahań i zwlekań nie zniosę! Wymagam ślepego posłuszeństwa... O ile nie chcesz pan narazić się na zatarg ze mną, to pisz.

I chcąc wrażenie słów swoich spotęgować, wyjął z kieszeni rewolwer i położył go na stole.

Damy siedziały cicho, bez ruchu.

Soskis skapitulował.

— Już piszę! Ja już piszę! — pośpiesznie zawołał.

Bejzym dyktował:

„Ja niżej podpisany, dnia . . . . roku . . . . z rozkazu prezesa północnej komuny, Apfelbauma-Zinowjewa, ograbiłem z brylantów księżnicz-

kę Drucką-Lubecką. Z polecenia swego zwierzchnika złupione klejnoty wiozłem do Brukseli na sprzedaż, ale przypadkowo spotkawszy w Warszawie księżniczkę Drucką-Lubecką, chcąc popełnioną zbrodnię naprawić, posłuszny głosom sumienia, zrabowane kosztowności zwracam prawowitej ich właścicielce. A. Soskis".

Deklarację skruchy Łabędzka niezwłocznie przetłumaczyła na język polski, poczem odpis cyrografu powędrował do redakcji najpoczytniejszych dzienników stołecznych.

Nie dziw przeto, że podpisawszy na siebie wyrok śmierci, Soskis w przystępie szału podrapał oblicze Beni Markmana.

Ale jubiler nie należał do rzędu ludzi, łatwo się zniechęcających. Kiedy w pismach ukazała się fatalna spowiedź Soskisa, Markmanem owładnęło takie wzruszenie, iż trudno mu było zapanować nad chęcią wykonania kilku bajecznie lekkich piruetów.

Cóż za nieprawdopodobny kaprys fortuny! Księżniczka Drucka-Lubecka, wczoraj jeszcze ubożuchna emigrantka, dziś nagle jest miljonerką, i do tego miljonerką wielokrotną! Soskis dobrowolnie kamieniby nie oddał i cyrografu nie podpisał, prosty zatem wywód, że Soskisa do tego zniewolono. Beni Markman, jako kepełe bardzo przenikliwe, w całej tej historji wyczuwa jakąś kombinację. Ale co Markmanowi do tego? On jest przedewszystkiem dobrym kupcem, więc jeżeli klejnoty zmieniły właściciela, to Markman tem bardziej teraz powinien je mieć w swoich rękach.

Dobry kupiec, nie bacząc na znaki, jakiemi twarz jego ozdobił szaleniec, wdział na siebie żakiet i poszedł zrobić interes.

Gdy świecące się od drogich kamieni palce jubilera nieśmiało zapukały do drzwi szczęśliwej posiadaczki klejnotów, księżniczka była w domu.

sama jedna, ponieważ Gagarin poszedł już do zajęcia.

— Proszę.

Do pokoju lekko wefrunął dystyngowany interesant.

— Jaśnie wielmożna księżniaczko! — zaczął, zgodnie ze wskazówkami baletmistrza szurając nogami. — Proszę mnie nie gniewać za to, że ja ośmielam się zaniepokoić taką ważną osobę. Ale cóż, nie mogę! Obowiązany jestem powinszować, że rodowite kamienie familji już jest od szarlatanów odebranych. Oh, ten Soskis, ten Soskis! To dopiero kajdaniarz! Czy jaśnie księżniaczka widzi, co on z moją powierzchownością narobił? Jednak i ja jemu za to oddałem porządnie. Jak ja mu dał! Raz, masz! Dwa masz! Trzy, masz!

— Kto pan jest i czego pan chce? — oschle spytała Barbara.

— Czyżbym ja zapomniał przedstawić siebie?—wdzięcznie zmieszał się Markman.—Patrzajcie państwo, co za horendowna nieuważność. Jestem znakomity jubiler i właściciel firmy „Benisław Markgraf". Może pani już widziała mój sklep na Wierzbowej? Oto dlatego, że pani księżniaczka tak ucierpiała przez tych rozbójów... Nie mogę równodusznie wymówić słowa: bolszewików... więc może być pani księżniaczka zechce mi swoich znakomitych kamieni sprzedać? Płacę walutą taką, jakiej chce mój klijent, bo porządny jubiler musi sobie być także trochę bankierem. Jaśnie księżniaczko! I pani będzie z tem dobrze, i ja chciałbym bądź trochę zarobić...

Barbara stała zimna, dumnie wyprostowana. Surowe rysy jej nawet nie drgnęły.

— Cośniecoś możebym i sprzedała — rzekła wreszcie.

— Przepraszam, co to ma znaczyć to cośniecoś?

— Dziwię się, że pan tego nie rozumie. — Sprzedam przedmioty, które będę uważała za możliwe sprzedać. O ile, rzecz prosta, porozumiemy się co do ceny.

— Porozumiemy się napewno, księżniaczko, żebym tak z tego miejsca żywcem wyszedł, że o cenę porozumiemy. A co będzie z tą słynną kolją z niebieskich brylantów?

— Ach, pana tak zaciekawia słynna kolja z niebieskich brylantów? — pogardliwie uśmiechnęła się Drucka-Lubecka. — O nią niech pan będzie spokojny. Jeżeli zdecyduję się sprzedać ją, to nie tu, lecz w Paryżu.

— W Paryżu?—ubolewał jubiler.—Oh, jaśnie pani! Przecież tamtejsze jubilery — to wszystko oszusty! Oszust na oszustu siedzi i oszustą pogania. Oni tam panią z pewnością wyzyskną, księżniaczko!

— Nie mówmy o tem. Jeżeli zechce pan obejrzeć klejnoty, które zamierzam sprzedać w Warszawie, to proszę zajść o czwartej. Do tego czasu będę miała możność naradzić się co do ceny z kuzynem.

— Jeżeli ja zechcę, pani dobrodziejka pyta? Ja już chcę, ja wszystko kupuję na ciemno. Ten szarlatan Soskis nie dawał mi chwili spokoju, ciągle chciał mi tych brylantów sprzedawać. Ale ja jemu wreszcie wygnał won i powiedział: „Idź ty, defraudantnik, darmo nawet nie wezmę!“ Bo u mnie pierwsza rzecz — to uczciwość, księżniaczko.

Tegoż dnia Beni Markman nabył klejnotów za sumę ośmiuset tysięcy franków.

Przy wypłacie westchnął:

— Niech jaśnie pani pomyśli sobie, wiele to wyniesie w miljonach marek polskich...

Ale tranzakcja nastroiła go na taki radosny ton, że jubiler zapomniał nawet o niedawnem starciu z Soskisem.

Do pełni szczęścia brak mu było tylko kolji z błękitnych brylantów.

7. W Bejzymach.

Zakołysały się wspomnień fale...

Każdy, napoły już zapomniany drobiazg, drogi świadek dzieciństwa, budził widmo dni ukochanych, barwne obrazy radości dalekich przed oczyma roztaczał, aż wreszcie ścisnął krtań spazmem żalu i smętku. Major Bejzym, ów zahartowany w bojach i tułaczce żołnierz, krótko popasający gość obu półkul świata, znalazłszy się tu, w tłumie pamiątek dzieciństwa, w rozedrganej uczuciem wyobraźni po raz drugi przeżywał złote swoje lata.

Oh, jak dobrze zna, zna aż do bólu, aż do łez, któremi opłakuje się to, co choć minęło, jednak trwa niezapomniane w tęsknocie; jak zna i kocha ten niski, jakby przypłaszczony ciężkim dachem dom z dwoma pękatemi, też jakby przygniecionemi kolumnami. W górze i w dole kolumienki są znacznie cieńsze niż w środku, a dach ugina się pod ciężarem śniegu, którego gruba warstwa wszystko tak dokładnie pokryła.

Ignacy żywo ma w pamięci te lata, kiedy to suchy i siwy dziadek, w czapce ze spłowiałym otokiem koloru opala, woził niesfornego wisusa do szkół, to tu, to tam, woził cierpliwie, niestrudzenie, zewsząd bowiem urwipołcia za małą pilność a hałaśliwą konduitę starannie usuwano.

Burczał i zrzędził starzec bez przerwy, lecz dusza w tem mamroczącem ciele była tkliwa i miłości pełna. Oh, wieleżby teraz dał Ignacy, by móc raz jeszcze tego pomrukiwania posłuchać! Żeby zrzucić z siebie balast jakich siedemnastu lat i jako sztubak na Boże Narodzenie do dziadka przyjechać! Byłyby wtedy takie same zaspy śnieżne, w mroźnem powietrzu tak samoby

się chwiały słupy dymu nad dwoma białemi kominami. Ale wtedy w Bejzymach królowali jeszcze dziadek i łagodna, pobożna panna Jadwiga, dziś zaś... Dziś ani dziadka, ani Jadwigi już niema...

Albo te cudowne wieczory zimowe, kiedy poruszając siwemi wąsiskami i z długiej czereśniowej fajki mocny dym pykając, opowiadał dziadek o zdarzeniach dawnych lat, o bitnym, starym rodzie Bejzymów, który przez najazdy wrogów i pożogi jeszcze przed rozbiorami Polski zbiedniał i podupadł. A miał ten ród wojewodów licznych i biskupów, miał starostów smoleńskich, witebskich, mohylowskich, żytomierskich, miał, o jakże...

Ongi bronili Bejzymowie orężnie Rzplitej, pierś własną nadstawiając nacierającym drużynom Moskwy, ordzie krymskiej, falangom tureckim i zagonom Siczy. Ginęli w bojach przesławnie, mienie swe w ogniu najazdów tracili. Z rozległych obszarów jeden tylko folwark pozostał, z niskim dworem, przed stu dwudziestu laty zbudowanym.

Opowiadał stary mruk o czynach dziada swego, Krzysztofa Bejzyma, człowieka rzadkich cnót rycerskich, siłacza jakich mało, którego Napoleon po szarży na Somo-Sierrę własnoręcznie Legją dekorował. Krzysztof bowiem pierwszy harmat hiszpańskich dopadłszy, tak dowódcę baterji ciął szablą, że razem z głową ramię odrąbał. Na marmurze Łuku Triumfalnego w Paryżu widnieje imię Krzysztofa Bejzyma, obok imion tej miary bohaterów epopei cesarskiej, co książę Józef, Zajączek i Kozietulski.

W salonie dworku po dziś dzień wisi drobny, niemal minjaturowy, konterfekt Krzysztofa w pysznych ozdobach szwoleżera. Wnosząc z portretu i opowieści, Ignacy kubek w kubek podobny był do swego pradziada, zarówno z rysów twarzy, jak z mocy, tudzież z fantazji.

Oczekiwanych gości przyjął pan Łaszcz nad wyraz okazale. We wszystkich piecach strzelał ogień, jadalnia nęciła nakrytym stołem. Od kilku lat ponuro milczący dom zadzwonił nagle wesołym akordem głosów, gdy ze stacji, odległej od folwarku o dwadzieścia wiorst, wreszcie sankami przybyli: Bejzym, Gagarin, Liwicki, Łabędzka, hrabina Szapary ze swym radcą prawnym, Haille'm, księżniczka Barbara Drucka - Lubecka, oraz rosły, bezmała tak jak Ignacy, wysoki operator o odpychająco grubej twarzy, wzięty do pomocy głównemu operatorowi, Steinowi.

Dom okazał się znacznie pojemniejszy, niż na pierwszy rzut oka można było sądzić. Pokojów miał dwanaście, więc pomieszczenie znalazło się dla wszystkich. Nie zabrakło też ani łóżek, ani kanap, ani materaców i sienników. Hrabina otrzymała oddzielny pokój, ten mianowicie, w którym kiedyś panna Jadwiga rezydowała, Łabędzka z księżniczką Barbarą ulokowały się razem, a Gagarina i Liwickiego umieścił gospodarz w dawnym gabinecie dziadka.

Wchodząc do tej pracowni, goście zawołali:

— Co to takiego?

Zdumiony wzrok ich zatrzymał się na przyczajonym w kącie karabinie maszynowym ze zwisającemi wstęgami ładunków.

— To nic. Na wszelki wypadek—z uśmiechem tłumaczył Bejzym. — Jakoś w pierwszym okresie rewolucji, gdy chłopi już zaczęli rabować dwory, przywiozłem sobie tę maszynkę z frontu. I tak została.

— A dobrze byłoby odświeżyć wspomnienia: przysiąść się do potworka i zatrajkotać—zauważył Gagarin.

— Tak, to jest, zdaje się, twoja specjalność. W pułku słynąłeś jako majster od maszynki.

— A co byłoby w tem złego, gdybyśmy sobie tak naprawdę maleńką jaką bitewkę urzą-

dzili—odezwał się Liwicki.—Każdy z nas ma karabin, mamy też całą skrzynkę ładunków, a oprócz tego ja jeszcze osobiście przywiozłem z sobą automatyczny pistolet Stehera, parabellum i mauzerek.

Do broni Liwicki miał szczególną słabość. Z kieszonkowym brauningiem nie rozstawał się nigdy, a w domu zawsze były na pogotowiu jeszcze dwa duże rewolwery: jeden pod poduszką, drugi w szufladce nocnego stolika. Do posiadania takiej zbrojowni skłaniał go nie brak odwagi, o który niesposób było go pomawiać, lecz zwykła słabość, zamiłowanie. A może jeszcze przyzwyczajenie detektywa politycznego, który rzucając się w odmęt niebezpiecznych przedsięwzięć, zawsze musiał mieć się na baczności.

Do gabinetu, ozdobionego głowami odyńców i łosiów, jako trofeami nieboszczyka dziadka, wszedł pan Łaszcz i spytał Bejzyma, o której każe podać do stołu.

Liwicki i Gagarin z zajęciem przyglądali się administratorowi folwarku. Bo rzeczywiście ten rozczochrany brodacz, ze zwisającym pustym rękawem marynarki, był naprawdę niepowszednim okazem człowieka.

Romuald Łaszcz pochodził z bardzo starej i zasłużonej rodziny szlacheckiej, której jednak ani wykształceniem, ani kondycją splendoru nie przysporzył. Zaledwie umiejąc czytać i pisać, całkowicie oddał się różnym nieprzystojnym uciechom, zwłaszcza zaś opilstwu, zgoła legendarnemu. Żądza przygód a temperament niesamowity zepchnęły go na stanowisko tak zwanego „objeszczyka" w straży celnej na pograniczu. Po dwudziestu pięciu latach bezustannych libacyj, oraz szaleńczo śmiałych walk z bandami przemytników, walk, po których nieraz wypadło mu miesiącami z niebezpiecznych ran się wylizywać, przeszedł pan Łaszcz do dymisji, by po latach

trudów i zabaw zacnie sobie w spokoju — wypoczywać.

Ale runął grom wojny i sześciodziesięcioletni emeryt, pełen jeszcze sił żywotnych oraz fantazji, bez wahania wstąpił na ochotnika do wojska. Jako siłę, świetnie z obszarami Wołynia obeznaną, przydzielono go do oddziału wywiadowców konnych i natychmiast wysłano do roboty, podczas której—a działo się to w dni wielkiej ofensywy Brusiłowa—rażony kulą dum-dum, pan Romuald stracił jedno ramię.

Dolą kalekiego samotnika serdecznie zajął się dawny jego znajomy, Ignacy Bejzym. Chcąc inwalidzie przyjść z pomocą, osadził go w swym folwarku jako rządcę. Na stanowisku tem pan Łaszcz wywiązywał się z zadania wyśmienicie, pograniczną schedę Bejzyma utrzymując w porządku naprawdę wzorowym.

Sumienny cudzych dóbr włodarz, był pan Romuald też nieladajakim w sztuce kuchennej majstrem. Obiad, z jakim na cześć gości swego chlebodawcy wystąpił, zaliczyć trzeba było do rzędu dzieł kulinarnych. Rządca sam potraw doglądał, beształ kucharkę, nos do rondli wścibiał, ale za to sukces osiągnął nielada: barszcz zabielany, gęś pieczona i szarlotka były tak smacznie przyrządzone, że towarzystwo odjeść się nie mogło.

Nie zapomniał pan Łaszcz i o wodzie życia. Wielkiem powodzeniem wśród gości cieszyła się jego czcigodna starka—rzekłbyś: ogień skroplony! tudzież burą patyną porosłe butelki z węgrzynem.

Honory gospodyni domu pełniła księżniczka Barbara, przez Bejzyma do czynności tych gorąco uproszona. Nastrój podczas obiadu panował niezwykle radosny i wesoły. Rozpalony kominek rozlewał wokół fale ciepła, a przez okna zaglą-

dały do pokoju wielkie zaspy śnieżne i ciche, bogato osrebrzone drzewa.

Nie chcąc nikogo ze swych gości urazić, zaprosił Bejzym do stołu również i personel techniczny, to jest operatorów. O ile na bezbarwną postać Steina, pochłoniętego pałaszowaniem barszczu i gęsi, nikt uwagi nie zwracał, o tyle końska, przedziwnie odpychająca gęba jego pomocnika ustawicznie rzucała się w oczy. Prawy policzek nowozaangażowanego operatora, po chamsku cmokającego tłustemi wargami, szpeciła długa, aż o dolną powiekę opierająca się czerwona blizna. Nasuwało się przypuszczenie, że tę antypatyczną fizjognomję musiał ktoś kiedyś oblać kwasem siarkowym.

8. Pojedynek człowieka z niedźwiedziem.

Proponując Łabędzkiej i Gagarinowi przejazd na wieś, miał Ignacy na myśli nietylko ich udział w obrazie, ale i odpoczynek na białem tle zimy. Przyjaciele zaproszenie przyjęli z wdzięcznością i, wyjednawszy w swych biurach urlopy na tydzień, przyłączyli się do kinematograficznej wyprawy.

Lasota zameldował swemu dowódcy, że „z niedźwiedziem sprawa stoi gładko".

— Czy duży? — badał zaciekawiony Bejzym.

— Strasznie ogromniasty! — chwalił zwierza strzelec. — Nawet na Syberji takich nie spotykałem. Jak się tu uchowała taka bestja? Stara to musi być sztuka, sędziwa a samotna, w pojedynkę chodzi. Kiedym go tropił, to aż ręka swędziła, by się ze sztucera złożyć...

— Jabym wam się złożył! — z wesołą pogróżką zażartował major.

Niezgrabnie w ukłonach cofając się ku drzwiom, Lasota wyszedł z pokoju.

— Sam on niedźwiedź—żartował że strzelca pan Łaszcz. — Lepiej się chłop czuje w lesie, niż u siebie w chacie.

— Albo my to z panem, panie Romualdzie, niby inaczej tego? — zauważył Bejzym. Czy nas nie duszą, nie dławią cztery ściany i sufit? Eh, panie Romualdzie, co tam, niema o czem gadać!

Pan Łaszcz w odpowiedzi tylko westchnął głęboko.

Każdy sięgnął do własnej duszy. Bejzyma wspomnienia uniosły za ocean, na stepy, po których w szerokim kapeluszu i skórzanych spodniach cow-boy'a harcował. Czyż nie dość miał przygód na pograniczu Meksyku? A potem siedem lat wojny, biwaków, ruchu ustawicznego, nieba nad głową? Takie właśnie życie, tylko takie jest jego żywiołem.

Łaszcz zaś, cofnąwszy się w myśli o lat piętnaście, ujrzał się zapalczywym „objeszczykiem" i jeszcze szczęśliwym obu rąk posiadaczem. Wspomniał nieustraszone z szajkami przemytników walki, wspomniał swoich wrogów najzajadlejszych, trzech braci Karkerów, na wszystko gotowych i nadludzko silnych żydów - przemytników, z którymi nawet wojskowa straż graniczna nie mogła sobie dać rady. Ci to specjaliści od kontrabandy, kiedyś Łaszcza w zasadzkę wciągnąwszy, tak go zbili, że — awanturniczy „objeszczyk" przez trzy miesiące bezwładnie w szpitalu przeleżał. Ledwo zdążył do zdrowia powrócić i czynnościami swojemi się zająć, gdy oto zjawiła się sposobność odwetu: Łaszcz, pojmawszy krwawych żydów na przewożeniu przez kordon transportu alkoholu, dwóch z nich szablą zarąbał. Zemście stało się zadość.

Tak, były czasy...

Rój wspomnień zerwał się nagle i zniknął, bo oto na ramię pana Romualda spadła potężna dłoń majora.

— Jutro, dobrodzieju, urządzamy tak zwane zdjęcia filmowe. Spodziewam się, że pan swej obecności nie odmówi.

— Co znowu, szanowny dziedzicu!— wypraszał się rządca, jedynem ramieniem czyniąc gest skromności.—Komuż toby się chciało oglądać takie, jak ja, czupiradło!

— Komuby się chciało? Wszystkim. Toż jesteś pan weteran prawdziwy, do czarta! Nos pański, broda zacna, zali wartości nie mają żadnej?

Rzeczywiście, gdy nazajutrz rano Stein wycelował swa terkoczącą „katarynkę“ na ganek dworku, by zdjąć śpieszącą na polowanie grupę myśliwych, pan Romuald ze swą wspaniałą siwą brodą, w karabin i rewolwer uzbrojony, w kożuchu i baranicy na głowie, na tle białych kolumienek ganku stanowił motyw niezmiernie malowniczy. Bywalcy kinematografów na zachodzie ocenią go z pewnością.

Wogóle, pod względem kolorystyki i charakterów, zespół cały przedstawiał się niezmiernie zajmująco. Naprzykład taki Lasota, przed gankiem w postawie pełnej uszanowania oczekujący wyjścia panów z domu, na jasnem tle dworku był mocną ciemną plamą. Jako człowiek całkiem prosty, miał dla obrazu tę rzadką wartość, że nie mając o grze pojęcia, ciągle był sobą.

Księżniczka Barbara, sama niesłychanie rasowa i na styl wrażliwa, ujrzawszy Liwickiego w stroju myśliwskim, jeszcze raz stwierdziła fenomenalne podobieństwo młodego pana do Filipa IV z galerji Prado. Sylweta tak wytworna i subtelna, iż rzekłbyś—młody książę na łowach.

Obok pana Leona potężną bryłą stanął Bejzym, ubrany w ciepły sweter pod zamszowym spencerem bez rękawów. Strój jego nie odznaczał się ani malowniczością, ani oryginalnym krojem, gdyż z uwagi na niezbędną swobodę ru-

chów, trzeba było z czynników estetycznych zrezygnować,

Łabędzka, zgodnie z wymaganiem scenarjusza, wystąpiła w zwykłem okryciu zimowem i wysokich sznurowanych bucikach. Zato hrabina Szapary przypominała wyruszającą na łowy alpinistkę. Jej filcowy kapelusik z piórkiem, obcisły żakiet, krótka spódniczka, oraz żółte sznurowane aż po kolana wysokie buciki, wszystko to, łącznie z przewieszonym przez ramię sztucerem, składało się na klasyczny a jednocześnie wytworny uniform europejskiej sportsmenki.

Ta wyrafinowana kokieterja stroju dziwnie jednak nie harmonizowała z wyrazem smutku i zgryzoty, jakie na twarzy Julji dziś się malowały. Węgierka zaprzestała piorunowania wzrokiem swej rywalki, a ruchy jej nawet przed objektywem aparatu były senne i apatyczne.

Po zdjęciu sceny przed gankiem, towarzystwo na piechotę udało się do lasu, odległego zaledwie o paręset kroków.

Zamyślona Julja zauważyła, że obok niej kroczy Haille.

— Pan dokąd?—spytała sycząco.

— Jakto dokąd? Do lasu, na polowanie, na zdjęcie filmowe.

— Na zdjęcie? Na polowanie? W takich szatach?

Haille był w zwykłem palcie zimowem, w meloniku na głowie.

— Pan chyba oszalał? — w pasji syczała Julja.—Proszę wracać do domu!

— Ależ, pani hrabino! Mnie już zdjęto przed gankiem, więc powinienem być też i na polowaniu.

— Nie powinien pan! Jedno z dwojga: albo ja pójdę, albo pan. Proszę wybierać.

Radca prawny lekko wzruszył ramionami, ale spełniając wolę swej zwierzchniczki, zwolnił kroku i po pewnym czasie do wsi zawrócił.

Tegoż dnia Haille, pod jakimś pozorem, wyjechał do Warszawy.

Dziewiczą biel połyskującego w słońcu śniegu głębokim ściegiem przecinały ślady ogromnych stóp Lasoty, który jeszcze raz o świcie zajrzał do staranną opieką otoczonej kniei. Wprawdzie wiedział gajowy, że ssący łapę głodny zwierz nie obudzi się i legowiska swego nie opuści, aliści korciła Lasotę ciekawość myśliwska, czy w ciągu nocy bestja nie spłatała przypadkiem jakiego figla.

Strojny w białe welony bór nawet nie drgnął. Powietrze było ciche i przejrzyste. Kosmate gałęzie uginały się pod ciężarem grubej sadzi. Nad lasem i w lesie trwała taka cisza, iż zdawało się myśliwym, że wkroczyli w granice jakiegoś zaczarowanego królestwa— majestatu ciszy nie mącił żaden dźwięk ni ruch. Lekki mróz ściął wokół życie, ściął nawet powietrze, które przez to zyskało zupełnie wyraźny ostry smak, tak podniecający, iż chciało się je pełną piersią wchłaniać, wchłaniać bez końca. I zewsząd szedł jakiś nakaz milczenia, by rozmową lub śmiechem nie spłoszyć tej czarującej ciszy. Rude wiewiórki, lekko z drzewa na drzewo przeskakując, z gałązek zsypywały gęsty, śnieżny pył.

Na czele wyprawy kroczył Lasota. Krzywe a krótkie jego nogi więzły w śniegu prawie po kolana, przez co tułów zdawał się być jeszcze szerszy i masywniejszy.

Chociaż wszyscy wiedzieli, że to już niedługo ma się rozegrać niebezpieczna walka, ale serca, porwane urokiem i potęgą przyrody, jakby nie doceniały powagi chwili. Dopiero przed samą knieją, gdy gajowy ruchem ręki dał znak milczenia, upojenie przechadzki prysło, a nerwami dreszcz rzeczywistości szarpnął. Dostojna, jakby z granitu wykuta twarz księżniczki Barbary, zawsze jednakowo dystyngowanej, zawsze nad sobą

panującej, nawet tu, na tej leśnej arenie oczekiwanych zapasów człowieka ze śmiercią, nic ze zwykłego spokoju nie straciła. Nie można było powiedzieć tego o dwóch innych uczestniczkach łowów, mianowicie o Magdalenie i hrabinie Szapary, które, każda z osobna, grozę chwili przeżywały dość silnie.

Najspokojniejszy ze wszystkich uczestników wyprawy był sam Bejzym. Po drodze dawał jeszcze ostatnie wskazówki współwykonawcom obrazu i operatorowi.

— W pobliżu legowiska niedźwiedzia proszę zachować jak najgłębsze milczenie. Kiedy już wszystkich was ustawię, kiedy operatorom wyznaczę miejsca, Lasota krzykiem obudzi śpiącego zwierza. Więcej spokoju, więcej panowania nad sobą! Na wyraz strachu albo zdumienia wolno wam pozwolić sobie dopiero wtedy, gdy już niedźwiedź swoje leże opuści. Pamiętajcie, że zgodnie ze scenarjuszem nasze spotkanie z bestją jest dziełem przypadku, do którego niby to zgoła nie jesteśmy przygotowani.

Koło kryjówki zwierza, przykrytej warstwą gałązek, można było śmiało przejść, nie domyślając się nawet, że pod tą niewinną choiną śpi bury potwór.

Już wszyscy są na wyznaczonych miejscach. Niby to idą i niby to przypadkowo przy legowisku się zatrzymują. Panowie palą, markując swobodną gawędę z paniami.

Z przeraźliwym jednostajnym krzykiem Lasota cisnął drewnem w kryjówkę niedźwiedzia, poczem niezwłocznie stanął ze sztucerem obok Steina, w każdej chwili gotów do obrony pobladłego ze strachu operatora.

Bejzym palił również. Ale oto nagle śniegiem zawalone przykrycie legowiska zwolna chwiać się i rozłazić zaczęło, aż z pod rozsypanych gałęzi wyjrzał jakiś olbrzymi, kosmaty, ciemnobury kształt.

Cisnął major cygaretkę, z za pasa wyrwał swój nóż hiszpański, otworzył go ze świszczącym trzaskiem i, podając się naprzód, w oczekiwaniu boju cały sprężony skamieniał.

Zdążył tylko krzyknąć Steinowi:

— Zaczynać tam! Zaczynać do wszystkich djabłów!

Skrzynka operatora zaterkotała rytmicznie.

Lasota miał słuszność, doświadczone oko myśliwego nie zawiodło—zwierz okazał się ogromną sztuką o żółtych pazurach i startych ze starości zębach. Gdy wspiąwszy się na tylne łapy, bestja ruszyła na Bejzyma, wszyscy mieli możność stwierdzić, że potwór znacznie przewyższał wzrostem swego olbrzymiego przeciwnika.

Z bronią do strzału gotową, gajowy ani na chwilę nie przestawał hukać i krzyczeć. Niedźwiedź zdawał się być tem nieoczekiwanem przebudzeniem zupełnie oszołomiony. Widocznie zbyt gwałtowne było przejście od nieruchomej drzemki w ciemnej i ciepłej jamie do zgiełku ludzkiego, zimna i światła. To też tchnący ostrym zapachem legowiska mocarz lasów wołyńskich, tocząc wokół maleńkiemi oczkami, w których paliła się wściekłość szalona, nie wiedział jeszcze na kogo rzucić się najpierw—na Bejzyma, czy też na gajowego. Wprawdzie major stał bliżej, ale zato niesamowity krzyk gajowego szczególnie jakoś misia drażnił.

Lasota wciąż darł się opętańczo, aby tylko swego „lokatora“ jak najdokładniej z równowagi wyprowadzić. Taktykę tę mógł stosować bezpiecznie: jeżeli zwierz, nie zwlekając, rzuci się na Bejzyma, wówczas z pewnością otrzyma śmiertelne pchnięcie nożem w pierś; jeżeli zaś na początku wybierze sobie gajowego, to będzie miał do czynienia z przekonywającą wymową sztucera.

Najlepiej podobno orjentują się w sytuacji i każdą chwilę wyzyskać umieją: żołnierz, myśli-

wy i wreszcie mistrz areny. Jeżeli tak jest istotnie, to samo się przez się rozumie, że kto jak kto, ale Bejzym wspomnianą cnotę musiał mieć wyjątkowo wysoko rozwiniętą.

Już niedźwiedź krzepkie rozwarłszy ramiona, zwrócił się ku hukającemu Lasocie, gdy oto Bejzym jednym susem znalazł się tuż przed bestją i drogę jej sobą zagrodził. Nastąpiła krótka, ale zato niesłychanie efektowna walka. Człowiek jedną ręką ścisnąwszy gardziel zwierzęcia, drugą nóż wbił mu w piersi tak głęboko, że stal aż do połowy głowni utkwiła w twardem cielsku.

Teraz major czemprędzej od bestji odskoczył, aby uniknąć drapieżnych jej objęć, ale rozjuszony niedźwiedź ze zdumiewającą, jak na niego, zręcznością i szybkością zdążył jeszcze uzbrojoną w pazury łapą zdzielić Bejzyma w głowę. Czapka futrzana osłabiła uderzenie, które jednak tak dalece było silne, że ogłuszony zapaśnik w jednej chwili zalał się krwią i stracił równowagę.

Kobiecy krzyk, krzyk przerażenia targnął przyćmioną świadomością Bejzyma, ku któremu na wyścigi z bronią do strzału gotową rzucili się: Lasota, Liwicki, Gagarin i Łaszcz.

Ale obrona była już niepotrzebna, gdyż niedźwiedź, jakby w zamyśleniu, przystanął, zachwiał się i ostrym pyskiem w krwią zalany śnieg runął.

Jeszcze kilka dreszczów konwulsyj i bury patrjarcha fauny wołyńskiej, zarywszy się nosem w puszystą zaspę śniegu, ucichł na zawsze.

9. Magdalenę nawiedzają „przywidzenia".

Cisza. Żadnych okrzyków, żadnych słów Trudno bowiem o słowa lub okrzyki, gdy niewiadomo jeszcze, co się z Bejzymem stało, czy niedźwiedź nie zgruchotał mu czaszki.

W denerwującej ciszy pracowicie, miarowo stuka aparat Steina. Doświadczony majster kinematografji zdaje sobie sprawę z niesłychanie cennej okazji, jaką dla operatora musi być starcie pojedyńczego człowieka z niedźwiedziem, bój, z którego człowiek rzadko wychodzi naprawdę okaleczony. Gdy więc niedźwiedź upadł na śnieg, Stein pośpiesznie zmienił pozycję i aparat swój uruchomił w odległości pięciu kroków od chwiejącego się na nogach Bejzyma, aby otrzymać w powiększeniu fotografię łowcy z okrwawioną, do kości zranioną głową. Gdy obraz pójdzie na ekran, któż o autentyczności walki ośmieli się wątpić?

A co pod względem efektu można następnej scenie zarzucić? Stein byłby durniem i pałą ostatniego rzędu, gdyby cudownej sposobności odpowiednio nie wyzyskał. Oto Bejzym, grupką przyjaciół otoczony, przysiadł na zwalonym pniu, a przerażająco blada Łabędzka, śniegiem obmywwszy skrwawioną czuprynę zapaśnika, ukochaną głowę troskliwie opatruje. Szczęściem, że wyruszając w drogę, na wszelki wypadek wzięła z sobą zapas merli i waty.

— No, jak się pan czuje?—pytano majora.

W serdecznej indagacji nie brała udziału tylko hrabina Julja. Nieruchomo stojąc na uboczu, gryzła zbielałe wargi, niemniej od Łabędzkiej blada. Regularnemi rysami jej twarzy ustawicznie wstrząsał nerwowy dreszcz.

— Głupstwo, nic się nie stało—jakoś miękko, cicho, choć z uśmiechem odparł siłacz. — We łbie mi trochę dudni, jak gdybym miał febrę, ale wogóle cała ta historja mogłaby się skończyć znacznie gorzej. Gdybym choć na okamgnienie spóźnił się ze źgnięciem w serce, lub też gdyby imć pan miś nie raczył trochę się spóźnić, to niewątpliwie leżałbym teraz u waszych nóg z zerwaną głową, czego przecież z natury łagodny scenarjusz nie przewiduje.

Znów się słabo uśmiechnął.

— No cóż, panie Stein, nie opuściliście niczego?

— Za kogo mnie pan major uważa!—obraził się operator. — Możemy sobie szczerze powinszować: podobnego filmu jeszcze świat nie widział.

— Myślę, że tak jest w istocie — zgodził się Bejzym.

Najwięcej uciechy zdradzał Lasota.

— Widywałem ja na Syberji znakomitych pogromców niedźwiedzi, ale takiego, jakim się pan major okazał, jeszcze nie zdarzyło mi się spotkać. Co za wspaniała robota, Jezusie Nazarański, co za uderzenie! Sybirscy myśliwi mają zwyczaj skórą owiniętą rękę pchać w paszczę zwierza, by nożem w drugiej wszystkie flaki bestji wypruć, ale to wszystko nic, furda w porównaniu z tem, co pan major pokazał. Robota pierwszej klasy! Co ja mówię pierwszej, wstępnej, naprawdę wstępnej klasy!

Pomocnik operatora, dryblas z odstręczającą w wyrazie i szpetnie wydłużoną twarzą, kołysząc się na chudych nogach, pożerał Bejzyma wybałuszonemi gałami.

Stein kazał mu się usunąć.

— Pachomow, proszę stąd odejść. Panowie myśliwi i panie niechaj się nad rannym nachylą. Pani hrabina zechce łaskawie bliżej pana majora stanąć, a madame Łabędzką proszę o opatrywanie rany. Tak, doskonale. Uwaga, zaczynam.

Ukończywszy fotografowanie ostatniej sceny łowów, towarzystwo skierowało się ku domowi, prócz Lasoty, któremu Bejzym polecił zająć się odwiezieniem zabitego niedźwiedzia do folwarku.

Okazało się jednak, że zaspy śnieżne, tudzież obfita gąszcz leśna uniemożliwiły przedarcie się do miejsca walki nawet wąskim chłopskim saniom. Jedno tylko pozostawało—ciągnąć zwierza po śniegu na sznurze, bo gdyby na-

wet dwudziestu tragarzy podjęło się przeniesienia trofeum na długim drągu, to ten, nie zdzierżywszy ciężaru, natychmiastby się złamał.

W oślepiającej jaśni poranka raźno brnął w śniegu Bejzym. Od blasku młodego słońca zaróżowiony opatrunek na skaleczonej głowie, podobny do opaski, jaką w średniowieczu nosili piraci, dodawał zwycięzcy jeszcze bardziej zawadjackiego wejrzenia.

W domu Stein wywołał wstęgę i, przekonawszy się, że zdjęcie udało mu się wyśmienicie, niezwłocznie wyruszył do Warszawy, aby jak najprędzej zacząć reprodukowanie sensacyjnego obrazu.

Pachomow wyjechał również, ale nie do Warszawy, lecz tylko do stacji kolejowej, rzekomo gwoli odprowadzenia starszego operatora na dworzec.

Oświadczył przeto:

— Wrócę tu za jakie trzy albo cztery godziny.

Antypatycznego dryblasa, tak nieharmonizującego z doborowem towarzystwem, jakie się w Bejzymach zebrało, rzecz prosta, nikt nie próbował nawet zatrzymywać.

Po staranniejszem opatrzeniu rany majora, panie usiłowały skłonić go do wypoczynku w łóżku, przeciw czemu jednak siłacz stanowczo zaprotestował:

— Za żadne skarby świata nie chcę bez potrzeby butwieć w betach! Przy obiedzie dziobnę sobie kilka starek, i na tem będzie polegała najwłaściwsza dla mnie kuracja. Też panie wymyśliły: ni stąd ni zowąd do łóżka!

— Co racja, to racja! — odezwał się pan Łaszcz.—Mocna starka to najlepszy eliksir życia. Słowo honoru, nie przesadzam.

Chociaż rządca, wierny ślubowaniom, z trunkami już się był nie na żarty rozstał, ale do pijących zawsze niezmienną żywił słabość.

Łabędzka jednak nie kapitulowała.

— Ale pan ma gorączkę, panie Ignacy!

— Gorączkę? Zdaję się pani. To od kominka upał taki bucha...—żartował, z pod opatrunku spoglądając na Łabędzką takim wzrokiem, że w piersi jej zamierało kochające serce.

Te dwa dni wspólnego pobytu na wsi były dla Magdaleny dniami słodkiego triumfu: między Bejzymem a hrabiną musiały się stosunki pogorszyć, bo unikali siebie wzajemnie. On najwidoczniej wyzwalał się z kajdan zabójczej żądzy. Ją zaś do odosobnienia skłaniały jakieś inne, bardziej skomplikowane pobudki.

Julja wogóle wprawiała wszystkich w zdumienie swojem szczególnem zachowaniem. Na czcigodnem tle staroświeckich wnętrz raziła niewytłumaczoną jakąś newrozą. Nastroje jej ciągłej ulegały zmianie — to milczała w głębokiem skupieniu, jak gdyby w głąb swej duszy się cofając, to znów zaczynała mówić nie à propos, innemi widać myślami pochłonięta. Dawna wyuczona światowość i poza gdzieś znikły. Z pod taniej pozłoty, która nagle opadła, wyjrzała niczem już nie fałszowana treść małej duszy.

Surowa i wymagająca, zarówno względem ludzi jak i siebie samej, zawsze opanowana księżniczka Drucka-Lubecka, kiedyś zwierzyła się Magdalenie:

— Wie pani, że ta „hrabina" nie wywołuje we mnie już takiego obrzydzenia, jak dawniej. Na coś znacznie gorszego byłam przygotowana.

— Bardzo trafne spostrzeżenie—zgodziła się Łabędzka.—Teraz i ja jej nie poznaję, tak dalece się zmieniła. O ile do niedawna jeszcze pani ta działała mi na nerwy, o tyle obecnie szczerze mi jej żal. Byle tylko z metamorfozy owej nie zrodziło się co złego, mam bowiem jakieś niemiłe przeczucia. Jeszcze przed naszą wyprawą do Bejzymów gnębił mię niejasny lęk, że tu coś się

stać musi, coś, co mię dotąd strachem i smutkiem nieustannie przejmuje. Słowem, gdyby to tylko ode mnie zależało, wszystkim kazałabym zbierać manatki i jak najśpieszniej wracać do Warszawy. Rozkaz taki, właśnie rozkaz, wydałabym bez wahania...

Ostatnie słowa Magdalena powtórzyła twardo, z naciskiem. W jej pięknych oczach malował się wyraz trwogi.

— Ależ co znowu, dziecko drogie!—uspokajała ją księżniczka. — Jak widzę, zaczynają panią dręczyć przywidzenia. Nerwami twemi wstrząsnęło dzisiejsze widowisko leśne, nie przeczę, że wyjątkowo silne, nawet porywające. Na nastrój pani musi oddziaływać też i ta okoliczność, że Bejzymy położone są w odległości kilku zaledwie kilometrów od granicy, oddzielającej nas od krainy zdziczenia i koszmarów. Niech pani lepiej rozejrzy się wokół siebie — dom, w którym zdawałoby się oddycha jeszcze uśpiony tylko, ale wciąż jeszcze żywy początek wieku dziewiętnastego. Proszę zobaczyć, jaka stylowa komoda, jakie naiwnie surowe linje foteli, co za drzeworyty w złoconych ramkach! Zbliża się siny wieczór, mistrz-mróz koronkowym ornamentem szyby wysrebrza, za oknami błąka się bajkowy strach nocy zimowej, myśl pani kirem złych przeczuć zasępiając. Teraz już wiesz, skąd te przywidzenia pochodzą, nieprawdaż?

— Przywidzenia? — przeciągle rzekła zamyślona Magdalena.—Czyżby tylko przywidzenia?... Daj Boże, by pod tą starą, gościnną strzechą nie ziściły się one w jaką katastrofę, w ciężkie jakie i groźne nieszczęście...

— Miałam kiedyś niańkę, córkę chłopa, starego Antypa. Zdarzało się, że nocą podetnie mię trwoga dziecięca. Wówczas zjawiała się niania z wypróbowanem w skuteczności lekarstwem na strachy: „Przeżegnaj się, Basia, dobrze się przeżegnaj,

a obaczysz, że przywidzenia czemprędzej zczezną".
I rzeczywiście—gdy tylko posłusznie środek niani zastosowałam, strachy pierzchały i dobry, słodki sen brał w posiadanie znękaną duszę dziecka,

— To niech mię pani przeżegna — z uśmiechem prosiła Łabędzka.

W prośbie tej tyle było ufności i ciepła, że surowa, głębokiemi brózdami pokryta twarz starej panny rozjaśniła się nagle blaskiem tkliwych uczuć. Chociaż między paniami było tylko trzynaście lat różnicy, to jednak księżniczka życzenie Magdaleny spełniła z jakąś raczej macierzyńską powagą i skwapliwością.

Błogosławieństwo, połączone z serdecznym pocałunkiem w czoło, uzdrowiły nękaną przeczuciami duszę — niepokoje pierzchły, a upiór pośpiesznie odstąpił od fantastycznie szronem rzeźbionych okien dworku.

Przy obiedzie pan Łaszcz jedyną swoją ręką pracowicie napełniał kieliszek Bejzyma, święcie wierząo w uzdrawiające własności starki.

Bejzym miał mocną głowę, więc też drzemkę, jaką sobie po obiedzie uciął, wywołał bynajmniej nie nadmiar trunków, lecz całkiem zrozumiałe zmęczenie oraz ostre przeżycia ranka.

W czasie, gdy major, chrapiąc na łóżku nieboszczyka dziadka, godnie wypoczywał, Gagarin i Liwicki w sąsiednim pokoju przy świetle lampy naftowej skracali sobie dłużący się czas paleniem dobrych cygar, oraz popijaniem złocistego węgrzyna, którego z piwnicy, gwoli uczczeniu świetnych gości, wyciągnął był troskliwy pan Łaszcz. Vinum było przednie, o wieku jego dobitnie świadczyła omszona patyna, jaką się szkło butelek okryło.

Wraz z węgrzynem zjawiły się przed gośćmi na stole najświeższe, dopiero co ze stacji sprowadzone dzienniki.

10. Przykład, godny naśladowania.

Liwicki sięgnął po gazety.

— Gdyby tego typu zdjęcie, jakieśmy dzisiaj rano wykonali, ukazało się na ekranie na Zachodzie Europy lub w Ameryce, wszystkie dzienniki zagrałyby pochwalnym koncertem szumnie zatytułowanych feljetonów. My, Polacy, chorujemy na zupełną nieumiejętność korzystania z dóbr reklamy. Ot, weźmy naprzykład naszego Ignaca Bejzyma. Niewątpliwie moglibyśmy mieć tu z pół tuzina różnych umyślnych korespondentów, gdyby ten gapa przed wyjazdem zatelefonował był do redakcji dzienników o tem, co na wsi zamierza urządzić.

Gagarin zapalił cygaro i rzekł:

— Jakiż sensacyjny materjał miałyby gazety stołeczne! Przypadło nam w udziale być świadkami rzeczy, jakiej dwa razy w życiu się nie ogląda. Teraz, gdyśmy nieco z pierwszego wrażenia ochłonęli, przyznać należy, że widowisko było przerażająco silne.

— Oczywiście. Niebezpieczeństwo, które już minęło, z pewnego oddalenia wydaje się jeszcze straszniejsze.

Liwicki nachylił się nad „Gazetą Poranną“ i z zajęciem ją czytał.

— Co nowego na świecie?—spytał Gagarin.

— Co nowego? Całe szpalty o Kłajpedzie. Wawrzyny d'Annunzia spędzają Litwinom sen z powiek.

— Tak, d'Annunzia i Żeligowskiego — poprawił książę.

Młodzieniec o twarzy velasquezowego infanta szybko przebiegł wzrokiem czarno-białe szpalty.

— A propos Wilna i Żeligowskiego — porywczo zawołał. — Niech pan posłucha, jakie rewelacje o lojalności żydów naszych podaje ostatnia „Dwugroszówka": „Do Rembertowa wysłano

oddział żołnierzy na zwykłe ćwiczenia strzeleckie, plotka jednak syknęła, że żołnierze ci jadą do Kłajpedy, by odbić miasto Litwinom. I co się okazało? Oto po drodze ulotnili się wszyscy wojskowi żydzi, nie chcąc przelewać krwi za Polskę, która nietylko zrównała ich w prawach z obywatelami narodowości polskiej, ale nadto stale różnemi przywilejami obdarzała". No co, mości książę, dobre, prawda? Dzięki temu, że żydzi, choć z ukrycia, ale wciąż jeszcze ster wypadków w swoich trzymają rękach, bezczelność ich nie zna granic. Czy chociaż na chwilę może pan sobie wyobrazić, by jaki poseł sejmowy — Polak, jaki zasłużony w pracy narodowej działacz, dajmy na to Haller lub Korfanty, mógł do ministra wojny wystosować prywatne pismo, utrzymane w tonie monitu, a nawet wymyślania? Czy może pan sobie taki nonsens wyobrazić?

Książe zaprzeczył ruchem głowy, poczem dodał:

— Nie, nie mogę. Tak głęboko w absurd wyobraźnia moja nie sięga. Poseł—Polak zwróciłby się do ministra z interpelacją, ale jestem przekonany, że takiego nietaktu, o jakim pan wspomniał, bezwarunkowo nigdyby się nie dopuścił.

— A widzi pan!—zawołał Liwicki.— Nietylko ja, ale i całe społeczeństwo polskie jest tego samego, co książę, zdania. Żydzi jednak własną kierują się logiką, mają też tę niezbitą pewność, że im wszystko wolno. Poseł żydowski Thon, dotknięty rzekomemi wstrętami, jakie podobno robią żydom w wojsku, machnął do ministra wojny tak bezczelny i ordynarny list, że świat się kończy.

— Rzeczywiście, co za arogant! Ciekaw jestem, jak w tej sprawie znalazło się ministerjum. Bezczelny żydowina pewnie otrzymał zasłużoną odprawę.

— Niestety!—westchnął Liwicki.—Podobno— tak mię przynajmniej zapewniała osobistość, bli-

sko tych spraw stojąca, podobno list Thona wywołał w ministerjum prawdziwą konsternację.

— To dziwne—mruknął Gagarin.

— Tak, co najmniej dziwne. Tem dziwniejsze, drogi książę, że impertynencki monit pochodził od przedstawiciela rasy, która tak haniebnie spisała się na froncie, ujawniając nieuleczalny pociąg do stanowisk tyłowych, zwłaszczas zaś do intendentury, gdzie tak rozkosznie miast krwi, atrament ofiarnie się przelewa. Aby dać księciu pojęcie o stanie rzeczy, pozwolę sobie w kilku choćby słowach naszkicować rolę oficerów-semitów w naszej armji. Na pierwszy ogień wezmę znamienny epizodzik z czasów krasnej inwazji, kiedy to naród polski, ratując zagrożoną niepodległość, nadludzkim wprost wysiłkiem, w niesłychanem napięciu woli zdołał z siebie, z zasobów swego ducha tyle energji wydobyć, że piorunem czynu zbiorowego rażony wróg w haniebną poszedł rozsypkę. Jak pewnie panu wiadomo, wśród ochotników, gotowych życie oddać za ojczyznę, nie brak było dzieci, a nawet kobiet. Na linję szli wszyscy, kto tylko karabin mógł w ręku utrzymać. Książę, trzeba było widzieć naprzykład oddział partyzancki Bejzyma. Kogóż tam nie było! Arystokraci, chłopi, ziemianie, sztubacy, rzemieślnicy, dyrektorzy banków, urzędnicy państwowi i prywatni, wszystko to hurmem atakowało posterunek werbunkowy. I tak było wszędzie, gdzie tylko mowa polska rozbrzmiewała. Zapałem patriotycznym porwane kobiety i dziewczęta obchodziły kawiarnie, restauracje, kina, czyniąc coś w rodzaju obławy na dekujących się mężczyzn. Jeden z takich patrolów wtargnął do cukierni „Ziemiańskiej“, gdzie mu zakomunikowano, że przed chwilą w klozecie ukrył się oficer-żyd, w czem mu zresztą usłużnie dwie jego współplemienniczki dopomagały. Rzecz jasna, że ciche ustronie policja niewieścia niebawem zdobyła, i przed oczyma publiczno-

ści stanął pomysłowy syn semi-Wschodu. Jak nie wsiądzie tedy babiniec na tchórza: „A ty taki owaki, nie łaska na front?“, ten zaś hardo odpowiedział: „Proszę iść do djabła, ja już swoje zrobiłem—patrzcie, brak mi nawet jednej ręki“. I rzeczywiście pokazał pusty, rozkołysany rękaw frencza. Niełatwo jednak podejrzliwą kobietę oszukać. Gdy patrol niewieści bez ceremonji zdjął z żydka pas oraz mundur, okazało się, że, o dziwo, i druga ręka się znalazła, całkiem zdrowa i nieuszkodzona. Oburzone patrjotki rzuciły się na tchórza, by za oszustwo dać mu dobrą nauczkę, ale pan oficer zdołał jakoś się wyrwać i uciec na Marszałkowską. Rozpoczął się pościg, przyczem jedną z uczestniczek pogoni triumfalnie wymachiwała zdjętym z żydka pasem. Widząc, że to nie przelewki, że się zanosi na grubszą awanturę, dezerter czemprędzej wpada do biura żandarmerji i żąda dla się opieki władz. Charakterystyczna, że znalazłszy się pod osłoną żandarmów, pseudo-inwalida uważał za właściwe narobić jeszcze wrzasku. Gdybym był rewolweru w domu nie zostawił, powiada, zpysznaby się ta hołota miała! bez pardonubym strzelał! Dobre, co? Mogę księciu nawet powiedzieć, jak się ów wojownik nazywa: Halpern.

— Czy po tem, co zaszło, munduru z pana Halperna nie zdjęto?

— Obecnie już go w armji niema, wkońcu bowiem zmuszono go do pożegnania się z korporacją oficerską. Zmierzam do tego, drogi książę, że Halpern bynajmniej nie jest zjawiskiem odosobnionem.

— A teraz niech się pan zastanowi nad absurdem wytworzonej sytuacji: żydzi nie tylko się dziwią ogromnie, gdy ogół pozwala sobie o ich kwalifikacjach wojskowych powątpiewać, ale nadto żądają dla siebie możności przebierania się w mundur bez wszelkich zastrzeżeń, bez za-

dnego „ale". Mają zresztą podstawę potemu, ponieważ zgodnie z konstytucją, żydom w wojsku służą te same prawa, co innym obywatelom Rzplitej.

Gagarin pobłażliwie chwiał głową.

— Konstytucja konstytucją, a życie zawsze życiem pozostanie i z logiki swej nigdy nie zrezygnuje, kochany panie Leonie. Gdyby polski korpus oficerski chciał się zespolić i wytworzyć jednolitą opinję, moglibyście mieć armję całkiem od żydów wolną. I to bez zastosowania jakichkolwiek środków represyjnych, bez obraźliwych wystąpień, które zagranicą mogłyby niepożądany dla nas znaleźć oddźwięk. Przeciwnie...

Tu książę przysunął się do Leona i w dalszym ciągu z ożywieniem mówił:

— Przeciwnie. Raczej umiar tu jest wskazany, takt i chłodna grzeczność, od której na kraj świata chciałoby się uciec. Przed chwilą opowiedział mi pan o karykaturalnem wyciągnięciu bohatera z poufnej ubikacji, więc z kolei i ja dla poparcia swojej tezy chciałbym dać ilustrację tej sztywnej uprzejmości, którą tak gorąco oficerom polskim w stosunku do żydów zalecam. Może panu wiadomo, że w Niemczech, za cesarstwa, żydzi mogli, mieli prawo służyć w armji, jako oficerowie, pomimo to jednak liczebnie w wojsku stanowili bardzo mizerny odsetek. Przyczyn tego zjawiska szukać należy właśnie w specyficznej atmosferze, z jaką żydzi nie mogli się oswoić. Nawet najbardziej gruboskórni i na drwiny nie wrażliwi, oficerowie-semici jeden po drugim na gwałt przechodzili do cywilu. Ciekaw pan, jak się taki klimat towarzyski wytwarza? Proszę zatem posłuchać...

Zaciągnąwszy się aromatycznym dymem cygara, książę dalej snuł swoją myśl:

— Jest tajemnicą poliszynela, iż kajzer Wilhelm nie unikał zażyłych nawet stosunków z mocarzami finansjery i przemysłu, których, stosując

się do modnej dziś nomenklatury, nazwalibyśmy rekinami kapitału. W ciągu wielu lat do kółka zaufanych cesarza należał też słynny król armatni, Alfred Krupp, po jego zaś mocno zagadkowej i wybitnie skandalicznej śmierci, w szczególne łaski Wilhelma wszedł nie mniej od Kruppa możny i w sferach giełdowych wpływowy Ballin. Jeżeli Alfreda Kruppa nazwaliśmy królem przemysłu armatniego, to Ballinowi bezwarunkowo należała się korona w panującej na morzach świata niemieckiej marynarce handlowej. Ów oto mocarz, ryskiego ghetta sprytny synalek, zrobił karjerę iście fantastyczną. Niema chyba na świecie portu, który byłby w stanie zmieścić w sobie potężną flotę Ballina. Kiedyś, podczas jakiejś ożywionej a poufałej gawędy z żydowskim Neptunem, który w swoich szponach bezmała trzecią część całej nawigacji świata krzepko dzierżył, najjaśniejszy pan łaskawie raczył rzec co następuje: „Chciałbym bardzo, drogi przyjacielu, wyświadczyć ci jaką miłą przysługę. Jeżeli masz do mnie jaką prośbę, to powiedz, a możesz być pewien, że zrobię wszystko, co tylko w granicach mojej władzy i mocy leży“. Oddawna oczekujący takiej wyraźnej zachęty Ballin z uniżonem uwielbieniem odparł: „Wasza cesarska mość doprawdy tak jest dla mnie wspaniałomyślna... Już tyle niezasłużonych łask spadło na mnie... Ale jeżeli wasza cesarska mość już tak raczyła postanowić, że wierny waszej cesarskiej mości poddany ma być nowym dowodem łaski uszczęśliwiony, to w takim razie ośmielam się prosić o jedno tylko: o przyjęcie mego jedynaka, który właśnie teraz szkołę wojskową kończy, do jednego z pułków gwardji. Byłby to dla mnie, dla syna mego i dla całej naszej rodziny zaszczyt wprost oszałamiający“...

Liwicki uśmiechnął się, a Gagarin mówił dalej.

— Temi słowy Ballin odpowiedział swemu

monarsze. W gruncie rzeczy to, o co prosił, zdawało się być drobną bagatelką. Bo cóż?... Jeżeli idzie o majątek, o fortunę, to Ballin niewątpliwie był znacznie bogatszy od wszystkich Hohenzollernów, razem wziętych. Miał już szereg orderów, godność radcy tajnego, miał władzę, wielkie wpływy, zaszczyty i dostojeństwa nie bylejakie, słowem wszystko. Wszystko, prócz jednego drobiazgu, mianowicie krom dostępu do wyższych kół towarzyskich Berlina. Jeżeli marzył jeszcze o salonach książęcych, to już nie dla siebie, lecz dla syna, któremu gorąco pragnął ułatwić dostęp do wielkiej sosjety stołecznej, co, oczywiście, znacznie byłoby łatwiejsze do urzeczywistnienia, gdyby młody Bellin mógł wystąpić w pysznym mundurze oficera gwarji. Ot, zwykła próżność żyda—dorobkiewicza.

— Dobrze pan to scharakteryzował—zauważył Liwicki.—Próżność, która u żydów przeradza się wprost w chorobę, w manję. Znaleźć się w pałacach elity towarzyskiej, wleźć do gwardji, krótko mówiąc, osiągnąć to, czego się nie kupuje za pieniądze, oto przedmiot marzeń i tęsknot zbogaconego żyda. A ciekaw jestem, jak wobec prośby Bellina zachował się Wilhelm?

— Jak się zachował Wilhelm? Cóż! Obiecał prośbę spełnić. Cesarz miał zwyczaj często śniadać w klubach oficerów gwardji. Może pan sobie wyobrazić, panie Leonie, jakie to musiały być przyjęcia. Olśnieni zaszczytem spędzenia paru godzin w towarzystwie kajzera, oficerowie nadwerężali swe kieszenie, byle tylko libacje wypadły jak najokazalej. Podczas jednej z takich uczt, wydanej przez jakiś drugorzędny pułk gwardyjski, drugorzędny, bo tylko piechoty, zwrócił się Wilhelm do biesiadników w te oto słowa: „Panowie! W gronie waszem chciałbym widzieć pewnego osobiście mi znanego młodzieńca. Jest nim syn mego przyjaciela, Ballina. Mam prawo oczekiwać,

że prośbie mojej uczynicie zadość". Odpowiedziało mu wymowne milczenie, twarze ucztujących dziwnie się wyciągnęły. Cesarz jednak jest nietylko cesarzem, ale i zwierzchnim wodzem armji, to też pułk zrozumiał, że prośbę monarchy uważać należy za rozkaz wodza. Ballin dopiął swego: syna jego do gwardji przyjęto. Wobec nowego kolegi oficerowie nosa bynajmniej nie zadzierali, nikt mu nie dokuczał, nikt nie docinał. Chociaż nie można było do niczego się przyczepić, jednakże wokół intruza wytworzyła się urzędowa, lodowata atmosfera. Poza służbą rozmów z Ballinem nie było żadnych. Naprzykład, jeżeli się zdarzyło, że jedynaczek podejdzie do grupy wesoło gwarzących kolegów, rozmowa natychmiast milkła, a spojrzenia kilku par zdziwionych oczu chłodną smugą padały na twarz natręta. Na każdym kroku, w każdej sytuacji młodemu Ballinowi dyskretnie dawano do zrozumienia: „Narzucono nam twoją niemiłą osobę, obcy nam jesteś, nic z tobą nie chcemy mieć wspólnego". Takiego klimatu wyraźnej niechęci syn miljardera dłużej niż trzy miesiące znieść nie mógł, złożywszy więc kiedyś raport z prośbą o zwolnienie z pułku, zdjął wreszcie świeży jeszcze mundur gwardzisty i pod złocone skrzydełka papy powrócił. Rzecz prosta, że w pojęciu wielu ludzi tego rodzaju zorganizowany bojkot zyska miano okrutnej tortury, stokroć okrutniejszej od zwykłej obelgi, ale z innej strony rzecz rozpatrując, stwierdzić należy, iż zmowa taka dać może nawet pewne zadowolenie wewnętrzne. Tak, panie Leonie. Potężny król marynarki handlowej i jego latorośl na własnej skórze przekonali się, że na świecie istnieje jeszcze coś, czego niesposób nawet kupić za miljony. Tem czemś w danym razie jest ciągłość tradycji korporacyjnej, tradycji, która nie ugnie się nawet wobec nacisku złota. Mojem zdaniem, metoda, przez niemieckich oficerów względem młodego

Ballina zastosowana, powinna się przyjąć i w waszej armji. Praktyka dobitnie wykazuje, jakie świetne osiąga się wyniki przez jednomyślność opinji oraz zdecydowaną postawę armji. Niech pan tylko pomyśli: bez dużego wysiłku, jeno w drodze dyskretnego bojkotu, w ciągu kilku miesięcy armję polską można z jerozolimskiego nalotu gruntownie oczyścić, iżbyś nawet przez szkło powiększające żyda—oficera w wojsku nie wykrył! A wtedy żaden Thon lub Grinbaum nie ośmieliłby się pisać do ministra wojny aroganckich epistoł.

— Słusznie—szepnął zamyślony Liwicki. — Wówczas i mnie opuściłaby figlarna chętka skorygowania nazwy urzędu „intendentura" na „judendentura".

— A to zbytnik z pana!—zaśmiał się rozbawiony Gagarin.—Bardzo dobry, doskonały kawał! Judendentura! Hahaha!

II. W klasztorze oo. bernardynów.

Chociaż Heller przechwalał się, że ze Sławuty wyjedzie bez pożegnania z Zinowjewem, z którym rzekomo żadne węzły go nie łączą, w ostatniej jednak chwili przezornie spuścił z tonu i podczas pożegnalnej wizyty miał z szefem Północnej Komory krótką i znamienną rozmowę.

Hellerowi bardzo zależało na tem, by Apfelbauma, jako jednego z najwpływowszych członków rządu sowieckiego, utwierdzić w przekonaniu, że spostponowany farmaceuta nawet na przymusowych wywczasach pała żądzą bezinteresownej walki z wszędzie zaczajonymi wrogami komunizmu.

Przyjął go Apfelbaum z opartą na wzorach Patiomkina nonszalancją, a nawet z wyraźnem lekceważeniem. Niedbale rozrzucony na łożu Sanguszków, ubrany w pstry szlafrok azjatycki, świe-

cił z pod baldachimu swoją zmiętą, użyciem napiętnowaną twarzą.

— Ja, towarzyszu, — tłumaczył z zapałem Heller—w ten sposób obowiązki komunisty pojmuję, że z zaszczytnego posterunku może go jedynie śmierć zluzować...

Frazes ten farmaceuta ściągnął z jakiegoś rozkazu Denikina, odpowiednio go tylko ad hoc strawestowawszy.

— Która godzina?—spytał znagła Zinowjew, powstrzymując zapędy krasomówcze swego gościa.

— Godzina? Albo co?... Pół do pierwszej.

— Co? Już pół do pierwszej?—zawołał Apfelbaum i głośno klasnął w dłonie.

Z za kotary wbiegł, prężąc się, adjutant przyboczny, hrabia Briecksdorff.

— Żeby za pięć minut był fryzjer i manikiurzystka, a za pół godziny kąpiel — krótko rozkazał wielkorządca, jednocześnie skinieniem głowy odprawiając arystokratycznego fagasa.

Poczem leniwie dużą swoją głowę ku Hellerowi zwrócił:

— W ciągu pięciu minut jestem do waszych usług, towarzyszu. Więc powiadacie, że tylko śmierć może zluzować komunistę z jego zaszczytnego posterunku. Zdaje mi się, żeście się na tem zatrzymali? Co dalej?

— Dalej... W tych dniach zamierzamy dokonać porwania słynnego polskiego oficera białej gwardji i bandyty, majora Bejzyma...

— Aaaa!... Czy to ten, który...

Golona, biała twarz Apfelbauma błysnęła wesołym uśmiechem.

— Tak jest, ten sam—z ponurym smutkiem odpowiedział Heller. — Ten sam, który powiesił Dienstla, ten sam, który wypadami swych partyzanckich szwadronów teroryzował nasze tyły, osaczał i porywał sztaby dywizji, który szarżą na Radzymin przyczynił się do naszej klęski pod

Warszawą, który wytępił setki, a nawet tysiące najpracowitszych bojowników komunizmu, ten sam Bejzym, oprawca krwawy, z którego poczynu powstawały całe aleje powieszonych na drzewach i latarniach komisarzy... Oto kim jest ów rakarz!..

Heller tak się zachłysnął nienawiścią, iż dalszy ciąg przemowy uwiązł mu w rozdrganem gardle.

— Rozumiem — łaskawie oświadczył Zinowjew-Apfelbaum. — Pojmuję też i to, że wasze ideowe oburzenie może się łączyć jeszcze z uczuciem osobistej niechęci. Tem lepiej dla sprawy. Zemsta i nienawiść—to potężny bodziec, to dźwignia czynu. Dzięki tej dźwigni dziś rządzimy obszarami od Zbrucza aż po Ocean Spokojny. Życzę wam zatem powodzenia, towarzyszu! Jeżeli uważacie, że mógłbym wam być w czem pomocny, to...

— Chciałbym—przerwał Heller — żebyście byli łaskawi kierownictwo ekspedycji karnej mnie osobiście powierzyć. Byłby to mandat, rozumie się, ściśle poufny.

— Ależ bardzo proszę! Niezwłocznie polecę swemu biuru przygotować odpowiedni nakaz na wasze imię. Czy więcej już nic?

— Nic, to jedyna moja prośba. Właściwie jeszcze parę słów uzupełniających. Do wykonania tego planu przydałby mi się niewielki oddział gotowych na wszystko ludzi... Jakich czterdziestu lub pięćdziesięciu jeźdźców...

— Doskonale. Dam wam pół szwadronu „czerwonych djabłów". Czy to już wszystko?

— Zaraz, zaraz—szeptał farmaceuta.—Chciałbym mieć Bejzyma w swem wyłącznem posiadaniu. On musi być moim, tylko moim...

— Hm... Jakby to wam powiedzieć—rozważał dygnitarz.—Czy nie lepiej byłoby odesłać go do Moskwy, do dyspozycji Dzierżyńskiego? Zawszeć to gruba ryba reakcji, ten Bejzym. Takie

rozwiązanie sprawy dałoby nam możność wszczęcia sensacyjnego procesu. Możnaby też...

Ale Heller nie dał Apfelbaumowi dokończyć:

— Błagam was, towarzyszu! Błagam was, mnie go oddajcie! Wzamian żądajcie ode mnie wszystkiego, czego tylko zechcecie!

— Jeżeli już tak koniecznie... — po krótkim namyśle zdecydował wielkorządca.—Jeżeli już tak was ogień zemsty piecze, to owszem, bierzcie go i niech wam pójdzie na zdrowie. Ale ciekaw jestem, co wy też z nim zamierzacie uczynić?

— Co z nim zamierzam uczynić? — przeciągle powtórzył farmaceuta, a jego oszpeconą twarzą zatrząsł spazm nienawiści. — Podobno w Zasławiu, w klasztorze bernardynów jest loch, w którym Polacy ongi więzili Tatarów i Zaporożców. Jak słyszałem, dotąd jeszcze przechowały się tam przykute do muru łańcuchy z żelaznemi naszyjnikami. Co z Bejzymem, uczynię, pytacie? Oto skuję go w te antyczne kajdany i do tortur przystąpię. Wśród waszych „czerwonych djabłów" znam jednego fachowca, pierwszorzędnego specjalistę od zdzierania żywcem skóry z burżujskich ciał, które pod nożem tego zawodowca z białych dosłownie stają się czerwone...

Zabrzęczały ostrogi. To do sypialni wszedł hrabia Brieckdorff.

— Pięć minut już upłynęło. Czy mam wprowadzić?...

— Niechaj wejdą!—skomenderował wszechwładny pan czerwonego Petersburga. Do widzenia, towarzyszu. Zajdźcie teraz do kancelarji, a Briecksdorff w mojem imieniu poleci przygotować dla was wszystkie niezbędne dokumenty.

Heller opuszczał sypialnię Zinowjewa w szale szczęścia. Po raz pierwszy bodaj od miesiąca zapomniał, że zamiast ludzkiej twarzy ma ohydną, odrażającą maskę.

Zasław jest starożytnem, już ośm wieków

istniejącem miastem. Przecina je rzeka Horyń miejscami bardzo szeroka i wartka, zwłaszcza w pobliżu tamy z młynami parowemi, które przed rewolucją należały do księcia Romana Sanguszki, a obecnie, jako „zsocjalizowane", zieją chłodem opuszczenia i martwoty.

Stare dzielnice miasta malowniczo przykucnęły na stromym brzegu rzeki, nowe zaś ulokowały się na przeciwległym, płaskim i niskim brzegu. Czasu wojen polsko-kozackich istniał tylko stary Zasław, a ku samej rzece podbiegał wtedy wolny, szeroki step, skąd zawsze można było oczekiwać ukazania się nieproszonych gości. Aby miasto mogło odpowiednio przyjąć rozbójnicze zagony, klasztor bernardyński opasał się wysokim murem, przez co się stał dość trudną do zdobycia warownią. Ze stromego brzegu szara, omszała i zębata masa kasztelu w groźnej zadumie przyglądała się wartkim nurtom rzeki, którą kiedyś tak często barwiła krew zajadle odpieranych szturmów.

Sławne, odległe czasy...

Później zażydzona mieścina spokojnie sobie w ciągu dwóch i pół stuleci drzemała, aż zbudził ją wreszcie zgiełk przewrotu. Przez Zasław przewijały się całe pułki, ba, nawet dywizje rozpalonych żądzą grabieży dezerterów. Rozbójnicza szarańcza w sołdackich szynelach spadała na miasto, zmiatając wszystko, co na swej drodze napotkała. Jęczący z głodu i przerażenia gród ustawicznie przechodził ze szponów petlurowców w pazury bolszewików, aż wkońcu, kiedyś, kontredansowi temu położyli kres ułani polscy.

Jak przed dwustu pięćdziesięciu laty, w on czas chaosu wody Horynia znów krwią walk się zaczerwieniły. I jak dawniej, na ogłuszoną mieścinę patrzył z wyżyn, krzyżami i ramionami baszt najeżony, dziś już nieżywy i bezludny klasztor. W głąb czasu odchodziły wieki, zmie-

niali się władcy, mijały narody i upodobania, więziony Orzeł dusił się w lochu swej męki, a surowy monaster, szary i krzepki, z biegiem czasu tylko od powiewu stuleci czerniejący, na tle niebios Wołynia jednako wciąż w dal wieków spoglądał. Niezmiennie też, jak i owe dalekie czasy, po kamiennych wnętrzach bezszumnie się snuły bose korowody mnichów w bronzowych habitach, a w pysznym parku srebrzyły się strzeliste topole.

Aż wreszcie do arki rozmyślań, echami modłów i śpiewem organów nasyconej, z szalonym zgiełkiem świętokradczo wtargnęło życie. Życie, a raczej chora jego maligna, jego zbrodnia wyuzdana i obłęd. Swieżą ruń zieleńców tratowały kopyta czerwonej jazdy, kolby karabinów zapamiętale tłukły szkła w cieplarniach. Oficerowie sowieccy i komisarze powypędzali zakonników z ich celek, by, ściągnąwszy z miasta dziewek stado, urządzić w klasztorze dziką orgję pijacką i bluźnić Męce Pańskiej.

Na schludny dziedziniec wpadł kiedyś oddział kozaków Budiennego i, zsiadłszy pośpiesznie ze spienionych koni, szumną watahą do kościoła wtargnął. Na czele sołdatów, butnie ssąc papierosa, kroczył komisarz polityczny—spocony drab z kolczykiem w uchu i rozhuśtanym nahajem przy szabli. Szpetną jego duszę paliła chęć zaimponowania swym podwładnym jaką nową z kolei, już bezkonkurencyjną podłością.

Chłodny półmrok naw, łagodne migoty świec, złoty blask, bijący od ram, z których spoglądały twarze świętych, ciemne habity mnichów — wszystko to zdawało się drażnić i podniecać politkoma. W obliczu sanctuarium opiła zbrodnią dusza towarzysza musiała się widocznie własnego splugawienia przestraszyć.

Szurając obcasami po kamiennej posadzce, w pobrzęku ostróg sołdackich, szedł zuchwale ku figurze Chrystusa, przez nieznanego mistrza wy-

rzeźbionej z białego drzewa, którego gatunku niepodobna było określić.

Przekrwione oczy spotkały się z natchnioną męką wzroku Zbawiciela.

I stała się rzecz straszna. Z bluźnierstwem na ohydnych ustach, wyrwał politkom pałasz z pochwy i ciął nim w ramię Ukrzyżowanego.

Nawet ze wszelkiem łotrostwem otrzaskani kozacy Budiennego, na widok takiej zbrodni, milczeli ponuro — uczyniona świątyni Pańskiej zniewaga w zwyrodniałych sercach nie znalazła jakoś uznania.

W sklepienia kościoła uderzył spazmatyczny krzyk dziecka. To, cały siny z przerażenia, krzyczał dziewięcioletni chłopczyk, bratanek furtjana, jasnowłose i blade pacholątko, podobne do aniołka z obrazu Madonny. Drobny był, cichy a zadumany zawsze. Gdyby mu długie włosy nieco podstrzyc, przypominałby wówczas smętnego pazika.

Krzyk dzieciny trwogą śmiertelną przejął tych, ani w Boga, ani w djabła nie wierzących rozbójników, dla których krew ludzka mniejszą miała od zwykłej wody wartość. Nagłe przerażenie udzieliło się też i komisarzowi. Jakby chcąc cofnąć swe straszliwe bluźnierstwo, targnął szablę, by ją z ramienia Pana wyrwać. Widać było, że wszystkie swoje siły wytęża, ale klinga ani drgnęła—rzekłbyś, zrosła się ze świętem drzewem.

Tknięty udarem żywiołowego strachu rzucił się komisarz ku oddrzwiom kościoła, pociągając za sobą bezwolne stado kozactwa. Dosiadano koni w panice niemożliwej do opisania. Roztrzęsione nogi jeszcze nie zdążyły żelaza strzemion schwytać, gdy już ostrogi zmuszały wierzchowców do galopu z miejsca—byle prędzej uciec od znieważonej świątyni i gniewu Stwórcy!

Skłębiony oddział jazdy w popłochu cwałował ku miastu, jakby czując za sobą pościg

posiniałego od płaczu dziecka i białej, wieńcem cierniowym ukoronowanej figury, z wbitą w ramię świętokradczą klingą.

Wieść o cudzie szybko ziemie Wołynia obiegła. Do świątyni klasztornej płynęły zastępy wiernych, by na własne oczy ujrzeć cud i u stóp zranionego Chrystusa modły korne złożyć. Dłonie pątników tkliwie gładziły jasną główkę chłopczyka, który po wstrząsie, jakiego w godzinę cudu doznał, w jeszcze głębszą popadł zadumę.

Kiedy, zgodnie z układem ryskim, powiat zasławski ostatecznie przeszedł pod panowanie sowietów, bolszewicy wydelegowali do klasztoru komisję śledczą, która miała za zadanie ustalić, że żadnego cudu nie było, a cała historja jest niczem innem, jak tylko zwykłym „kawałem" duchowieństwa.

Ale zamiary bolszewików spełzły na niczem. Przewodniczący komisji, marynarz, siłacz taką krzepą rąk obdarzony, że czaszki burżujów gruchotał jednem uderzeniem pięści, pomimo swej nadludzkiej siły, musiał wreszcie odstąpić od zamiaru wyjęcia szabli z ramienia Chrystusa.

Po krótkiej naradzie komisja, uznawszy figurę za przedmiot „niebezpiecznego kultu ze strony ciemnych, sfanatyzowanych mas", postanowiła ją „skonfiskować" i zupełnie z miasta wywieźć.

Gdy wiadomość o tej decyzji rozeszła się po okolicy, przed klasztorem zebrał się wielotysiączny tłum i wobec komisji tak dalece groźną postawę przyjął, że towarzysze, w słusznej obawie o własną skórę, bez słowa pogróżki wsiedli do samochodu i odjechali do Szepietówki.

12. Saszka-ludożerca.

Heller zamieszkał w odświętnych komnatach, w których zazwyczaj podczas objazdu archidjecezji zatrzymywał się arcybiskup.

Ze ścian spoglądały portrety papieżów, kardynałów i nuncjuszów, ale oszpecony aptekarz, zawsze jednako arogancki i zarozumiały, na dostojne otoczenie książąt Kościoła zdawał się żadnej nie zwracać uwagi.

Aż w pewnej chwili nie zdzierżył przypływu nienawiści i, zacisnąwszy pięści, warknął:

— No cóż, wasze eminencje? Pewnie z przerażenia w grobach się przewracacie, widząc jak w waszych apartamentach żyd gospodarzy? Owszem przewracajcie się i niech wam to pójdzie na zdrowie, mumje strupieszałe!

Paroksyzmowi ociekającej śliną wściekłości obojętnie z pociemniałych płócien przyglądali się zasłużeni purpuraci.

Farmaceuta nie zwlekając zajął się przygotowywaniem „karnej wyprawy". Przed poszarpane oblicze mściciela zawezwano między innymi i owego specjalistę od zdzierania żywcem skóry, na którego udział tak liczył głodem zemsty trawiony Heller.

Był to jeden z „czerwonych djabłów", kryminalista, „Sierożką-Ludożercą" przezwany, dezerter z katorgi sachalińskiej, do której przed laty zesłał go był sąd za szereg bestjalskich mordów. Gdy udało mu się zbiec, w tułaczce po tajgach żywił się mięsem ludzkiem, aż władze, wytropiwszy wreszcie uciekiniera, znów go łańcuchami do taczek przykuły. Zbrodnie Ludożercy przekreśliła dopiero rewolucja, której kunsztem swym służyć zaczął, przedewszystkiem jako wzorowo w swem rzemiośle wykwalifikowany oprawca.

Wprawdzie na koniu Sierożka czuł się, jak pies na płocie, ale zato w rozbójniczej wojnie domowej był poprostu nieoceniony. Tajga rozwinęła w nim zmysł orjentowania się w przestrzeni, a instynkt katorżnika i włóczęgi niejednokrotnie z pomocą niezawodną przychodził mu w różnych opresjach, zwłaszcza gdy ciemną nocą

trzeba było gdzie w pobliżu wywąchać ciepłą sadybę.

Siedząc, robił wrażenie człowieka wysokiego wzrostu, miał bowiem dużą głowę, potężny kadłub i długie ręce, ale wrażenie to szybko mijało, gdy Sierożka, naprzykład zeskoczywszy z konia, stanął na swych krótkich, jakby przez omyłkę z innego tułowia przyprawionych mu nogach. Zacnej matce-przyrodzie omyłki takie przytrafiają się dość często.

Już sama powierzchowność tej, przez czarta chyba poczętej, kanalji miała w sobie wybitne piętno zwyrodnienia, zwłaszcza zaś blada, wielka twarz z maleńkiemi, zupełnie barwy i blasku pozbawionemi oczkami. Długie ręce i stale w kolanach zgięte nogi sprawiały, że Ludożerca uderzająco przypominał wyliniałą małpę.

W arcybiskupich komnatach, przy obfitej zimnej wieczerzy, Heller naradzał się z oprawcą na temat zamierzonej wyprawy. Wiedząc, że opryszek, acz za zdecydowanego alkoholika bynajmniej się nie uważał, jednak wypić, jak na zbója przystało, potrafi, farmaceuta uzbroił stół biesiadny w potężną baterię flaszek.

Specjalista od zdzierania żywcem skóry, w trunkach okazał się majstrem niezgorszym: zaprawiony pieprzem spirytus ciągnął, jak smok, przyczem tak głośno mlaskał wargami, okazując szeroką od ucha do ucha gębę, że Hellerowi trudno było oprzeć się wrażeniu, iż ma przed sobą klasycznego ludożercę.

Wysłuchawszy szczegółów planu ekspedycji, Sierożka odtrącił od siebie mapę, którą mu Heller usłużnie był podsunął, i wymachując przedniemi kończynami, oświadczył:

— Ja, towarzyszu, na mapach się nie znam. Mam wilczy węch, i to mi wystarczy. Gdy wszystko spenetruję, przeszperam, wywącham, to roboty

napewno nie spartolę. Więc mówicie, że od folwarku do wsi kawał drogi?

— Żeby taki znów duży kawał, tego nie powiem. Z wiorstę będzie.

— Z wiorstę? — powtórzył niedbale zbir. — Na wieś to ja sobie fiukam. Zimową porą nic chłopa z betów nie podniesie. A zresztą, cóż to jest chłop, pytam ja kogo? Powiedzcie mi teraz, jak tam ze strażą graniczną?

O wszystkiem będziecie dokładnie poinformowani, po tamtej stronie bowiem mamy swego człowieka, Pachomowa, byłego marynarza, z którym we właściwym czasie wspólnie omówicie szczegóły przedsięwzięcia. Jeżeli towarzysz dostarczy mi Bejzyma żywcem, to nigdy wam tej przysługi nie zapomnę.

— A jak to bliżej wygląda?

Heller nie zrozumiał pytania.

— Co, bliżej?

— Pytam, jak będzie taka wdzięczność wyglądała. Sami rozumiecie, że jeżeli mam jeńca wziąć żywcem i związanego tu dostarczyć, to przecież aby tego dokonać, własny żywot dla waszych spraw narażać muszę. Więc jakże będzie z honorarjem?

— No cóż, towarzyszu. Mogę wam za fatygę zapłacić naprzykład miljonów, miljonów...

— Fiukam na papierowe miljony!—pogardliwie mruknął Ludożerca. — Podobno macie dużo brylancików, te wartości nigdy nie tracą...

Heller nachmurzył się.

— Dużo ich nie mam. Kilka zaledwie kamyków...

— Kilka? Wystarczy tego, co jest, więcej nie trzeba!—parsknął kat, krzywiąc swą zwierzęcą twarz w takim pokracznym uśmiechu, że bezbarwne oczy doszczętnie gdzieś zniknęły w fałdach tłuszczu.

— Zgoda i na to — po chwili wahania wy-

krztusił farmaceuta. — Gotów jestem wszystkim żądaniom waszym uczynić zadość, ale zato prócz majora musicie mi dostarczyć, również żywcem, jeszcze jedną ptaszynę. Mam na myśli pewną piękną brunetkę, wraz z całem towarzystwem bawiącą w folwarku Bejzyma... Wskaże ją wam Pachomow. No jak, robimy interes?

Heller z niecierpliwością oczekiwał odpowiedzi.

— Czemu nie? Przy sposobności za jednym zamachem można i niewiastę tego... buchnąć. Żeby nie krzyczała, nacisnę jej grdyczkę, mach przez siodło i wio w drogę. A jaką przylepeczkę dostanę za honor?

— Więc ile za tę parkę żądacie?

— Ile żądam? Hm, ileżby to mnie kosztowało?...

Oprawca zwlekał z odpowiedzią. Namyślał się, kalkulował coś, głową kręcił, aż rzekł:

— A wy cobyście mi zato dali?

— Cóż... Naprzykład dwa pierścienie z brylantami.

— Pierścienie? — zdziwił się opryszek. — Raczcie tylko na moje ręce spojrzeć, towarzyszu. Czy wiecie, że obwód jednego mego paluszka większy jest od obwodu srebrnej półrublówki?

Sierożka nie przesadzał. Jego potworne, splotami żył nabrzmiałe ręce zdumiewały grubością palców. Patrząc na te ohydne kończyny, Heller dumał uparcie, ilu też ludzi mógł Sierożka zadusić w ciągu swego występnego życia.

— Tak, zamiast pierścieni śmiało moglibyście nosić na palcach bransolety. Więc może honorarjum ustalimy na wagę, w karatach?

— Spróbujmy. Ile dostanę za wszystko razem?

— Myślę, że dosyć będzie cztery. Po przeliczeniu na franki, wypadnie sumka niezgorsza.

— A ja myślę, że nie cztery, lecz dziesięć.

— Szaleństwo! Dam pięć.

— Nie, dziesięć—upierał się Ludożerca.

— Siedm...

Wymawiając tę liczbę, Heller miał wrażenie, że go oprawca bezlitośnie schwytał za gardło i dusi.

Wreszcie dobito targu: dziesięć karatów. Wobec nieustępliwości Sierożki, znużony walką farmaceuta skapitulował.

Na wychodnem zbrodniarz spytał jeszcze:

— A powiedzcie, jeśli łaska, ile tam chłopa będzie?

— Przypuszczam, że nie więcej, niż pięciu.

— Tylko pięciu? To głupstwo! Wezmę z sobą trzydziestu draba, wszystko numery popisowe, za bójką stęsknione.

— Czy wystarczy trzydziestu?

— Takich? Aż nadto!

— Życzę zatem powodzenia, towarzyszu.

— Wypluńcie takie życzenie! Z nami żegnać się trzeba po myśliwsku.

— Jeszcze jedno!—zawołał Heller, na progu zatrzymując oprawcę.—Podobno słyniecie z kunsztu ściągania żywcem skóry?

— Kunszt, może nie kunszt, aleć zawsze zręczność do tego nie zawodzi—skromnie tłumaczył się Ludożerca.—Jaki fach zresztą nie wymaga zręczności? Dajmy na to, wpadnie nam w ręce jaki kontrrewolucjonista, albo zgoła burżuj... Rozbieramy go wówczas, brzuszkiem na dół kładziemy; jeden towarzysz trzyma za czub, dwóch za przednie łapy, dwóch za tylne, i dopiero wtedy... A mam ja ci nożyk cienki, ostry, obrotny, dość gdy powiem: szewcki. Okrakiem na burżuju, niczem na kobyle, siądę i zaczynam kroić. Najpierw jeden paseczek, potem obok drugi, a trzecim w poprzek plecy przekreślę... Szczypczyki do tego małe są potrzebne, mam właśnie takie:.. Pochwycę rąbek skórki, pociągnę i ze-

rwę, całą taśmę zerwę. Krzyk, ryk, powiadam wam, bo to, braciszku, nie przelewki! I wiecie— rzadko kto zdzierży całą listwę od ramienia do pasa, najczęściej już w połowie zipać przestaje. Zato kiedyś dali mi do roboty pewnego ofika od Denikina... Zdrowy był, czart nie człowiek... Szlaczek mu przykładnie wyciąłem, potem naramienniki, i jeszcze cośniecoś, a ten żyje, furt z godzinę po operacji dycha i dycha. Szelma, nie organizm!

Heller milczał, w marzeniu kreśląc wzór, jaki Ludożerca niedługo już na ciele Bejzyma nożykiem swoim wytnie.

Za taką rozkosz zemsty ziszczonej można dorzucić oprawcy jeszcze z dziesięć karatów!

Płomienna nienawiść rozpaliła wyobraźnię. Ten przeklęty Bejzym zginie, ale nie od razu. Nim się na męki dostanie, posiedzi w łoszku, łańcuchem do muru przykuty. Odwiedzać go będzie Heller wraz z Łabędzką, by w obliczu jeńca pieścić i całować uwięzioną, na łaskę i niełaskę zdaną kobietę...

13. Zdemaskowanie.

Gdy księżniczka znakiem krzyża pobłogosławiła strwożoną Magdalenę, strachy nocne rozwiały się, gdyby mgła, a od szronem wysrebrzonych okien cofnął się w głąb nocy spłoszony upiór przywidzeń.

Przed udaniem się na spoczynek chciała jeszcze Łabędzka odwiedzić Bejzyma. Jako doświadczona sanitarjuszka wiedziała, że w nocy zjawi się gorączka.

W saloniku Liwicki czytał właśnie Gagarinowi artykuł wstępny „Gazety Warszawskiej“. Ujrzawszy Magdalenę, panowie odłożyli dzienniki na bok.

— Pewnie przeszkodziłam?

— Czy pani może wogóle komu przeszkodzić? — pytaniem na pytanie odpowiedział pan Leon.

— Chciałam panom zaproponować, że tak się wyrażę językiem wojny, ewakuowanie pokoju majora. Chory powinien mieć w nocy ciszę i spokój zupełny, a panowie jesteście nietylko gaduły, ale też i nieumiarkowani palacze tytuniu.

— Bardzo to pani rezolutnie wykalkulowała — wyuczoną staroświecczyzną odezwał się Gagarin. — Takim stylem, o ile wiem, przemawiali wasi przodkowie. Powolni rozkazom dobrodziejki, imci pana Łaszcza poprosimy o umieszczenie nas w innej izbie. Ale czy się pani zastanowiła nad tem, że chorego nie należałoby pozostawiać bez opieki?

— O to panowie możecie się nie kłopotać— tonem urazy odparła Magdalena. — Byłam przecież siostrą miłosierdzia i z tego tytułu pozwolę sobie majora w swoją wziąć opiekę.

— Jak pani znajduje stan Ignacego?

— Stan jest zupełnie pomyślny, chociaż, gdyby to był kto inny, z mniej odpornym organizmem, gorączka, nawet z maligną połączona, mogłaby potrwać dłużej. Czy chory śpi?

— A jakże, zasnął.

— Trzebaby mu zmierzyć ciepłotę. Coście panowie ciekawego w dziennikach znaleźli?

— Wciąż ten sam chaos — stwierdził pan Leon.—Kłajpeda, Ruhra, spadek kursu marki, Moskwa i Angora, dalszy ciąg sowieckiego szantażu i blufów wojennych.

Na dworze zaczęły ujadać psy, ale za chwilę znów nastała cisza. Przez salonik przeszedł, niosąc z sobą chłód nocy zimowej, ponury Pachomow i w milczeniu zamknął się w pokoju, który od wczoraj wspólnie ze Steinem zajmował.

— Ten drab wciąż się tu jeszcze wałęsa — gniewnie mruknął Gagarin.—Wstrętna fizys! Nie

wiem jaki tam z niego operator filmowy, ale na czekistę z wyglądu nadaje się, jak ulał.

— Jakaś mocno podejrzana figura — dodał pan Leon.

Łabędzka zajrzała do gabinetu. Przykryty pledem, leżał Bejzym na twardej pościeli dziadkowego łóżka. Z pod zielonej umbreli spływało na pokój światło naftowej lampy. W półmroku szklanym połyskiem lśniły nieruchome oczy zawieszonej nad ścianą ogromnej głowy łosia.

Gdy Magdalena zbliżyła się do wezgłowia chorego, pod białym, z kształtu do hełmu podobnym opatrunkiem, łagodnie uśmiechnęła się do niej faunowa twarz.

— Czy to mój anioł-stróż?

— Może ja pana obudziłam?

— Gdzież tam, nie spałem. Tak sobie leżę z zamkniętemi oczyma.

— A jak samopoczucie? Gorączka jest? głowa nie boli?

— Jeżeli nawet i jest gorączka — żartował major—to winna temu nie żadna rana, lecz mocna starka, której się przy obiadku kilka kilonków dziobnęło. Trochę mam jeszcze szumu w głowie, ale wstać to mi pani pewnie pozwoli, nieprawdaż?

— Wstać? Pod żadnym pozorem! A zresztą dochodzi dwunasta, pocóż ma pan po nocy z łóżka wstawać?

Z rogowego futerału wyjęła szklaną rurkę termometru i, wstrząsnąwszy nią wprawnie, podała Ignacemu. Dotknięcie szkła było zimne i w pierwszej chwili niemiłe, ale major zgodziłby się trzymać pod pachą nawet rozpaloną sztabę żelaza, byle tylko dłużej patrzyły na niego te przedziwnie łagodne, ciepłą troską promieniejące oczy.

Gdyby tak się na poduszce nieco unieść, to usta, jakby niechcące, zetknęłyby się z wargami

kobiety, i ta świadomość wznieciła w piersi chorego piekącą jakąś żądzę rozkoszy. Przeczucie szeptało uporczywie, że Magdalena, znalazłszy się w klamrze objęć, jak ptakby się zatrzepotała... A potem? Potem w niewoli ramion krzepkich pokornie by ucichła...

O zbliżeniu takiem marzył nietylko Bejzym. Serce Magdaleny tętniło tem bolesnem pragnieniem szczęścia.

Niebezpiecznym rojeniom kres położyło silne stuknięcie do drzwi.

— Proszę... — niechętnie, całkiem bez zapału odezwał się chory.

Ku nieukrywanemu zdumieniu jego, do pokoju weszła Julja Szapary. Późna wizyta zdziwiła też i Magdalenę, której uwagi nie mogło ujść wyraźne w ostatnich czasach oziębienie się stosunków między Bejzymem a zagadkową hrabiną.

Julji zaś nie przywiodła tu grzeszna chętka ponownego wypróbowania magji uroków. Urodziwa jej twarz nie miała teraz nic z bachantki— jakieś skupienie pokutne cieniem zawisło na przeciętem bróździą czole.

Żeby jaknajprędzej przerwać niemiłą chwilę zdumienia, nocny gość szybko zbliżył się do Bejzyma i, tłumiąc wzruszenie, zawołał:

— Panie majorze, proszę wysłuchać mię spokojnie. Każda chwila jest droga, literalnie każda, i to nietylko dla pana osobiście, lecz i dla wszystkich w tym domu. Ważą się losy waszego życia i śmierci...

Bejzym uniósł się na łokciu.

— Aż tak? Zatem słucham panią.

Spojrzenie Julji padło na Łabędzką. Ta w lot zrozumiała wymowny sygnał.

— To ja lepiej zostawię państwa samych.

I wyszła z sercem trwogą przejętem.

— Ważą się losy życia i śmierci...

Co znaczy ta złowróżbna przestroga? Jaki

jest jej cel, sens i źródło? Czyżby rzeczywiscie ziścić się miały upiorne przeczucia Magdaleny?

Julja opadła na fotel i twarz dłońmi zakryła. Ramiona jej drżały spazmatycznie. Te same przedziwnie okrągłe ramiona, które tak niedawno jeszcze budziły w Ig... ym gorący wichr pożądań. Te same, a jednak teraz takie już z czaru wyzute, chłodne i jakby obce, cudze, zgoła niczyje.

A może Julja przybyła tu, by efektownem wystąpieniem i jakąś nieprawdopodobną sytuacją znów szał zmysłów rozpętać, by nawiązać zerwaną historję uniesień?

Jeżeli tak, to srodze się w swych projektach zawiodła. Dziś samo takie przypuszczenie mogło Bejzyma wprowadzić w stan ostrego rozdrażnienia.

Gdy jednak hrabina opuściła ręce i głowę podniosła, gdy major ujrzał jej zmienioną, w ciągu kilku godzin wychudłą twarz, stało się rzeczą jasną, że do nocnej wizyty skłonił Julję nie nastrój miłosny, lecz jakaś ważna, w ciężkiej rozterce poczęta decyzja.

— Która godzina? — spytała nagle, do oczu podnosząc bransoletę z zegarkiem. Pół do dwunastej, możność ratunku jeszcze nie stracona!

Julja robiła wrażenie chorej w malignie. Mówiła urywanemi zdaniami, w szeroko rozwartych oczach kotłował się nieprzytomny strach.

— Spokoju, pani hrabino — łagodnie rzekł major.—Może pani jest niezdrowa i stąd to podniecenie wyobraźni?

— Oh, żeby to była tylko gra wyobraźni!— żałośnie uśmiechnęła się Węgierka. — Powtarzam, że niema ani chwili do stracenia...

— Ale na miłość Boską, co się stało?

— Pyta pan, co się stało? O drugiej w nocy napad na dwór...

— Napad? Czyj napad? W jakim celu?

— Bolszewicy... Porwą pana i z sobą uwiozą.

— Porwą i uwiozą? — przeciągle powtórzył Bejzym. — To nie jest tak łatwo, jak się pani zdaje. Uwieźć mogą tylko trupa, nie zamierzam bowiem zrobić bolszewikom przyjemności oddania się żywcem. Ale proszę mi powiedzieć, skąd pani wie o zamiarach tych zbójów? Kto ma nas wydać? Czy nie ten odmieniec z końską gębą, jakże go tam... Aha, Pachomow?

— Nię, nie Pochomow.

— Więc któż, u licha?

Z wyrazem trwogi i skruchy patrzyła mu w oczy, konwulsyjnie zaciskając drżące dłonie.

Jakaś myśl ponura musiała Bejzymem wstrząsnąć, be zerwał się gwałtownie i siadł na łóżku.

— Pani zatem... Pani?

Na twarzy Julji malowała się męka nieopisana.

— Bóg świadkiem, że wbrew mojej woli, ale cóż, uległam przemocy. Przez jakąś głupią, karygodną lekkomyślność stałam się biernem narzędziem w rękach tych ludzi... Żyję w atmosferze ustawicznych pogróżek i szantażów... Ze swej winy zdaję sobie sprawę, świadoma jestem swego upadku, swego łotrostwa i spodlenia... Niemasz przebaczenia dla mych grzechów...

Rozszlochała się boleśnie.

— Pani hrabino, spokoju! Trzeba nad sobą panować. Wszak pani sama mówiła, że tu zaważyć może każda chwila...

— Tak, jedyny ratunek to ucieczka. Natychmiast, sekundy nie zwlekając...

— Ucieczka? Nie, nie zdążymy uciec. W takich przeprawach mam doświadczenie partyzanta i wiem, że czerwoni musieli już się gdzieś w pobliżu zebrać, na drogach i około wsi rozstawiwszy gęste czaty. Projektu ucieczki, jako już spóźnionego, poniechajmy... Wyjścia z sytuacji gdzie indziej szukać należy... Hm... Gdybyśmy,

my mężczyźni, naprzykład, pozostali tutaj, a was, kobiety, jakoś do miasta przemycili... Niewątpliwie, to byłoby najwłaściwsze, gdyby była pewność, że przedsięwzięcie się uda, a pewności tej, niestety, niema, ryzyko szalone... Pani, jako sojuszniczce opryszków, rzecz prosta, nic nie zagraża. Przyznaję, że choć nigdy o pani zbyt wysokiego mniemania nie miałem, jednak o taką plugawą zdradę...

Nie skończył, bo Julja skurczyła się, jak od uderzenia bata.

— Oh, jak pan mną gardzić musi! Potem opowiem wszystko, może zdołam choć iskrę litości dla siebie zbudzić.

— Słusznie, ale na razie przystąpmy do czynu. Czy Pachomow już jest w domu?

— Tak, już wrócił.

— Stamtąd?

Potwierdziła skinieniem głowy.

— Jaka jest jego rola? Zapewne ma niespostrzeżenie otworzyć tej szajce drzwi?

— Zdaje się, że tak.

— Zresztą, co tu gadać! Najlepszych, najtreściwszych informacyj udzieli nam sam Pachomow. Proszę obetrzeć łzy, twarzy nadać wyraz swobodny, jakby nic nie zaszło, a do mnie tu zawezwać Gagarina, Liwickiego i Łaszcza. Paniom ani słówka o niebezpieczeństwie.

Gdy hrabina wyszła, Bejzym zaczął się gorączkowo ubierać.

Niebawem nadeszli Gagarin z Liwickim, a w kilka chwil za nimi pan Łaszcz.

— A to co takiego?—spytał książę, ze zgorszeniem patrząc na krzątanie się przyjaciela. — Zdrowi ludzie właśnie spać idą, a tu chory samowolnie łóżko swe opuszcza? Zobaczysz, że się siostrze Magdalenie poskarżę!...

— Tej nocy nikt z was spać nie będzie! — żartobliwe pogróżki księcia twardo przerwał ma-

jor.—Choć nie jest rzeczą wykluczoną, że razem wszyscy snem wiecznym zaśniemy...

Panowie mieli wrażenie, że Bejzym majaczy.

— Snem wiecznym zaśniemy? Co to znaczy?

Ale to nie była maligna. Pobudzona świadomość weszła w rytm ożywionej pracy. Szum w uszach oraz lekkie przymglenie myśli, wstrząśnieniem czaszki i raną wywołane, ustąpiły. W obliczu groźnego niebezpieczeństwa zbudził się niepożyty, zawsze jednakowo potężny mechanizm energji.

Skupiwszy wokół siebie przyjaciół, Ignacy krótko im rzecz całą przedstawił:

— Przed chwilą otrzymałem wiadomość, że niebawem, bo już o drugiej, oddział czerwonej jazdy ma dokonać na Bejzymy zbrojnego napadu. Wspólnika wyprawy bandyci zdołali tu, w moim domu umieścić...

— Pachomow...—zgodnym szeptem jednocześnie stwierdzili Gagarin, Łaszcz i Liwicki.

— Spodziewam się otrzymać od niego najzupełniej ścisłe dane, tej szelmowskiej afery dotyczące—przyciszonym głosem ciągnął dalej Bejzym.—Jestem nawet pewien, że wszystko mi ptaszek wyśpiewa, bo jeżeli tylko wykręcać się spróbuje, to...

Pod bandażem złowrogo zaiskrzyły się siwe oczy.

— Nie myślę, żeby banda mogła być zbyt liczna—snuł dalej swe przypuszczenia Ignacy.—Dajmy na to przycwałuje tu po nas pięćdziesiąt koni, a z taką liczbą ostatecznie możemy sobie jako tako poradzić, zważywszy, że w broń i ładunki jesteśmy zaopatrzeni całkiem przyzwoicie. Z okna, na strychu, powita rzezimieszków nasz poczciwy kulomiocik, cel będzie miał niezrównany; pomijam już wpływ moralny, jaki na losy walki wywrzeć może nieoczekiwane wtrącenie się maszynki. Słuchajcie więc: nasze panie zbierzemy w je-

dnym pokoju, na wszelki wypadek w rewolwery je uzbroiwszy, sami zaś, a jest nas pięciu chłopa... Pięciu chyba?... Panie Romualdzie, gdzie Lasota?

— Zdaje się, że powinien być w kuchni — stwierdził pan Łaszcz. — Niedawno go tam przynajmniej widziałem.

— O ucieczce, jako o przedsięwzięciu zbyt ryzykownem, mowy być nie może. W polu musielibyśmy ulec masie, niemniej jednak pan Łaszcz niech natychmiast zmobilizuje Jacka i każe mu, co koń wyskoczy, pędzić do posterunku straży granicznej w Pokrzywnicy, gdzie też i szwadron ułanów stacjonuje. Miljon marek Jackowi, jeżeli gracko się z zadania wywiąże. A tymczasem pójdę pogawędzić z Pachomowem—zależnie od wyniku tej rozmowy wytkniemy sobie już szczegółowy plan działania. Tylko pamiętajcie, kobietom ani mru mru! Panie Romualdzie, syp pan zaraz do stajni, a wy, chłopcy, tu na mnie zaczekajcie.

— Może ci w czem dopomóc? — spytał Gagarin.

— Nie trzeba — krótko zdecydował Bejzym, i, ukrywszy w rękawie rewolwer, wyszedł z gabinetu.

Liwicki i książę rzucili na siebie porozumiewawcze spojrzenie.

— Doczekaliśmy się filmu—pochmurnie bąknął Gagarin. — Szkoda jednak, że Steina niema.

— A książę przecież sobie ze mnie podrwiwał, żem wyjeżdżając z Warszawy, wziął z sobą całą zbrojownię, która, jak pan sam widzi, bardzo się nam tu przyda. No co? Kto teraz górą, kto ma prawo śmiać się i kpić, mości książę?

I pan Leon wesoło spojrzał na zasępionego Gagarina.

14. Towarzysz Pachomow.

W Bejzymach Pachomow zamieszkał w tej części domu, która była przeznaczona na składy

wszelakiego rupiecia. Ażeby z pokojów gościnnych przedostać się do tego lamusa, trzeba było odbyć dość uciążliwą drogę wąskim i ciemnym kurytarzykiem, od góry do dołu zawalonym zniszczonemi gratami.

Masywny Bejzym umiał jednak skradać się cichutko, niczem pantera polująca. Minąwszy zatory rupieci w kurytarzu, pociemku podpełzł ku izbie Pachomowa ostrożnie namacał klamkę i błyskawicznie nią szarpnął.

Pseudo-operator, w tej chwili ubrany w perkalową rubachę z zakasanemi rękawami i w buty z cholewami, stał nisko nachylony nad otwartym kuferkiem. Ukazanie się Bejzyma w tak późnej godzinie musiało na zdrajcy wywrzeć wrażenie wprost oszałamiające, bo wyprostował się, najwidoczniej zdumiony, a potem znienacka poskoczył do stołu, na którym czarnym blaskiem lśnił się dużego kalibru brauning.

Jednym potężnym skokiem Bejzym znalazł się tuż obok Pachomowa, zagradzając mu dostęp do broni. A ten, ujrzawszy się w położeniu bez wyjścia i licząc na spowodowane upływem krwi osłabienie napastnika, z rozpaczą i wściekłością nieopisaną runął nań z maczugami swych długich i żylastych ramion. Runął i zachwiał się natychmiast, bo oto major, wprawnie odbijając cios, głownią brauninga, zdzielił opryszka w szczękę z taką siłą, że ten, dłońmi zakrywając zmasakrowaną twarz, bezwładnie padł na łóżko.

Nad powalonym przeciwnikiem stał Bejzym, w każdej chwili gotów do ponowienia straszliwego ciosu. Ale wynik walki był już zdecydowany: Pachomow miał dość jednej próby, leżał więc cicho, przerażony wzrok utkwiwszy w uzbrojoną dłoń zwycięscy. Wreszcie uniósł się ciężko i siadł na posłaniu, zajęty tylko już obmacywaniem swej uszkodzonej szczęki.

— Oho, bratku, to ja nie wiedziałem nawet, żeś ty marynarz! — zawołał major na widok wy-

tatuowanej na ramieniu zbója kotwicy.—Opowiadaj łotrze wszystko, co wiesz o bandyckich projektach waszej szajki. I pamiętaj, że jeżeli spróbujesz wykręcać się i łgać, to ja się z tobą po swojemu rozprawię! Jedno tylko może ciebie od śmierci uratować: szczera prawda zeznań i pokora, gdyż nasze ocalenie będzie też i ocaleniem twojem, rzezimieszku. Zrozumiano? Jeżeli jest już zapóźno i życiem trzeba będzie nieunikniony opór nasz przypłacić, to razem z nami, a nawet pierwszy zginiesz ty, ja ci to obiecuję, ja, Bejzym! Więc?

Atak szalonej rozpaczy nagle się skończył i Pachomow popadł w jakieś odrętwienie. Chciał mówić, rozwartemi ustami łykał powietrze, ale dolna szczęka wciąż zwisała bezsilnie.

Po długiej pauzie wykrztusił z trudnością:

— A jaką mam... rękojmię, że potem pan mnie nie zastrzeli?

— Rękojmi chcesz? Masz zatem słowo oficera polskiego, które zresztą w waszem rozbójniczem środowisku uważane jest za głupi przesąd burżujów. Ale co ja się z tobą długo będę układał! Mówisz, czy nie?

I mocniej ujął rękojeść rewolweru.

— Już, już mówię!—rozpaczliwie zatrzepotał się Pachomow. Tylko niechaj pan major nie zapomni, że mam jego słowo honoru, a ja przecież wiem, że takie zapewnienie więcej nawet niż pieniądz znaczy. Chcę żyć, a tych sukinsynów, co mię nagrodą skusili, oby pomór wytłukł jak najrychlej! Żydziory wredne!

Rozbite usta zaczęły żuć pewne typowo rosyjskie przekleństwo.

— Toś ty przeciw żydom?—spytał major, siadając na łóżku obok swego jeńca. W duszy jego zaczęło się mżyć coś w rodzaju zaufania do tej pokrwawionej karykatury człowieka.

— A jakżeby mogło być inaczej?—oburzył się drab.—Czy myśli pan major, żem się już nie

połapał, komu służę? Przez pięć lat sporo się widziało i słyszało. Jestem komunistą, byłem nawet w czrezwyczajce, wiem co to znaczy proletarjat, ale też zdaję sobie sprawę, co o żydach myśleć. Mam już ich potąd!

Niezgrabną ręką pociągnął po gardle.

— Politykę zostawmy na później! — twardo przerwał Ignacy refleksje marynarza.—Teraz mów, a jeszcze raz cię uprzedzam: nie łżyj!

— Nie będę—ponuro zgodził się Pachomow. Już powiedziałem, że chcę żyć i basta! Wszystko dokumentnie zaraz wyłożę: jak, co, kto i kiedy... Z nimi widziałem się wczoraj. Na czele oddziału „czerwonych djabłów" ma stanąć Sierożka-Ludożerca, katorżnik z Sachalinu. Dobry z niego numer! Wszystko tam numery doborowe!

— Ile?...

Bejzym chciał zapytać: ile szabel, ale szybko się zmiarkował, że zastosowanie tego typowo wojskowego terminu do siły zbrojnej sowietów w pojęciu oficera mogłoby obrazić armję.

Po krótkim namyśle znalazł właściwą formułę:

— Ile sztuk?

— Sztuk będzie ze czterdzieści. Heller osobiście raczył się na pogranicze pofatygować—coś go widać korciło, bo siadł na maszynę i aż z Zasławia przysiupał. Ale też i nienawidzi on pana, strach pomyśleć. Ludożerca głośno się przechwala, że mu Heller dziesięć karatów przyobiecał, jeżeli tylko żywcem pana pojmie... Niby wedle tego darcia pasów z pleców, na które żydowin taki ma apetyt. Bo Sierożka, panie majorze, ho ho! To specjalista, jak się patrzy!

Po ciele Bejzyma przeszły zimne ciarki. Wprawdzie nie mogło być mowy o tem, by go wzięto żywcem, ale Heller, mając na podorędziu wykwalifikowanego oprawcę, zdolny byłby nawet nad trupem się pastwić.

— „Pasy z pleców darłby... Brr!"

— A dalej co?

— Hm, coby jeszcze... Aha! Powiedziano mi: otrujesz psy. Tak też uczyniłem: kilka „kotlecików“, i sobaki ani drgnęły.

Słysząc to, Ignacy poczuł w sobie chęć zdzielenia pięścią w łeb tego zatwardziałego zbója.

— Nawet dla psów moich litości nie miałeś, łotrze jeden!

— Dla ludzi litości znaleźć w sobie nie mogę, zwłaszcza jeżeli o burżuja idzie, a miałbym ją dla zwierzęcia?— filozofował Pachomow.—Małom to ja różnego oficerstwa nautrupiał? Ale proszę słuchać. W lesie i na drogach już czuwa rozstawiona sieć patrolów, niby tak na wszelki przypadek, jeżeli przyjdzie wam chęć uciekać. Punktualnie o godzinie drugiej dziesięciu najdzielniejszych kanciarzy podjedzie pod zabudowania dworskie, tam zsiądzie z koni i w´mig pod ganek podpełźnie. Wtedy ja miałem drzwi cichutko otworzyć i całe bractwo do domu wpuścić. Każdy z uczestników wyprawy bierze z sobą po kilka granatów ręcznych. To ci byłby hałas, gdyby tak cała amunicja puknęła! Niktby z życiem nie uszedł, rozumie się prócz tych, kórych mieli śmy porwać i do Zasławia odstawić. A dalej to już pan major wie...

Marynarz zamilkł ponuro.

Milczał też i Bejzym, obmyślaniem planu obrony pochłonięty.

— To dziesięciu, powiadasz? A reszta?

— Niby tych trzydziestu konnych? Ci oczekiwaliby sygnału. Jeden raz *tam-tam* ma oznaczać: „na pomoc“, dwa uderzenia: „dość, wszystko skończone, pohulajcie sobie, ile tylko wlezie.“

— Taak...—przeciągle rzekł Bejzym. — Nie zdaje mi się, żebyś łgał. No, a teraz wstawaj, pójdziemy.

— Dokąd?—zaniepokoił się opryszek.—Może po stryczek? Wszystkom wypaplał galanto i ni

stąd ni zowąd „wstawaj"? Chyba już jestem panu niepotrzebny?

Oczy Pachomowa zaiskrzyły się wilczym ogniem.

— Tyś albo już od urodzenia taki durny, albo też ze strachu tak zgłupiałeś—tłumaczył major przerażonemu szpiegowi.— Dałem ci przecież słowo, a słowa święcie dotrzymuję. Prócz tego muszę pewien twój błąd sprostować: oto, wbrew twemu przewidywauiu, jesteś mi jeszcze bardzo potrzebny.

I żelazną klamrą swych palców ująwszy jeńca za rękę, zaprowadził go z sobą do gabinetu.

Niepozbawione efektu wejście ich Liwicki i Gagarin powitali szerokim westchnieniem ulgi. Bejzym w milczeniu zdjął ze ściany lasso meksykańskie i, przytroczywszy niem do krzesła zrezygnowanego Pachomowa, rzucił przyjaciołom krótki rozkaz:

— Nie spuszczczajcie z niego oka, a ja tymczasem do pań pobiegnę, by je wtajemniczyć w sedno rzeczy.

Łabędzka przeczuła, że niespodziewane wtargnięcie hrabiny do sypialni Ignacego, musiało mieć jakiś wyjątkowo ważny powód. Księżniczka Barbara rozczesywała właśnie do snu swoje ciągle jeszcze pyszne włosy, ostatni już szczątek zgasłej młodości, gdy do pokoju jej weszła wzburzona Magdalena.

— Dziecko drogie, co ci jest?—spytała, widząc zmienioną twarz młodej przyjaciółki.

— Księżniczko... Okazało się, że nie omyliły mię przeczucia...

— Co się stało?

— Na razie nic, ale...

— Znów przywidzenia?

— Przywidzenia? Coś stokroć gorszego, bo rzeczywistość... Okropna rzeczywistość!

— Jeżeli cokolwiek wiesz, to mów prędzej. Wprawdzie nie jestem ani zabobonna, ani też płochliwa, ale, przyznam się, że twoja dziwna trwoga wkońcu i mnie się zaczyna udzielać...

— Właściwie... Właściwie to ja jeszcze nic nie wiem...

— Więc któż wie? — z pewnem rozdrażnieniem przerwała księżniczka.

Łabędzka, nie chcąc bez wiedzy Bejzyma mówić o nocnej wizycie hrabiny, milczała.

Miotał nią niepokój i lęk ustawiczny. Jakaś siła niepojęta pchała ją ku powleczonym nocą oknom, do których znów upiorną twarzą przywarła zagadka. Uśpiony w gęstym mroku sad zdawał się tchnąć zaczajonem wszędzie przerażeniem.

Minuty wlokły się powoli, męczące i nieskończenie długie. Księżniczka Barbara w milczeniu kończyła rozczesywanie swych bogatych włosów.

Instynkt dyskrecji nie zawiódł Magdaleny. Zdrada hrabiny Szapary, nikczemny postępek kobiety, która kochanką została w tym celu, by móc w ręce zbirów wydać swego oblubieńca, dla łatwowiernego Bejzyma był ciosem nad wyraz ciężkim. Tłumiąc w sobie żal zawiedzionego serca i wstręt uczciwego człowieka do pospolitej zbrodniarki, jaką się okazała rzekoma pełnomocniczka kapitalistów angielskich, mógł jeszcze Ignacy zdobyć się na tyle równowagi i godności prawdziwie rycerskiej, by nawet wobec tych najbliższych przyjaciół o judaszowej niegodziwości Julji zamilczeć.

Gdy major poszedł do niej, bez ruchu siedziała w fotelu, drętwa i blada. Z bezwładu nie zbudziło jej nawet parokrotne stukanie do drzwi.

— Proszę wstać—chłodno rzekł Beizym, dotykając sztywnej ręki hrabiny. — Pójdziemy do tamtych pań.

— Niech pan mię tu zostawi!—błagała Julja.

Tam, dokąd chce mię pan zaprowadzić, będę musiała się poddać torturom upokorzenia. Ja sama chce odbyć pokutę publiczną, sama na stos hańby pójdę, ale nie zaraz!

— Obecność pani jest niezbędna. Muszę Łabędzką i księżniczkę uprzedzić o grożącem nam wszystkim niebezpieczeństwie... Dla niepoznaki chciałbym też wobec nich i panią ostrzec, w przeciwnym razie mogłoby się zrodzić jakie podejrzenie, które... O roli pani w oczekiwanym napadzie goście moi nawet domyślać się nie powinni. Ale chodźmy prędzej, bo czas upływa.

— Oh, jaki pan szlachetny i wspaniałomyślny!—łkała Julja.—Jak ciężko mię taka wspaniałomyślność upokarza! Idę, woli pana posłuszna, idę, bom wolę swą straciła bezpowrotnie...

Za chwilę był już z hrabiną w pokoju księżniczki, która jeszcze raz podjęła beznadziejny trud uspokojenia wzburzonej wyobraźni Magdaleny.

Major odrazu przystąpił do rzeczy.

— Moje panie, liczę na waszą przytomność i odwagę. Według posiadanych przeze mnie informacyj, konny oddział bandytów za godzinę ma dokonać na nasz dom zbrojnego napadu.

Z piersi Łabędzkiej padł stłumiony okrzyk trwogi. Straszną wiadomość napozór znacznie spokojniej przyjęła księżniczka Drucka-Lubecka. Rysy jej zmarszczkami pooranej twarzy nie drgnęły. Nawet w obliczu pędzącego niebezpieczeństwa duma książęca nie przestawała panować nad uczuciami. Ale i w tej surowej, z taką godnością niedolę wygnania znoszącej duszy boleśnie zadźwięczała nuta żalu. Nie lęku, lecz żalu do zawiłej logiki musu, który, jakby przez żart piekielny, śmiercią grozi teraz, gdy już księżniczka po dniach nędzy i tułaczki szczęśliwie z domu niewoli się wyrwała.

— Bądźcie panie pewne—zapewniał kobiety Bejzym,—że przedsięweźmiemy wszelkie możliwe

środki obrony; bandyci spotkają się z energicznym, a nawet, jestem tego pewny, skutecznym odporem, proszę więc nie poddawać się zwątpieniu. Na wszelki wypadek otrzymają panie broń, z której użytek zrobicie tylko w razie, jeżeli zmusi do tego krańcowa ostateczność. O ucieczce niema mowy, ze wszystkich stron jesteśmy osaczeni, ale też—niechaj wam to doda otuchy—lada chwila oczekiwać można odsieczy wojskowej. Wobec zbliżającego się oblężenia bądźcie mężne, nie traćcie nadziei, i niechaj Bóg was ma w swojej pieczy! Jeszcze jedna wskazówka: gdy rozpocznie się bitwa, a dość wyraźnie powinny ją wam już pierwsze strzały zaanonsować, pamiętajcie, że pod żadnym pozorem nie wolno wam tego pokoju opuszczać.

I Bejzym zniknął za drzwiami.

15. Organizacja obrony.

W karjerze swej Pachomow, jako „uświadomiony marynarz“, przejść musiał wszystkie etapy działalności rewolucyjnej. Zgrzany z podniecenia, ofiarnym entuzjazmem i „wolą czynu“ pałający, niczem żywa pochodnia w chaosie anarchji, niestrudzenie biegał z mityngu na mityng, z posiedzenia na posiedzenie, bez szemrania, nosząc w płyciutkim mózgu niepomiernie ciężki ładunek frazeologji rewolucyjnej i obcej, do zapamiętania przeraźliwie trudnej nomenklatury.

Przewrót zastał Pachomowa w Kronsztadzie, którym w pierwszych dniach czerwonej zawieruchy „ideowo“ zawładnął był i energją zniszczenia nasycał niejaki Roszal, student instytutu psychoneurologicznego, goławąsy żydziak całkiem zdegenerowanego typu. Ten to właśnie stale zaśliniony, z nadmiaru gadania zachrypnięty agitator stał się zarówno dla Pachomowa, jak i dla pozo-

stałych jego kolegów prorokiem nowej wiary, tudzież krynicą wszechmądrości proletarjackiej.

Porwany ogólnym szałem okrucieństwa, brał towarzysz Pachomow czynny udział w aresztowaniu oficerów marynarki, zaciekle pastwiąc się nad jeńcami przewrotu, których, jak o tem wspominają straszliwe kroniki, rozwydrzona masa żołdactwa zmuszała do spożywania potraw, splugawionych wszelkiego rodzaju nieczystościami. Tępy z natury i głupi, nie zawahał się Pachomow, gdy go, jak mocna wódka, czad krwi upoił, po twierdzy kronsztadzkiej oprowadzać napoły już tylko żywy kadłub admirała Wierena ze świeżo odrąbanemi rękoma.

A potem,.. Potem zwykła kolej rzeczy: morderstwa dla zysku, brylanty, funty zagrabionych banknotów i hulaszczy żywot komisarza sowieckiego.

Legacja bolszewicka w Warszawie urządziła sobie minjaturową czrezwyczajkę, i do tej typowo sowieckiej instytucji sprowadzono Pachomowa, uważanego za wybitną siłę instruktorską. W ciągu tygodnia Stein nauczył marynarza jako tako obchodzić się z aparatem, kinematograficznym dzięki czemu tępy inkwizytor mógł już w konspiracyjnych przedsięwzięciach występować, jako fachowy operator i pomocnik swego mistrza.

Do Polski przywiózł marynarz niezachwianą pogardę do burżuazji świata całego i, oczywiście, nie mniej gorące i niezachwiane pragnienie przysłużenia się na nowym posterunku świętej sprawie proletarjatu. Ale oto w kanonach jego nienawiści, po przyjeździe do Warszawy, powstał jeden wyłom, jedno odstępstwo, zresztą zupełnie mimowolne. Sprawcą tego był Bejzym. Potężną swoją bryłą doskonale zharmonizowanej z sobą siły fizycznej i tężyzny ducha, zbyt wyraźnie uwypuklał się Bejzym na widnokręgu życia, by urokowi siłacza i bohatera mogła się oprzeć prosta,

dotychczas tylko zbrodnią rewolucyjną i frazesem karmiona wyobraźnia Pachomowa. Instynktowny szacunek zmienił się w istny kult, gdy pomocnik Steina na własne oczy ujrzał tytaniczny pojedynek człowieka z niedźwiedziem.

Wszelka korekta własnych uczuć, wszelkie argumenty, jakiemi Pachomow starał się osłabić w sobie niebezpiecznie wzmagający się podziw dla oficera kontrrewolucji, cały ten wysiłek wewnętrzny zaniepokojonej samowiedzy proletarjackiej spełzł na niczem. Ordynarny, krwią teroru zbryzgany pachoł przewrotu, posiadacz serca z kamienia i mięśni żelaznych, korzył się i rozpłaszczał w obliczu rycerskiej chwały Polaka.

Ostatnim tonem tej pieśni uwielbienia był głuchy okrzyk, jakim Pachomow przyjął z rąk swego bożyszcza i jednocześnie wroga potężny cios w szczękę. Był to moment apoteozy: Pachomow-kat, Pachomow-pogromca burżujów, atleta i zawadjaka, obezwładniony, krwią broczący, pokornie legł u stóp silniejszego.

Siedząc na krześle, do którego przywiązał go zwycięski olbrzym, marynarz oddał się rozmyślaniom. I dziwna! Na wyrządzoną zniewagę prostacza dusza nie odpowiedziała nawet odrobiną gniewu lub choćby tylko niechęci do szatańsko krzepkiego pogromcy. Raczej przeciwnie: zachwyt wzmógł się i złączył z pokorą, gdy Pachomow przypomniał sobie i w olśnionej wyobraźni obok bohatera postawił karykaturalnie tchórzliwą, za szpalerem „czerwonych djabłów" kryjącą się figurkę Hellera.

Przewrót, jaki się w sumieniu marynarza dokonał, tak gruntownie podkopywał nietykalną dotychczas dogmatykę rewolucjonisty, że w głębi chamskiej duszy pokryjomu wzięło wkońcu górę szczere życzenie pomyślnego dla Bejzyma wyniku walki. Rzecz prosta, iż do przewrotu moralnego

przyczyniło się też i takie właśnie nieskomplikowane rozumowanie:

— No cóż... Jeżeli ja oberwałem, niechaj oberwą też i „czerwone djabły“, a zwłaszcza ten katorżnik, Sierożka Ludożerca...

I zagrała dziecięca ciekawość: w jaki sposób pięciu ludzi będzie się przeciw całemu oddziałowi jazdy opędzało?

— Obronią się — dodawał sobie jeniec otuchy. — Z pewnością się obronią, jeżeli pośród siebie mają takiego orła...

Pachomow tak dalece zajęty był rozważaniami na temat zbliżającego się starcia, że nie zważając na obecność Liwickiego i Gagarina, powtórzył głośno:

— Orzeł!

— Co takiego?

Marynarz zmieszał się:

— Nic, tak sobie.

Do gabinetu powrócił Bejzym w towarzystwie Łaszcza.

— Już wysłałem Jacka—oświadczył pan rządca.—Chłopak jak ryś zwinny, przedrze się z pewnością, okolicę, że tak powiem, na pamięć umie.

— A gdzie Lasota?

— Lasoty wciąż jeszcze niema. Kucharka mi mówiła, że przed godziną zerwał się, jak opętany, porwał sztucer i wybiegł, słówka nawet nie rzekłszy.

— Też w porę się wybrał, żeby go djabli...— wybuchnął gniewnie Bejzym. — Licho odmieńca ponieść musiało właśnie w chwili, gdy na szali zdarzeń zaważyć może każdy karabin, zwłaszcza zaś karabin Lasoty. Panowie, wysłuchajcie mego planu. Wróg rachuby swoje oparł na tym pewniku, że napadnie nas znienacka, jako że ten oto łobuz — tu wskazał na obezwładnionego marynarza—zobowiązał się zdradziecko otworzyć bandytom drzwi mego domu. Punktualnie o godzi-

nie drugiej dziewięciu spieszonych rzezimieszków ma wtargnąć do mieszkania, gros zaś oddziału, w liczbie trzydziestu jeźdźców, jako rezerwa, zatrzyma się w pobliżu. Tych dziesięciu, drodzy przyjaciele, powinniśmy wpuścić...

— Jakto: wpuścić? — spytał tercet zdumionych głosów.

Milczał tylko Pachomow. Ale i ten wpadł w głośny zachwyt, gdy Bejzym przedstawił szczegóły planu.

— Tak jest, bandytów wpuścimy do domu, żadnych im w pierwszej chwili wstrętów nie czyniąc. W mgnieniu oka powinniśmy ich bez pardonu zlikwidować, co w razie powodzenia, będzie dużym dla oddziału uszczerbkiem.

— Doskonale, ale któż ich wpuści? — pytał przezorny pan Łaszcz.

— Kto ich wpuści? Ten!

Ruchem obandażowanej głowy Bejzym wskazał przytroczonego do krzesła bolszewika.

— Będzie miał ręce związane, a przy skroni zimny wylot rewolweru. Gdy drzwi już będą otwarte, Pachomow spyta półgłosem: „Czy to ty, Ludożerco?“, a później skomenderuje: „Po jednemu, po jednemu, towarzysze“. Ktoś z nas, stojąc koło drzwi, młotem będzie tępe łby rozwalał... Do czynności tej ja się na ochotnika zgłaszam, tobie zaś, Liwicki, powierzam Pachomowa.

— Dobrze, a później? Co poczniemy z rezerwą bandytów?—niecierpliwił się Gagarin.

— Ty się nimi zajmiesz, mój książę. Jako słynny artysta-kulomiotacz ze strychu przemówisz paszczą przygotowanej do strzału maszyny. Mojem zdaniem, strzały twoje tak powinny „djabłów“ przetrzebić, by aż kłaki w powietrzu latały. Jesteśmy pewni, że Gagarin nie splami swojej zasłużonej chwały. Czy przyjmujecie mój plan?

— Przyjmujemy! Brawo, plan naprawdę genjalnie prosty!

Gagarin z Liwickim zapalczywie oklaskiwali Ignacego. Uczyniłby to niewątpliwie i pan Łaszcz, gdyby w pustym rękawie nagle odrosła mu stracona ręka.

Bejzym podszedł do jeńca.

— Podoba ci się mój projekt?

— Niktby lepszego nie wymyślił, panie majorze. Nie daj Boże zadrzeć z panem! Nikt chyba nie zdzierży.

— Dzięki za dobre słowo! — uśmiechnął się Bejzym, widząc zmiany, jakie zaszły w marynarzu.

— Czy mogę zameldować jedną prośbę, panie majorze?

— Owszem, gadaj śmiało.

— Panie majorze, przyrzekam gadać wszystko według rozkazu; od towarzyszów zażądam, by po jednemu wchodzili, ale możeby tak zrobić coś z tym rewolwerem, abym go przy skroni nie czuł... Bardzo nieprzyjemne sąsiedztwo...

— Widzicie go, jaki mi delikatny! Małoś to, ludzi, kanaljo, własnoręcznie na tamten świat wyprawił i ręka ci nawet nie drgnęła? Nie, kochanku, zastaw musimy mieć w garści, nie o drobiazg tu idzie, ale o życie moje i moich gości. Dość już czczych rozmówek, pójdę ustawić maszynkę.

Jakiś ciężki i niezgrabny kształt wtoczył się do gabinetu, wokół roznosząc strugi przejmującego chłodu. To ku radości obecnych z tajemniczej wycieczki powrócił zziębnięty Lasota. Biały szron srebrzył się w wąsach i brwiach gajowego, który na potwornie szerokiem ramieniu prócz sztucera niósł kawaleryjski karabinek.

— Gdzieżeś ty przepadał, powsinogo, żeby cię piekło pożarło?—krzyknął major.

— Hmm... — zwlekając z odpowiedzią, filuternie drapał się strzelec w głowę, niby to zakłopotany, choć oczy płonęły mu mocnym blaskiem uciechy. — Gdy pan major mię wysłucha, to na-

pewno przestanie się gniewać. Oto siedzę sobie na ten przykład w kuchni, a na wnątrzu coś mię tak markoci, tak markoci niepokój jakowyś. Pójdę, myślę sobie, przejdę się, zobaczę co się święci, bo aż pod wądołek wlazła mi markotność i cięgiem trapi. Poszedłem ci więc bez gadania do lasu, aż pod Pokrzywnicę. Ciemno, choć oko wykol, z nieba gwiazdy rzadkie mrugają, żebym szedł dalej. Iść to iść, myślę sobie, więc idę... Aż tu nagle—głosy. Twarzy nie widzę, alem wraz zmiarkował, że to jacyś konni, gwarząc, w moją jadą stronę.

— Myk — i już mnie niema: za sosną stanąłem, słucham... są coraz bliżej już widzę pięciu jeźdźców... Jezus, Marja, Józefie święty, myślę sobie: po rusku pyskują, żeby ich woda zalała! Myślę sobie: bolszewicy, napewno bolszewicy. Aż mi mróz po kościach poszedł, niby z takiego niespodziania. Ehe! myślę sobie, pewnie to patrol, to za nim musi większa kupa idzie. Dokąd idzie? pytam siebie. A dokądby, jeśli nie do Bejzymów. Czworo pojechało dalej, piąty zatrzymał się, stoi. Rozgląda się, wreszcie z konia złazi i popręgi podciąga. Akurat naprzeciw mnie tak się uwija, czarci syn, żeby go smoła piekielna spaliła... Ci czterej nie czekając, zniknęli w ciemnościach, nawet słychu po nich nie zostało. Pewnie są już daleko, myślę sobie, i cichutko, cichuteńko na czworakach na drogę włażę. Podnoszę sztucer i kolbą w łeb, raz ale dobrze. Wypaść musiało całkiem niezgorzej, bo ten bolszewik fajt na ziemię, nawet nie zipnął. Zdjąłem z psubrata karabin, ładownicę i przy sposobności te oto paskudztwa...

Sięgnął Lasota do kieszeni kożucha i wyjął z niej czerwoną rozetę z wstążeczkami i gwiazdą pośrodku.

Oczy obecnych spoczęły na dreszcz budzącym łupie. W blasku świec ponuro błyszczała

pięcioramienna gwiazda, ów symbol rozpaczy, jaka upiorne swoje skrzydła rozpięła nad olbrzymiemi obszarami tak bliskiej stąd, a jednocześnie tak nieskończenie dalekiej Sowdepji. Gwiazda pięcioramienna, jako karta wizytowa szatana, zbliżanie się katorżnika-Ludożercy anonsująca...

Osaczeni rycerze z jakiemś szczególnem uczuciem nienawiści, pogardy i odrazy w głębokiem milczeniu przyglądali się czerwonej blaszce, zwiastunowi pędzących nieznanych jeszcze przeznaczeń.

Nieznanych, bo jak Przedwieczny losami bitwy oczekiwanej raczy pokierować?

— A jeździec? — spytał major, kres kładąc niewesołym dumaniom.

— Ja go zaraz do lasu i w zaspę śnieżną, koniowi wbiłem szpilkę od rozetki pod siodło, że z kopyta ku granicy ruszył, a sam najkrótszą drogą przez las do domu. Chyba my, panie majorze, po swojemu tych hyclów powitamy?

— Juści, że powitamy, jakżeby mogło być inaczej. Zuch z ciebie, Lasota! Przykro mi tylko, żem cię zbeształ, boś żołnierz morowy. No, a teraz maszynkę na plecy i marsz na strych do okienka! Panowie! Zbliża się chwila przybycia gości! Czem chata bogata, tem uraczy, naprawdę ogniście, bez przenośni. Panie Łaszcz, proszę iść do pań i jak na rycerza przystało, staraj się dzielnie je zabawić...

16. Nieoczekiwany zwrot.

Pachomow po raz pierwszy w życiu w tak niemiłem znalazł się położeniu. Czując na karku zimny wylot rewolweru, instynktownie kurczył szyję i, o ile pozwoliły na to więzy, giął się całem tułowiem, byle tylko uniknąć styczności z niebezpiecznym sąsiadem. Daremny trud —

chłodny krążek ani na chwilę nie stracił kontaktu z febrycznie drżącą skórą.

Osaczony dom czuwał i czekał. Doczekał się wreszcie. Z przedpokoju, wybranego na punkt obserwacyjny, przez niezamarznięte okna, ujrzano sylwety jeźdźców. W odległości dwustu kroków od niskiego ogrodzenia, jakim opasany był dziedziniec, część napastników ostrożnie zsiadła z koni i gęsiego zaczęła się ku dworkowi skradać. Na tle śniegu wyraźnie widać było ich przyczajone, pełzające ruchy.

Zgodnie z opracowanym planem obrony, bandytów miano wpuścić do sąsiadującego z przedpokojem kredensu, w którym, tuż przy drzwiach, stanęli: w lekki obuch z toporem uzbrojony Lasota i Bejzym z artyleryjskim naganem w ręku. Tu, dwaj siłacze mieli się rozprawić z nieprzeczuwającą podstępu awangardą „czerwonych djabłów".

Zaskrzypiały stopnie ganeczku. Ukryty za plecami Pachomowa Liwicki uchylił drzwi, na przynętę popychając ku nim więźnia.

— Czy to Sierożka? — głuchym szeptem spytał marynarz.

— Ten sam — ćwierć głosem meldował się Ludożerca.—Leziem? Można, co?

— Właź, bracie. Po jednemu, towarzysze, i wolnego. Prosto w drzwi się pchajcie, ale pocichu, psia wasza mać...

Nagle zaszło coś, czego plan obrony całkiem nie przewidział. Mianowicie Sierożka, jako nikomu nie ufający, wytrawny i doświadczony spryciarz, znalazłszy się w przedpokoju, z kieszonkowej latarki bryznął w mrok błyskawicą światła elektrycznego.

— Zdrada! — wrzasnął, koło marynarza ujrzawszy trzech uzbrojonych ludzi. — Bić ich, towarzysze!

I pierwszy palnął, jak w tarczę, w stężałą z trwogi pierś Pachomowa, wężem świetlnym nowej szukając dla siebie ofiary. Ale po raz drugi strzelić już mu się nie udało—głownią rewolweru Liwicki zdzielił go w rękę tak skutecznie, że Ludożerca z krzykiem bólu broń z palców wypuścił.

Na podłodze w konwulsjach przedśmiertnych drgał związany Pachomow.

Sprawa wzięła obrót dla oblężonych bardzo niepomyślny. Chcąc choćby już tylko opóźnić atak, aby się obrona do nowych warunków jako tako przystosować mogła, pan Leon usiłował drzwi zamknąć na klucz. Napróżno—pod naporem zbójów drzwi odskoczyły i kilku napastników wtargnęło do przedpokoju,

Za chwilę jednak padł Ludożerca, uderzeniem obuszka ogłuszony. Stratowana buciskami latarka elektryczna zgasła. Pięciu djabłów wpadło na Bejzyma, który w mroku świecił białym swym opatrunkiem. Wywiązał się zaciekły bój pierś o pierś, podczas którego Liwicki, otrzymawszy cios w czoło, opadł na krwią zbroczone ciało Pachomowa.

Ze względu na ciemności i teren walki, nikt już nie strzelał. Wzięto się do nożów, rękojeściami rewolwerów też nie gardzono. Na pomoc Bejzymowi rzucił się był Lasota, ale dwóch krzepkich „djabłów" zagrodziło mu drogę. Major bił się jak szatan, nieustannie grzmocąc przeciwników głównią nagana. Jednym z nich cisnął w okno z taką przerażającą siłą, że z brzękiem rozbitego szkła pękły i wypadły ramy.

— Masz, a masz!—darły się „djabły", w tamulcie łby swoim rozwalając. Gdy po chwili nieporozumienie wyszło na jaw, ściany aż zadrżały od przekleństw i ryku wściekłości.

Tymczasem z okienka na strychu starannie, przemówił karabin maszynowy. Strzał alarmowy

Ludożercy, strzał od którego padł zdemaskowany marynarz, poruszył rezerwy ekspedycji. Nagle, gdy zaniepokojony oddział pośpiesznie się szykował do posłania swoim odsieczy, jeden z jeźdźców zatrzepotał rękoma i z konia spadł. Potem drugi, trzeci i czwarty. Skoncentrowany ogień Gagarina ścinał szeregi „djabłów", którzy, interwencją maszyny spłoszeni, w miejscu się kręcić zaczynali, lub też w rozsypce przed siebie biegli. Zamieszanie przeszło w zupełną panikę. Zawrzała walka o konie, których większość od kul padła lub też w pole bezładnie uciekła, swój starł się ze swoim, byle tylko zdobyć wierzchowca i zbiec z linji strzałów.

Ale ucieczka na nic się nie przydała. Niedobitki „czerwonych djabłów", cwałując ku granicy, natknęli się na ułanów, których z Pokrzywnicy prowadził dzielny Jacek.

Noc bladła stopniowo. Szybkiej likwidacji wyprawy ciekawie przyglądały się gasnące gwiazdy. Tu i owdzie, po twardym śniegu ku borom drzemiącym gnały, niczem zwiastuny klęski, oszalałe konie bez jeźdźców.

Najprzedniejszy oddział gwardji przybocznej Zinowjewa zczezł z powierzchni ziemi. Tylko dwóch napoły żywych „djabłów" zguby ujść zdołało; oszczędził ich los widocznie poto tylko, by Hellerowi w Zasławiu i Apfelbaumowi, na zamku sławuckim ucztującemu, z przebiegu pogromu mógł ktoś zdać haniebną sprawę.

A w przedpokoju dworku zajadła walka trwała dalej. Bejzym opędzał się czterem naraz drabom, Lasota zaś miał do pokonania dwóch. W pewnej chwili liczbę napastników powiększył Ludożerca, który, ocknąwszy się z omdlenia, zupełnie już przygotowany, nie bacząc na rozorany łeb, przystąpił do bójki i małpiemi rękoma starał się dorwać do gardła Lasoty.

Była to sprawa niełatwa, nawet dla takiego fachowca od duszenia ludzi, za jakiego się uważał Sierożka —na przeszkodzie stała fenomenalna budowa strzelca, którego kudłaty łeb zdawał się wyrastać bezpośrednio z potwornie szerokich barów. Zapięty pod brodę kołnierz kożucha też nie ułatwiał Ludożercy zadania.

Lasota, czując, że trzeci napastnik pazurami szuka jego podgardla, błyskawicznie wyciągnął ręce przed siebie i obuchami pięści po kościstej gębie zagrzmocił. Ludożerca okazał się rozpaczliwie na ból wytrzymałym—straszliwa masakra twarzy nie zwaliła go z nóg. Pazurami nadal gardła szukając, na całą długość swoich górnych kończyn podał się w tył, co go znakomicie broniło przed interwencją pięści.

Wobec wejścia w grę trzeciego opryszka, znanego z siły i zręczności w bójce, dwaj napastnicy, choć już utarczką śmiertelnie znużeni, z szaleńczą furją atak na Lasotę ponowili. W szatańskim wirze cztery splątane z sobą ciała zaczęły tłuc się o ściany, aż wreszcie drgającym kłębem upadły na zakrwawioną podłogę. Wtedy dopiero rozwarł się potworny splot: to Lasota i Sierożka, obaj do utraty zmysłów pobici i zmęczeni, bezwładnie potoczyli się pod drzwi ganku.

Po unieruchomieniu gajowego dwaj jego przeciwnicy i zwycięzcy, pokrwawieni, lecz wciąż jeszcze drapieżną wściekłością dyszący, pomimo ran i w szalonej walce naderwanych sił, niezwłocznie ruszyli z pomocą towarzyszom, zajętym szturmowaniem Bejzyma. Jeden z nich odrazu legł z czaszką tak dokładnie zgruchotaną, że głownia rewolweru do połowy utkwiła w mózgu, drugi już wył z bólu, literalnie wtłoczony w połamaną ramę okienną.

Ale Bejzym też już tracił siły. Trzymał się jeszcze nadludzkim wysiłkiem woli, jeszcze rozdawał ciosy na prawo i lewo, lecz uderzenia

z każdą chwilą stawały się coraz słabsze. Opatrunek na głowie zarumienił się, krew lepkiem ciepłem zalewała czoło, oczy, usta. Zdradziecki nóż, którego wyczerpany siłacz nie dostrzegł, ukłuł go w głowę. Prawie zaraz potem drugie żgnięcie—w ramię.

Bejzym czuł, że ginie. W głowie mu szumiał wichr śmierci, oczy zachodziły mgłą.

Oparł się o ścianę, do żadnego już wysiłku niezdolny. Ręce zwisły bezwładnie, nogi gięły się w kolanach.

— Przepadłem... — twierdziła gasnąca przytomność.

Na chwilę zdawało mu się jeszcze, że widzi przed sobą smagłą, uśmiechem opromienioną twarz o oczach czarnych, niczem noc podzwrotnikowa. W spazmie nagłej tęsknoty i żalu skurczyło się lwie serce. Idzie śmierć, nieubłagana pragnień i snów niszczycielka. Śmierć ukryta w krzyku rozbójników, który, gdyby sęp, spada na zamierającą świadomość i zaraz doszczętnie ją zdusi...

Ale oto czarną mgłą wstrząsnął czyjś nieznany, pobudką grzmiący rozkaz:

— Rąb, tnij ich, psie krwie bolszewickie! Wal, kto w Boga wierzy!

Bejzym pogrążył się w mrok.

17. Rozdział przedostatni.

Minęły dwa tygodnie.

Zima była miękka i łagodna; w lutym śniegi już spłynęły i światłem słonecznem nasycona Warszawa wiosennie uśmiechała się przezroczystemi perspektywami ogrodu Saskiego.

W okna szpitala, w którym Ignacy szybko powracał do zdrowia, modre już zaglądało przedwiośnie. Biały pokój aż płonął od świateł dnia,

a nagi jeszcze ogród prężył ku słońcu ramiona z zimowego snu budzących się drzew.

Była to ta sama urzędowo sztywna izba, do której przed trzema miesiącami, w słotną noc jesienną, przywieziono zranionego na posterunku pana Michała. Nudę szarych dni szpitalnych rozpraszali wtedy przyjaciele, godzinami całemi gawędząc przy łóżku Winarskiego. Teraz role się zmieniły. Teraz Winarski wolne od pracy chwile spędzał z unieruchomionym Bejzymem, nad którym ze słodyczą i zaparciem się siebie nieustannie czuwa Magdalena.

Zresztą niesposób było pozostawiać majora samego, który pięknej pielęgniarce całkiem poważnie zapowiedział, że przy pierwszej okazji nie omieszka dać drapaka do swych, jak mawiał „ojczystych stron" w hotelu Europejskim.

— A jeżeli ja nie pozwolę? — zalotnie do poddania się korciła, czuwaniem śmiertelnie znużona, lecz mimo to szczęśliwa Łabędzka.

— Oczywiście, no tak — bąkał udobruchany przekora.—Chyba, że czynności anioła stróża naprawdę jeszcze się pani nie znudziły. Pod skrzydłem tego anioła gotów jestem przez całą wieczność w szpitalu kwękać, byle mi tylko pani pozwoliła codziennie przez dwie choćby godziny powałęsać się po ogrodzie.

Bejzyma literalnie zasypywano realnemi dowodami pamięci, stół aż się uginął pod ciężarem koszów z owocami, kwieciem i starem winem przedniej wartości. Oprócz stałych gości, to jest Gagarina, Winarskiego, księżniczki Barbary i pana Leona, z którymi majora łączyły więzy zażyłej przyjaźni, z wyrazami uznania zgłaszały się całe orszaki przygodnych znajomych, a nawet zgoła obcych, ożywionych jeno entuzjazmem dla bohaterskich czynów siłacza.

Rzecz jasna, że z pielgrzymką taką uzdrowieniec nie mógł sobie dać rady, to też falangi gości, wśród

których nie brakło nikogo — od posłów sejmowych i oficerów do kupców i młodzieży szkolnej włącznie, rezygnując z możności uściśnienia dłoni Ignacego, w przedsionku szpitala zostawiali karty wizytowe, lub na skrawkach papieru nazwiska swe kreślili.

Sława bohatera z pod Radzymina coraz szersze zataczała teraz kręgi. W prasie zagranicznej aż grzmiało od szczegółowych opisów boju, jaki garstka rycerzy zwycięzko stoczyła z całym oddziałem jazdy czerwonej.

Jeden z tej garstki szaleńców, szerokoramienny Lasota w jednej z sal szpitala od dłuższego czasu walczył ze śmiercią. Gdy dzięki starannej opiece lekarskiej przesilenie wreszcie minęło, Bejzymowi zakomunikowała Magdalena radosną wieść, że strzelec bezwarunkowo żyć będzie.

Wieść o wynikach „ekspedycji karnej" w pierwszym rzędzie wstrząsnęła Sowdepją. Olimp kremliński trząsł się w bezsilnej wściekłości, a nota Cziczerina, bezczelnie żądająca wydania Bejzyma władzom R. S. F. S. R., mogła śmiało uchodzić za dokument obłędu politycznego.

Na głowę Apfelbauma - Zinowjewa spadły aż dwa bezlitosne ciosy — kosztowna kompromitacja Soskisa i strata wyborowego kwiatu „gwardji djabelskiej". Wszystko to skupiło się na Hellerze, który, przez rozwścieczonego szefa północnej komuny oskarżony o zdradzieckie wciągnięcie „czerwonych djabłów" w zasadzkę oraz o współudział w wywłaszczeniu Soskisa, z wyroku sądu rewolucyjnego w Moskwie padł pod salwą plutonu egzekucyjnego. Chcąc jeszcze solenniej pomścić klęskę wyprawy, Zinowjew stracił nadto pięćdziesięciu mieszkańców Sławuty, w ich liczbie kilka kobiet i dzieci.

Ciężką krzywdą dla Apfelbauma była też

śmierć Sierożki-Ludożercy, w którego zwyrodniałej osobie traciły sowiety jednego z najdzielniejszych swych współpracowników. Kat, okropnie zmasakrowany, wyzionął wstrętnego ducha w Warszawie, na czwarty dzień po przybyciu do szpitala. Skończył sobacze swe życie, przy ostatniem tchnieniu miotając jeszcze ohydne bluźnierstwa.

Pan Michał ze służbą państwową już się był rozstał na dobre i stanął na czele prywatnego biura detektywów. W przeciwieństwie do panującej w urzędach atmosfery stałego niezadowolenia i apatji, na nowym posterunku znalazł Winarski pełnię niezależności oraz sympatję stale wzrastającej klienteli biura, co, rzecz prosta, znakomicie wpłynąć musiało na samopoczucie i wydajność pracy tego nieustraszonego wroga anarchji.

Pewnego razu zwierzał się Bejzymowi:

— Zaciekawia pana los braci Perlmuttrów? Na gruncie tej właśnie sprawy, sprawy całkiem jasnej i zdawałoby się zadnych wątpliwości nie budzącej, znienacka podstawiono mi nogę. Nic dziwnego: dla osadzonych w więzieniu gagatków proces zapowiadał się wprost katastrofalnie, tak dalece obciążający był zebrany przez śledztwo materjał. I co się okazało: miłe pacholęta nieoczekiwanie dostały się pod skrzydła opiekuńcze sędziego śledczego Brandenburga, ex-żyda, siostrzeńca znanej przywódczyni komunistów niemieckich, Klary Brandenburg. Perlmutterków, z wszelkiej winy wypranych, z więzienia niebawem uwolniono, a Winarskiemu, jako oczywistemu faszyście i antysemicie, zaproponowano maximum samodzielności na świeżem powietrzu...

W ciężkiej pracy wypłowiałe i zaczerwienione oczy Michała błysnęły uśmiechem ironicznym.

— Więc siostrzeniec Klary Brandenburg? — pytał zdumiony major. — Czyż to możliwe?

— Jak widać, możliwe. Siostrzeniec rodzoniusieńki słynnej Klary. Ale czyż jednego tylko Brandenburga sądownictwo młodej Polski posiada? Trzeba było panu widzieć, drogi przyjacielu, jak się takie badania odbywają, wiele w nich nienawiści i pogardy dla naszej ojczyzny. Typowa bezczelność Judy, który w rękach swych poczuł władzę. Jeżeli stosunki się nie poprawią, jeżeli trzydziestomiljonowym narodem nadal, niczem pajacem tekturowym, igrać będzie mafja anonimów, dążąca do zawładnięcia światem całym, jak już Rosją zawładnąć zdołała, Polska stoczyc się może w przepaść...

— Tak, mafja... —w zadumie powtórzył Bejzym, unosząc się na łóżku. — Pamiętam, z jakim zapałem przez ocean do Polski na wojnę śpieszyłem. Trzy lata pracy w walkach ustawicznych, bez urlopów, bez odpoczynku, Zawierucha straszliwa, nieubłagana, Moloch, który pożarł najpiękniejsze kwiecie istnień Europy. Hekatomba tak potworna, tak zachłanna, iż obecnie świat wszystkich sił dołożyć musi, by uniknąć grożącego mu zwyrodnienia. Potem kampanja przeciwbolszewicka i łącznie z nią zmaganie się młodziutkiego państwa z potężnym blokiem jawnych i ukrytych wrogów. Teraz niech pan pomyśli: czy jest sens ponosić ciągle, ponad siły ciężkie ofiary, męczyć się i krwawić ustawicznie, patrzeć bezradnie, jak z oblicza ziemi znikają miasta całe, giną skarby kultury, a na pogorzeliskach nędza wyje i dusza losom złorzeczy? Poco ta gehenna, jeżeli o wszystkiem zgóry decyduje zakonspirowana szajka i brudne swoje ręce na sterze zdarzeń czujnie trzyma? Ludzie tej mafji, rozleniwieni w zbytku i komforcie, ci nieprawdopodobnie bogaci królowie banków, giełdy, nafty i stali, ci rozbójnicy, w ukryciu spiski ponure knujący, czereda pijawek i pająków bez wysiłku obala rządy, rozpala zatargi międzynarodowe, finansuje rewolucje oraz to

wszystko, co zmierza do rozkładu społeczeństw. Wszechmoc ta dyskretnie kryje się za kulisami faktów, na widowni zaś flirtują sobie lub wrzeszczą różne Genuy, Hagi, Lozanny...

— Koszmar, koszmar... — szepnął zgnębiony Winarski.—Wściekłość bezsilna i wstręt ogarnia, gdy się pomyśli, jak się tworzą dzieje. Ale mimo to...

Podniósł głowę i oczyma zabłysnął.

— Mimo przemoc i wilcze doły wokół domu naszego rozrzucone, zwyciężymy, bo nie wolno nam nie zwyciężyć...

— Zwyciężymy! — z mocą za panem Michałem powtórzył Bejzym hasło niezłomnej woli i nadziei.

Pewnego razu Winarski zjawił się, szczególnie widać czemś przygnębiony.

— Co panu jest?—troskliwie pytał Bejzym, widząc, że twarzą przyjaciela wstrząsa dreszcz, co zawsze było oznaką wyjątkowo silnego wzburzenia.

— Co mi jest? Wogóle... Ah, ta noc ubiegła! Czyś nie czytał pan gazet? Zresztą, gazety nie zdążyłyby nawet...

Winarski zwykł przynosić z sobą najciekawsze, przez prasę jeszcze nie wyzyskane wieści i informacje ze świata politycznego, to też Bejzym aż się zatrząsł z zaciekawienia.

— No, cóż takiego, gadaj pan!—nalegał major, gotując się do przełknięcia jakiejś pierwszorzędnej sensacji.

Obecna w pokoju Łabędzka kusiła również do zwierzeń pana Michała, który, jakby już nie nie panując nad wzburzeniem, nerwowo tłukł się po pokoju.

Nagle stanął i z pasją wyrecytował:

— No cóż! Znów ta przeklęta jaskinia w hotelu Rzymskim! To, co się obecnie dzieje, zakrawa na sensacyjny kawał w rodzaju „Tajemnic

dworu madryckiego." Pamiętacie państwo, com wam w swoim czasie o niejakim Tirpitzu opowiadał? Jest to młodziutki, bezinteresownie pracujący wywiadowca, namiętny wróg bolszewików i bolszewizmu, zapalczywy studencik, który pomógł mi do zdemaskowania niebezpiecznej szajki, grasującej pod firmą Weissberg-Montebianco, bracia Kuszer-Perlmutter et Co. W Tirpitzu tracimy prawdziwy skarb pracy i poświęcenia, skarb...

— Jak to, tracimy?—przerwała Łabędzka.— Czyżby ów młodzieniec...

— Tirpitz przepadł, zginął w podejrzanie niewytłumaczony sposób. Nieznośnie gnębi mię myśl, żem to i ja pośrednio w tem wszystkiem zawinił. Gdyby Tirpitz nie nawiązał był ze mną stosunków, nicby jego życiu nie zagrażało...

— Czy pan podejrzewa hotel Rzymski?

— Nietylko podejrzewam, ale mam nawet pewność niezbitą. Chłopak często w celach informacyjnych zaglądał do misji sowieckiej, aż nagle zginął. Według zebranych przeze mnie wiadomości, Tirpitz dał się wciągnąć w zasadzkę, skąd go przemocą uśpionego, zamkniętym samochodem wywieziono w niewiadomym kierunku. Słowem, w sercu Polski, w Warszawie, misja sowiecka niczem się absolutnie nie krępuje...

— Trochę meksykańskie stosuneczki — zauważył zgorszony Bejzym.

— Nie, to przypomina raczej obyczaje mafji sycylijskiej—replikował pan Michał.

Twarz Łabędzkiej pociemniała z oburzenia.

— To niesłychane! Co za bezczelność!

— Jeszcze nie skończyłem — twardo mówii dalej Winarski. — Dzisiejszej nocy w „Bristolu" popełniono nową, niemniej tajemniczą zbrodnię. Mianowicie w jednym z apartamentów znaleziono otrutą...

Pan Michał zaciął się, przypomniawszy sobie nagle, jakie stosunki łączyły Bejzyma z hrabiną,

Ale zarówno major, jak i Łabędzka z łatwością się domyślili, czyje nazwisko chciał przed nimi ukryć Winarski.

— Nieszczęśliwa kobieta!—w ponurej zadumie westchnął Ignacy.—Powinna była natychmiast przed bezlitośną zemstą zbiec. Jeszcze wczoraj otrzymałem od niej te oto róże...

Skinieniem głowy wskazał kryształową wazę z pękiem przepysznych herbacianych róż. Kwiaty świeciły diamentami rosy, ponieważ przed godziną jeszcze Łabędzka skropiła je wodą. Był to jakby znak przebaczenia i wyrozumiałości, piękny gest głęboko uczciwej kobiety w stosunku do byłej rozkosznicy ukochanego.

Magdalena zwolna podeszła do wazy i długiemi palcami rasowej dłoni gładzić zaczęła zroszony aksamit kwiecia. Oczy jej zaszły mgłą głębokiego smutku, w piersiach tliła się zapowiedź szlochu.

Zaległo milczenie głębokie, cisza dusz, o które otarł się zimny wiew śmierci.

Magdalena i Bejzym chwilą skupienia uczcili pamięć zmarłej. Bohaterskie zwycięstwo sumienia nad uknutą zdradą i zgon męczeński przekreślały występki awanturnicy.

— Czy zna pan przeszłość hrabiny Szapary?—spytała Winarskiego Łabędzka.

— Lichy byłby ze mnie wywiadowca, gdybym nie znał przebiegu jej bujnego żywota. Ojciec Julji jest to jej imię prawdziwe, był urzędnikiem akcyzy gdzieś w gubernji podolskiej, a córeczka jego skończyła gimnazjum w Winnicy. Urodziwa panienka spalała się w szalonem pragnieniu życia i użycia, więc też ongi uciekła w świat z bogatym ziemianinem, niejakim panem Poraj-Chlebowskim, który ją przez dwa lata obwoził po stolicach i modnych uzdrowiskach Europy, aż wreszcie uprzykrzywszy sobie takie życie, bez skrupułów rzucił młodą kochankę na pastwę

losu. Do likwidacji stosunku popchnął go nieoczekiwany a gorący afekt do pewnej już niemłodej i mocno wymalowanej Francuzki o niesłychanie skandalicznej przeszłości.

Bejzym słuchał, marszcząc brwi.

— A porzucona długo spędzała dni samotne, następca jakoś się nie zjawiał. Nie dlatego, kochani państwo, żeby uroda Julji przygasła, ale dziewczynie poprostu nie dopisywało szczęście, ten niezbędny czynnik powodzenia we wszystkich chyba przedsiewzięciach. Sami wiecie, że zdarzają się koczkodany gibraltarskie, na których widok koń dragoński płoszy się i dęba staje, a mimo to opływają w dostatki, na usługi mają złoto, wielbicieli, stroje, auta. Wreszcie trzeba było zdecydować się na sprzedaż całkiem niezgorszej biżuterji i na powrót do Rosji. Smutna była to podróż; wykolejona istota jasno zdawała sobie sprawę, że bez komfortu i narkozy zabaw obecnie żyć już nie potrafi. Zaczęła się wielka wojna... W tem miejscu informacje moje przerywają się i nie jestem w stanie odtworzyć sobie obrazu życia Julji podczas pożaru Europy. Potem przyszła rewolucja, upadek pozbawionej sił kiereńszczyzny, chłód i głód. Rozmiłowaną w zbytku kobietą skwapliwie zajęła się przebiegła czrezwyczajka. Żeby ułatwić Julji zadanie szpicla, wydano ją za hrabiego Szaparego, oficera-jeńca, który w niewoli rozpił się na śmierć i za kilkadziesiąt tysięcy rubli gotów był tytułem swym podzielić się z każdym, choćby nawet z kozą żydowską. I oto widzimy już Julję jako arystokratkę, myszkującą w zakonspirowanym obozie wrogów Lenina i Trockiego. Znów ma pyszne brylanty, bogate stroje, a nawet wspaniałe okrycie sobolowe, własność jakiejś rozstrzelanej damy dworu, z pochodzenia księżniczki gruzińskiej. Ale co pani jest, pani Magdaleno?

— Nic—zmienionym głosem rzekła Łabędz-

ka. — Bardzo... zajmująca, chociaż smutna, opowieść. Słucham uważnie.

— Dalszy ciąg już państwo znacie. Lekkomyślna niewiasta poczuła wreszcie nikczemność roli, jakiej bez zastanowienia się podjęła.

— Czy to przedsiębiorstwo kinematograficzne, do którego nas zaangażowała, też jest przez bolszewików finansowane?

— Gdzież tam. Zupełnie czysta impreza kapitalistów angielskich.

Bejzym westchnął z ulgą.

— Dzięki Ci, Boże, za opiekę! Tegoby jeszcze brakowało, bym na filmach bolszewickich figurował. A czy nie wie pan czego o tym odmieńcu Haille, albo o pochodzeniu blizny na twarzy nieboszczki?

— Ah, intryguje was ten tajemniczy znak, niepokojący wyobraźnię hieroglif jakiegoś dramatu? Posłuchajcie zatem. W Monte-Carlo do Julji strzelał pewien markiz włoski. Jakie były pobudki zamachu, nie wiem, ale podłożem dramatu niewątpliwie musiał być romans, zawód miłosny. Teraz z kolei przechodzę do mr. Haille. Za nic nie mówiącym szyldzikiem tego nazwiska schował się pewien znany policji awanturnik o bardzo szerokim zakresie działania, spryciarz międzynarodowy, który tak się w sentyment do Julji zawikłał, że mimo szykan i okrucieństwa hrabiny, na krok jej nie odstępował. Jakie to było uczucie, może wkońcu świadczyć zachowanie się tego zazwyczaj doskonale opanowanego kryminalisty nad zwłokami Julji — w przystępie szczerej rozpaczy Haille usiłował odebrać sobie życie. Przerzućmy teraz parę następnych kartek albumu kryminalistów i przypatrzmy się, co się dzieje z matadorami mafji, w której sieciach zadusiła się nieszczęsna Julja Szapary. Weźmy naprzykład sławetnego „pułkownika“ Weissberga-Montebianco... Gdym wydał rozkaz areszto-

wania braci Kuszer-Perlmuttrów, pan ambasador mocno musiał stchórzyć, skoro niezwłocznie przeprowadził się do poselstwa angielskiego, by po pewnym czasie bez żadnej już pompy i przemówień granice cierpliwej Polski opuścić. Cel mafji był do pewnego stopnia osiągnięty: wroga Rzeczypospolitej konsolidacja mniejszości stała się faktem dokonanym, głównie dzięki intrygom pana Montebianco. Jak na jeden występ gościnny, wyniki całkiem nie do pogardzenia.

Bejzym zacisnął pięści, a pan Michał mówił dalej:

— A oto druga szelma, już mniejszego kalibru: Hiacynt Chowno, wydawca finansowanego przez Montebianca świstka antypolskiego. Obecnie ten cuchnący kozieł w okrągłych okularach nagle zapłonął entuzjazmem do prawosławia — bywa na wszystkich nabożeństwach w obu cerkwiach, na Pradze i na Podwalu, ostentacyjnie całuje krzyż i wstrętnemi wargami ślini rękę kapłana.

— Cóż to za ohydna postać!—wstrząsnął się major.

— Sprytne żydzię nieźle swemi interesami pokierował. Za „oszczędzone" na wydawnictwie miljoniki Chowno zafundował sobie rosyjską drukarenkę i prawdopodobnie niedługo już kolonję prawosławną zaopatrywać będzie w literaturę religijną. To byłoby naprawdę zabawne, gdyby nie ohyda sytuacji... Wydawca bolszewicko-żydowskiej gazety w roli dostawcy chrześcijańskich ksiąg duchownych... Ale dajmy już spokój niesmacznym tematom i przejdźmy do spraw pana. Jak widzę, herkulesowe siły organizmu i troskliwość pani Magdaleny zrobiły swoje: niebawem już, majorze, rozstaniesz się z ciszą szpitala. Ale co za dziwny traf: w tym samym pokoju najpierw ja, później pan, obaj jako ofiary zamachów bolszewickich... W tym samym pokoju obaj nabie-

raliśmy sił do dalszej nieubłaganej walki z sześciopromienną gwiazdą szatana. Bo z nami, panie majorze, sprawa niełatwa, nie prawdaż? A co pan zamierza zrobić po powrocie do zdrowia?

Bejzym zaczął przeciągle.

— Wyjechać, wyjechać jak najprędzej, kochany panie Michale! Takby się chciało odetchnąć gdzieś świeżem, odorami czosnku nie zatrutem powietrzem! Jeżeli zajdzie potrzeba, jeżeli Polsce grozić będzie wojna, wszystko rzucę i natychmiast przyjadę, lecz narazie... Ah, prawda, zapomniałem powiedzieć, że bezpośrednio przed pana tu przybyciem był u mnie signor, signor... Jakże go tam... Oto jego karta: signor Cherubini.

— Cherubini? Cóż za anielskie nazwisko!— śmiał się Winarski.

— Ale zato fach, zawód znacznie mniej anielsko się przedstawia. Cherubini jest przedstawicielem słynnej włoskiej wytwórni filmów „Cines".

— Aha! Pojmuję: engagement na świetnych warunkach. Rzym, role bohaterów, owacje kwiatowe, dalszy ciąg sławy...

— Tak jest. „Cines" zamierza przeciwstawić moją skromną osobę osławionemu Macistesowi, którego w kuratelę wziął „Ambrosio-Film." No cóż, jak konkurencja, to konkurencja... Wstydu pracodawcom może i nie zrobię...

— Czyś pan już umowę podpisał?

— Jeszcze nie, ale podpiszę, ponieważ „Cines" przyjęła wszystkie moje warunki. A nadmienić muszę, że pierwszym, naczelnym warunkiem sine qua non było zaangażowanie pani Magdaleny do wszystkich obrazów, w których ja występowsć będę. Ho, ho, ho! Zobaczycie, że będziemy z niej jeszcze mieli europejską znakomitość filmową!

— Zaraz znakomitość!—rozkosznie oburzała się Łabędzka, oblewając się gorącym rumieńcem.

— Pani nie ma głosu w tej sprawie. Na temat talentu i jego przyszłości inni niechaj swe wnioski wygłaszają.

Pan Michał westchnął zlekka.

— Zazdroszczę wam, moi drodzy — rzekł.— Zawszeć co Włochy, to Włochy... Już mi w wyobraźni zapachniały gaje pomarańczowe, a z tła dobrotliwego nieba smukłe spojrzały cyprysy...

— Italja! Faszyści! Mussolini! — ozwał się rozdokazywany ozdrowieniec. — Evviva! Avanti Savoia!

— Faszyści, Mussolini! — smutnie powtórzył Winarski.—Niestety, nie mamy ani faszystów, ani Mussoliniego, ani lasków migdałowych... Rzeczywistość polską zdobią Thony, Grünbaumy, Diamandy...

— Myśmy temu winni! — rzekł Bejzym i zamilkł.

*

* *

Był miękki wieczór wiosenny, gdy wytwornie ubrany pan Leon i Winarski na dworcu Głównym żegnali odjeżdżających zagranicę państwa Bejzymów. W tej miłej manifestacji przyjaźni brak było Gagarina oraz księżniczki Barbary, którzy przed kilku dniami w sprawach rodzinnych i majątkowych wyjechali do Paryża. Przed rozstaniem się jednak Barbara wręczyła pani Magdalenie Bejzymowej iście królewski podarek ślubny: brylantowy diadem księżniczki d'Angoulême.

Stojąc w otwartem oknie sleepingu, urocza małżonka Ignacego nagle przypomniała sobie ten wieczór tak jeszcze niedawny, kiedy to jako ubogo ubrana i samotna wdowa trafiła w towarzystwie Gagarina na zgiełkiem tętniący dworzec kolejowy, by szarą rzeczywistość zabarwić chociażby fikcją urojonej podróży w daleki, wygodnie

urządzony świat. I oto po ciężkiej nocy bez spokoju i nadziei, nieoczekiwanie, niby w bajce, wróciło szczęście, miłość, pęd do życia, fortuna...

Pociąg drgnął i ruszył. Z peronu jeszcze raz zerwały się ukłony i ostatnie pośpieszne słowa dobrych życzeń. W szerokiem oknie stali małżonkowie, uśmiechem serdecznym odpowiadając na pożegnanie przyjaciół.

W ruchomej przestrzeni już utonęły ostatnie światła Warszawy. Luksusowy ekspres rwał przez równinę i ciepłą, aromatami wiosny nasyconą noc polską.

Do potężnej piersi majora tuliła się w porywie szczęścia rozkochana główka kobieca. Czarne oczy zaszły mgłą upojenia, a usta rozchyliły się, gdyby kwiat purpurowy. Pierwszy pocałunek, pierwsze wstydliwie wyszeptane „ty".

A za szerokiemi oknami sleepingu, który młodą parę wiózł na nowe, bujne radości życia, kotłowały się w mroku fantastyczne kłęby iskier...

K O N I E C.